



GALAKTYKA GUTENBERGA

E. E. „DOC” SMITH



Pierwszy Lensman

LENSMAN 2

Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[EPILOG](#)

SERIA GALAKTYKA GUTENBERGA

to klasyka radzieckiej i amerykańskiej SF

W serii ukazały się książki takich pisarzy jak:



Harry Harrison

H. Beam Piper

Siergiej Sniegow

Clifford D. Simak

James Schmitz

E.E. „Doc” Smith

John W. Campbell

Murray Leinster

Kir Bułyczow

Władimir Michajłow

Herbert G. Wells

Iwan Jefremow

Ilja Warszawski

Edgar Rice Burroughs

E. E. „Doc” Smith

Pierwszy Lensman

SOLARIS

Stawiguda 2016

Pierwszy Lensman

First Lensman © 2014 by Wydawnictwo Solaris

All Rights Reserved

ISBN 978–83–7590–215–0

Projekt i opracowanie graficzne okładki:

Chris Achilleos

Skład – Solaris Druk

Agencja Solaris

Małgorzata Piasecka

11–034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 89 5413117

e-mail: agencja@solaris.net.pl

sprzedaż wysyłkowa:

www.solarisnet.pl



ROZDZIAŁ 1

Gość przekradł się niepostrzeżenie przez pełne ludzi główne laboratorium Wzgórza i zatrzymał sześć stóp za plecami potężnego Norwega siedzącego za elektronowym pulpitem optycznym. Unosząc swój automatyczny pistolet, strzelił siedem razy do najwyraźniej niczego nie podejrzewającego naukowca, naciskając spust tak szybko, jak tylko był w stanie; dwa razy w głowę i pięć razy blisko siebie w plecy.

— Ach, Gharlanie z Eddoru, spodziewałem się, że będziesz mnie szukał. Usiądź. — Doktor Nels Bergenholm, blondyn o błękitnych oczach, nietknięty gradem pocisków, które przeszły jego głowę i korpus, odwrócił się i skinął potężną dłońią na stojące obok krzesło.

— Ale to nie były zwykłe pociski! — zaprotestował gość. Ten mężczyzna, czy raczej byt, nie był w najmniejszym stopniu zaskoczony faktem, że nikt z obecnych nie zwrócił uwagi na to, co się wydarzyło, choć było jasne, że był wstrząśnięty niepowodzeniem swego zabójczego ataku. — Powinny zamienić tę cielesną formę w pył i odesłać cię przynajmniej z powrotem na Aryzję, gdzie jest twoje miejsce.

— Zwykłe czy niezwykle, co to ma do rzeczy? Jak sam pod postacią Szarego Rogera oznajmiłeś niedawno Conwayowi Costiganowi: „Pozwoliłem ci na to, by zademonstrować ich bezskuteczność”. Musisz sobie raz na zawsze uświadomić, Gharlanie, że nie będziesz miał już możliwości bezpośredniego występowania przeciwko żadnemu zwolennikowi Cywilizacji, niezależnie od tego, skąd pochodzi. My, Aryzjanie, nie będziemy osobiście ingerować w wasze zamiary podboju dwóch galaktyk; związane z tym napięcia i konflikty są niezbędne i rzekłbym wystarczające dla stworzenia Cywilizacji, której powstanie jest bardziej niż nieuchronne. Dlatego ani ty, ani żaden inny Eddorianin nie możecie temu zapobiec. Będziesz więc musiał powrócić na Eddor i tam pozostać.

— Tak sądzicie? — usta Gharlana wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu. — Wy, którzy przez dwa miliardy tellusjańskich lat baliście się nas do tego stopnia, że nie ujawniliście nam nawet swego istnienia?

Baliście się nas tak bardzo, że nie mieliście śmiałości podjąć żadnych działań, by zapobiec zniszczeniu choć jednej z waszych obiecujących cywilizacji na planetach obu galaktyk? Boicie się tak bardzo, że nawet teraz nie pozwalacie na bezpośrednią konfrontację naszych umysłów, upierając się przy powolnym i nieskutecznym sposobie komunikacji werbalnej?

— Albo, choć bardzo w to wątpię, twoje rozumowanie jest chaotyczne, poplątane i nieskładne, bądź też usiłujesz uśpić moje podejrzenia i pozwolić mi uwierzyć w swoją głupotę. — Głos Bergenholma był spokojny i beznamiętny. — Nie tylko przypuszczam, że powrócisz na Eddor, lecz jestem tego pewien. A gdy tylko dowiesz się o pewnych sprawach, sam uzyskasz taką pewność. Protestujesz przeciwko używaniu języka mówionego, gdyż jest on, jak dobrze wiesz, najłatwiejszym, najprostszym i najpewniejszym sposobem całkowitego ukrycia przed wami wiedzy, którą tak rozpaczliwie staracie się zdobyć. Zaś w kwestii bezpośredniego spotkania naszych umysłów; doszło do niego w pełni tuż przed tym, gdy jako Szary Roger przypomniałeś sobie to, co cała twoja rasa dawno temu zapomniała. W wyniku tego spotkania na tyle szczegółowo poznałem wzór twego postępowania i specyfikę twojej osobowości, Gharlanie z Eddoru, że zawsze wyczuję twoją aurę, podczas gdy ty nie wiesz o mnie nic, poza tym, że jestem Aryzjaninem, co było oczywiste od samego początku.

Uciekając się do podstępu, Gharlan rozluźnił mentalne pole, które go więziło, jednak Aryzjanin przywrócił je tak płynnie, że żaden znajdujący się w pobliżu człowiek niczego nie zauważył.

— To prawda, że przez wiele cykli czasowych ukrywaliśmy przed wami nasze istnienie — kontynuował Bergenholm. — Wyjaśnię więc przyczyny naszego postępowania, skoro wciąż są one dla was niezrozumiałe. Gdybyście zbyt wcześnie dowiedzieli się o naszym istnieniu, mielibyście szansę na stworzenie broni wystarczająco potężnej, by zapobiec naszym działaniom, których cel jest obecnie całkowicie jasny. To prawda, że jako Lo Sung z Uigharu miałeś wolną rękę i nie ingerowaliśmy w twoje działania. Podobnie w przypadku Mitrydatesa z Pontu, Sulli, Mariusza i Nerona, Hannibala z Kartaginy, tych poczciwców Alcykserksesa z Grecji i Menokoptesa z Egiptu, jak też Czyngis-chana i Attyli, Kaisera, Mussoliniego, Hitlera, a także azjatyckich despotów pozwoliliśmy ci robić wszystko, na co miałeś ochotę. Również na Rigel Cztery, Velancji, Palain Siedem czy innych planetach mogłeś działać nie napotykaając na nasz opór.

Jednak wraz z pojawieniem się Virgila Sammsa nadszedł czas, by zakończyć prowadzone przez was na olbrzymią skalę zgubne, szkodliwe i destrukcyjne działania. W związku z tym stwarzam barierę pomiędzy wami a tymi, którzy bez niej byliby wobec was całkowicie bezbronni.

— Lecz czemu właśnie teraz? Dlaczego nie zrobiłeś tego tysiące cykli temu? I dlaczego Virgil Samms?

— Odpowiedź na to pytanie mogłaby dostarczyć ci cennych informacji. Być może za jakiś czas będziesz w stanie odpowiedzieć na nie sam, choć wtedy będzie już za późno. Wracając do tematu: oskarżasz mnie i innych Aryzjan o tchórzostwo; to bardzo pokretny i błędny tok myślenia. Zastanów się proszę nad kompletną porażką, jaką poniosłeś w przypadku planetoidy Rogera, nad faktem, że od tamtej pory niczego nie osiągnęliście, i nad sytuacją, w której się teraz znajdujesz.

Choć sposób myślenia waszej rasy jest u swych podstaw materialistyczny i mechanistyczny, a nasz pomniejszacie jako „filozoficzny” i „niepraktyczny”, musicie być bardzo zaskoczeni faktem, że wasze najbardziej nawet destrukcyjne fizyczne oddziaływanie nie jest w stanie wpłynąć nawet na tę cielesną formę, której dostarczam energii, nie mówiąc o moim realnym bycie.

Gdyby dzisiejszy epizod wynikał jedynie ze sposobu myślenia typowego dla numeru drugiego w Wewnętrznym Kręgu Eddoru... Jednak nie, moja wizualizacja nie może być aż tak błędna. Wrodzona skłonność zbyt pewnego siebie despoty do niedoceniań przeciwnika przyczyniła się do wyciągnięcia przez ciebie fałszywych wniosków. Poważnie się jednak obawiam, że nie popełnisz już podobnego błędu przy okazji żadnego z nadchodzących, naprawdę istotnych wydarzeń.

— Bądź pewien, że tego nie zrobię! — warknął Gharlan. — Być może nie było to z waszej strony czyste tchórzostwo. Bardzo je jednak przypominało. Gdybyście w przeszłości mieli możliwość efektywnie się nam przeciwstawić, na pewno byście to zrobili. Gdybyście byli w stanie skutecznie przeciwstawić się nam teraz, nie ograniczalibyście się do rozmowy. To elementarna prawda. Oczywiście do tego stopnia, że nawet nie próbujesz jej zaprzeczać. Nie oczekujesz nawet, że ci uwierzę, gdybyś próbował to robić. — Gharlan nie odrywał zimnego, mrocznego wzroku od lodowato błękitnych oczu Norwega.

— Zaprzeczać jej? Nie. Cieszy mnie jednak fakt, że użyłeś słowa „efektywnie”, a nie „otwarcie”, gdyż działaliśmy przeciwko wam efektywnie odkąd tylko te nowo powstałe planety nie ostygły wystarczająco, by umożliwić rozwój inteligentnych form życia.

— Co takiego? Czy to prawda? W jaki sposób?

— Tego także dowiecie się zapewne zbyt późno. Powiedziałem już wszystko, co zamierzałem. Nie dowiesz się ode mnie już niczego więcej. Ponieważ wiecie już, że istnieje więcej dorosłych Aryzjan niż Eddorian i że przynajmniej jeden z nas może poświęcić całą swoją aktywność, by zablokować bezpośrednie działania każdego z was, jest też dla was jasne, że nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia fakt, czy zdecydujesz się pozostać, czy wycofać. Pozostanę tu tak długo, jak ty. Za każdym razem, gdy zaryzykujesz wyjście poza ekran ochronny Eddoru, dokądkolwiek byś się udał, będę ci towarzyszył. Wybór należy do ciebie.

Gharlan zniknął. W tym samym momencie uczynił to Aryzjanin. Jednakże dr Nels Bergenholm pozostał. Odwrócił się i powrócił do przerwanej pracy, doskonale wiedząc, w którym momencie ją zakończył i co powinien robić dalej. Zlikwidował mentalną kopułę, którą rozpostarł nad każdą będącą w jego zasięgu istotą ludzką, tak umiejętnie, że absolutnie nikt nie był świadomy niezwykłego wydarzenia, do którego właśnie doszło. Dysponował tą wiedzą i umiejętnościami niezależnie od faktu, że forma cielesna, którą jego koledzy ze Służby Trójplanetarnej znali jako Nelsa Bergenholma, nie była już kontrolowana przez niezwykle potężny umysł Drounli Moderadora, lecz przez aryzyjskie dziecko, zbyt młode, by uczestniczyć w mających nadejść wydarzeniach.

Aryzja była w pełnej gotowości. Umysł każdego dojrzałe myślącego, a nawet stojącego na progu dojrzałości Aryzjanina był gotowy do działania, gdy tylko nadejdzie decydujący moment. Nie wyczuwało się jednak napięcia. Chociaż sytuacja daleko odbiegała od normy, to, co mieli zrobić, zostało przewidziane wiele cykli czasowych wcześniej. Doskonale wiedzieli, co i dokładnie w jaki sposób mają robić. Czekali.

— Moja wizualizacja kolejności wydarzeń wynikających z faktu, że połączenie bytów, którego częścią był Drounli, nie wyeliminowało Gharlana z Eddoru, kiedy kontrolował Szarego Rogera, nie jest do końca jasna. — Młody Strażnik o symbolicznym imieniu Eukonidor nadał swą myśl do zespolonego umysłu Starszych Aryzji. — Czy mogę,

wykorzystując wolny od zajęć czas, upowszechnić moją wizualizację, aby poddać ją analizie i wyciągnąć wnioski?

— Tak, młodzieńcze. — Starsi Myśliciele Aryzji, najwybitniejsze umysły tej niewiarygodnie potężnej rasy, połączyły się w jeden i dały swe przyzwolenie. — Będzie to dobrze wykorzystany czas. Zajmij się tym.

— Oddalony od pozostałych Eddorian o całe galaktyki Gharlan mógł zostać odseparowany i unicestwiony — oznajmił młody Aryzjanin, gdy z pewną dozą nieśmiałości przekazywał swą wizualizację zjednoczonemu umysłowi. — Choć wiadomo, że wyeliminowanie go osłabiłoby Eddor i przyniosło nam pewną korzyść, równie jasny jest fakt, że pozostawienie go przy życiu dało nam większą przewagę. Z pewnych względów jest to oczywiste: Gharlan i jego pobratymcy są przekonani, że zespolenie Aryzjan nie jest w stanie go zabić tylko dlatego, że nie zrobiło tego teraz. Eddorianie, lekceważąc naszą potęgę i uważając, że jesteśmy od nich znacznie słabsi, nie będą się więc koncentrować na ulepszaniu jądrowych ekranów ochronnych odpornych na atak mentalny trzeciego stopnia, aż do momentu, w którym nawet z ich pomocą nie będą w stanie zapobiec wyginięciu własnej rasy. Najprawdopodobniej nigdy nie będą nawet podejrzewać, że powstający właśnie Galaktyczny Patrol będzie głównym czynnikiem mającym wpływ na ich zagładę. Jednak w świetle powyższych faktów nie staje się wcale jaśniejszy powód, dla którego zabicie jednego z Eddorian byłoby konieczne. Nie potrafię też nawet w przybliżeniu opisać ani zwizualizować technik, które zostaną wykorzystane podczas ostatecznego wytepienia tej rasy; brak mi pewnych podstawowych danych o wydarzeniach, które nastąpiły, i warunkach, które musiały zostać spełnione wiele cykli czasowych przed moim narodzeniem. Trudno mi uwierzyć, że moja percepcja i pamięć są tak niedoskonałe; czy to możliwe, że te dane są i zawsze były dla nas niedostępne?

— Jednak taka właśnie jest prawda, młodzieńcze. I chociaż twoja wizualizacja przyszłości byłaby znacznie bardziej szczegółowa i wnikliwa, gdybyś poświęcił na nią więcej cykli czasowych, zasób twojej wiedzy jest równie pełny, jak w przypadku każdego innego przedstawiciela naszej rasy.

— Rozumiem. — Eukonidor przesłał mentalny ekwiwalent gestu oznaczającego pełne zrozumienie. — Jest to konieczne i wystarczy śmierć pomniejszego eddoriańskiego Strażnika. Zaś Wewnętrzny Krąg Eddoru nie

będzie zaskoczony ani zaniepokojony faktem, iż zespolony umysł Aryzjan jest w stanie zabić tak relatywnie słabą istotę. Teraz to rozumiem.

Potem nastąpiła cisza. Oraz oczekiwanie. Czy były to minuty? Dni? A może tygodnie? Któż to może stwierdzić? Bo cóż znaczył dla Aryzjan upływ czasu?

Potem przybył Drounli, pojawiając się dokładnie w tej samej chwili, w której opuścił Wzgórze, gdyż podczas przemieszczania się z prędkością myśli nawet międzygalaktyczne odległości nie mają żadnego znaczenia. Połączył swój umysł z pozostałą trójką Moderatorów Cywilizacji. Połączony umysł Aryzjan, znajdujący się w pełnej gotowości i czekający tylko na jego przybycie, pomknął przez kosmos. Ta potężna, nieznana dotąd koncentracja sił psychicznych dotarła do zewnętrznej tarczy ochronnej Eddoru praktycznie w tym samym momencie, co byt będący Gharlanem. Jednak Eddorianin, w przeciwieństwie do Aryzjan, przeniknął przez nią bez oporu.

Jakieś dwa miliardy lat wcześniej, kiedy nastąpiło Zjednoczenie – proces, w wyniku którego obie zderzające się galaktyki zaroily się od planet – Aryzjanie byli już rasą na tyle starą, że sami dysponowali możliwością tworzenia planet. Eddorianie, jak się uważa, byli jeszcze starsi. Aryzjanie należeli do naszego, normalnego kontinuum czasoprzestrzennego. Eddorianie, nie.

Eddor jest olbrzymi, ciężki i gorący. Jego atmosfery nie stanowi powietrze, jakie znamy z małej, zielonej Ziemi, lecz szkodliwa mieszanka gazów, które ludzkość zna jedynie z laboratoriów chemicznych. Jego hydrosfera, choć zawiera nieco wody, jest trującą, śmierzdzącą, silnie żrącą, śluzowatą i mulastą cieczą.

Zaś Eddorianie byli tak różni od jakichkolwiek znanych nam istot, jak Eddor od planet znajdujących się w naszej czasoprzestrzeni. Były to istoty skrajnie przerażające, wręcz niepoznawalne dla naszych zmysłów. Amorficzne, amebopodobne i bezpłciowe. Nie byli to hermafrodyty czy istoty partogenetyczne, lecz stworzenia całkowicie pozbawione płci; przy czym podobna bezpłciowość nie występowała u żadnej ziemskiej formy

życia bardziej złożonej niż drożdże. Byli więc, jeśli nie brać pod uwagę przypadków gwałtownej śmierci, całkowicie i w każdym znaczeniu nieśmiertelni. Gdyż każdy z nich, gdy jego organizm po życiu trwającym setki tysięcy ziemskich lat osiągał górny pułap zdolności adaptacyjnych, dzielił się po prostu na dwie nowe istoty, które posiadały zarówno całkowitą wiedzę i pamięć swojego rodzica, jak i nowy zapas energii oraz znacznie zwiększony potencjał.

Tam zaś, gdzie istnieje życie, pojawia się też konkurencja. Walka o władzę. Wiedza posiadała wartość jedynie wtedy, gdy sprzyjała jej osiągnięciu. Wybuchła więc tocząca się nieprzerwanie wojna, przerażająco efektywna i możliwa tylko w przypadku podobnych istot. Dzięki wyzwaniom, jakie niosła ze sobą owa bratobójcza walka, ich umysły, już wcześniej niezwykle potężne, stawały się coraz silniejsze.

O zawarciu pokoju nawet jednak nie myślano. Walka narastała, osiągając coraz to wyższe poziomy przemocy, dopóki nie stały się oczywiste dwa fakty. Że każdy Eddorianin, który mógł zostać zabity przy zastosowaniu fizycznej przemocy, już nie żyje, zaś ci, którzy przeżyli, rozwinęli tak ogromne moce umysłu oraz pełną kontrolę nad swą fizyczną i psychiczną naturą, że nie mogli zostać zabici przy użyciu działań fizycznych. Oraz że przez wieki, podczas których poświęcili wszystkie swoje wysiłki na wzajemną eksterminację, ich słońce uległo wyraźnemu ochłodzeniu, a ich planeta wkrótce miała stać się zbyt zimna, by byli w stanie fizycznie na niej egzystować.

Nastąpiło więc zawieszenie broni. Eddorianie zaczęli współpracować, nie unikając przy tym tarć, opracowując techniki, za pomocą których przesunęli swą planetę o lata świetlne, do systemu młodszej i cieplejszej gwiazdy. Gdy zaś Eddor ponownie znalazł się w gorącym i cuchnącym środowisku, walka została wznowiona. Tym razem była to walka psychiczna, która trwała ponad sto tysięcy eddoriańskich lat, przy czym podczas ostatnich dziesięciu tysięcy lat tych zmagania nie zginął ani jeden Eddorianin.

Uświadamiając sobie daremność swych działań, stosunkowo niewielka liczba ocalałych ustanowiła coś w rodzaju pokoju. Skoro każdy z nich pałał skrajnie wynaturzoną żądzą władzy i stało się absolutnie jasne, że nie są w stanie pokonać samych siebie ani wzajemnie się pozabijać, stworzyli

armię, która podbiła wystarczającą liczbę planet i galaktyk, by każdy Eddorianin dysponował zadowalającą go potęgą i władzą.

I cóż z tego, że w ich rodzimym wszechświecie nie było wystarczająco dużo planet? Istniało nieskończenie wiele innych wszechświatów i część z nich, co było matematycznie udowodnione, mogła posiadać miliardy planet. Łącząc siłę swych umysłów z technologią, zbadali sąsiadujące czasoprzestrzenie, stworzyli korytarz hiperprzestrzenny oraz zbudowali napęd inercyjny i wędrowali swą planetą, będącą inteligentnym statkiem kosmicznym, przez kolejne wszechświaty.

I w taki oto sposób, tuż po rozpoczęciu się Zjednoczenia, Eddor pojawił się w naszej czasoprzestrzeni i ze względu na obfitość istniejących już oraz mających powstać planet, zdecydował się tu pozostać. Znajdowało się tu coś, czego pragnęli od samego początku; wystarczająca liczba planet, idealny poligon do testowania władzy, zdolny zaspokoić nienasycone nawet żądze. Nie musieli już ze sobą walczyć; mogli teraz podjąć niezwykle ożywioną współpracę, dopóki tylko każdy z nich dostawał więcej i więcej i WIĘCEJ!

Enphilisor, młody Aryzjanin z typowym dla siebie zapalem penetrujący odległe rejony przestrzeni, jako pierwszy nawiązał w tym wszechświecie kontakt z Eddorianami. Z natury łagodny, naiwny i niewinny, był niezmiernie zaskoczony ich reakcją na jego przyjazne powitanie, jednak przez ułamek sekundy, jeszcze zanim zamknął swój umysł przed ich wściekłym atakiem, zdążył poznać fakty dotyczące ich przeszłości.

Zjednoczony umysł Starszych Aryzji nie był jednak zaskoczony. Aryzjanie, choć mniej rozwinięci technologicznie niż ich przeciwnicy oraz z natury pokojowi, byli znacznie bardziej zaawansowani w dziedzinie fundamentalnych badań umysłu. Starsi od dawna wiedzieli o istnieniu Eddorian i ich grabieżczej wyprawie przez wszechświaty. Dużo wcześniej, podczas swych Wizualizacji Kosmicznego Wszechistnienia, z przerażającą dokładnością przewidzieli rozpoczynającą się właśnie inwazję. Od dawna wiedzieli też, co muszą zrobić. I przystąpili do działania. Na tyle podstępnie, by nie napotkać na żaden opór, weszli w umysły Eddorian i zablokowali całą ich wiedzę o istnieniu Aryzji. Po czym wycofali się, nie pozostawiając śladów.

Nie mieli co prawda zbyt wielu danych, nie byli jednak wówczas w stanie osiągnąć niczego więcej. Gdyby którykolwiek z tych niezwykle

podejrzliwych umysłów miał najmniejszy nawet powód do niepokoju bądź jakiegokolwiek uzasadnione wątpliwości, mogliby oni uzyskać czas na opracowanie strategii umożliwiającej wypędzenie Aryzjan z tego wszechświata zanim wykuta zostanie broń zdolna unicestwić Eddorian, czyli będący w fazie formowania Galaktyczny Patrol. Już wówczas Aryzjanie mogli samą tylko potęgą swych umysłów unicestwić wszystkich Eddorian za wyjątkiem Jego Ultymatywnej Wysokości i jego wewnętrznego kręgu, bezpiecznych za nieprzeniknioną wówczas tarczą, jednak dopóki nie byli w stanie zadać ostatecznego ciosu, nie chcieli rozpocząć ataku.

Należy podkreślić, że Aryzjanie nie walczyli dla własnych korzyści. Ani jako pojedyncze istoty ani jako rasa nie mieli się czego obawiać. Bardziej nawet niż Eddorianie byli oni odporni na wszelkie ataki fizyczne. Niezwykle zaawansowani w badaniach nad umysłem zdawali sobie sprawę, że największa nawet koncentracja sił mentalnych Eddorian nie jest w stanie zabić żadnego z nich. I nawet gdyby zostali zmuszeni do wycofania się poza normalną czasoprzestrzeń, nie miałyby to dla nich najmniejszego znaczenia. Dla tak rozwiniętych umysłowo istot żadna dostępna przestrzeń nie była gorsza od innej.

Gdyż walczyli o idealną, spokojną, harmonijną i miłą wolność cywilizację, przewidując jej masowy charakter i ostateczne opanowanie przez nią miliardów planet na dwóch ogromnych Wyspach Wszechświata. Czuli na sobie olbrzymi ciężar odpowiedzialności. Ponieważ wszystkie rasy, zarówno te już istniejące, jak i mające dopiero powstać, wykiełkowały i wykiełkują z aryzyjskich zarodników życia, które przeniknęły do tego właśnie wszechświata. Dlatego w pewnym sensie wszystkie one są i będą Aryzjanami. Było absolutnie nie do pomyślenia, by Aryzja pozostawiła je pod wiecznym panowaniem tej drapieżnej, zdolnej jedynie do tyranii i piekielnie zachłannej rasy potworów.

I Aryzjanie podjęli równie efektywną co podstępą walkę. Nie mogli występować otwarcie przeciw bezlitosnemu podbijaniu przez Eddor kolejnych światów i miażdżeniu cywilizacji za cywilizacją. Czuwali jednak nad ich rozwojem przez selektywne łączenie i stwarzanie linii rodowych na niezliczonej ilości planet, na których tendencje rozwoju inteligencji były zdecydowanie zwykłe.

Czterech Moderatorów Cywilizacji, Drounli, Kriedigan, Nedanillor i Brolenteen, którzy w połączeniu stworzyli „Aryzyjskiego Mentora” i stali się znani każdemu, kto nosił Soczewki Cywilizacji, było osobiście odpowiedzialnych za aryzyjski program rozwoju na czterech planetach: Telusie, Rigel 4, Velancji i Palain 7. Drounli był opiekunem dwóch głównych rodów na Tellusie. Początki męskiej linii rodu Kinnisonów ginęły w mroku mitycznej telluriańskiej prehistorii. Kinnexa z Atlantydy, córka jednego z Kinnisonów i siostra innego, jest pierwszą przedstawicielką tego rodu, której nazwisko pojawia się w kronikach, choć już wówczas był to ród stary. Była też inna, posiadająca niezwykle długą historię linia genealogiczna, w której zarówno mężczyźni jak i kobiety posiadali kasztanoworude włosy oraz wyraziste piwne oczy nakrapiane złotymi plamkami.

Te rody nie mogły się też łączyć. Drounli zadbał, by było to dla ich przedstawicieli psychologicznie niemożliwe, zanim nie zostanie osiągnięty przedostatni etap ich rozwoju.

Ten etap wciąż był kwestią przyszłości, kiedy na scenie pojawił się Virgil Samms, a wszyscy Aryzjanie zdawali sobie sprawę, że nadszedł czas otwartego konfliktu z Eddorem, umysł przeciwko umysłowi. Roger Szary został brutalnie i definitywnie pokonany. Wszelka forma działalności każdego Eddorianina, gdziekolwiek by się on znajdował, została trwale zablokowana.

Gharlan, jako że został o tym uprzedzony, skonstruował absolutnie skuteczną w swym przekonaniu broń i zaatakował blokującego go Aryzjanina, oczywiście bez rezultatu. Zdawał sobie sprawę z przerażających konsekwencji tej porażki, tym bardziej, że nic podobnego nie miało miejsca od dwóch miliardów tellusjańskich lat. Po raz pierwszy w swym długim życiu poważnie zaniepokojony, pomknął z powrotem na Eddor, by ostrzec swych współbraci i naradzić się wraz z nimi nad dalszym postępowaniem. Zaś zmasowane i połączone siły Aryzji natychmiast ruszyły za nim.

Aryzja uderzyła w zewnętrzny ekran Eddoru, niszcząc go w mgnieniu oka. Następnie, równie błyskawicznie, niezauważone przez obrońców planety siły Aryzji rozdzieliły się. Starsi, włączając wszystkich Moderatorów, pojmali kontrolującego ten ekran Eddorianina, otaczając go nieprzeniknionym polem siłowym i wyrzucając w międzygalaktyczną przestrzeń.

Następnie, nie napotykając oporu, dosłownie przenicowali nieszczęsną istotę. I zanim ofiara, poddana dogłębnemu sondowaniu, straciła życie, Starsi Aryzji uzyskali pełen dostęp do całej wiedzy Eddorianina oraz wszystkich jego przodków. Po czym powrócili na Aryzję, pozostawiając swych młodszych, słabszych i częściowo tylko ukształtowanych towarzyszy, by podjęli wszelkie możliwe działania przeciwko potężnemu Eddorowi.

Sam fakt, czy atak tych pomniejszych oddziałów może zostać zatrzymany przez drugi, trzeci, czwarty czy wewnętrzny ekran ochronny i czy zdołają one przebić się do samej powierzchni planety i dokonać jakichś istotnych zniszczeń zanim zostaną odparte, nie miał żadnego znaczenia. Celem było umożliwienie Eddorowi odparcia inwazji bez większego wysiłku. Przez kolejne cykle Eddorianie mieli być przekonani, że Aryzja nie stanowi dla nich realnego zagrożenia.

Faktyczna bitwa została jednak wygrana. Wizualizacje Aryzjan mogły teraz zostać poszerzone na tyle, by przewidzieć każdy istotny element ostatecznego i nieuniknionego konfliktu. Wnioski, do jakich doszli Aryzjanie, nie były optymistyczne, gdyż wszystkie ich wizualizacje zgodnie wskazywały na to, że jedyna realna droga do zniszczenia Eddorian wiąże się jednocześnie z zakończeniem ich własnej roli jako Strażników Cywilizacji.

I choć stało się jasne, że taki rozwój sytuacji jest nieuchronny, Aryzjanie zaakceptowali to i bez wahania zaczęli wcielać ten plan w życie.

ROZDZIAŁ 2

Wzgórze, które zostało zbudowane jako telluriańska kwatery główna Służby Trójplanetarnej, zaś obecnie było sztabem generalnym powstającego właśnie Patrolu Solarnego, miało, jak już wspomniano, strukturę plastra miodu i znajdowało się w opancerzonej górze o ściętym wierzchołku. Ponieważ jednak ludzi nie zachwycało ciągłe przebywanie pod ziemią, niezależnie od tego jak pięknie oświetlone czy komfortowo i wydajnie klimatyzowane byłyby lochy, schron rozpościerał się daleko poza podnóże tego szarego, niedostępnego i gładkiego jak lustro stożka metalu. Zaś tuż za granicami tego rozrośniętego schronu znajdowało się miasteczko z setkami wysoce wydajnych farm i szczególnie gwarnym w to jasne majowe popołudnie parkiem rozrywki zaopatrzonym między innymi w dziesiątki kortów tenisowych.

Jeden z tych kortów był z trzech stron otoczony trybunami, z których kilkuset widzów obserwowało tenisową rozgrywkę będącą najwyraźniej dość istotnym miejscowym wydarzeniem. W przeznaczonych dla dwudziestu osób łoży siedziało dwóch mężczyzn, przyglądając się z zachwytem dwójce graczy starających się w uczciwej grze i wyrównanych setach wygrać mistrzostwa Wzgórza w parach mieszanych.

– To piękna para, Rod, jeśli mogę wyrazić swoją opinię, i równie świetni gracze – rzekł członek Rady Solariańskiej, Virgil Samms, do swego towarzysza, gdy przeciwnicy zmieniali się stronami. – Wciąż jednak uważam, że ta pannica powinna ubierać się przyzwoiciej. W tych białych nylonowych szortach wydaje się równie naga, jakby w ogóle ich na sobie nie miała. Nie raz jej o tym wspominałem, jednak ta bezczelna dziewczucha zakłada coraz bardziej skąpe stroje.

– Oczywiście – roześmiał się komisarz Roderick K. Kinnison. – A czego się spodziewałeś? Ma po tobie włosy i oczy, dlaczego nie miałyby odziedziczyć też twojego uporu? Trzeba jednak przyznać, że w przeciwieństwie do większości pozostałych dziewcząt wie, jak zwrócić na siebie uwagę. Jednego tylko nie rozumiem; dlaczego oni wciąż jeszcze nie... – Zamilkł.

– Ja również. Bóg jeden wie, ile włożyliśmy wysiłku, by ich do siebie zbliżyć. A Jack Kinnison i Jill Samms bez wątpienia stworzyliby parę wartą tych starań. Lecz jeśli oni nie... Może potrzeba im czasu? To ciągle jeszcze dzieciaki i wygląda na to, że się lubią.

Gdyby jednak siedzący w łoży Samms senior znajdował się w tej chwili na korcie, byłby prawdopodobnie zaskoczony, gdyż goszczący na twarzy młodego Kinnisona uśmiech skierowany do jego czarującej partnerki daleki był od uśmiechów, jakimi obdarzają się przyjaciele.

– Posłuchaj zarozumiała półgłówku, ty tępy kurzy mózdzku! – krzyknął Jack pełnym dezaprobaty półgłosem. – Mogłabyś w końcu zacząć korzystać ze swojego tak zwanego mózgu! Tysiące razy powtarzałem ci, byś pilnowała swojej strefy i trzymała się jak najdalej od mojej! Gdybyś była na swojej pozycji, czy choćby odczytywała moje sygnały, Frank nie zdobyłby trzydziestego punktu, a gdyby Lois nie trafiła w siatkę, złapałaby cię nieprzygotowaną kilometr od pozycji i doprowadziła do wyrównania. A tak przy okazji, o czym ty w ogóle myślisz; grasz w tenisa, czy obserwujesz tłum niewinnych widzów, którzy tracą na twój widok głowę?

– A jak myślisz? – uśmiechnęła się zjadliwie Jill. Z brązowych oczu dziewczyny niższej od chłopaka zaledwie o kilka centymetrów niemal posypały się iskry. – I lepiej spójrz sam na siebie, zamiast mnie pouczać. Przyjmij też do wiadomości jedno, Starszy Pilocie Johnie K. Kinnisonie; to, że nawet na chwilę nie potrafisz przestać być „Zabójcą” Kinnisonem i pozwolić dwójce naszych dobrych przyjaciół na zdobycie choćby jednego punktu czy może nawet wygranie meczu, wcale nie oznacza, że sama muszę zamienić się w Sammsa „Zabójcę”. Chcę ci też powiedzieć...

– Niczego mi nie powiesz, Jill, i przyjmij to do wiadomości! Zaczynj tracić punkty w jakiegokolwiek dziedzinie i pewnego dnia zdasz sobie sprawę, że straciłaś ich zbyt wiele. To nie w moim stylu i dopóki grasz w mojej drużynie, także nie w twoim. Jeśli spaprasz jeszcze cokolwiek w tym meczu, mój następny serw trafi w najbardziej obcisłą część tych fikuśnych białych szortów, prosto w miejsce, w którym powinna być tylna kieszonka, i nabiję ci takiego siniaka, że przez trzy dni nie będziesz w stanie usiąść. Więc uważaj!

– Ty nieznośny durniu! Mam ochotę walnąć cię rakieta prosto w łeb! Naprawdę to zrobię i zejdem z kortu, jeśli nie przestaniesz...

Rozległ się gwizdek. Virgilia Samms z zadowoloną miną zajęła swoją pozycję, stając się personifikacją i ucieleśnieniem zwiewnego płynnego ruchu. Piłka świsnęła kilka milimetrów na siatkę, prawdziwy as serwisowy. Gra toczyła się dalej.

Zaś kilka minut później w pomieszczeniu z prysznicami, gdzie Jack Kinnison rześko podśpiewując wycierał się ręcznikiem, pojawił się młody człowiek masywnej postury i dźwięcznie klepnął go w ramię.

– Gratulacje, Jack, i tym podobne. Chcę cię jednak o coś zapytać. Poufnie...

– Wal! Czyżbyśmy się przez te wszystkie miesiące nie poznali jak łyse konie? Skąd ten nagły brak zaufania? To nie w twoim stylu.

– Cóż... chodzi o to... wiesz, że potrafię czytać z warg.

– Tak. Jak my wszyscy. I co z tego?

– Chodzi tylko o to... Widziałem, jak rozmawialiście ze sobą na korcie, i jeśli była to pogawędka zakochanych, to jestem wenusjańskim szczeniakiem błotnym.

– Zakochanych? Kto ci u diabła powiedział, że jesteśmy zakochani?... Aha, nasłuchałeś się tyrad mojego ojca? Ja i to rudowłose ladaco – ten bezmózgi pierwotniak? Jeszcze czego!

– Uważaj, Jack! – głos olbrzymiego oficera był nieco podniesiony. – Cholernie się zapędziłeś. Dziewczynie niczego nie brakuje. Ma wrodzoną klasę.

– Poważnie? – Młody Kinnison przestał się wycierać i ze zdumieniem spojrział na swego rozmówcę. – Chcesz powiedzieć, że unikałeś jej tylko dlatego... – Miał zamiar powiedzieć „bo jesteś moim najlepszym przyjacielem w Układzie Słonecznym”, jednak tego nie zrobił.

– Cóż, sądziłem, że mogłoby to zabrzmieć nieco nieszczerze.

On także nie powiedział na głos tego, co obaj doskonale wiedzieli.

– Jeśli jednak nie masz nic... jeśli ci to oczywiście nie przeszkadza...

– Poczekaj chwilę, przedstawię was sobie.

Jack wskoczył w mundur i po kilku minutach dwóch młodych oficerów, wyglądających nieskazitelnie w kosmicznych, czarno-srebrnych barwach Patrołu, kierowało się w stronę damskiej przebieralni.

– Bo w sumie to uważam, że tak ogólne... to ona jest całkiem w porządku – były to częściowe przeprosiny Kinnisona za to, co powiedział wcześniej. – Poza tym, że jest tchórzliwym kurzym mózdzkiem, to świetna

babka. Zwykle naprawdę daje sobie radę. Jednak, uwzględniając wszystkie jej zalety, nie jestem nią zainteresowany, podobnie zresztą, jak ona mną. Mamy do siebie identyczny stosunek. I ty też się w niej nie zakochasz, Mase. Po niecałym tygodniu będziesz miał ochotę odrąbać jej nogę i zatłuc ją na śmierć. Najlepiej jednak będzie, jeśli sam się o tym przekonasz.

Po chwili pojawiła się panna Samms, ubrana nieco mniej skąpo, w bluzę i modny kilt.

– Cześć, Jill! To jest Mase, o którym ci wspominałem. Służymy na jednym statku. Starszy elektronik Mason Northrop.

– Tak, słyszałam o tobie. Mechanik co się zowie. – Serdecznie uściśnęła mu dłoń.

– Nie wziął cię na swój warsztat, Jill, bo ubzdurał sobie, że wszedłby komuś w paradę. Dasz wiarę? Szybko wyprowadziłem go z błędu. Zasugerowałem też, że przyda mu się porządny izolator na napięcie, które generujesz.

– Doprawdy? Jak miło z twojej strony! Ale w jaki sposób... a, chodzi o to? – skinęła na potężne wizjery plazmowe będące częścią umundurowania każdego oficera sił kosmicznych.

– Mhm. – Northrop wykręcił się od odpowiedzi, choć nie stracił rezonu.

– Gdybym tylko była tak silna i wysoka, jak ty – Jill z podziwem zlustrowała wysokiego na jakieś dwa metry i ważącego ponad dwieście funtów żywych mięśni Mase'a – złapałabym go za kostkę, rozkręciła nad głową i rzuciła nim w piętnasty rząd miejsc na trybunach. Jego problemem jest fakt, że urodził się o kilkadziesiąt wieków za późno. Powinien być nadzorcą poganiającym opornych niewolników pracujących przy budowie piramid. Albo nawet bohaterem jednej z tych zabawnych starych książek, które odkopano przed rokiem – baronem czy kimś w tym rodzaju, pamiętasz? Władcą życia i śmierci, sędzią w każdej, niezależnie od jej wagi sprawie swych wasali, a także ich rodzin, niewolników i służek. Przede wszystkim służek! Lubi drobne, zastraszone dzierlatki, udające przed nim, że są kompletnie bezwolne i bezmyślne. Prawda, Jack?

– Ach! Trafiałaś w sedno, Jill, chyba będę to musiał przetrwać. Choć może odłożylibyśmy to na później? Będę z wami w kontakcie. – Kinnison odwrócił się i odszedł w pośpiechu.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tak szybko zrejterował? – Jill obdarzyła Mase'a krótkim, promiennym uśmiechem. – Bynajmniej nie dlatego, że się

poddał. Spójrz na tę blondynkę w czerwonym mundurze służb raketowych. Niewiele blondynek nosi uniformy w tak jaskrawym odcieniu. To Dimples Maynard.

– I ona jest... to znaczy...?

– Zastraszoną dzierlatką? Nie. To wspaniała osoba. Byłam po prostu uszczypliwa, podobnie jak on. Zdajesz sobie przecież sprawę, że żadne z nas nie ma na myśli nawet połowy tego, co mówi... czy przynajmniej... – Nie dokończyła.

– Nie jestem tego taki pewien – szczerze choć z pewnym zakłopotaniem odparł Northrop. – To była brutalna wymiana zdań, w dodatku nie wiadomo na jaki temat. Kompletnie nie mogę zrozumieć, dlaczego dwoje najwspanialszych ludzi na świecie musi tak skakać sobie do oczu. Dla ciebie jest to jasne?

– Chyba nigdy nie postrzegałam tego w taki sposób. – Jill przygryzła dolną wargę. – To naprawdę świetny facet i zwykle bardzo go lubię. W większości przypadków świetnie się dogadujemy. W ogóle się nie kłócimy, chyba że jesteśmy zbyt blisko siebie... a wówczas żremy się o wszystko i o nic... chyba o to właśnie chodzi. Jesteśmy jak identycznie nacechowane cząsteczki, gdzie siła odpychania jest przeciwna kwadratowi odległości. Tak to mniej więcej wygląda.

– To możliwe i w pełni mi to odpowiada. – Na twarzy Mase'a odmalowała się ulga. – A ja jestem cząsteczką o znaku przeciwnym. Chodźmy!

Zaś w usytuowanym głęboko pod ziemią biurze Virgila Sammsa dwóch najpotężniejszych przedstawicieli Cywilizacji prowadziło ożywioną rozmowę.

– ...wystarczająco dużo problemów, by cztery osoby o naszej pozycji zarywały noce – mówił Samms spokojnym tonem, choć jego wzrok był mroczny i zasepiony. – Ty najprawdopodobniej zbierzesz swoich na czas. Większość z nich znajduje się w jednym układzie słonecznym, do reszty dotrzemy równie szybko. Znamy miejscowe języki i obyczaje. Ale jak procedury prawne mają być sprawne czy w ogóle przestrzegane, jeśli osoba popełniająca morderstwo czy piraci plądrujący statek kosmiczny mogą oddalić się o kilkaset parseków, zanim przestępstwo zostanie w ogóle wykryte? Jak telluriański Pan Władza ma rozpoznać przestępstwo na jakiejś dziwacznej planecie, której mieszkańcy nie mają o naszym Patrołu

najmniejszego pojęcia, porozumiewają się nieznanym nam językiem, jeśli w ogóle jakiś posiadają, i gdzie całe miesiące zajmie nam samo zorientowanie się, kto i gdzie pełni rolę stróżów prawa i czy tacy w ogóle tam funkcjonują? Musi być jednak jakiś sposób, Rod, musi być jakiś sposób! – Samms trzasnął otwartą dłońią w pusty blat swego biurka. – Bóg mi świadkiem, że go znajdę i Patrol stanie się faktem!

– Krzyżowiec Samms, teraz i zawsze! – W głosie i wyrazie twarzy Kinnisona nie było śladu ironii, jedynie przyjacielski podziw. – I idę o zakład, że tego dokonasz. Twój Międzygwiazdny Patrol, czy jak on tam się...

– Galaktyczny Patrol. Jeśli wiem o nim cokolwiek, to z pewnością, jak się ma nazywać.

– ...już teraz jest niemal gotowy. Wykonałeś kawał świetnej roboty, Virge. W całym naszym systemie, na Nevii, w koloniach na Aldebaranie II i innych planetach, nawet na kompletnie hermetycznej Valerii. Śmieszna sprawa z tą Valerią...

Na chwilę zapadła cisza, po czym Kinnison kontynuował:

– Lecz gdziekolwiek są diamenty, pojawiają się też Holendrzy. A holenderskie kobiety pójdą wszędzie za swoimi mężczyznami. I wbrew zaleceniom lekarzy, pojawiają się holenderskie dzieci. I choć wielu dorosłych zmarło, jako że podwyższona grawitacja to nie przelewki, niemal wszystkie dzieci przeżyły. Wykształcają układ kostny i muskulaturę, dzięki którym zaczynają chodzić mając półtora roku, więc panuje przekonanie, że trzecie pokolenie będzie już w pełni przystosowane.

– Co udowadnia, że ludzkie zwierzę jest znacznie bardziej zdolne do adaptacji, niż uważała większość utytułowanych doktorków. Nie zmieniaj tematu, Rod. Dobrze wiesz, z czym musimy się zmierzyć. Z nowymi problemami, które niesie ze sobą międzygwiazdny handel. Chociażby ten nowy, zabójczy narkotyk, thionit. A nie mamy zielonego pojęcia, skąd to paskudztwo pochodzi. Nie muszę ci chyba przypominać, do czego są zdolni piraci, by dbać o swoje interesy.

– Nie mówiąc o cenie cygar z Aldebarana, jedynych, jakie da się palić. Więc nie podejrzewasz już, że Aryzja jest kwaterą główną piratów?

– To wykluczone. Piraci boją się jej nawet bardziej, niż kosmiczni włóczędzy. Dla wszystkich, łącznie z moimi najlepszymi wywiadowcami, jest to całkowicie niedostępne terytorium. Wiemy o niej jedynie, że nazywa

się Aryzja, jak ochrzcili ją nasi planetografowie. Po raz pierwszy w życiu mam do czynienia z czymś tak kompletnie niezrozumiałym. Kiedy tylko znajdę na to czas, chcę sam tam polecieć, choć wcale nie oczekuję, że rozwiązę problemy, których moi najlepsi ludzie nie potrafili nawet zdefiniować. Jednak przy takiej liczbie różnych i sprzecznych ze sobą doniesień, które łączy jedynie to, że nikt nawet nie zbliżył się do tej planety, potrzebuję informacji z pierwszej ręki. Polecisz ze mną?

– Spróbuj mnie tylko ze sobą nie zabrać!

– Nie powinniśmy być jednak szczególnie zaskoczeni – kontynuował Samms w zamyśleniu. – Na razie dopiero drasnęliśmy ten problem i powinniśmy być przygotowani na zetknięcie się z osobliwymi, zaskakującymi, a nawet kompletnie niezrozumiałymi zjawiskami. Fakty, sytuacje, wydarzenia i istoty, na które nasze doświadczenie najprawdopodobniej nas nie przygotowało. Gdyby dziesięć lat temu ktoś ci powiedział, że istnieje taka rasa, jak Rigelianie, co byś sobie pomyślał? Godzina spędzona w dowolnym rigeliańskim mieście, czy minuta spędzona w ich samochodzie doprowadzają Tellurian do obłądu.

– Wiem, co masz na myśli – przytaknął Kinnison. – Pewnie kazałbym go przebadać psychiatryczne. A Palainianie są jeszcze gorsi. Ci ludzie, jeśli można ich tak nazwać, którzy mieszkają na Plutonie i jeszcze to sobie chwalą! To byty na tyle nam obce, że o ile wiem, nikt ich nie rozumie. Dlaczego jednak sięgasz tak daleko, by znaleźć problem, na którym można połamać sobie zęby? Kto, w jaki sposób i w jakim celu był tak długo Szarym Rogerem? I, co niemal równie istotne, dotyczy to też twojego młodego Bergenholma. A tak przy okazji, nigdy nie raczyłeś mnie poinformować, dlaczego napęd, który umożliwił międzygalaktyczną wymianę handlową i jest przyczyną większości naszych zmartwień, nosi nazwę „Bergenholma” a nie „Rodebusha–Clevelanda”. O ile wiem, Bergenholm nigdy nie był i nie jest inżynierem.

– Nie wspominałem o tym? Byłem pewien, że tak. Cóż, początkowo niezależny napęd Rodebusha–Clevelanda był śmiertelnie niebezpieczny, o czym zresztą dobrze wiesz...

– Wiem aż za dobrze! – wykrzyknął Kinnison pełnym emocji głosem.

– Przez miesiąc łamali sobie nad tym głowy i rzucali się sobie do gardeł. Po czym pewnego dnia ten dzieciak, Bergenholm, zajrzał do ich laboratorium, olbrzymi, niezgrabny, potykający się o własne nogi. Przez

kilka minut niewinnie przyglądał się ich pracy, po czym powiedział: Dlaczego używacie uranu zamiast żelaza i zwijacie go w taki sposób, że amplitudy fali wyjściowej znajdują się tutaj, a nie tu? – i od ręki wykreślił kilka zgrabnych krzywych.

– A czemu mielibyśmy to robić – zaprotestowali tamci.

– Ponieważ wtedy będzie działać – odparł i po prostu wyszedł, jak gdyby nigdy nic. Nie mógł lub nie chciał powiedzieć niczego więcej. W desperacji zastosowali się do jego porad i wszystko ZADZIAŁAŁO! I od tamtej pory nie pojawiły się najmniejsze nawet problemy. Dlatego zarówno Rodebush i Cleveland nalegali, by opatentować napęd pod jego nazwiskiem.

– Rozumiem; co podkreśla moje wcześniejsze obawy. Jeśli jednak jest to tak wybitny intelekt, dlaczego nie osiąga pozytywnych rezultatów na swoim własnym podwórku, w sprawie meteoru? Czy może daje sobie radę?

– Nie... tak było w każdym razie do wczoraj. Choć na moim biurku wylądowała notatka, w której prosi mnie dzisiaj o spotkanie, możemy go więc wezwać.

– Świetnie! Chciałbym z nim porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Młody naukowiec został wezwany i przedstawiony komisarzowi.

– Zapraszam, doktorze Bergenholm – rzekł Samms, po czym dodał. – Może pan rozmawiać z nami równie otwarcie, jakby rozmawiał pan tylko ze mną.

– Jak panowie wiedzą, jestem postrzegany jako medium – zaczął Bergenholm wzburzonym głosem. – Chodzą słuchy, że mam prorocze sny, wizje, słyszę głosy i tym podobne. Że kierują mną przecucia. Że jestem geniuszem. Podczas, gdy ja geniuszem nie jestem w żadnym wypadku, jeśli oczywiście nie odczytuję tego słowa inaczej niż wszyscy inni.

Bergenholm umilkł. Samms spojrział na Kinnisona, który przerwał krótką ciszę.

– Dyskutowaliśmy właśnie z radnym, jak wielu istotnych kwestii nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Że wraz z rozszerzeniem naszych działań na nowe obszary, występowanie zjawisk niemożliwych stało się wręcz normą. Sądzę, że jesteśmy gotowi z uwagą wysłuchać wszystkiego, co ma pan do powiedzenia.

– Znakomicie. Przede wszystkim proszę jednak uwzględnić fakt, że jestem naukowcem. I jako taki zostałem wyszkolony, by obserwować, logicznie i analitycznie myśleć i sprawdzać każdą hipotezę. Absolutnie nie wierzę w tak zwane zjawiska nadprzyrodzone. Nasz wszechświat powstał i istnieje wyłącznie w oparciu o niezmiennie prawa natury. Niezmiennie, panowie, co chcę wyraźnie podkreślić. Wszystko, co się kiedyś wydarzyło, co dzieje się teraz, a nawet to, co się dopiero wydarzy, było, jest i będzie statystycznie połączone z tym, co do tych wydarzeń doprowadziło i z ich konsekwencjami. Gdybym nie wierzył w to bez zastrzeżeń, całkowicie straciłbym wiarę w metodę naukową. Gdyż wystąpienie nawet jednego zjawiska nadprzyrodzonego doprowadziłoby do powstania kompletnie nieprzewidywalnej sytuacji, inicjując serię kolejnych podobnych incydentów, czego nie zaakceptowałby żaden naukowiec we wszechświecie. Jednocześnie zaś zdaję sobie sprawę z faktu, że sam robiłem rzeczy, czy też prowokowałem wydarzenia, których nie potrafię wyjaśnić ani wam, ani żadnemu innemu człowiekowi za pomocą znanych nauce symboli. I poprosiłem o dzisiejszą rozmowę właśnie z powodu nazwijmy to „przecucia”, które było jeszcze bardziej niewytłumaczalne.

– Goni pan jednak własny ogon – zaprotestował Samms. – Czy może próbuje pan wykreować paradoks?

– Ani jedno, ani drugie. To tylko wstęp do przekazania dość zaskakującej informacji. Zdajecie sobie oczywiście sprawę, że każda sytuacja, z którą nie potrafi sobie poradzić umysł, każdy poważny, niemożliwy do rozwiązania dylemat, doprowadza do destrukcji tegoż umysłu; frustracji, ucieczki od rzeczywistości i tak dalej. Domyślcie się także, że uświadomiłem sobie swoją wyjątkowość znacznie wcześniej, niż ktokolwiek inny był w stanie ją dostrzec?

– Ach. Rozumiem. Naturalnie ma pan rację – Samms, wyraźnie zainteresowany, pochylił się ku niemu. – Jednak aktualnie pańska osobowość jest idealnie wręcz spójna. Jak poradził pan sobie z sytuacją tak pełną konfliktów?

– Przypuszczam, że znają panowie moje pochodzenie? – Samms, spostrzegawczy jak zwykle, przemilczał fakt, że olbrzymi Norweg odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak... aha, zaczynam rozumieć... jednak komisarz Kinnison nie miał wglądu w pańskie akta. Proszę kontynuować.

– Moim ojcem jest doktor Hjalmar Bergenholm. Moja matka to Olga Bjornson, to jej nazwisko panieńskie. Oboje są znakomitymi fizykami nuklearnymi. Byli nazywani pionierami. I do dziś pracują w najnowszych i najbardziej peryferyjnych dziedzinach swej specjalności.

– Och! – wykrzyknął Kinnison. – Więc jest pan mutantem? Urodził się pan z czymś w rodzaju daru jasnowidzenia?

– Nie jest to zjawisko, które znamy z historii jako jasnowidzenie. Żadne dokumenty nie potwierdzają, by jakikolwiek kompetentny badacz naukowy zetknął się kiedyś z czymś podobnym. Moja zdolność to co innego. Pytanie, czy mogę dzięki niej dotrzeć do prawdy, jest oczywiście ciekawym tematem do rozważań, nie ma jednak nic wspólnego z naszymi podstawowymi problemami. Wracając do tematu, już dawno uporałem się ze swoim problemem. Jestem absolutnie pewny, że istnieje nauka umysłu, równie definiowalna, konkretna i kierująca się zasadami niezmiennymi jak prawa fizyki. Nie próbując wam tego udowodnić, jestem jednak przekonany, że taka nauka istnieje i że urodziłem się ze zdolnością rozumienia przynajmniej kilku jej elementów.

Zaś w kwestii meteoru Patrolu. Ten symbol zawsze miał czysto fizyczny charakter. Piraci mają równie zdolnych naukowców, co my. Wszystko to, co nauka potrafi stworzyć i zsyntetyzować, można też zanalizować i powielić. Istnieje jednak granica, której nauka przekroczyć nie może. Nie potrafi także zanalizować czy zduplikować realnie istniejących zjawisk ze sfery, którą ogólnikowo nazwałem nauką umysłu.

Wiem, radny Samms, czego potrzebuje Służba Trójplanetarna, i chodzi o coś więcej, niż tylko ten symbol. Wiem też, że wraz z ekspansją Patrolu ta potrzeba będzie gwałtownie rosła. Bez naprawdę efektywnego atrybutu Patrol Solarny będzie napotykał przeszkody większe nawet niż Służba Trójplanetarna, a konsekwentne przekształcenie go w Patrol Kosmiczny, czy jakkolwiek nazwie się tę nadrzędną organizację, będzie absolutnie niemożliwe. Potrzebujemy czegoś, co będzie jednoznacznie i niewątpliwie wyróżniać każdego reprezentanta Cywilizacji, gdziekolwiek by się znalazł. Musi być to niemożliwe do zduplikowania, czy nawet imitacji, dlatego musi zabijać każdą nieupoważnioną istotę, która spróbuje tego użyć. Musi umożliwiać komunikację telepatyczną pomiędzy posiadaczem i każdą formą inteligencji niezależnie od stopnia jej rozwoju, tak aby kontakt umysłowy, znacznie precyzyjniejszy i szybszy, niż fizyczny, był możliwy

bez uciążliwej nauki języka – jak choćby pomiędzy nami a takimi rasami, jak te z Rigel IV czy Palain VII, o których wiemy, że są wysoce inteligentne i niewątpliwie porozumiewają się już telepatycznie.

– Czytałeś lub czytasz mi w myślach? – zapytał cicho Samms.

– Nie – odparł Bergenholm bez wahania. – To nie jest i nie było niezbędne. Każdy myślący człowiek, który się nad tym zastanawiał i który ma w sercu dobro Cywilizacji, musi dojść do takich wniosków.

– Pewnie ma pan rację. Ale wróćmy do sedna. Musiał pan wpaść na jakieś rozwiązanie, gdyż w przeciwnym wypadku by tu pana nie byłoby. Co to takiego?

– To, że powinien się pan jak najszybciej udać się na Aryzję.

– Na Aryzję! – wykrzyknął Samms. – Ze wszystkich zakazanych zakątków kosmosu, dlaczego właśnie Aryzja? I jak mamy się na nią dostać? Czy nie wie pan, że nikt nie może się nawet zbliżyć do tej przeklętej planety?

Bergenholm wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście bezsilności.

– Ale skąd ta pewność? Czy to kolejne z pańskich przeczuć? – wtrącił Kinnison. – A może ktoś coś panu powiedział? Skąd ten pomysł?

– To nie jest przeczucie – odparł Norweg z przekonaniem. – Nikt mi niczego nie powiedział. Wiem jednak – i jest to dla mnie równie oczywiste, jak fakt, że woda jest połączeniem tlenu z wodorem – że Aryzjanie są niesłychanie rozwinięci w dziedzinie, którą nazywamy nauką umysłu i udając się na Aryzję Virgil Samms zdobędzie niezbędny mu atrybut i że nie będzie miał drugiej takiej szansy. A skąd o tym wiem?... Nie potrafię... Po prostu... Wiem to i tyle!

Nie wymawiając już ani słowa więcej i nie prosząc o pozwolenie, Bergenholm obrócił się na pięcie i pospiesznie wyszedł. Samms i Kinnison spojrzeli po sobie.

– I co? – spytał Kinnison ze zdumieniem.

– Lecę. Od razu. Nawet jeśli jestem niezastąpiony, nawet jeśli uznasz, że straciłem rozum. Wierzę mu, wierzę w każde jego słowo, a poza tym, przecież to Bergenholm. A jaka jest twoja decyzja? Lecisz?

– Tak. Nie będę udawał, że stuprocentowo cię popieram, lecz jak sam powiedziałaś, Bergenholma absolutnie nie można zignorować i warto to sprawdzić. Na co się decydujesz? Nie potrzebujemy chyba całej floty? *Boise*? A może *Chicago*? – mówił teraz jako głównodowodzący Sił

Zbrojnych, Komisarz Bezpieczeństwa Publicznego. – Moim zdaniem nie ma lepszego i szybszego statku niż *Chicago*.

– Wybór zatwierdzony. Start jutro o dwunastej!

ROZDZIAŁ 3

Po pokonaniu iluzorycznej choć bardzo ostro wytyczonej granicy, do której żaden inny statek nie mógł się nawet zbliżyć, superpancernik *Chicago* przeszedł na napęd inercyjny i włókł się przed siebie mila za milą. Wszyscy członkowie załogi niezależnie od rangi, łącznie z komisarzem i doradcą, wpadli w podły nastrój, byli poirytowani i napięci. Tak wszechobecne, różnorodne i skrajnie fantastyczne były historie, które krążyły na temat Aryzji, że nikt nie wiedział, czego się spodziewać. Spodziewali się czegoś niespodziewanego. I doczekali się.

– Ach, Tellurianie, jesteście bardzo punktualni. – Silny, pewny siebie głos o głębokim brzmieniu rozległ się w umyśle każdego, kto znajdował się na potężnym statku wojennym. – Piloci i nawigatorzy, obierzcie kurs na jeden siedemdziesiąt osiem i siedem dwanaście pięćdziesiąt trzy. Utrzymujcie ten kurs, lecąc z przyspieszeniem jednego telluraiańskiego G. Przesłuchamy teraz Virgila Sammsa. Za sześć godzin waszego czasu znów będziecie świadomi jego obecności.

Kompletnie oszołomiona i zaszokowana pierwszym telepatycznym doświadczeniem załoga *Chicago* zupełnie nie była zdziwiona stylem tego absolutnie precyzyjnego i krystalicznie jasnego przekazu myślowego. Oprócz wyjątkowo spostrzegawczych Sammsa i Kinnisona. Choć obaj byli przygotowani i nastawieni na wychwycenie jakichkolwiek przejawów hipnozy czy psychicznej sugestii, żaden z nich nie nabrał najmniejszych nawet podejrzeń, że w rzeczywistości Virgil Samms w ogóle nie opuszczał pokładu *Chicago*.

Samms był pewien, że wchodzi na pokład szalupy i prowadzi ją w kierunku migoczącej w dole mgły, za którą skrywała się Aryzja. Komisarz Kinnison, podobnie jak pozostałe osoby na pokładzie, był przekonany, że Samms rzeczywiście to robi, ponieważ wraz z pozostałymi oficerami oraz większością załogi widział to na własne oczy. Obserwowali, jak szalupa zmniejsza się, oddalając od statku, widzieli, jak znika za osobliwie migoczącą zasłoną pola siłowego, której nie były w stanie przeniknąć ich najsilniejsze nawet promienie szpiegujące.

Czekali.

I ponieważ każdy obserwator był święcie i do końca życia przekonany, że to, co widzi, wydarzyło się naprawdę, tak zostało to zapamiętane.

Virgil Samms przeprowadził więc swój niewielki statek przez wewnętrzny ekran Aryzji i ujrzał planetę bliźniaczo podobną do Ziemi. Były tam czapy polarne, intensywnie błękitne oceany i pokryte zielenią kontynenty częściowo zasłonięte kędzierzawą pokrywą chmur.

Czy mogły być na niej miasta? Choć kompletnie nie wiedział, czego się spodziewać, nie wierzył jednak, by na Aryzji mogły się jakieś znajdować. Występujący na zasadzie deus ex machina Aryzjanin, z którym miał spotkać się Samms, musiał być prawdziwym supermanem i dysponować umysłem, którego potęga wymykała się ludzkiej wiedzy i doświadczeniu. Czy rasa podobnych istot potrzebuje czegoś takiego, jak miasta? Nie potrzebuje. I nie powinno być tu żadnych miast.

Tak też było. Szalupa śmignęła w dół, zwolniła i płynnie wylądowała w standardowym hangarze, na skraju czegoś w rodzaju małej wioski otoczonej farmami i lasami.

– Tędy, proszę – bezdźwięczny głos skierował go wprost do dwukołowego pojazdu, który w pewnym sensie przypominał ziemski kabriolet. Ten pojazd jednak sam błyskawicznie ruszył z miejsca, kiedy tylko Samms zatrzasnął drzwi. Płynnie nabrał prędkości po kompletnie pustej autostradzie, mijając farmy i zabudowania, by zatrzymać się przed masywną, niską budowlą będącą centrum wioski i najwyraźniej powodem jej istnienia.

– Tędy, proszę. – Samms minął automatyczne drzwi, przeszedł przez krótki, pusty hol i wszedł do wyjątkowo obszernego, głównego pomieszczenia, w którym znajdowała się kadź i jedno głębokie, obite skórą krzesło.

– Proszę usiąść.

Samms z wdzięcznością przyjął zaproszenie. Nie wiedział, czy byłby w stanie utrzymać się dłużej na nogach.

Oczekiwał na spotkanie z niezwykle potężnym umysłem, jednak to, co zobaczył, znacznie przerastało jego najbardziej nawet szalone wyobrażenia. Był to mózg – sam mózg – i nic więcej. Niemal kulisty, o niemal trzymetrowej średnicy, najspokojniej w świecie pływający w przyjemnie pachnącej cieczy. MÓZG!

– Uspokój się – rozkazał mu Aryzjanin spokojnie i Samms zdał sobie sprawę, że może się rozluźnić. – Za pośrednictwem kogoś, kogo znasz jako Nelsa Bergenholma, dowiedziałem się o twoich potrzebach i dlatego pozwoliłem ci ten jedyny raz przybyć tu po instrukcje.

– Ale to... nic z tego... to nie jest... to nie może być prawdziwe! – mamrotał Samms. – Ja... najprawdopodobniej... wszystko to sobie wyobrażam... choć wiem, że nie mogę być zahipnotyzowany... zostałem na to uodporniony!

– A czym jest rzeczywistość? – zapytał Aryzjanin spokojnie. – Wasi najwięksi myśliciele nie byli w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Nie podjąłbym się tego nawet ja, choć jestem znacznie starszy i bardziej rozwinięty umysłowo, niż jakikolwiek przedstawiciel waszej rasy. Nie oczekujemy też od ciebie, istoty dysponującej tak ograniczonym doświadczeniem, że bez zastrzeżeń uwierzysz w jakiekolwiek zapewnienia, które przekażę ci ustnie bądź telepatycznie. Musisz za pomocą swych pięciu zmysłów przekonać się sam, że zarówno ja, jak i wszystko inne, co cię otacza, jest prawdziwe, oczywiście w sensie, w jakim pojmujecie realność. Widziałeś wioskę i ten budynek; widzisz ciało, mieszczące w sobie byt, którym jest twoje „Ja”. Odczuwasz swoje własne ciało; jeśli postukasz kostkami palców w drewno, poczujesz jego dotyk i odbierzesz wibracje w postaci dźwięku. Po wejściu do tej sali musiałeś poczuć zapach fizjologicznego roztworu odżywczego, którego właściwości utrzymują mnie przy życiu. Pozostał nam jeszcze zmysł smaku. Nie jesteś przypadkiem głodny albo spragniony?

– Jedno i drugie.

– Napij się z kubka, który stoi w tamtej niszy. Aby uniknąć jakiegokolwiek mentalnej sugestii, nie powiem ci niczego o jego zawartości poza faktem, że jest idealnie dostosowany do chemicznego składu twoich tkanek.

Z pewną obawą Samms podniósł naczynie do ust i trzymając je oburącz, zrobił olbrzymiego łyka. To było DOBRE! Pachniało jak połączenie wszystkich apetycznych aromatów kuchennych, smakowało jak wszystkie najbardziej wytrawne potrawy, jakie kiedykolwiek jadł i zaspokajało pragnienie bardziej, niż jakikolwiek znany mu trunek. Nie był jednak w stanie w pełni opróżnić tego względnie niewielkiego naczynia. Czymkolwiek był ten napój, pod względem wartości odżywczych był

znacznie bardziej wydajny, niż stary dobry rostbef. Czując lekki przesyty, Samms odstawił kubek na miejsce i ponownie zwrócił się do swego niezwykłego gospodarza.

– Jestem przekonany. To było prawdziwe. Żadnego rodzaju oddziaływanie psychiczne nie jest w stanie tak ewidentnie zaspokoić czysto fizjologicznych potrzeb organizmu jak głód i pragnienie. Bardzo dziękuję, że zgodził się pan na moją wizytę, panie...

– Możesz nazywać mnie Mentorem. Nie posiadam imienia w waszym rozumieniu tego słowa. A teraz pomyśl proszę – nie musisz mówić tego na głos – o swoich problemach i kłopotach, o tym, co już zostało zrobione, i o planach na przyszłość.

Samms natychmiast przystąpił do myślowej analizy. Kilka minut wystarczyło mu na historię Trzech Planet i początki Solarnego Patrolu, następnie niemal trzy godziny poświęcił rozważaniom nad strukturą Galaktycznego Patrolu, tak jak go sobie wyobrażał. W końcu jednak Samms sam ściągnął się na ziemię. Poderwał się na nogi, zrobił kilka kroków i zaczął mówić.

– Istnieje jednak bardzo istotna skaza, niezaprzeczalna i fatalna okoliczność, która czyni całe przedsięwzięcie niemożliwym! – krzyknął z gniewem. – Żadnemu człowiekowi, żadnej grupie ludzi, kimkolwiek by nie byli, nie można powierzyć tak olbrzymiej władzy. O Radzie i o mnie już wygadują niestworzone rzeczy, a to, co zrobiliśmy do tej pory, jest dosłownie niczym w porównaniu z zadaniami, jakie stoją i staną przed Galaktycznym Patrolem. Dlatego też będę pierwszym, który zaprotestuje przeciwko obdarzaniu kogokolwiek taką władzą. Każdy dyktator w ziemskiej historii, od Filipa Macedońskiego do azjatyckich despotów, motywował swoje postępowanie – co początkowo mogło być prawdą – dobrem narodu. Mam uwierzyć, że planowana Rada Galaktyczna, czy choćby ja sam będę wystarczająco silny, by oprzeć się pokusie, z którą nikt jeszcze nie wygrał? Kto będzie pilnował strażników?

– Te rozmyślenia przynoszą ci zaszczyt, młodzieńcze – odparł Mentor niewzruszonym tonem. – To jedna z przyczyn, dla której tu jesteś. Sam nie jesteś jeszcze jednak świadom faktu, że jesteś nieprzekupny. Ja to już wiem. Mało tego, istnieją siły, dzięki którym zjawiska, które wydają ci się teraz niemożliwe, staną się powszechne. Wyciągnij rękę.

Samms wyprostował ramię i wokół jego nadgarstka zatrzasnęła się platynowo-irydowa bransoleta, na której, niczym na pasku od zegarka, mieścił się rodzaj soczewki. Tellurianin wpatrywał się w nią kompletnie oszołomiony. Wydawało się, że przedmiot składa się z tysięcy – milionów – maleńkich diamentów, z których każdy pulsuje wszystkimi kolorami spektrum i wyrzuca z siebie, jakby emitował, burzliwy potok falowego, polichromatycznego światła.

– To następczyni złotego meteoru Służb Trójplanetarnych – rzekł Mentor spokojnie. – Aryzyjska Soczewka. Możesz mi uwierzyć na słowo, zanim nie przekonasz się o tym sam, że Aryzyjskiej Soczewki nie założy nikt, kto na to nie zasługuje. I jeszcze jedna dla twojego przyjaciela, komisarza Kinnisona; przy czym nie musi on fizycznie przybywać na Aryzję. Znajduje się, jak widzisz, w izolującej oprawie i nie świeci. Dotknij jej powierzchni, zrób to jednak delikatnie i możliwie najkrócej, gdyż kontakt będzie bolesny.

Samms koniuszkami palców ledwie musnął jeden z matowych, szarych i pozbawionych życia klejnotów; ręka bez jego woli szarpnęła się w bok, a całe jego jestestwo przeszło niezwykle sugestywne poczucie agonii; nigdy wcześniej nie czuł czegoś równie intensywnego.

– Więc jest żywa! – wyrwało mu się.

– Nie, nie jest tak naprawdę żywa, nie tak, jak to rozumiesz ... – Mentor przerwał, jakby szukał sposobu na przekazanie Tellurianinowi czegoś kompletnie dla niego niezrozumiałego. – Dysponuje jednak czymś, co moglibyście nazwać rodzajem pseudożycia, dzięki któremu emituje to charakterystyczne promieniowanie, jednak tylko w przypadku, gdy tworzy łańcuch energetyczny z żywym stworzeniem – nazwijmy je „ego” – z którym znajduje się w odpowiednim rezonansie. Świecąca soczewka jest absolutnie niegroźna; jest spełniona, nasycona energią. Gdy jest matowa, staje się skrajnie niebezpieczna, sam się o tym przekonasz. Jest wówczas niekompletna, nienasycona, sfrustrowana – można by rzec poszukująca, spragniona i wymagająca. W takim stanie jej pseudożycie tak silnie wpływa na życie, z którym nie jest zestrojona, że taka istota w ułamku sekundy zostaje wytrącona ze współrzędnych czy cyklu swej egzystencji.

– Więc tylko ja, jako jedyna ze wszystkich istot we wszechświecie, mogę nosić tę konkretną soczewkę? – Samms obliznął wargi i przyjrzał się

uważnie swojej, migoczącej na jego nadgarstku nasyconym światłem. – Lecz gdy umrę, nie stanie się nieskończenie groźna?

– W żadnym wypadku. Soczewki można tworzyć wyłącznie dopasowane do konkretnej osobowości; gdy tylko przeniesiesz się do kolejnego cyklu, soczewka ulegnie dezintegracji.

– Wspaniale! – Samms westchnął z ulgą. – Jest jednak pewna sprawa... te rzeczy są... bezcenne... a trzeba ich będzie zrobić miliony... a ty nie...

– Pytasz, co za to chcemy? – Wydawało się, że Aryzjanin się uśmiecha.

– Dokładnie – Samms poczerwieniał, kontynuował jednak ten wątek. – Nikt nie robi niczego za darmo. Altruizm jest piękny w teorii, nigdy jednak nie działa w praktyce. Jestem gotowy bardzo hojnie zapłacić za tę Soczewkę; zapłacę każdą cenę w granicach rozsądku i realnych możliwości, muszę ją jednak znać.

– Cena będzie wyższa, niż ci się w tej chwili wydaje i niż potrafisz sobie teraz uzmysłwić, choć nie w znaczeniu, którego się obawiasz. – Myśl Mentora była uroczyście. – Każdy, kto nosi Aryzyjską Soczewkę, bierze na siebie ciężar, którego nie zniósłby słaby umysł. Ciężar władzy i odpowiedzialności, wiedzy zdolnej całkowicie zniszczyć każdy inny, nie tak silny umysł. Altruizm? Nie. Nie jest to też kwestia dobra, które przeciwstawia się złu, w co tak mocno wierzycie. Stworzony przez was obraz lśniącej bieli w opozycji do nieprzeniknionej czerni nie jest prawdziwy. Podobnie jak nie istnieje i nie może istnieć absolutne zło, ani absolutne dobro.

– Ale to jeszcze bardziej gmatwa sprawę! – zaprotestował Samms. – W takim wypadku nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyście nam pomagać.

– Istnieje ku temu wystarczająco wiele powodów, choć nie jestem pewien, czy uda mi się wyjaśnić je na tyle, na ile bym chciał. W istocie przyczyny są trzy i każda z nich w pełni wyjaśnia, dlaczego zamierzamy – uważając to za konieczne – zaopatrzyć wasz Galaktyczny Patrol w Soczewki. Po pierwsze nie ma nic z natury dobrego czy złego ani w swobodzie ani w niewoli, ani w demokracji, w autokracji, wolności czy w pełnej reglamentacji działań. Wydaje nam się jednak, że miarą najwyższego szczęścia i dobrobytu dla większości istot jest optymalne dążenie do tego, co uważa się za Wyższy Cel, postęp. Tego, jednym słowem, do czego dąży w swym rozwoju ten cykl istnienia

w niezmiernym i niepoznawalnym Schemacie Wszechrzeczy. Ten cel można osiągnąć tylko wtedy, gdy każda istota będzie miała zagwarantowaną maksymalną ilość intelektualnej i fizycznej wolności, zgodnej przy tym z interesami całej społeczności. My, Aryzjanie, jesteśmy tylko niewielką częścią tego cyklu i, podobnie jak w mniejszym czy większym stopniu każda inna jego część, wpisujemy się w jego ogólny charakter. Czy tobie, jednemu ze współmieszkańców tego cyklu wszechświata, tak trudno jest uwierzyć, że dążenie do wyższego celu w pełni usprawiedliwia takie stanowisko?

– Nigdy nie myślałem o tym pod tym kątem... – Samms miał trudności z ogarnięciem umysłem tego, co usłyszał. Jeszcze nigdy tak o tym nie myślał. – Chyba zacznam to rozumieć... w każdym razie, wierzę ci.

– Po drugie, jesteśmy wyjątkowo zobligowani faktem, że życie na wielu planetach wykiełkowało z aryzyjskiego ziarna. Dlatego in loco parentis możemy zostać po prostu odrzuceni, jeśli nie będziemy działać. I po trzecie, dlaczego poświęcasz swój niezwykle cenny czas i wysiłki na grę w szachy? Dlaczego to robisz? Co z tego masz?

– Dlaczego gram... cóż... gimnastyka dla umysłu; po prostu to... lubię!

– Otóż to. Wiem też, że jeden z waszych wczesnych filozofów doszedł do wniosku, że w pełni rozwinięty umysł, który zbadał jedno zjawisko czy artefakt należący do konkretnego uniwersum, jest w stanie odtworzyć czy też opisać całe to uniwersum od momentu jego powstania do samego końca.

– Tak. Ten koncept nie jest mi obcy, jednak nigdy nie wierzyłem, że może być prawdziwy.

– Jest to niemożliwe choćby dlatego, że na tyle rozwinięty umysł nigdy nie istniał, ani istnieć nie będzie. Absolutnie sprawny umysł mógłby istnieć wyłącznie w przypadku przyswojenia nieskończonej ilości wiedzy, co wymagałoby nieskończonej ilości czasu i nieskończonej pojemności tegoż umysłu. Co prawda, odpowiednikiem waszych szachów jest u nas gra, którą nazywamy „Wizualizacją Wszechświata”. W mojej wizualizacji jeden z twoich potomków, niejaka Clarissa MacDougall, będzie w sklepie o nazwie Brenleer na planecie... chociaż nie, zajmijmy się zdarzeniem bliższym czasowo i dotyczącym osobiście ciebie, tak, by można było zweryfikować jego wiarygodność. Gdzie będziesz się znajdował i co

będziesz robił w jakimś konkretnym czasie w przyszłości. Powiedzmy za pięć lat.

– Bardzo proszę. Jeśli potrafisz to zrobić, chylę czoło.

– Przeskoczmy więc w czasie o pięć telluriańskich lat, licząc od momentu, gdy na początku tej ekspedycji wyleciałeś poza ekran ochronny Wzgórza. Będiesz wówczas... pozwól, że się zastanowię... będziesz w zakładzie fryzjerskim, który obecnie jeszcze nie istnieje; jego adres to: tysiąc pięćset piętnaście, Dwudziesta Ulica, Spokane, Waszyngton, Ameryka Północna, Tellus. Fryzjer nazywa się Antonio Carbonero i jest leworęczny. Będzie cię właśnie strzygł. Choć właściwie strzyżenie jest już zakończone, a on, brzytwą firmy „Jensen–King–Byrd” podgala krótkie włoski przy twoim lewym uchu. Względnie niewielkie, czworonogie, szaro pręgowane stworzenie należące do rasy kotów – w tym przypadku będzie to młody kot, który wabi się Thomas, choć jest tak naprawdę samicą – wskoczy ci na kolana, zwracając się do ciebie przyjacielsko w języku, który znacie tylko częściowo. Nazywacie to miauczeniem i mručeniem.

– Tak – zdołał wykrztusić wstrząśnięty Samms. – Koty mruczą, szczególnie kocięta.

– Ach, znakomicie. Jako że sam nigdy nie widziałem kota, dziękuję ci za potwierdzenie mojej wizualizacji. Ta młoda samica, błędnie nazwana Thomasem, źle obliczy trajektorię swego skoku i delikatnie potrąci ogonem łokieć fryzjera, który lekko cię przez to zatnie, tworząc mniej więcej trzymilimetrową ranę nad twoją kością policzkową, równoległe do niej. Fryzjer natychmiast przyłoży do tej drobnej ranki pałeczkę zatrzymującą krwawienie. Mam nadzieję, że ta prognoza jest wystarczająco szczegółowa, abyś nie miał trudności ze sprawdzeniem jej wiarygodności?

– Szczegółowa! Wiarygodności! – Samms miał trudności z zebraniem myśli. – Proszę posłuchać – nie chcę przy tym rozmyślnie zbijać pana z tropu, powiem jednak, że ludzie nie lubią być kaleczeni przez fryzjerów, nawet jeśli jest to niewielka ranka. Ja po prostu zapamiętam wskazany adres, kota i nigdy się tam nie wybiorę!

– Każde wydarzenie wpływa na ciąg zdarzeń, które z niego wynikają – wyjaśnił Mentor spokojnie. – Gdyby nie doszło do dzisiejszej rozmowy, za pięć lat nie znajdowałbyś się w Spokane, lecz w Nowym Orleanie. Musiałem uwzględnić każdy istotny czynnik. Będziesz bardzo zajęтым człowiekiem. Dlatego nawet jeśli w najbliższej przyszłości będziesz często

i poważnie zastanawiać się nad tą sprawą, za pięć lat kompletnie o tym zapomnisz. Przypomnisz sobie dopiero, gdy tamująca krwawienie pałeczka dotknie twojej twarzy i zaraz potem pozwolisz sobie na serię niepochlebnych uwag pod swym własnym adresem.

– I bardzo słusznie. – Samms wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu. Był wstrząśnięty niezwykłą mocą umysłu zaprezentowaną właśnie przez Mentora, a jeszcze bardziej oszołomiony absolutną pewnością Aryzjanina, że jego przepowiednia spełni się w najmniejszych szczegółach. – Jeśli mimo wszystko w tym Spokane pozwolę, by pręgowany jak tygrys kociak wskoczył mi na kolana i pozwolę, by leworęczny fryzjer o imieniu Tony mnie zaciął – och, Mentorze, och! Jeśli tak zrobię, będę zasługiwał na każdą obelgę!

– To, o czym wspomniałem, to dość istotne wydarzenie i nie przewidzieć tego mógłby tylko niedoświadczony Aryzjanin. – Decyzja Sammsa, by unikać tego fryzjera, nie zrobiła na Mentorze wrażenia. – Prawdziwe trudności kryją się w najmniejszych detalach, takich jak długość, ciężar czy dokładna trajektoria opadania i pozycja upadku na fartuch lub podłogę każdego twego włosa, gdy zostanie odcięty. Wchodzi tu w grę wiele czynników. Inni przechodzący obok klienci – otwieranie i zamykanie drzwi – prądy powietrza – światło słońca – wiatr – ciśnienie, temperatura, wilgotność. Sposób, w jaki będzie operował nożyczkami, co z kolei zależy od wielu innych czynników – tego, co robił wcześniej, co jadł i pił, czy jego życie rodzinne było szczęśliwe... nie masz pojęcia, młodzieńcze, jak bezcenną okazją będzie dla mnie sprawdzenie wiarygodności tej wizualizacji. Poświęcę tej kwestii wiele cykli czasowych. Nie mogę być oczywiście w pełni precyzyjny. Powiedzmy 99,99%... a nawet o promil więcej... to wszystko, na co mogę w pełni wiarygodnie liczyć.

– Ale Mentorze – zaprotestował Samms. – Nie mogę ci pomóc w podobnym przedsięwzięciu. Skąd mogę wiedzieć i jak mam ci przekazać, jaka będzie dokładna masa, długość czy położenie konkretnego włosa?

– Nie możesz. Lecz odkąd będziesz nosił swoją Soczewkę, będę dokładnie porównywał swą wizualizację z rzeczywistością. Musisz wiedzieć, młodzieńcze, że tam, gdzie są Soczewki, tam może być każdy Aryzjanin, jeśli tylko tego chce. A teraz, wiedząc o tym i uwzględniając zadowolenie, jakie czerpiesz z gry w szachy czy innej umysłowej

aktywności oraz to, co wyczytałeś w moim umyśle, czy masz jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, że my, Aryzjanie, uzyskamy pełne wynagrodzenie za nasz minimalny wysiłek zaopatrzenia was w dowolną liczbę Soczewek?

– Nie mam już wątpliwości. Jednak te Soczewki... z każdą minutą boję się ich coraz bardziej. Rozumiem, że będą idealnym środkiem identyfikacji. Rozumiem, że będą świetnym środkiem komunikacji telepatycznej. Czy jest jednak coś więcej? Jakie są jej inne moce... jeśli takie posiada?

– Nie mogę, czy raczej nie chcę ci tego powiedzieć. Dla twego własnego dobra wyjaśnię ci to tylko w ogólnych zarysach. To prawda, Soczewka posiada dodatkowe właściwości, lecz tak, jak dwie różne istoty nigdy nie posiadają identycznych umiejętności, podobnie dwie Soczewki zawsze będą posiadały różne właściwości. Krótko mówiąc Soczewki jako takie nie dysponują żadną mocą, a tylko koncentrują, wzmacniają i podkreślają te cechy, które posiada ich nosiciel. Sami musicie rozwijać swoje zdolności. My, Aryzjanie, zaopatrując was w Soczewki, zrobiliśmy wszystko, co powinniśmy uczynić.

– Oczywiście, Mentorze, i jest to znacznie więcej, niż mieliśmy prawo oczekiwać. Dałeś mi Soczewki dla Rodericka Kinnisona, a co z innymi? Kto ich wybierze?

– Na razie będziesz to robił ty. – Nie zważając na protesty Sammsa, Mentor kontynuował: – Sam przekonasz się, że twoje wybory będą właściwe. Przyślesz tu tylko jedną istotę, która nie otrzyma Soczewki, wysłanie jej tutaj będzie jednak konieczne. Zaczнешz opracowywać system selekcji i treningu, który z czasem będzie stawał się coraz bardziej rygorystyczny. Będzie to niezbędne nie dla samego wyboru, którego nosiciel Soczewki jest w stanie dokonać nawet w przypadku niemowląt w kołysce, lecz dla korzyści, których dostąpi zarówno odrzucona większość, jak i garstka wybranych. A na razie sam musisz wybierać kandydatów, przy czym będziesz wstrząśnięty i przerażony faktem, że jest ich tak niewiele.

Przejdiesz do historii jako Pierwszy Lensman Samms; Krzyżowiec, człowiek, o niezwykle szerokich horyzontach i olbrzymim uporze, który doprowadzi do powstania Galaktycznego Patrolu w formie, jaką powinien posiadać. Będziesz miał oczywiście niezwykle zdolnych pomocników. Kinnisonów z ich niezłomną siłą woli, ogromnym zapałem i niezwykłą

motywacją, Costigana, który oprócz dumnego irlandzkiego serca dysponuje niezwykłym intelektem i siłą, twoich kuzynów, Georga i Raya Olmsteadów, twoją córkę, Virgilię...

– Virgilia! A co ona ma z tym wszystkim wspólnego? Co o niej wiesz i skąd?

– Nawet po chwilowym kontakcie z tobą tylko wyjątkowo niekompetentny umysł nie potrafiłby zwizualizować elementu obecnego w twoim życiu od dwudziestu trzech ziemskich lat. Jej doktoratu z psychologii i intensywnych badań pod kierownictwem marsjańskich i wenusjańskich uczonych – a nawet pewnego nawróconego specjalisty z Bieguna Północnego na Jowiszu – na temat sterowanych odruchami, niekontrolowanych i niemal nieopisanych, a przez to wysoce zdradliwych mięśni twarzy, rąk i innych części ludzkiego ciała. Na długo zapamiętasz tę rozgrywkę w pokera.

– W rzeczy samej. – Samms uśmiechnął się nieco zmieszany. – Wyraźnie uprzedziła nas o swoich zamiarach, po czym ograła do ostatniego centa.

– Oczywiście. Nieświadomie przygotowywała się do zadań, które są jej przeznaczeniem. Wracając jednak do sedna, będziesz się czuł niekompetentny i niegodny, co także jest częścią brzemienia Lensmanów. Kiedy po raz pierwszy przeskanujesz umysł Rodericka Kinnisona, poczujesz, że to on, a nie ty, powinien być głównym motorem Galaktycznego Patrolu. Dlatego już teraz musisz wiedzieć, że żaden, nawet najwybitniejszy umysł we wszechświecie nie jest w stanie dokonać pełnej wizualizacji i oceny samego siebie. Komisarz Kinnison po przeskanowaniu twojego umysłu pozna prawdę i będzie w pełni usatysfakcjonowany. Czas jednak nagli, za minutę już cię tu nie będzie.

– Bardzo dziękuję... dziękuję. – Samms wstał i zatrzymał się niepewnie. – Sądzę, że wszystko będzie dobrze... więc będziemy się mogli znowu zobaczyć, jeśli...?

– Nie – odparł Aryzjanin beznamiętnie. – Moje wizualizacje nie wykazują, byś kiedykolwiek jeszcze uznał za konieczne czy pożądane kontaktowanie się ze mną bądź z jakimkolwiek innym Aryzjaninem.

Połączenie się urwało, jak gdyby zapadła między nimi nieprzenikniona kurtyna. Samms wyszedł z budynku i wszedł do oczekującego na niego

pojazdu, który zawiózł go do szalupy. Wystartował, powracając do sterówki na *Chicago* dokładnie pod koniec szóstej godziny od jej opuszczenia.

– No cóż, Rod, wróciłem... – zaczął i przerwał, na chwilę tracąc dar mowy. Gdyż przez samo wymówienie imienia uzyskał pełną informację o stanie umysłu przyjaciela i to, czego się dowiedział, dosłownie wbiło go w ziemię.

Zawsze lubił i podziwiał Roda Kinnisona. Wiedział, że jest on niewiarygodnie zdolny i skuteczny. Że to wielki człowiek, uczciwy i sprawiedliwy, najlepszy na świecie. Twardy dowódca, który zwykle wymagał od samego siebie znacznie więcej, niż od swoich podwładnych. Jednak teraz, gdy ego Kinnisona odsłoniło mu się w całej okazałości i gdy w ułamku sekundy porównał ten wspaniały umysł z osobowościami innych obecnych tu oficerów, będących także bez wyjątku dobrymi ludźmi, uświadomił sobie, że w rzeczywistości nie miał pojęcia, jak naprawdę wielkim człowiekiem był Roger Kinnison.

– Co się stało, Virge? – krzyknął Kinnison i ruszył w jego stronę rozkładając ręce. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha! Co oni ci zrobili?

– Nic... szczególnego. Jednak słowo „duch” nawet w połowie nie opisuje tego, co teraz widzę. Chodźmy, proszę, do mojej kajuty.

Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia młodszych oficerów, komisarz i radny przeszli do kajuty tego drugiego i pozostali w niej, pogrążeni w rozmowie, podczas całej drogi powrotnej na Ziemię. Kiedy *Chicago* wylądował, Lensmani, wciąż komunikując się ze sobą poprzez Soczewki, udali się samochodem do Wzgórza.

– Ale kogo chcesz wysłać jako pierwszego, Virge? – spytał Kinnison. – Na pewno zdążyłeś już wybrać kilku kandydatów?

– Znam tylko pięciu, może sześciu, którzy są gotowi – odparł Samms niewesołym tonem. – Przedtem dałbym sobie głowę uciąć, że znajdę co najmniej setkę, jednak oni nie odpowiadają wymaganiom. Jack, Mason Northrop i Conway Costigan znajdują się w pierwszej ekipie. Lyman Cleveland, Fred Rodebush i być może Bergenholm – nie miałem możliwości wyrobienia sobie o nim zdania, teraz poznam go dzięki Soczewce – w następnej. To na razie wszyscy.

– Niezupełnie. A co z twoimi kuzynami bliźniakami, Rayem i George’em Olmsteadem, którzy świetnie spisują się w kontrwywiadzie?

– Być może... Nie jest to wykluczone.

– Jeśli ja jestem wystarczająco dobry, to samo dotyczy Claytona i Schweikerta, a to tylko dwóch z naszych komandorów. A także Knobosa i DalNaltena. A przede wszystkim co z Jill?

– Jill? Dlaczego jej nie... spełnia oczywiście warunki, jednak... co prawda nic nie przemawia przeciwko... Wciąż się zastanawiam.

– Dlaczego nie zebrać chłopaków i Jill i nie wyjaśnić sprawy?

Młodzież została zebrana, historia opowiedziana, problem postawiony. Reakcja chłopców była natychmiastowa i jednomyślna. Jack Kinnison przejął inicjatywę.

– Jeśli ktokolwiek ma lecieć, to na pewno Jill – wykrzyknął wzburzony.
– Odrzucić ją, przy wszystkich jej kwalifikacjach? Nie ma mowy!

– Nie przesłyszałam się, Jack? Naprawdę tak myślisz? – Jill sprawiała wrażenie kompletnie zaskoczonej. – Wiem z pewnych źródeł, że jestem śmierzdem, a przy okazji półgłówkiem. Kurzym mózdzkiem o wyzywającym spojrzeniu.

– Te określenia doskonale do ciebie pasują, podobnie jak wiele innych.
– Jack Kinnison nie tracił rezonu nawet w obecności jej ojca. – Lecz przy całej twojej tępotcie, nawet jako półgłówek jesteś mądrzejsza od większości ludzi mających całą głowę. Nigdy też nie mówiłem ani nie myślałem, że nie potrafisz używać swego ukrytego za smutnymi oczami mózgu, jeśli tylko tego chcesz. Jakiegokolwiek są kryteria bycia Lensmanem, sir – zwrócił się do Sammsa – Jill spełnia je podobnie, jak reszta z nas. A może nawet bardziej.

– Rozumiem więc, że nie ma żadnych obiekcji co do jej kandydatury? – zapytał Samms.

Obiekcji nie było.

– Z którego ze statków powinniśmy skorzystać i kiedy?

– Z *Chicago*. Już teraz – zdecydował Kinnison. – Jeszcze nie ostygł i jest gotowy do startu. Nie mieliśmy żadnych technicznych problemów, na żadne się też nie zanoszą, statek nie wymaga więc większego remontu. Możecie lecieć!

Rozkaz został wykonany i olbrzymi statek wojenny wyleciał w drugi rejs, który przebiegł równie spokojnie, jak pierwszy. Oficerowie i załoga *Chicago* widzieli, jak młodzi ludzie po kolei opuszczali pokład i po kolei na niego wracali, każde w swojej szalupie. Zaś po powrocie nie spotkali się w sterowni, lecz w prywatnych kajutach Jacka Kinnisona; trzech młodych

Lensmanów i dziewczyna. Chłopcy byli zmieszani i czuli się nieswojo. Nie korzystali z Soczewek. Żaden z nich nie zdecydował się skierować Soczewki na Jill, która swojej nie dostała... Dziewczyna przerwała krótkie milczenie.

– Czyż nie była absolutnie najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widzieliście? – westchnęła. – Niezależnie od tego, że miała ponad dwa metry wzrostu? Za wyjątkiem oczu wyglądała na dwadzieścia lat, jednak przy tak olbrzymiej wiedzy musiała mieć przynajmniej setkę... dlaczego mi się tak przyglądacie?

– Ona? – Wykrzyknęły jednocześnie trzy głosy.

– Tak. Ona. A co? Wiem, że nie byliśmy tam razem, odniosłam jednak wrażenie, tak mi się w każdym razie wydawało, że była tam tylko jedna istota. A co widzieliście wy?

Cała trójka zaczęła jednocześnie opowiadać, wchodząc sobie w słowa, po czym wszyscy jednocześnie zamilkli.

– Ty pierwszy, Spud. Z kim rozmawiałeś i co on, ona czy ono ci powiedziało? – Chociaż Conway Costigan był o kilka lat starszy od pozostałej trójki, zwracanie się do niego przy użyciu przezwiska było czymś oczywistym.

– Narodowa Kwatera Główna Policji – Dyrektor Wydziału Dochodzeń – oznajmił Costigan zdecydowanym tonem. – W wieku jakichś czterdziestu trzech, czterdziestu pięciu lat, niecałe dwa metry wzrostu. Stanowczy, wytworny, przenikliwy, najwyższej klasy specjalista. Bardzo przypominał twojego ojca, Jill; miał identyczne ciemnorude, siwiejące włosy i złociste plamki w oczach. Udzielił mi wskazówek, po czym wyjął z sejfu Soczewkę, zapiął ją na moim nadgarstku i wydał dwa polecenia – odleć stąd i nie wracaj.

Jack i Mase spojrzeli na Costigana, na Jill, po czym wymienili się spojrzeniami. I jednocześnie zagwizdali.

– Wygląda na to, że nasze relacje nie będą się pokrywać, prawdopodobnie poza jednym drobnym szczegółem – zauważyła Jill. – Twoja kolej, Mase.

– Wylądowałem w miasteczku akademickim Aryzyjskiego Uniwersytetu – zaczął Northrop zdecydowanie. – Olbrzymie terytorium. Setki tysięcy studentów. Zabrali mnie na wydział fizyki do osobistego laboratorium samego dziekana. Znajdował się tam olbrzymi panel, a na nim chyba z milion przyrządów pomiarowych i liczników. Zeskanował

i zmierzył każdy komponent mojego mózgu. Następnie za pomocą frezarki niemal tak skomplikowanej, jak sam panel, stworzył jego model. Reszta oczywiście była już prosta – jak dla dentysty zrobienie protezy, albo wykonanie formy do odlewu dla metalurga. Burknął w moją stronę kilka zdań, po czym powiedział: Znikaj! To wszystko.

– Na pewno wszystko? – zapytał Costigan. – Nie dodał przypadkiem: I nie wracaj!

– Tego akurat nie powiedział, ale jego intencja była oczywista.

– Jeden szczegół się powtarza – skomentowała Jill. – Teraz ty, Jack. Patrzyłeś na nas, jakby przydały się nam ciasne kaftany bezpieczeństwa.

– Mhm. Może raczej mi by się taki przydał. Ja w ogóle niczego nie widziałem. Nie wylądowałem nawet na planecie. Obleciałem ją tylko. To, z czym rozmawiałem, było uosobieniem czystej mocy. A Soczewka po prostu pojawiła się na moim nadgarstku, łącznie z bransoletką i całą resztą, po prostu znikąd. Ten ktoś, co prawda przez bardzo krótki moment, przekazał mi bardzo wiele informacji, a na koniec powiedział, bym nigdy tu nie powracał i nie próbował się kontaktować.

– Hmm. – Doświadczenie Jacka okazało się szczególnie trudne do wyjaśnienia, nawet dla Jill Samms.

– Krótko mówiąc – zdecydował się podsumować Costigan – każdy z nas widział to, co spodziewał się zobaczyć.

– Nie – zaprzeczyła Jill. – Na pewno nie spodziewałam się zobaczyć kobiety... nie. Sądzę, że każdy zobaczył to, co było dla niego najbardziej korzystne i dało mu najlepszą motywację. Zastanawiam się tylko, czy cokolwiek z tego było naprawdę realne.

– Możesz mieć rację. – Jack w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Coś się tam jednak musiało wydarzyć, gdyż Soczewki są prawdziwe. Jestem jednak wściekły, że nie dali Soczewki tobie. W niczym żadnemu z nas nie ustępujesz. Gdybym nie zdawał sobie sprawy, że nic dobrego z tego nie wyniknie, natychmiast bym tam wrócił i...

– Przestań się unosić, Jack! – Oczy Jill były jednak rozpromienione. – Wiem, że mówisz poważnie i w takich momentach mogłabym cię wręcz pokochać, jednak Soczewka nie jest mi potrzebna. Tak naprawdę będę znacznie skuteczniejsza bez niej.

– Nie wygłupiaj się, Jill. – Jack Kinnison spojrział przenikliwie w oczy dziewczyny, nie korzystając jednak z Soczewki. – Ktoś wykonał kawał

paskudnej roboty, starając się byś uwierzyła, że... ty naprawdę to kupiłaś?

– Naprawdę. Mówię to szczerze. Ta Aryzjanka była tysiąc razy bardziej kobieca, niż ja kiedykolwiek będę, i nie miała Soczewki, nigdy jej też nie używała. Soczewka nie pasuje do kobiecego umysłu. Ta niezgodność ma związek z płcią. Soczewki są podobnie męskie, jak wąsy; przy czym używać ich może tylko bardzo niewielu mężczyzn. Wyjątkowych mężczyzn, takich jak wasza trójka, mój ojciec czy Kinnison senior. Mężczyzn posiadających niezwykłą siłę, potencjał i możliwości. To wy jesteście tymi najlepszymi z najlepszych, każdy na swój sposób oczywiście. Nie do powstrzymania, jak lodowiec, przy czym dwukrotnie twardsi i dziesięciokrotnie bardziej niewzruszeni. Kobiety nie mają po prostu takiej konstrukcji psychicznej! Pewnego dnia pojawi się kobieta Lensman – jedna jedyna – jednak zanim to nastąpi, upłynie bardzo wiele czasu i nie ma szans, bym była nią ja. W przypadku moich zadań, które...

– No, słucham. Jakież to zadania, których jesteś tak pewna, przed tobą stoją?

– Ależ nie mam pojęcia! – wykrzyknęła Jill, szeroko otwierając wystraszone oczy. – Wydawało mi się, że wszystko o nich wiem, ale tak nie jest! A wy wiecie, czym będziecie się zajmować?

Żaden z nich także nie miał o tym pojęcia i byli z tego powodu równie zaskoczeni, jak ona.

– A wracając do tej lady Lensman, która się pewnego dnia urodzi, wydaje mi się, że będzie kimś w rodzaju dziwoląga. Będzie to nieuniknione z uwagi na opartą na płci fundamentalną naturę Soczewki. Mentorka nie ujęła tego w ten sposób, nie użyła też tylu słów, dała jednak jasno do zrozumienia, że...

– Mentor! – wykrzyknęło jednocześnie trzech mężczyzn.

Każdy z nich spotkał się z Mentorem.

– Zaczynam rozumieć – rzekła Jill w zamyśleniu. – Mentor. To nie jest prawdziwe imię. Natknęłam się niedawno na definicję tego słowa i jestem wstrząśnięta faktem, że jest to w oczywisty sposób powiązane; cytuję: Mentor – mądry i zaufany doradca, koniec cytatu. Macie jeszcze, chłopcy, coś do dodania? Ja nie i zaczynam być śmiertelnie wystraszona.

Zapadła cisza. I czym intensywniej się nad tym wszystkim zastanawiali, tych trzech młodych Lensmanów i dziewczyna, będąca jedną z dwóch

ziemskich kobiet, które świadomie spotkały się kiedykolwiek z aryzyjskim umysłem, tym milczenie to stawało się głębsze.

ROZDZIAŁ 4

– Więc niczego na Nevii nie znalazłeś? – Roderick Kinnison wstał, odłożył trzycentymetrowy ogryzek cygara do popielniczki, zapalił następne i zaczął chodzić po pokoju, chowając ręce głęboko w kieszeniach spodni. – Jestem zaskoczony faktem, że Nerado, jako najwyższej klasy specjalista... byłem pewien, że się zakwalifikuje.

– Ja również – odparł Samms posępnym tonem. – Jest specjalistą wysokiej klasy, to jednak na razie za mało. Zdałem sobie... obaj zdaliśmy sobie sprawę, że dobry materiał na Lensmana to towar diabelnie deficytowy. Niestety na Nevii on nie występuje i nic nie wskazuje na to, by miałby się tam kiedykolwiek pojawić.

– Ciężka sprawa... i masz rację twierdząc, że powinniśmy mieć w Galaktycznej Radzie Lensmanów z możliwie największej liczby systemów słonecznych, albo cała sprawa nie wypali. Nawet w naszym małym i względnie jednorodnym układzie słonecznym nie obeszło się bez olbrzymiej zawiści, przez którą sterczymy teraz w Nowym Jorku zamiast być we Wzgórzu, gdzie jest nasze miejsce; Solariańska Rada nie może składać się niemal wyłącznie z Lensmanów, reprezentowani powinni być przedstawiciele wszystkich zamieszkałych planet układu słonecznego, z czasem może także Plutona. Na marginesie, twój pan Saunders nie ucieszył się przesadnie, kiedy zabrałeś mu Knobosa z Marsa i DalNaltena z Wenus i zrobiłeś z nich Lensmanów, dając im przez to nieskończenie wyższą pozycję.

– Och, nie ująłbym tego w ten sposób. Udało mi się go przekonać... choć Saundersowi, któremu daleko do poziomu Lensmana, dość trudno było w pełni zrozumieć tę sytuację.

– Łagodnie to ująłeś... ja nie użyłbym tu słowa „trudno”. Wróćmy jednak do kwestii namierzania Lensmanów. – Kinnison był w wyjątkowo mrocznym nastroju. – Jak już wspominałem, zgadzam się z tym, że potrzebujemy jak najwięcej Lensmanów, którzy nie są humanoidami, obawiam się jednak, że możemy mieć trudności ze znalezieniem nawet jednego. Dlaczego uważasz, że... Ach, rozumiem... nie jestem jednak

pewien, czy masz rację, zakładając ewidentną korelację pomiędzy stopniem zdolności umysłowych i poziomem technologicznego zaawansowania.

– Tu nie trzeba niczego zakładać. Zaczynij od dowolnej planety, Rod, włączając Nevię, i sprawdź to w praktyce.

– Zacznę więc od znanych nam faktów. Podróże międzygwiazdne są dla nas nowością. Nie lataliśmy dotychczas na dalekich trasach i znamy tylko niewielką część kosmosu. Jednakże w ośmiu najlepiej znanych nam układach słonecznych znajduje się siedem planet, nie licząc Valerii, które pod względem masy, wielkości, klimatu, atmosfery i grawitacji bardzo przypominają Ziemię. Na pięciu z tych siedmiu planet nie ma inteligentnych form życia i zostały one skolonizowane szybko i bez problemów. Dzięki Bogu nauczyliśmy się czegoś na Nevii i telluriańskie światy Procyona i Vegi stały się naszymi przyjaznymi sąsiadami, jako że były już zamieszkane przez wysoko rozwinięte rasy: Procia przez ludzi takich jak my, Vega przez istoty, które różnią się od nas jedynie obecnością ogonów. Wiele innych planet w tych systemach zamieszkują mniej lub bardziej inteligentne rasy niehumanoidalne. Na razie nie wiemy, na ile są one inteligentne, Lensmani szybko określą jednak poziom ich rozwoju.

Chodzi mi o to, że żadna z ras, które do tej pory odkryliśmy, nie dysponuje energią jądrową, ani nie opanowała żadnej formy podróży kosmicznych. Zaś w przypadku każdego kontaktu z rasami posiadającymi napęd międzygwiazdny nie byliśmy odkrywcami, lecz odkrywaniymi. Wszystkie nasze kolonie znajdują się nie dalej, niż dwadzieścia sześć lat świetlnych od Ziemi; z wyjątkiem oddalonego o pięćdziesiąt siedem lat świetlnych Aldebarana II, który niezależnie od odległości przyciąga kolonizatorów, gdyż jest niemal dokładną kopią Ziemi. Z drugiej strony Nevianie, oddaleni o ponad sto lat świetlnych, znaleźli naszą planetę... co oznacza, że są rasą starszą i technologicznie wyżej rozwiniętą niż my... a ty mi mówisz, że nie znajdziemy u nich żadnego kandydata na Lensmana!

– Początkowo też nie potrafiłem tego rozgryźć. Rozważmy ten problem; jestem ciekaw, czy dojdziemy do podobnych wniosków.

– Cóż... moim zdaniem... – Kinnison wpadł w głęboką zadumę, po czym kontynuował. – Oczywiście Nevianie nie zajmowali się kolonizacją, czy, ogólnie rzecz biorąc, eksploracją. Oni jedynie poszukiwali żelaza. Były to świetnie zorganizowane, wysoko wyspecjalizowane ekspedycje w poszukiwaniu niezwykle potrzebnego im surowca.

– Dokładnie – zgodził się Samms.

– Natomiast Rigelianie przeprowadzali kosmiczny zwiad, a Rigel jest od nas oddalony o jakieś czterysta czterdzieści lat świetlnych. Nie dysponujemy niczym, co jest im potrzebne, czy choćby wzbudza ich zainteresowanie. Pomachali do nas tylko, przelatując obok, i ruszyli dalej. Czy wciąż podążam twoim tokiem rozumowania?

– Trafiłeś w samo sedno. I co nam to mówi o Palainianach?

– Rozumiem... możesz mieć trochę racji. Palain znajduje się tak daleko, że nikt chyba nie ma pojęcia, gdzie; prawdopodobnie tysiące lat świetlnych stąd. A mimo to nie tylko zbadali nasz system słoneczny, lecz także skolonizowali Plutona na długo wcześniej, niż Europejczycy rozpoczęli podbój Ameryki. Jednak za cholerę mi się to nie podoba, Virge, w najmniejszym nawet stopniu. Mając Soczewkę, możesz poradzić sobie z Rigel IV... może nawet nauczysz się prowadzić jeden z ich przeklętych samochodów, jeśli tylko nawiązesz solidny kontakt z kierowcą. Co innego Palain, Virge! Jeśli na koszmarnym Plutonie czują się oni jak u siebie w domu! Nie masz szans. Nikt nie ma. To po prostu niemożliwe!

– Wiem, że nie będzie to łatwe – przyznał Samms ponuro. – Lecz jeśli nie będzie innego wyjścia, zrobię to. Mam też pewną informację, którą nie miałem się jeszcze okazji podzielić. Pamiętasz, jak całkiem niedawno dyskutowaliśmy o tym, ile włożyliśmy pracy w próby nawiązania kontaktu z Palainianami na Plutonie. Powiedziałeś, że nikt nie jest w stanie ich zrozumieć, i wtedy miałeś rację. Ponownie przejrzałem jednak te zapisy fal mózgowych, uruchomiłem Soczewkę i byłem w stanie ich zrozumieć, to znaczy ich myśli, tak jakby były zapisane klasyczną angielszczyzną.

– Co? – wykrzyknął Kinnison, po czym zamilkł. Milczał również Samms. Tego, co myśleli o Aryzyjskich Soczewkach, nie dało się wyrazić słowami.

– Kontynuuj – odezwał się w końcu Kinnison. – Mów o wszystkim. Wyciągnij tego asa z rękawa.

– Przekazy, jak to przekazy, były jasne i proste. Jednak ich kontekst, konotacje i podteksty już nie. Niektóre ich kody i standardy radykalnie różnią się od naszych – tak radykalnie i fantastycznie, że przy ich niezaprzeczalnie wysokiej inteligencji i poziomie rozwoju nie jestem w stanie zrozumieć ich zachowania ani systemu wartości. Mają jednak przynajmniej kilka niesłychanie potężnych umysłów, nie wyczułem też

żadnego odchylenia, którego natura uniemożliwiłaby im korzystanie z Soczewki. Dlatego lecę na Plutona, a stamtąd, mam nadzieję, na Palain 7. Jeśli jest tam jakiś Lensman, znajdę go.

– Nie wątpię – zgodził się Kinnison, znając lepiej niż ktokolwiek inny możliwości swego przyjaciela.

– Ale wystarczy już o mnie. Jak ty się miewasz?

– Tak dobrze, jak można się tego spodziewać na tym etapie gry. Nasze działania rozwijają się w trzech różnych kierunkach. Po pierwsze piraci. Ponieważ ten rodzaj spraw leży mniej więcej w zakresie moich obowiązków, będę się nim zajmował, dopóki nie znajdziesz kogoś bardziej wykwalifikowanego. Pracuję nad tym z Jackiem i Costiganem.

Po drugie, narkotyki, prostytutka i tak dalej. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś na ten odcinek, bo szczerze mówiąc mam już tego dosyć i chcę zrezygnować. Knobos i DalNalten próbują dowiedzieć się, czy mamy do czynienia z siatką o ogólnoplanetarnej bądź nawet międzyplanetarnej skali. Ponieważ Sid Fletcher nie jest Lensmanem, nie mogłem go odsunąć od jego dotychczasowych zajęć, jest on jednak obeznany z problemem narkotyków i prostytutce i niemal cały czas pracuje z tamtą dwójką.

– Po trzecie, czysta – czy raczej zdecydowanie brudna – polityka. Im głębiej studiuję ten temat, tym bardziej staje się dla mnie jasne, że wśród tych trzech problemów polityka będzie największym i najbardziej zażartym polem walki. Istnieje zbyt wiele wątków, o których nie mam zielonego pojęcia; co mam chociażby począć z twoim przyjacielem, senatorem Morganem, który zacznie wpadać w regularne ataki hysterii, gdy tylko dowie się, czym będzie zajmować się nasz Galaktyczny Patrol. Dlatego zamierzam całkowicie wykręcić się od polityki.

Przy czym wiesz równie dobrze, jak ja – a może nawet lepiej – że Morgan reprezentuje jedynie Komitet do Spraw Kryzysowych przy Senacie Ameryki Północnej. Dodaj do tego tysiące podobnych mu urzędników rozsianych po wszystkich zakątkach kosmosu, którzy będą siedzieć nam na karku, zanim Patrol ostatecznie stanie na kosmiczne nogi, i zdasz sobie sprawę, że radzić sobie z tym będą musieli Lensmani, którzy oprócz dysponowania olbrzymią mocą i skutecznością, będą też musieli znać odpowiedzi na wszystkie pytania i mieć żelazną siłę woli. Ja ją mam, nie spełniam jednak innych podstawowych wymogów. Jill jej nie ma, choć poza tym absolutnie niczego jej nie brakuje. Fairchild, twój dyplomatyczny

as, nie jest Lensmanem i nigdy nim nie zostanie. Sam więc doskonale widzisz, kto powinien wziąć sprawy polityczne w swoje ręce.

– Być może masz rację... jednak Lensmani są naszym priorytetem... – Samms zamyślił się, po czym twarz mu się rozjaśniła. – A może uda mi się podczas tej wyprawy znaleźć kogoś, na przykład na Palain, kto ma lepsze kwalifikacje od każdego z nas.

– Jeśli ci się to uda, stawiam ci tygodniowy pobyt w każdym wenusjańskim ośrodku wypoczynkowym, jaki ci przyjdzie do głowy – prychnął Kinnison.

– Więc lepiej zacznij oszczędzać, gdyż z tego, co już wiem o psychice Palainian, jest bardziej niż prawdopodobne, że osiągnęli taki poziom rozwoju. – Samms przerwał, mrużąc oczy. – Nie wiem, jak bardzo Morgana i jemu podobnych wyprowadzi z równowagi fakt, że istoty spoza Układu Słonecznego uzyskają w nim polityczne wpływy, będzie to jednak przynajmniej jakaś zmiana, coś nowego. A niezależnie od tego, co powiedziałaś na temat „wykręcania się” od polityki, jakie zadania wyznaczyłaś Northropowi, Jill i Fairchildowi?

– No cóż, odbyliśmy kilka rozmów. Oczywiście nie mogę rozkazać Jill czy Dickowi...

– To znaczy: nie chcesz – poprawił go Samms.

– Nie mogę – powtórzył z uporem Kinnison. – Chociaż Jill jest twoją córką i ma predyspozycje na Lensmana, nie jest oficjalnie związana ze Służbą Trójplanetarną ani z Solarnym Patrolem. A Służba, włączając Fairchilda, jest Trójplanetarna i taką pozostanie, dopóki nie znajdziesz wystarczająco wielu Lensmanów, by zrealizować swą podwójną niespodziankę, Galaktyczną Radę i Galaktyczny Patrol. Northrop i Fairchild mają jednak oczy i uszy otwarte, nie puszczając przy tym pary z ust, a Jill potrafi wyniucać wszystko na temat narkotyków i tym podobnych, jak również wszelakich politycznych gier. Przekażą ci fakty, wnioski, przypuszczenia i sugestie – kiedy tylko zechcesz.

– Świetna robota, Rod, dzięki. Przed wyjściem chciałem zadzwonić do Jill; ciekawe, gdzie jest?... Pomyślałem jednak... że dzięki Soczewkom telefony mogą okazać się zbędne. Spróbuję w ten sposób.

– JILL! – przesłał tę intensywną myśl do swej Soczewki, starając się przywołać w wyobraźni postać swej prześlicznej córki. Z olbrzymim

zdziwieniem uświadomił sobie jednak, że ani obraz ani jego wyrazistość nie miały żadnego znaczenia.

– Au! – pojawiła się niemal natychmiastowa odpowiedź, znacznie wcześniej, niż skończył formułować swą myśl. – Nie myśl tak intensywnie, tato, to boli, omal się nie potknęłam. – Virgilia rzeczywiście tu z nim była, w jego umyśle, a ich kontakt był bliższy, niż kiedykolwiek wcześniej. – Tak szybko wróciłeś? Mamy ci złożyć raport? Na pewno jesteś już gotowy do pracy?

– Ignorując twoje przytyki na temat charakteru moich aktualnych zajęć, muszę przyznać, że niezupełnie. – Samms dopasował intensywność swoich myśli do poziomu rozmowy. – Właśnie chciałem się z tobą na ten temat skonsultować. Przyłącz się, Rod. – Błyskawicznym przekazem mentalnym wprowadził ją w temat. – Zgadzasz się z wnioskami Roda, Jill?

– Tak. W pełni. Podobnie jak chłopcy.

– Więc sprawa jest załatwiona, jeśli nie znajdę oczywiście odpowiedniejszego kandydata.

– Oczywiście, jednak uwierzymy w to dopiero wtedy, kiedy zobaczymy to na własne oczy.

– Gdzie jesteś i co porabiasz?

– W Waszyngtonie, w europejskiej ambasadzie. Tańczę z Herkimerem Herkimerem Trzecim, pierwszym sekretarzem senatora Morgana. Zamierzałam go odrobinę pokokietować, oczywiście w sposób, jaki przystoi damie, nie było to jednak konieczne. Sądzi, że jest w stanie złamać mój opór.

– Bądź ostrożna, Jill! Te sprawy...

– Te sprawy są stare jak świat, mój drogi tato. I proste. A Herkimer Herkimer Trzeci bynajmniej nie jest niebezpiecznym człowiekiem. Tak mu się tylko wydaje. Sam zobacz. Chyba możesz to zrobić za pomocą Soczewki?

– Zapewne... O, tak. Widzę go równie wyraźnie, jak ty. – Będąc w pełnym kontakcie z dziewczyną, tak że jego umysł, symultanicznie z jej umysłem, odbierał wszystkie bodźce, którymi chciała się podzielić, Samms zobaczył bardzo przystojną, mocno opaloną twarz w odległości kilku centymetrów od własnej. – Wcale mi się to jednak nie podoba; a on jeszcze bardziej.

– Dlatego, że nie jesteś dziewczyną. – Jill zachichotała w myślach. – To tylko zabawa. Nie spotka go też żadna krzywda, może oprócz nieco nadszarpniętej miłości własnej, kiedy nie padnę do jego stóp. Wiele się od niego dowiaduję, a on nawet nie podejrzewa, że dostarcza mi informacji.

– Znając cię, jestem tego pewien. Nie próbuj jednak... to znaczy... bądź bardzo ostrożna, żeby się na tym nie sparzyć. Gra nie jest tego warta, przynajmniej na razie.

– Nie martw się, tato. – Roześmiała się bez troski. – W przypadku podobnych playboyów mój opór można liczyć w milionach omów. Zbliży się jednak sam senator Morgan w towarzystwie tłustego, odpychającego Wenusjanina, dając mojemu adoratorowi tajne i niezauważalne według niego znaki, żeby zostawił mnie w spokoju. A moje receptory węchowe wyczuwają bogaty i soczysty aromat, niczym smród skunksa, więc... nie chcę, by wyglądało na to, że spławiam Solariańskiego Radnego, jeśli jednak chcę się dowiedzieć, co zaszło – a dowiem się na pewno – muszę się skupić. Kiedy tylko wrócisz, skontaktuj się ze mną i zdam ci relację. I uważaj na siebie, tato!

– To raczej tobie ta rada by się przydała. Udanych łowów, Jill!

Samms, który przez cały ten czas siedział spokojnie za swym biurkiem, wyciągnął rękę i nacisnął przycisk z napisem „garaż”. Jego biuro mieściło się na siedemnastym piętrze, zaś garaże zajmowały kilka podziemnych poziomów. Rozjaśnił się ekran i pojawiła się na nim twarz bystrego, młodego człowieka.

– Dobry wieczór, Jim. Wyślij proszę mój samochód na podjazd do Wright Skyway.

– Już się robi, sir. Samochód zostanie podstawiony za siedemdziesiąt pięć sekund.

Samms przerwał połączenie i po krótkiej wymianie myśli z Kinnisonem wyszedł na korytarz i skierował się do szybu opatrzonego napisem W DÓŁ. Swobodnym krokiem przeszedł przez pozbawioną drzwi i nieochranianą bramkę wprost do mającego ponad trzysta metrów wysokości powietrznego korytarza. Chociaż oficjalny dzień pracy dawno się już skończył, w szybie było wciąż dość tłoczno, co nie robiło jednak żadnej różnicy, gdyż bezinercyjne kolizje nie były w najmniejszym nawet stopniu odczuwalne. Błyskawicznie pomknął w dół, na szóste piętro, gdzie momentalnie się zatrzymał.

Wychodząc z szybu, dołączył do rzednącego potoku ludzi zmierzających w stronę wyjścia. Dziewczyna z dokładnie wyskubanymi brwiami i oszałamiającą fryzurą zerknęła na jego Soczewkę, wyjęła rękę z kieszeni spodni – sukienki jako ubiór biurowy wyszły z użycia, kiedy służące do komunikacji pionowej otwarte tunele, w których przemieszczano się z szybkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zastąpiły windy – trąciła łokciem swego towarzysza i szepnęła podekscytowana:

– Popatrz! Szybko! Nigdy nie widziałam żadnego z nich z tak bliska, a ty? To on, we własnej osobie! Pierwszy Lensman Samms!

Przy portalu Lensman odruchowo wyjął identyfikator pojazdu, choć podobne formalności nie były już konieczne, a nawet możliwe. Każdy znał Virgila Sammsa, bądź chciał, by tak myślano.

– Stanowisko czterysta sześćdziesiąt pięć, panie Pierwszy Lensmanie – rzekł umundurowany portier, nie zerkając nawet na pokazany mu dysk.

– Dziękuję, Tom.

– Proszę tędy, panie Pierwszy Lensmanie. – I młodzieniec o nieskazitelnie białych zębach, kontrastujących z niezwykle ciemnym kolorem skóry, dumnie zaprowadził go do wskazanego stanowiska i otworzył drzwi samochodu.

– Dziękuję, Danny – odparł Samms głosem tak pełnym wdzięczności, jakby rzeczywiście nie wiedział, gdzie znajduje się jego naziemny pojazd.

Wsiadł do samochodu. Drzwi miękko się za nim zatrzasnęły. Pojazd – Dillingham 1140 – płynnie nabrał prędkości na swych dwóch grubych, miękkich oponach. W połowie drogi do bramy wyjazdowej osiągnął już szybkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Pędząc po głęboko nachylonym zakręcie, wiodącym ku wysoko położonym „ulicom”, miał już sto pięćdziesiąt na liczniku. Nie odczuwało się najmniejszych wstrząsów czy przeciążeń. Podobnie jak motocykl, jednak w sposób w pełni zautomatyzowany, „Dilly” przechylił się na swych żyroskopach pod precyzyjnie obliczonym kątem; wielkie, niskociśnieniowe opony przylgnęły do elastycznej, syntetycznej powierzchni ulicy, zupełnie jakby były jej częścią. Nie było też problemu z ruchem ulicznym, gdyż ta trasa, leżąca dokładnie sześć poziomów nad Varick Street, nie była tak naprawdę żadną ulicą. Miała tylko jeden wjazd, ten, z którego skorzystał Samms, i tylko jeden wyjazd; była to po prostu jedyna odnoga prowadząca do Wright Skyway, głównej autostrady z ograniczonym dostępem.

Samms spoglądał z obojętnością na labirynt dostawczych magistrali, w którym ta odnoga była jedynie drobnym elementem; labirynt, który wznosił się od samej powierzchni ziemi do poziomów znajdujących się wysoko ponad dachami drapaczy chmur nowojorskiej metropolii.

Szosa gwałtownie nabierała stromizny; Samms nieco bardziej obniżył prawą stopę i Dillingham zaczął nabierać prędkości. Ruchome głośniki coś do niego śpiewały i wykrzykiwały, nie zwracał jednak na to uwagi. Piękne obrazy, migoczące i rozbłyskujące wszystkimi kolorami spektrum – prawdziwy triumf sztuki elektronicznej – rozświetlały się, tworząc kuszące napisy i przyjemne dla oka widoki, ich jednak także nie zauważał. Był to reklamowy przemysł stworzony przez specjalistów, by sprzedać wszystko, od aardvarków po marsjański zyzmol („butelkowaną ekstazę”); jednak Pierwszy Lensman był zahartowanym mieszkańcem wielkiej metropolii. Jego umysł już dawno stał się idealnym filtrem, dopuszczającym do jego świadomości jedynie te informacje, które chciał przyswoić; tylko w ten sposób życie w wielkim mieście stawało się znośne.

Zbliżając się do Skyway, Samms włączył długie światła, odrobinę zmniejszył prędkość i włączył się do ruchu. Reflektory o mocy tysiąca pięciuset watów każdy nie oślepiały dzięki polaryzacyjnym filtrom w przednich szybach.

Przejechał na lewą stronę, na pas szybkiego ruchu i dodał gazu. Na skraju dzielnicy drapaczy chmur, gdzie Wright Skyway po serii ostrych zakrętów w dół zrównywała się z poziomem ziemi, uwagę Sammsa przykuło coś, co pojawiło się z prawej strony – niebiesko-biały, gwizdzący artefakt, który wzbił się w powietrze. Po osiągnięciu pewnego pułapu zaczął on zwalniać, wydawany przez niego monotony dźwięk stawał się coraz niższy, a jego kolory zaczęły przygasać, przechodząc przez całe spektrum ku czerwieni. W końcu eksplodował z hukiem, od którego drgnęła ziemia, jednak iskry, niczym błysk detonacji, zamiast niemal natychmiast zniknąć, rozsypały się w nisko wiszącą sztuczną chmurę i uformowały w obraz i słowa; dwie brodate twarze i napis BRACIA SMITH. KROPLE NA KASZEL!

– Niech to szlag – zaklął Samms, zirytowany faktem, że został zmuszony do obejrzenia i wysłuchania reklamy. – Wydawało mi się, że widziałem już wszystko, to jednak naprawdę coś nowego!

Dwadzieścia minut później, po przejechaniu osiemdziesięciu kilometrów, Samms zjechał ze Skyway w miejscu, gdzie kiedyś leżała miejscowość South Norwalk w stanie Connecticut. Przestrzeń ta została zmieniona w olbrzymią, płaską płytę nowojorskiego portu kosmicznego.

Zanim zbudowano Pierwszą Bazę, nowojorski port kosmiczny był największym i najbardziej zatłoczonym lądowiskiem ze wszystkich, jakie istniały na planetach Cywilizacji. Gdyż Nowy Jork, będący od dawna finansową i biznesową stolicą Ziemi, utrzymał równie dominującą pozycję w Systemie Słonecznym i w wyścigu o kosmiczną dominację zachowywał znaczną przewagę nad swymi rywalami, Chicago, Londynem i Stalingradem.

Zaś Virgil Samms, z uwagi na wciąż zwiększające się zagrożenie ze strony piratów, był odpowiedzialny za realizowanie polityki rozmieszczania baz dla statków wojennych Trójplanetarnego Patrolu w każdym zakątku kosmosu, współmiernie do wielkości i znaczenia każdego rejonu. Dlatego też nie czuł się w nowojorskim porcie kosmicznym jak intruz; tym bardziej, że będąc znakomitym psychologiem zadał sobie trud zapamiętania imion niemal wszystkich pracujących tu osób.

Gdy tylko jednak przekazał Dillinghama uśmiechniętemu pracownikowi obsługi, zwrócił się do niego mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Pan Samms? – zapytał nieznajomy.

– Tak. – Samms nie aktywizował Soczewki; nie wyrobił jeszcze sobie tego odruchu, ani nie opracował techniki prześwietlania każdej istoty, która się do niego pod dowolnym pretekstem zwracała, by dowiedzieć się, czego ta istota chce w rzeczywistości.

– Nazywam się Isaacson. – Mężczyzna umilkł, jakby udzielił na swój temat absolutnie wyczerpujących informacji.

– Słucham? – Samms podjął rozmowę, choć nieznajomy nie zrobił na nim dobrego wrażenia.

– „Podróże Międzygwiazdne”, na pewno pan słyszał. Od dwóch tygodni usiłujemy się z panem skontaktować, nie możemy się jednak przebić przez pańskich sekretarzy, postanowiłem więc złapać tu pana osobiście. Jest tu może nawet bardziej dyskretnie, niż w moim czy pańskim biurze.

Chciałbym porozmawiać z panem na temat rozszerzenia naszej wyłączności na planety zewnętrzne i kolonie.

– Chwileczkę, panie Isaacson. Na pewno pan wie, że nie pełnię już żadnej funkcji w Radzie i praktycznie cała moja działalność jest i przez jakiś czas będzie skoncentrowana na zupełnie innym temacie?

– Oficjalnie tak to wygląda. – Ton Isaacsona stał się niejednoznaczny. – Wciąż jednak jest pan szefem; zrobią wszystko, czego pan sobie zażyczy. Do tej pory nie próbowaliśmy oczywiście wchodzić z panem w relacje biznesowe, jednak przy pańskiej obecnej pozycji nic nie stoi na przeszkodzie, by zaangażował się pan w inwestycję, jakiej jeszcze świat nie widział. Jak pan wie, jesteśmy największą istniejącą korporacją i szybko się rozwijamy. Nie robimy interesów na małą skalę, czy z drobnymi przedsiębiorcami. Oto czek na milion kredytów, mogę też przelać tę sumę na pańskie konto...

– Nie jestem zainteresowany.

– ...Jako zaliczkę – kontynuował rozmówca płynnie, jakby mu nie przerwano. – A następnie dwadzieścia pięć milionów, kiedy koncesja wejdzie w życie.

– Tak czy inaczej nie jestem tym zainteresowany.

– Neeee? – Isaacson z uwagą przyglądał się Lensmanowi, a Samms, który właśnie aktywował Soczewkę, studiował za jej pośrednictwem swojego rozmówcę.

– No cóż... choć przyznałem, że pańskie wsparcie byłoby dla nas nieocenione, jest pan też wystarczająco inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że dostaniemy to, czego chcemy, niezależnie od pańskiej decyzji. Jednak z pana pomocą byłoby to łatwiejsze i zajęło mniej czasu, jestem więc upoważniony do zaproponowania panu nie tylko dwudziestu sześciu milionów kredytów – Isaacson smakował znaczenie wypowiedzianych słów – lecz także dwudziestu dwóch i pół procenta udziałów w „Podróżach Międzygwiazdnych”. Na dzisiejszym rynku to pięćdziesiąt milionów kredytów; za dziesięć lat suma ta wzrośnie do pięćdziesięciu miliardów. To górny pułap tego, co możemy zaproponować.

– To miłe z waszej strony, jednak wciąż nie jestem tym zainteresowany.

– I Samms oddalił się od Isaacsona, nawiązując jednocześnie kontakt ze swym przyjacielem, Kinnisonem.

– Rod? Tu Virgil. – Samms opowiedział całą historię.

– Fiu! – zagwizdał Kinnison wyraziście. – Przynajmniej trudno ich posądzić o skąpstwo. I cóż za piękna intryga, bo przecież mogłeś pięknie zapakować i wręczyć im to, czego chcieli, jak paczkę kawy.

– Podobnie jak ty, Rod.

– Możliwe – wielki Lensman wpadł w zadumę. – Cóż za wyszukany podstęp. Wszystko całkowicie legalnie, z masą precedensów i argumentów na korzyść tego przedsięwzięcia. Planety zewnętrzne. Potem Alfa Centauri, Syriusz, Procion i tak dalej. A monopol na wszystkie przeloty doprowadzi do...

– Powiedzmy otwarcie, do niewolnictwa! – wykrzyknął Samms. – Co cofnie Cywilizację o tysiące lat!

– Oczywiście, ale czy oni się tym przejmują?

– Właśnie... a on powiedział, święcie o tym zresztą przekonany, że poradzą sobie bez mojej pomocy. Co daje do myślenia.

– To całkiem proste, Virge, kiedy się nad tym zastanowić. On nie wie jeszcze, kim jest Lensman. Oprócz samych Lensmanów nikt tego tak naprawdę nie wie. Minie trochę czasu, nim ta wiedza się rozpowszechni...

– A jeszcze więcej, zanim ludzie w to uwierzą.

– To prawda. Lecz co do szans „Podróży Międzygwiazdnych” na monopol, do którego dążą, nie sądziłem, że będę ci musiał przypomnieć o tym, że nie przez przypadek ponad połowa członków Solariańskiej Rady to Lensmani i że każdy Galaktyczny Radny będzie musiał być Lensmanem. Kontynuuj więc to, co zaczęłaś, mój chłopcze, i nie przejmuj się Isaacsonem ani jego firmą. Podczas twojej nieobecności weźmiemy ich pod lupę.

– Obawiam się, że mogłem przeoczyć kilka detali. – Samms westchnął z ulgą, gdy tylko wszedł do kwatery głównej Patrolu.

Choć kolejka przy recepcji nie była zbyt długa, Samms i tak nie musiał w niej stać. Krzykliwie umalowana blondynka o inteligentnym spojrzeniu przerwała w pół zdania prowadzoną właśnie rozmowę, a jej twarz momentalnie rozświetlił czarujący uśmiech. Wcisnęła jeden z przycisków na biurku i zwróciła się do stojącego przed nią mężczyzny.

– Proszę na moment wybaczyć - po czym do Sammsa: – Panie Pierwszy Lensmanie Samms...

– Słucham, panno Regan? – wtrącił się głos z komunikatora, potocznie nazywanego „krzykaczką”.

– Jest tu Pierwszy Lensman Samms, sir – poinformowała dziewczyna i przerwała połączenie.

– Dobry wieczór, Sylwio. Proszę wezwać komandora podporucznika Wagnera, bądź kogokolwiek innego, kto może się zająć formalnościami – poprosił Samms, uprzedzając, jak sądził, jej pytanie.

– Ależ nie, sir; formalności są zbędne. Komandor Clayton oczekiwał pana... oto on.

– Cześć, Virgil! – Komandor Clayton, wysoki, postawny mężczyzna z pokrytą bliznami twarzą, szopą metalicznie szarych włosów i dwiema srebrnymi gwiazdami na kołnierzu, dystynkcjami głównodowodzącego kontynentalnym kontyngentem Patrolu, energicznie potrząsnął jego dłonią. – Dam ci transport. Panno Regan, proszę podstawić „pluskwę”.

– Och, nie ma takiej potrzeby, Alex! – zaprotestował Samms. – Sam coś złapię.

– Nie w żadnej z baz Patrolu w Ameryce Północnej, przyjacielu, podobnie jak w żadnym innym miejscu, o ile się nie mylę. Lensmani mają od teraz absolutny priorytet i im szybciej wszyscy zrozumieją, co to oznacza, tym lepiej.

„Pluskwa”, pojazd bardzo przypominający jeepa, czekała przy wejściu. Mężczyźni wsiedli do niego.

– Do *Chicago*, pełnym gazem – rozkazał Clayton stanowczo.

Kierowca potraktował to polecenie dosłownie.

Żwir trysnął spod kół, gdy niezwykle zwrotny, niewielki pojazd zerwał się z miejsca. Z piskiem opon skręcił w cieszącą się zasłużoną sławą Avenu of Oaks. Przejechali ją i minęli bramę, gdzie strażnicy energicznie zasalutowali. Minęli koszary, hangary i pasy startowe. Wjechali na płytę lądowiska, pobrużdżoną, wyschniętą i poczerniałą powierzchnię, na której znajdowały się jedynie szeroko porozrzucane stanowiska ogromnych statków, przemierzających pustkę międzygwiazdnych i międzyplanetarnych przestrzeni. Były to wielkie budowle z betonu, stali i azbestu, ultrawytrzymałych materiałów ognioodpornych i izolacyjnych oraz próżniowych przegród. W pełni klimatyzowane i zaopatrzone w urządzenia chłodnicze wytwarzające tysiące ton lodu na godzinę. Przeznaczone nie tylko dla obsługi technicznej, wyładunków i załadunków, lecz także do ochrony sprzętu i personelu przed piekielnymi potokami żaru z dysz startujących i lądujących rakiet.

Kosmiczny dok jest olbrzymim, niskim cylindrem, w którego wydrążony szczyt najwyższa część kadłuba rakiety wpasowuje się równie ściśle, jak piłka w rękawicę doświadczonego baseballisty. Olbrzymie odległości między dokami sprawiały, że zarówno one, jak i znajdujące się w nich statki wydawały się być mniejsze niż w rzeczywistości. Dlatego z daleka *Chicago* zdawał się być niewielki i niegroźny, gdy jednak „pluskwa” wjechała pod jego kadłub, a kierowca z piskiem opon zahamował przed wejściem do jednego z doków, Samms z trudem opanował dreszcz. Ta wyblakła, szara, płynnie wyginająca się ściana ze stalowego stopu wznosiła się nad nimi przeraźliwie wysoko, wychylając się daleko poza widoczne wsporniki! Na samej granicy stabilności!

Samms niespiesznie zlustrował wznoszący się nad nim ogrom metalu, po czym nieco wymuszenie uśmiechnął się do swego kompana.

– Zapewne sądzisz, Alex, że można przewyciężyć strach przed myślą, że statek zawali ci się na głowę; mnie się to jednak jeszcze nie udało.

– Bynajmniej tak nie uważam i zapewne nigdy go nie przewyciężysz. Mnie się to nie udało, chociaż jestem jednym z najstarszych weteranów. Niektórzy twierdzą, że ich to nie dotyczy, choć wykrywacz prawdy by tego raczej nie potwierdził. Dlatego hangary dla pasażerów muszą być większe, niż same statki; zbyt wielu traci przytomność i na pokład muszą być wnoszeni na noszach albo w ogóle odwołują lot. Chociaż fakt, że są śmiertelnie przerażeni jeszcze przed startem, daje jedną olbrzymią korzyść; wewnątrz statku czują się tak bezpiecznie, że nie dostają rozstroju żołądka, kiedy zaczyna się stan nieważkości.

– Tak czy siak, ja mam to już za sobą. Do widzenia, Alex, i dziękuję.

Samms wszedł do doku, podążając za eskortującym go oficerem przemieścił się płynnie na górny poziom do kajuty samego kapitana i zajął miejsce w wygodnym fotelu przed ultrafalowym panelem widokowym. Twarz, która pojawiła się na jego ekranie komunikacyjnym, oznajmiła:

– Winfield do Pierwszego Lensmana Sammsa; czy jest pan gotowy do startu o dwudziestej pierwszej zero zero?

– Samms do kapitana Winfielda – odparł Samms. – Będę gotowy.

Krótko zawyły syreny; znajomy dźwięk był dla Sammsa czystą formalnością. Pozwolenie na start zostało wydane. Stacja PIXNY wyemitowała w eter sygnał ostrzegawczy. Personel i urządzenia techniczne

znajdujące się na tyle blisko doku *Chicago*, że narażało je to na startową falę uderzeniową, były osłonięte i bezpieczne.

Rozległ się huk; ekran, na którym jeszcze przed momentem widoczne było pole startowe, wypełnił się błękitnobiałym światłem. Wojenny okręt kosmiczny był co prawda bezinercyjny, uwolniona została jednak tak olbrzymia ilość energii, że rozżarzone gazy i przeraźliwy ciąg zmiotły dok i wszystko, co znajdowało w promieniu setek jardów wokół niego.

Ekran się rozjaśnił. Przez niższe, gęste warstwy atmosfery *Chicago* przeleciał w kilka sekund; następnie, gdy powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone, statek zaczął coraz bardziej przyspieszać. Powierzchnia Ziemi, która początkowo wydawała się wklęsła, stała się wypukła. Przy całkowitym braku inercji statek utrzymywał prędkość, przy której opór, jaki stawiało środowisko, przez które się przebijał, był dokładnie równy sile jego ciągu.

Dlatego już w otwartym kosmosie, kiedy Ziemia zamieniła się w szybko kurczącą się, małą piłeczkę i samo Słońce stawało się coraz mniejsze i bardziej matowe, a jego blask zauważalnie słabł, prędkość *Chicago* uzyskała niemal stałą wartość; wartość, której ludzki umysł w żaden sposób nie był w stanie ogarnąć.

ROZDZIAŁ 5

Przez pięć godzin Virgil Samms siedział bez ruchu, wpatrując się w ekran niewidzącym wzrokiem. I bynajmniej nie dlatego, że nie było na co patrzeć – majestat kosmosu, wciąż zmieniająca się, pozostająca w ciągłym ruchu bezmierna panorama niewiarygodnie jasnych, migoczących punktów kontrastujących z oszłamiającym tłem zasnutego mgiełką czarnego aksamitu była widokiem, który zawsze wzbudzał podziw w najbardziej nawet zahartowanym obserwatorze – jednak umysł Sammsa pochłonięty był wyjątkowo ciężkimi przemyśleniami. Musiał rozwiązać pozornie nierozwiązywalny problem. Jak... jak... JAK ma poradzić sobie z tym, co musi zrobić?

W końcu, uświadamiając sobie, że zbliża się czas lądowania, wstał, rozprostował ramiona, po czym bez wysiłku popłynął przez kajutę do naciągniętej linki i przytrzymując się jej, dotarł do sterówki. Gdyby zechciał, mógł w niej oczywiście spędzić całą podróż, wiedząc jednak, że oficerowie na statkach kosmicznych nie przepadają za obecnością osób postronnych w tym sanktuarium, nie pojawił się w niej, dopóki nie stało się to konieczne.

Kapitan Winfield siedział już przypięty pasami za głównym panelem sterowania. Piloci, nawigatorzy i technicy skrzętnie wypełniali należące do nich zadania.

– Właśnie zamierzałem pana wezwać, Pierwszy Lensmanie. – Winfield wskazał ręką na fotel sąsiadujący z jego stanowiskiem. – Proszę zająć miejsce drugiego kapitana.

– Proszę uruchomić napęd inercyjny, panie White – rzekł po kilku minutach.

– Cała załoga, proszę o uwagę – rzekł swobodnym tonem kapitan White do mikrofonu. – Przygotować się do manewrowania inercyjnego trzeciego stopnia. Bez odbioru.

Rząd maleńkich czerwonych lampek na panelu momentalnie zmienił kolor na zielony. White wyłączył napęd Bergenholma i masa Virgila Sammsa momentalnie wzrosła od zera do całych pięciuset dwudziestu

pięciu funtów. Na okrętach wojennych nie było wówczas wystarczająco dużo przestrzeni, by marnować ją na tak mało istotne zjawiska jak sztuczna grawitacja. Chociaż przed zmianą wagi chroniło go zapięcie i poduszka amortyzacyjna, Lensman gwałtownie wypuścił powietrze z płuc; będąc jednak żywo zainteresowanym tym, co się działo, kilka razy przełknął konwulsyjnie ślinę, zrobił kilka głębokich wdechów i z pewnym wysiłkiem odzyskał równowagę.

Statkiem kierował teraz główny pilot z mistrzostwem wirtuoza swojej rangi i klasy, o czym świadczyła pozorna łatwość, z jaką wykonywał niezwykle skomplikowane operacje. Wydobywał trele, brał akordy arpeggio – od czasu do czasu wykonując glissando – na klawiszach i pedałach, dyrygując z mikrometryczną precyzją niewiarygodnymi mocami pancernika, mając za zadanie dopasować prędkość własną nowojorskiego portu kosmicznego w momencie wylotu do prędkości własnej rozpościerającej się daleko w dole powierzchni planety. Samms patrzył na swój ekran; początkowo na niewiarygodnie gorące słońce, które optycznie wydawało się niewiarygodnie małe. Potem na jałowy świat, do którego zbliżali się z zatrważającą prędkością.

– Wydaje się niemożliwe – zauważył na wpół do Winfielda, na wpół do siebie samego – by słońce było tak wielkie i tak gorące. Rigel IV jest od niego oddalony o jakieś osiemnaście miliardów mil – dwieście razy bardziej, niż Ziemia od Słońca — i nie wydaje się większy niż Wenus oglądana z Księżyca, a mimo to jest rozgrzany bardziej niż Sahara.

– Błękitne giganty są równie wielkie, co gorące – odparł kapitan rzeczowo. – A ich promieniotwórczość, choć niewidoczna, jest śmiertelna. Zaś Rigel to niemal największa gwiazda w tym obszarze. Choć pozostałe są od niej znacznie bardziej gorące. Choćby Doradus S, przy której Rigel wygląda jak świeczka. Chcę się tam w najbliższych dniach wybrać, by zobaczyć wszystko na własne oczy. Ale dość tych astronomicznych pogaduszek. Zeszliśmy na wysokość dwudziestu mil i zaraz wylądujemy w twoim mieście.

Chicago obniżył się łagodnie, zatrzymał i zawisł nieruchomo na szumiących miękko silnikach. Samms skierował w dół promień wizyjny, wysyłając jednocześnie poszukującą, sondującą myśl. Ponieważ nigdy wcześniej nie spotkał żadnego Rigelianina, nie zdążył stworzyć mentalnego wizerunku czy wzoru niezbędnego do nawiązania kontaktu z jakimkolwiek

przedstawicielem tej rasy. Wiedział jednak, jaki typ umysłu musiał mieć być, z którym zamierzał się skontaktować, i przeszukiwał rigeliańskie miasto do momentu, w którym takiego nie znalazł. Połączenie było tak niepełne i niedoskonałe, jakby go w ogóle nie było, choć udało mu się chyba zostać zrozumianym.

– Proszę wybaczyć to prawdopodobnie niedogodne i niewątpliwie nieuzasadnione wtargnięcie – pomyślał ostrożnie i powoli. – Bardzo chciałbym omówić z tobą zagadnienia, które są absolutnym priorytetem dla wszystkich inteligentnych istot na wszystkich planetach we wszechświecie.

– Witam cię, Tellurianinie. – Umysł zjednoczył się z umysłem na każdej z niezliczonych milionów płaszczyzn. Ten rigeliański profesor socjologii, stojący za swym biurkiem, fizycznie przypominał potwora... beczkowaty korpus, cztery masywne nogi, pokryte wieloma skrzelami, mackowate ramiona, nieruchoma kopuła głowy, całkowity brak oczu i uszu... tym niemniej umysł Sammsa połączył się z umysłem tej istoty równie gładko, bezproblemowo i niemal tak kompletnie, jak wcześniej z umysłem własnej córki!

I cóż to był za rozum! Transcendentna równowaga, absolutnie niewiarygodna moc i potencjał, niczym nie zakłócony, niewzruszony spokój, najwyższe opanowanie, ogromna, niczym nie zmacona pewność, nieskończona stabilność; cechy nieznane i nieosiągalne dla żadnej ludzkiej czy humanoidalnej rasy!

– Nie postrzegaj się jako intruza, Pierwszy Lensmanie Samms... Oczywiście słyszałem już o was, ludziach, nigdy jednak nie rozpatrywałem na poważnie myśli o skontaktowaniu się z jednym z was na poziomie mentalnym. Doniesiono, że żaden z naszych umysłów nie był w stanie nawiązać kontaktu z waszym, wynik był za każdym razem powierzchowny i kompletnie niesatysfakcjonujący. Jak rozumiem, to Soczewka umożliwia tak pełne połączenie i to ona jest głównym powodem twojej wizyty?

– To prawda. – I Samms zaczął błyskawicznymi impulsami myślowymi wyjaśniać koncepcję stworzenia Galaktycznego Patrolu. Początkowo nie miał z tym większych problemów, jednak usiłując szczegółowo opisać warunki, jakie powinni spełniać Lensmani, zaczął się gubić. – Siła, determinacja, potencjał, oczywiście... szerokie horyzonty... siła woli... jednak przede wszystkim absolutna uczciwość... pełna odporność na korupcję. – Samms byłby w stanie rozpoznać taki umysł, gdyby się

na niego natknął i dokładnie go zbadał, jednak znalezienie go... Posiadana władza mogła tu nie mieć nic do rzeczy. On i Rod Kinnison ją posiadali, jednak Costigan nie... a zarówno Knobos jak i DalNalten byli mistrzami trzymania się w cieniu...

– Rozumiem – podsumował tubylec, gdy stało się jasne, że Samms nie ma już nic do dodania. – To oczywiste, że ja się do tego nie nadaję, osobiście nie znam też nikogo, kto spełniałby kwalifikacje. Jednakże...

– Co takiego? – zapytał Samms. – Kiedy połączyłem się z twoim umysłem, byłem pewien, że... przecież mając tak głęboki i rozbudowany umysł, dysponując takimi horyzontami i potęgą jesteś bez wątpienia absolutnie odporny na korupcję!

– To prawda – odparł Rigelianin beznamiętnie. – Podobnie jak my wszyscy. Żaden Rigelianin nie jest i nigdy nie będzie zdolny do, używając waszej terminologii, bycia skorumpowanym czy korumpowania innych. Tylko dzięki naprężonej i skrajnie intensywnej koncentracji na każdym elemencie twojego rozumowania jestem w stanie przełożyć twoje myśli na zrozumiałe dla nas pojęcia.

– Więc w jaki... Ach, rozumiem. Zacząłem od niewłaściwej strony. Zdaje się, że odruchowo szukałem przede wszystkim najrzadszych cech mojej własnej rasy.

– Oczywiście. Nasze umysły mają dostatecznie duży potencjał i wystarczającą siłę woli. Jednak cechy, które określiłeś jako „siła” i „determinacja” są w naszym przypadku równie rzadkie, jak u was absolutna uczciwość. Wasze pojęcie „zbrodni” jest dla nas nieznanne. Nie mamy policji, rządów, prawa, ani żadnych struktur siłowych. Zawsze idziemy po linii najmniejszego oporu. Mówiąc w waszych kategoriach, żyjemy i pozwalamy żyć. Wszyscy pracujemy dla wspólnego dobra.

– Nie wiem, co spodziewałem się tu znaleźć, ale na pewno nie to. – Samms nigdy wcześniej nie czuł się tak kompletnie zagubiony – Nie wierzysz więc, że są jakiegokolwiek szanse powodzenia?

– Zastanawiałem się nad tym i sądzę, że mogą one istnieć... niewielkie, ale zawsze – rzekł powoli Rigelianin. – Na przykład ten niezwykle dociekliwy młodzieniec, który jako pierwszy odwiedził twoją planetę. Bardzo wielu z nas zastanawiało się, samodzielnie bądź wspólnie, nad zadziwiającymi cechami umysłu, które skłoniły jego i jemu podobnych do zmarnowania tak wielkiej ilości czasu, wysiłków i środków

na realizowanie kompletnie bezużytecznego projektu, jakim jest eksploracja kosmosu. Mało tego, wynalazł on nawet nowe rodzaje silników i odkrył nieznane dotąd źródła energii, choć nie przyniosą one najmniejszego pożytku!

Samms był wstrząśnięty beznamiętną pewnością, z jaką Rigelianin odrzucił możliwość jakichkolwiek korzyści płynących z podróży międzygwiazdnych, nie przestał jednak uparcie drażyć tego tematu.

– Niezależnie od tego, jak nikłe są te szanse, muszę znaleźć tego młodzieńca i z nim porozmawiać. Przypuszczam, że penetruje teraz odległe zakątki kosmosu. Wie pan może, gdzie mogę go znaleźć?

– Jest teraz w swym rodzinnym mieście, zbierając środki i wytwarzając paliwo w celu kontynuowania swych bezsensownych działań. Miasto to nosi nazwę... to znaczy w waszym języku mogłoby się nazwać... Suntown? Sunberg? Nie, musi brzmieć bardziej charakterystycznie... Rigelsville? Rigel City?

– Rigelston; tak bym to przetłumaczył – zaryzykował Samms.

– Dokładnie. Rigelston. – Profesor zaznaczył pozycję miasta na kulistej mapie mentalnej, znacznie dokładniejszej i o wiele bardziej precyzyjnej, niż glob, który studiowali w tym samym czasie kapitan Winfield i jego adiutant.

– Dziękuję. A czy mógłby pan skontaktować się z tym podróżnikiem i poprosić go, by umożliwił mi spotkanie ze swoją załogą i każdym, kto byłby zainteresowany przedstawionym przeze mnie projektem?

– Mógłbym. I tak uczynię. On i jemu podobni nie są oczywiście do końca normalni, wątpię jednak, by byli na tyle szaleni, by narażać się na warunki panujące na pańskim statku.

– Ich pobyt na nim nie będzie konieczny. Spotkanie odbędzie się w Rigelston. W razie konieczności będę nalegał, by odbyło się właśnie tam.

– Doprawdy? Wyczuwam, że pańskie myśli są szczerze. To dziwne... wręcz fantastyczne... Jesteście kłótlivi, agresywni, asocjalni, okrutni, macie słabe ciała i umysły, jesteście tchórzliwi, nerwowi, bezsensownie nadpobudliwi, niestabilni, nierozsądni i zarówno psychicznie jak i fizycznie skrajnie odpychający. – Te obraźliwe myśli były emitowane tak bezosobowo, wręcz od niechcienia, jakby ich nadawca zastanawiał się nad pogodą. Rigelianin przerwał na chwilę, po czym kontynuował: – A mimo to, dążąc do realizacji tego kompletnie nierealnego projektu jest pan gotów

doświadczyć czegoś, do czego ja, będąc na pana miejscu, nie zmusiłbym się niezależnie od okoliczności. Być może jest to rozwinięcie zasady zespołowej pracy dla wspólnego dobra, czego mój umysł, przez brak odpowiednich informacji, nie jest w stanie jednak ogarnąć. Nawiązałem właśnie kontakt z Dronvirem, podróżnikiem.

– Proszę mu przekazać, by się na razie nie ujawniał. Udając się na spotkanie, nie chcę niczego zakładać z góry.

– Sensowna myśl – zgodził się Rigelianin. – Na lotnisku będzie ktoś, kto wskaże panu pustkowie, na którym odbywają się przerażające lądowania statku kosmicznego podróżników. Dronvir poprosi go, by odebrał pana z lotniska i zawiózł na miejsce spotkania.

Telepatyczne połączenie uległo zerwaniu i Samms zwrócił pobladłą i spoconą twarz w stronę kapitana *Chicago*.

– Mój Boże, cóż za napięcie! Nigdy nie próbuj telepatii bez absolutnej konieczności, szczególnie z tak skrajnie odmiennymi od nas rasami, jak Rigelianie!

– Bez obaw, nie zamierzam tego robić. – Chociaż w słowach Winfielda nie było śladu współczucia, ich ton mówił co innego. – Wyglądasz, jakby ktoś złomotał cię pałką po mózgu. Co dalej, Pierwszy Lensmanie?

Samms zaznaczył lokalizację Rigelston na pokładowej mapie, po czym założył zatyczki do uszu i specjalny, odporny na promieniowanie kosmiczny skafander zaopatrzony w systemy chłodzące i niezwykle grubą osłonę ze szkła ołowiowego chroniącą oczy.

Niezwykle zatłoczone lotnisko, znajdujące się dość daleko od miasta, było łatwe do zlokalizowania, podobnie jak miejsce, w którym miał wylądować telluriański statek. Łagodnie i powoli schodził on w dół, a jego silniki walczyły z grawitacją, która dwukrotnie przewyższała ziemską. Buchające z nich potoki ognia spowodowały jednak znacznie mniejsze szkody, niż te, dokonane przez stojący już tam statek, krążownik o kształcie torpedy, mający w przybliżeniu jedną dwudziestą masy *Chicago*.

Kosmiczny pancernik wylądował, jednak zanim znieruchomiał, zagłębił się na jakieś piętnaście stóp w suchą i twardą powierzchnię. Samms nawiązał kontakt z istotą, która miała być jego przewodnikiem, błyskawicznie sondując umysł znajdujący się w tak głębokim połączeniu z jego własnym. Bez oczekiwanego rezultatu. Ten osobnik nigdy nie był i nie stanie się materiałem na Lensmana. Samms zszedł ciężko po trapie.

Podwójna grawitacja powodowała, że poruszanie się było nieco uciążliwe, jednak tę niedogodność zniósł znacznie łatwiej, niż to, co nastąpiło zaraz potem. Rigeliański odpowiednik samochodu już na niego czekał, a jego otwarte drzwi zapraszały go do środka.

Samms wiedział – w ogólnych zarysach – czego się spodziewać. Dwukołowy pojazd był mniej więcej podobny do jego własnego dillinghama. Kształtem przypominał wąską, stalową torpedę tępo zaokrągloną po obu końcach i był pozbawiony okien. Z dwóch powodów wehikuł sprawiał jednak niespodziewanie nieprzyjemne wrażenie; twarda, mocna stal, z której wykonana była karoseria, miała zamiast jednej szesnastej, półtora cala grubości, i nawet na tym niezwykle mocnym, pancernym korpusie znajdowały się wgniecenia i rysy, szczególnie z przodu i z tyłu, równie głębokie i nieregularne, jak na wrakach ziemskich samochodów!

Lensman wszedł, choć nie było to łatwe ani przyjemne, do mrocznego i budzącego niepokój wnętrza pojazdu. Choć mrocznego to mało powiedziane. W tej ciemności wydawało się, że nawet szczeliny widokowe w drzwiach nie przepuszczają światła. Wnętrze było ciemniejsze, niż czarny kot w składzie węgla o północy! Samms poczuł, jak wstrząsnął nim dreszcz, po czym z rosnącym napięciem zwrócił się myślowo do kierowcy.

– Zdaje się, że mój kontakt z tobą słabnie. Obawiam się, że będę musiał zacieśnić mentalne połączenie bardziej, niż pozwala na to przyzwoitość i wygoda. Pozbawiony możliwości widzenia oraz dostępu do pańskiej percepcji jestem praktycznie bezradny.

– Oczywiście, Lensmanie, zapraszam. Proponowałem pełne połączenie, wydawało mi się jednak, że pan odmówił. Całkiem możliwe, że przyczyna nieporozumienia wynika z faktu, że nie znamy swych schematów myślowych. Proszę się rozluźnić i wejść ze mną w kontakt... właśnie tak! Lepiej?

– Nieskończenie lepiej. Dziękuję.

Tak też było. Ciemność zniknęła; dzięki niepojętej percepcji Rigelianina „widział” wszystko i uzyskał praktycznie doskonały, trójwymiarowy ogląd otaczającej go przestrzeni. Zarówno wnętrze jak i otoczenie samochodu, w którym się znajdował, oraz olbrzymiego statku kosmicznego, którym przybył na Rigel IV. Widział łożyska i sworzeń tłokowy w silniku samochodu, wewnętrzną strukturę spawów łączących ze sobą stalowe płyty

otaczające zatłoczone lotnisko, a nawet to, co znajdowało się głęboko pod ziemią. Mógł szczegółowo przestudiować najgłębiej osadzone i niezwykle szczelnie osłonięte elementy atomowego napędu *Chicago*. Nie miał jednak na to czasu. Zobaczył także głęboki, wygodny fotel przystosowany do kształtu ludzkiego ciała, przyspawany do podłogi i zaopatrzony w pół tuzina miękkich pasów bezpieczeństwa. Pospieszenie się w nim usadowił i zapiął pasy.

– W porządku?

– W porządku.

Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem, który przedarł się przez kosmiczny skafander i zatyczki do uszu tak gwałtownie, jakby w pobliżu zagrzmiał grom. A był to zaledwie początek. Kierowca odpalił silnik wewnętrznego spalania o mocy ponad tysiąca koni mechanicznych zaprojektowany z myślą o maksymalnej efektywności przez inżynierów, w których słowniku nie występowały odpowiedniki żadnego angielskiego słowa oznaczającego hałas czy nawet dźwięk. Samochód zerwał się z miejsca z przyspieszeniem, które wcisnęło Tellurianina głęboko w fotel. Pisk opon i rosnący ryk silnika połączyły się w jazgot, który wzmocniony przez panujący w stalowej skorupie rezonans niemal rozsadził czaszkę Lensmana.

– Pan cierpi! – wykrzyknął mocno zaniepokojony kierowca. – Uprzedzali mnie, bym łagodnie ruszał i hamował, jechał ostrożnie i unikał wstrząsów. Powiedziano mi, że jest pan kruchy i delikatny, na co sam zwróciłem uwagę i dlatego starałem się prowadzić z najwyższą ostrożnością. Czy jadę zbyt gwałtownie?

– W żadnym wypadku. Nie w tym rzecz. Chodzi o ten makabryczny hałas. – Po czym, uświadamiając sobie, że Rigelianin może nie mieć pojęcia, o co mu chodzi, Samms pospiesznie kontynuował: – Wibracje w atmosferze wynoszą od szesnastu do dziewięciu, a nawet dziesięciu tysięcy drgań na sekundę. – Wyjaśnił, czym jest sekunda. – Mój układ nerwowy jest na te wibracje niezwykle wrażliwy. Ponieważ się ich jednak spodziewałem, optymalnie się przed nimi zabezpieczyłem. Nic więcej nie da się zrobić. Proszę jechać dalej.

– Wibracje atmosferyczne? Wibracje atmosferyczne? Wibracje atmosferyczne? – kierowca ze zdziwieniem skoncentrował się nad tym nowym dla niego konceptem, podczas gdy jednocześnie:

Z prędkością prawie sześćdziesięciu mil na godzinę wyminął obity stałą betonowy słup, przejeżdżając tak blisko niego, że zdarł jedną z ochronnych warstw metalu.

Tak gwałtownie zahamował, by nie zderzyć się z biorącą ostry zakręt ciężarówką, że pasy bezpieczeństwa omal nie przecięły kosmicznego skafandra i ciała Sammsa na pół.

Wcisnął się w tak wąską lukę w potoku pojazdów, że zaledwie ułamki cała dzieliły jego wehikuł od pędzących przed nim i za nim stalowych monstrów.

Zawrócił, skręcając dwukrotnie pod kątem prostym, o włos unikając dzięki temu zderzenia z dwoma pojazdami jadącymi naprzeciw i jednym pędzącym w tym samym kierunku.

Dopełniając ten spektakularny pokaz szaleńczej jazdy, wbił się na pełnej prędkości w magistralę tak nabitą pojazdami, że wydawało się niemożliwością, by zmieścił się na niej jeszcze jeden samochód. A jednak jakimś cudem tego dokonał. Jednak tym razem nie udało się wyminąć innych pojazdów, czy tylko o nie ocierać, doszło do zderzeń i kolizji – co prawda minimalnych, wgniecenia nie miały więcej, niż cal głębokości – nie obyło się też bez huku i łoskotu o potwornym natężeniu.

– Kompletnie nie potrafię zrozumieć, jaki wpływ mogą mieć takie wibracje – oznajmił w końcu Rigelianin, dla którego podobne manewry nie były niczym wyjątkowym. – Nie ma z nich też chyba żadnego pożytku?

– Obawiam się, że nie na tej planecie – przyznał Samms słabym głosem. – Najwyraźniej także tutaj, jak wszędzie, wielkie miasta dławią się nadmiarem pojazdów.

– Tak. Wciąż budujemy nowe drogi, a i tak jest ich za mało.

– Czym są te pagórki wzdłuż ulic? – Od jakiegoś czasu Samms zauważał te długie, niskie, nie przepuszczające światła konstrukcje, zwracając na nie uwagę, gdyż były jedynymi nieprzezroczystymi obiektami w zasięgu umysłu Rigelianina. – Czy może nie powinienem o to pytać?

– Co? A, o nie chodzi? W żadnym wypadku.

Jeden z pobliskich pagórków przestał być nieprzezroczysty. Wypełnił się wirującymi, spiralnymi pasmami i serpentynami energii, które były tak wyraziste i realistyczne, że przypominały tkaninę; niewiarygodnie ruchliwymi obiektami o niemożliwych do opisanie kształtach i konturach; jaskrawo migoczącymi symbolami, których sens, ku swemu wielkiemu

zaskoczeniu, Samms odczytał nie poprzez umysł Rigelianina, lecz dzięki Soczewce.

– TIGMY SMAKUJĄ NAJLEPIEJ!

– Reklamy! – myśl Sammsa zabrzmiała jak pogardliwe prychnięcie.

– Reklamy. Ty także ich nie zauważasz, kiedy prowadzisz? – I w ten sposób ustanowiła się pierwsza prawdziwa więź pomiędzy dwoma najbardziej rozwiniętymi rasami w Pierwszej Galaktyce!

Szaleńcza jazda trwała dalej; narastający jazgot był coraz trudniejszy do zniesienia. Spróbujcie wyobrazić sobie piętnastomilionowe miasto, w którym nie uczyniono żadnych starań, by zmniejszyć panujący na całej jego długości, szerokości, wysokości i głębokości hałas, niezależnie od jego koszmarnego natężenia. Jeśli posiadacie dostatecznie żywą wyobraźnię i potraficie ją odpowiednio wykorzystać, możecie sobie w przybliżeniu uświadomić katusze, na jakie narazony był tego dnia słuch Pierwszego Lensmana Sammsa.

Masywny rigeliański samochód torował sobie drogę, przedzierając się przez nierzednący potok pojazdów i wspinając się po coraz wyżej położonych drogach biegnących pomiędzy stalowymi, pozbawionymi okien murami. W końcu pojazd się zatrzymał, jakieś tysiąc stóp ponad powierzchnią ziemi, obok budynku będącego wciąż w fazie budowy. Otworzyły się ciężkie drzwi wehikułu. Wysiedli.

I wówczas – działo się to przy dziennym świetle – Samms ujrzał feerię kłócących się ze sobą, krzykliwych kolorów, których żadna dysponująca zmysłem wzroku istota nie byłaby sobie w stanie nawet wyobrazić. Czerwienie, żółcie, błękity, zielenie, purpury, wszelkie ich możliwe odcienie czy połączenia, nakładały się na siebie, tryskały i pojawiały w kompletnie przypadkowych konfiguracjach, raniąc jego wzrok równie gwałtownie, jak atakujący jego uszy niewiarygodny hałas.

Samms uświadomił sobie wówczas, że poprzez narządy zmysłów swego przewodnika „widział” jedynie odcienie szarości, że dla tych istot światło „widzialne” różniło się od każdego innego pasma należącego do pełnego elektromagnetycznego spektrum wibracji jedynie długością fali.

Spięty i rozdrażniony Lensman podążył za swym przewodnikiem po wąskim pomoście, wzdłuż muru, przy którym pracowali nitownicy i spawacze, do niemal pozbawionego ścian pokoju, w którym sufit stanowiły jedynie ułożone piętrowo ogromne dwuteowe belki. Jednak

właśnie to pomieszczenie, w którym zebrało się prawie stu Rigelian, było miejscem spotkania!

I kiedy Samms podchodził do tej grupy, tuż za jego plecami, z wysokości jakichś dziesięciu stóp suwnicowy zrzucił na podłogę wążącą kilka ton stalową płytę.

„O mały włos nie wyskoczyłem ze swego skafandra”. Tak Samms opisywał później swoją reakcję i zdaje się, że niewiele mijala się ona z prawdą.

W każdym razie na krótki moment stracił wówczas nad sobą kontrolę i Rigelianin przesłał mu uspokajający impuls myślowy, wyrażający jednocześnie pytanie i zdziwienie. Telluriańska wrażliwość była dla niego równie niezrozumiała, jak dla Sammsa fakt, że dla tych istot niepojęte było pojęcie fizycznych obrażeń. Ci budowniczy nie byli robotnikami w telluriańskim sensie tego słowa. Byli Rigelianami, którzy pracowali kilka godzin w tygodniu dla wspólnego dobra. Odbywające się spotkanie było dla nich równie nieistotne, jak dla robotników na drugim końcu planety.

Samms zamknął oczy, by ochronić je przed chaosem gryzących się ze sobą kolorów, olbrzymim wysiłkiem woli odseparował się od koszarnej kakofonii dźwięków i zmusił każdą komórkę swego mózgu do skoncentrowania się na zadaniu.

– Proszę, aby tak wielu z was, jak to możliwe, zsynchronizowało się z moim umysłem – skierował swą myśl do całej grupy, po czym zaczął wchodzić w kontakt z każdym z umysłów po kolei. I w każdym z nich czegoś brakowało. Niektóre były silniejsze od innych, obdarzone większą inicjatywą, uporem i motywacją, żaden nie spełniał jednak wszystkich warunków. Aż w końcu...

– Dzięki Bogu! – poczucie ulgi i świadomość sukcesu sprawiły, że Samms przestał zwracać uwagę na kolory i hałas. – Nadaje się pan na Lensmana. Czuję, że to pan jest Dronvirem.

– Tak, Virgilu Samms, nazywam się Dronvir. I w końcu wiem, czego przez całe życie poszukiwałem. Co jednak z resztą moich przyjaciół? Czy żaden z nich...?

– Nie wiem i niekoniecznie ja muszę to weryfikować. To pan będzie wybierał... – Samms przerwał, zdumiony. Pozostali Rigelianie wciąż znajdowali się w pomieszczeniu, jednak mentalnie połączony był jedynie z Dronvirem.

– Przewidzieli twoje myśli i wiedząc, że będą raczej osobiste, zostawili nas samych, dopóki któryś z nas nie zaprosi ich, by się przyłączyli.

– Podoba mi się to i bardzo to doceniam. Polecisz na Aryzję. Otrzymasz swą Soczewkę i powrócisz tutaj. Dokonasz selekcji i wyślesz na Aryzję tylu swoich kolegów, ilu wybierzesz. Jako posiadacz Aryzyjskiej Soczewki nalegam, byś podjął się tych działań. Bardzo chciałbym też, przy czym w tym wypadku nie jest to obligatoryjne, byś złożył potem wizytę na Ziemi i przyjął zaproszenie na posiedzenie Galaktycznej Rady. Zgadzasz się na to?

- Zgadzam się. – Dronvir nie potrzebował nawet chwili, by podjąć tę decyzję.

Spotkanie zostało zakończone. Ten sam szofer, który Sammsa przywiózł, odstawił go na *Chicago*, prowadząc równie „powoli” i „ostrożnie” jak poprzednio. I chociaż tym razem katusze, które przeżywał Samms, nie były tak dotkliwe, odczuwał on, że każde gwałtowne szarpnięcie czy ostry zakręt dodawały kolejnego siniaka do kolekcji obrażeń, jakimi w całości pokryte już było jego żyłaste ciało. Odniósł sukces i związane z nim podniecenie działało jak naturalny środek przeciwbólowy.

Kapitan *Chicago* przywitał Sammsa w służbie powietrznej i pomógł mu zdjąć skafander.

– Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku? – Winfield zwrócił się do Sammsa nie jako kapitan, lecz stary przyjaciel. – Co prawda nie sygnalizowałeś żadnych problemów, zaczynaliśmy się jednak martwić... wyglądasz, jakbyś wrócił z valeriańskiej hulanki i za cholerę nie podoba mi się to, jak lekceważysz kontuzje żeber i lewej nogi. Przekażę chłopakom, że wróciłeś w dobrym stanie, na wszelki wypadek wezwę jednak lekarzy, by cię przebadali.

Winfield rozgłosił informację o powrocie Sammsa, który poprzez Soczewkę wyraźnie odebrał falę ulgi i radości, która przetoczyła się przez cały statek. Niezmiernie go to zdumiało. Kimże on był, że ci wszyscy chłopcy tak bardzo przejmowali się tym, czy żyje?

– Wszystko ze mną w porządku – zaprotestował Samms. – Nic mi nie dolega i po dwudziestu godzinach snu obudzę się jak nowo narodzony.

– Być może, jednak i tak najpierw udasz się do izby chorych – nalegał Winfield. – Przypuszczam też, że chcesz, bym odstawił cię z powrotem

na Tellus?

– Zgadza się. I to szybko. Tak się składa, że bal u ambasadora odbędzie się w przyszły wtorek wieczorem i choćbym miał najlepszą nawet wymówkę, nie mogę się z tej uroczystości wymigać.

ROZDZIAŁ 6

Bal u ambasadora, będący jedną z najważniejszych uroczystości roku, rozkręcił się na dobre. Być może nie zaproszono na niego wszystkich grubych ryb, jednak każdy z obecnych był zdecydowanie ważną personą. Bawiło się na nim wiele młodych i pięknych kobiet oraz wielu młodych i przystojnych mężczyzn, nikt nie afiszował się jednak modnymi i drogimi kreacjami, baretkami i medalami, czy kosztowną i wyszukaną biżuterią; unikano także zbytniego neglizżu, makijażu czy perfum.

Nie brakowało też jednak osób z młodszego pokolenia. Bycie pionierem jest domeną młodości, dlatego też reprezentujący kolonie mężczyźni byli młodzi, zaś ich żony – podobnie jak córki i drugie (bądź trzecie, czwarte czy niekiedy piąte) żony przedstawicieli rasy ludzkiej – praktycznie równoważyły proporcje wiekowe.

W tłumie gości były także istoty pozaziemskie. Choć oczywiście nie były to jeszcze czasy, w których ciepłokrwiste, oddychające tlenem stworzenia z setek innych układów słonecznych mogły liczebnością konkurować z obecnymi tam ludźmi. Na parkiecie znajdowało się kilku Marsjan odzianych w swe tradycyjne, jasne togi i tańczących z matematycznie drobiazgową precyzją. Kilku Wenusjan, którzy nie brali udziału w tańcach, siedziało w statecznych pozach, bądź z wielką powagą dreptało po sali. Reprezentowanych było wiele planet z Układu Słonecznego i niemało spoza niego.

Jedna z par wyróżniała się nawet na tle tego wykwintnego i wyśmienitego towarzystwa. Gdziekolwiek się ruszyła, każdy się z nimi witał.

Dziewczyna była wysoka i szczupła, miała zwinne ruchy i niezwykle harmonijną figurę. Jej kallistańska, jedwabna suknia utrzymana w najmodniejszych, niezwykle jaskrawych odcieniach „radioaktywnej” zieleni, lśniła i migotała fluorescencyjnym, fosforyzującym światłem. Jej rąbki ścieliły się po podłodze, jednak powyżej talii materiał tajemniczo znikał, poza kilkoma pasemkami, które przylegały do intymnych części ciała najwyraźniej jedynie dzięki magnetyzmowi właścicielki tej kreacji.

Jako niemal jedyna z obecnych tam kobiet nie przystroiła włosów kwiatami. Jej jedyną biżuterią była zdobiona wielkimi, idealnie dobranymi szmaragdami rozetka osadzona niepewnie na obnażonym, lewym ramieniu. Jej włosy, w odróżnieniu od nieskazitelnych fryzur innych kobiet, zebrane były w krzykliwą, utrzymaną w artystycznym nieładzie, kasztanoworudą czuprynę. Jej łagodne i rozrzewnione oczy – Virgilia Samms potrafiła kontrolować ich wyraz równie perfekcyjnie, jak mistrzowsko wytrenowane ręce – były w tym momencie pełnymi złotych iskerek płowymi studniami dziewczęcej niewinności i ufności.

– Nie mogę obiecać panu kolejnego tańca, panie Herkimer, słowo honoru! – rzekła błagalnym tonem, nieco mocniej przytulając się do młodego człowieka, którego męska uroda dorównywała jej kobiecemu urokowi. – Z wielką chęcią bym to zrobiła, ale po prostu nie mogę i pan wie, dlaczego.

– Jest pani oczywiście zobligowana do kilku innych tańców.

– Kilku? Ta lista nie ma końca! Na pierwszym miejscu jest oczywiście senator Morgan, potem pan Isaacson, panu Ossmenowi odmówiłam, nie znoszę Wenusjan, są tak śliscy, tłuści i odpychający! – potem ta szorstka rogata żaba z Marsa i ten hipopotam z Jowisza...

Kontynuowała wyliczanie i gdy nazywała bądź charakteryzowała poszczególne istoty, palcem lewej ręki delikatnie naciskała prawe ramię partnera, by podkreślić liczbę swych oficjalnych zobowiązań. Jednak dzięki swym utalentowanym palcom, robiła znacznie więcej.

Chociaż Herkimerowi Herkimerowi Trzeciemu daleko było do Don Juana, był niezwykle wytrawnym, dojrzałym i doświadczonym dyplomatą. Dzięki czemu jego oczy, podobnie jak inne części ciała, choć oczy w szczególności, były przez lata szkolone, by w najmniejszym stopniu nie zdradzać tego, co dzieje się w jego głowie. Gdyby o cokolwiek podejrzewał piękną dziewczynę, którą trzymał w ramionach, bądź ktokolwiek zasugerował mu, że robi ona, co w jej mocy, by wydobyć od niego informacje, uśmiechnąłby się jedynie w odpowiedzi tak, jak potrafią to robić jedynie dyplomaci z najwyższej półki. Nie miał co do Virgilia Samms najmniejszych podejrzeń. Choć sama świadomość, że jest ona córką Virgilia Sammsa sprawiła, że zadał sobie nieco więcej trudu, by nie zdradzić zbytniego zainteresowania żadną z wymienianych przez nią postaci. Poza

tym nie patrzyła mu ona w oczy, nie spoglądała nawet na jego twarz. Jej skromnie skierowany w dół wzrok rzadko unosił się ponad jego podbródek.

Były jednak sprawy, o których Herkimer Herkimer Trzeci nie wiedział. Na przykład, że Virgilia Samms była jedyną w swym rodzaju specjalistką od czytania z ruchu mięśni. Że wtuliła się w niego tak mocno nie dzięki jego atrakcyjności, a wyłącznie po to, by mogła najlepiej zrealizować swój plan. Że niekiedy wystarczały jej tylko oczy, lecz w szczególnych przypadkach, gdy chodziło o wiadomości najwyższej wagi, potrafiła korzystać także ze swych wyjątkowo czułych palców i równie wrażliwej skóry. Że intensywnie go studiowała i odnotowywała jego reakcję na każdą wymienianą postać. I że z jego pomocą szuka teraz między tymi reakcjami jakichś zależności. Przede wszystkim zaś, że te zależności zaczynają przybierać mroczny kształt MORDERSTWA!

Zaś Virgilia Samms zastanawiała się teraz nad czymś znacznie ważniejszym i nieskończenie istotniejszym, niż jakiś fikcyjny Galaktyczny Patrol, mając desperacką nadzieję, że Herkimer także nie jest specjalistą od czytania z ruchów mięśni. Zdawała sobie bowiem sprawę, że zdradzała swe sekrety znacznie czytelniej, niż on. Co prawda w najgorszym razie mógł wyczuć tylko mocniejsze bicie jej serca... z czego potrafiłaby się bez problemu wykręcić... Nie, zdecydowanie nie potrafił czytać z ruchów mięśni. Nie patrzył też tam, gdzie trzeba; przyglądał się wyłącznie miejscom, do których oglądania zaprojektowana była ta suknia... i obejmując ją, nawet nie zbliżył dłoni do mięśni, które mogły ją zdradzić.

Gdy jej oczy, palce i powabne ciało przekazywały coraz więcej informacji do jej przenikliwego umysłu, Jill stawała się coraz bardziej zaniepokojona. Nie miała już wątpliwości, że planowano zabójstwo, kto miał być jednak jego ofiarą? Jej ojciec? Możliwe. Wujek Kinnison? Niewykluczone. Ktoś inny? Mało prawdopodobne. I kiedy? Gdzie? W jaki sposób? Nie miała pojęcia! A musiała się tego dowiedzieć... Wymienianie imion nie wystarczało, jednak osobiste pojawienie się... Dlaczego nie było jeszcze jej ojca... choć wołała, by się dziś nie pojawiał.

Virgil Samms wszedł do sali balowej.

– A tato kazał mi z każdym z nich zatańczyć – zaświergotała słodkim głosem, po raz pierwszy od minuty spoglądając w jego oczy – Rozumiesz więc, Herkimerze... Och, oto i on, tam! Zastanawiałam się, gdzie się

podziewa. – Nie przestając szczebiotać, kiwnęła głową w kierunku wejścia.
– On prawie nigdy się nie spóźnia i...

Spojrzał w tę stronę i gdy jego oczy napotkały wzrok Pierwszego Lensmana, Jill otrzymała odpowiedzi na te trzy tak bardzo nurtujące ją pytania. Jej ojciec. Tutaj. Wkrótce. Sama nie wiedziała, jak zmusiła się do zachowania spokoju, jednak jakimś cudem jej się to udało.

Choć niczego nie dała po sobie poznać, wewnątrz cała kipiała; nigdy w życiu nie czuła tak silnego psychicznego napięcia. Co mogła zrobić? Choć o wszystkim wiedziała, nie miała żadnych namacalnych dowodów, a jej najmniejszy nawet błąd mógł mieć natychmiastowe i katastrofalne konsekwencje.

Po zakończeniu tego tańca może być już za późno. Mogła opuścić parkiet pod byle pretekstem, wyglądałoby to jednak podejrzanie... wiedziała też, że dopóki jest z Herkimem, żaden z nich nie skieruje na nią swej Soczewki... przekłete dobre maniere!... Mogła spróbować pomachać do ojca, przecież nie widziała się z nim od tak dawna... nie, najmniej ryzykowne będzie rozegranie tego z Mase'em. Spoglądał na nią, kiedy tylko miał ku temu okazję, i sprawi, by skorzystał z Soczewki...

Northrop spojrzał w jej stronę i Jill ponad ramieniem Herkimera przez ułamek sekundy pozwoliła, by na jej twarzy odmalowało się wypełniające ją przerażenie.

– Potrzebujesz mnie, Jill? – Jego wzmocniona przez Soczewkę myśl zaledwie musnęła jej umysł. Pełny kontakt był bardziej intymny, niż pocałunek; nikt oprócz ojca nie wykorzystywał w stosunku do Jill pełnej mocy Soczewki. Mimo to dziewczyna nie ustępowała:

– Potrzebuję! Jak nigdy w życiu! Szybciej, Mase, wejdź ze mną w pełen kontakt!

Mase z pewną nieśmiałością połączył się z umysłem dziewczyny, gdy tylko jednak przekazała mu ona swą wiedzę, jego nieśmiałość wyparowała w mgnieniu oka.

– Jack! Spud! Panie Kinnison, panie Samms! – Myśli, które wysyłał przez Soczewkę, były gwałtowne i kategoryczne, niemal histeryczne.

– Uspokój się, Mase, przejmuję kontrolę – odezwał się Roderick Kinnison głębokim, spokojnym głosem. – Przede wszystkim, kwestia broni. Czy ktoś oprócz mnie ma pistolet? Ty, Spud?

– Tak jest!

– To oczywiste. Mase, Jack, a wy?

– Mamy swoje Lewistony!

– Bez wątpienia. Miotacze, mój czasem niezbyt lotny synu, to do niektórych zadań rzeczywiście świetna broń. W wyjątkowych przypadkach można zabić kilkadziesiąt niewinnych osób. Jednak w takim tłumie znacznie lepiej trafić tylko w tego, w kogo się celuje. Natychmiast skoczcie do mojego samochodu po inną broń i szybko wracajcie. – Wszyscy wiedzieli, że samochód Rodericka Kinnisona był prawdziwym arsenałem na kółkach. – Szkoda też, że nie jesteś w mundurze, Virge, ale nic już na to nie poradzimy. Przejdź powoli do północno-zachodniego narożnika sali. Ty także, Spud.

– „To niemożliwe! To wprost nie do pomyślenia!” i „Tak naprawdę niczego nie jestem pewna...”. Samms i jego córka równocześnie zaczęły wyrażać swe wątpliwości.

– Gadasz głupoty, Virgil. Uspokój się i zacznij używać mózgu. A twoja wiedza, Jill, jest dla mnie wystarczająca, by podjąć szereg konkretnych działań. Możesz się już uspokoić, wszystko będzie dobrze. Virgil jest pod naszą ochroną i wezwałę wsparcie. Widzę, że udało ci się trochę uspokoić. To dobrze! Nie będę przed nikim ukrywał, że najbliższe minuty mogą być decydujące. Czy jesteś pewna, Jill, że Herkimer jest kluczową figurą?

– Absolutnie pewna, wujku. – Teraz, gdy wszystko było już pod kontrolą Lensmanów, czuła się o wiele lepiej. – Przynajmniej co do tego nie mam wątpliwości.

– W porządku! Teraz daj mu się namówić na każdy taniec. I nie spuszczał z niego oka. Na pewno zna sygnał do rozpoczęcia zamachu i tego, kto ma go dokonać, i gdyby udało ci się uprzedzić nas o tym nawet o sekundę wcześniej, będzie to dla nas nieoceniona pomoc. Dasz radę?

– Oczywiście, że tak, z wielką chęcią, wielki, oślizgły, śmierdzący padalec! – Myśli dziewczyny przełożone na język mówiony mogły wydawać się nieco chaotyczne, jednak Kinnison dokładnie wiedział, o co jej chodzi.

– I jeszcze jeden detal, Jill. Wrócili chłopcy i przemieszczają się ze swoimi partnerkami w waszym kierunku. Sprawdź, czy Herkimer zauważy, że zmienili kabury.

– Nie zauważył – zameldowała Jill po chwili. – Nawet ja, choć dokładnie się przyjrzałam, nie zauważyłam różnicy.

– A jednak jest, przy czym Mark Siedemnastka różni się od Piątki zdecydowanie bardziej, niż łopata od szpadla – odparł Kinnison sucho. – Chociaż cywile mogą rzeczywiście tego nie zauważać. Wystarczy, chłopcy, nie podchodźcie zbyt blisko. A teraz, Virge, bądź w stałym kontakcie z Jill i z nami, by nie zdradził jej jakiś okrzyk czy gest, i...

– Przecież to jakiś absurd – zaprotestował Samms gwałtownie.

– Absurd jak diabli. – Roderick Kinnison nie tracił zimnej krwi i wyłącznie pojawienie się w jego słownictwie niezbyt salonowych wyrażeń świadczyło o napięciu. – Przestań udawać cholernego bohatera i zacznij w końcu używać szarych komórek. Odrzuciłeś proponowane ci pięćdziesiąt milionów kredytów. Jak myślisz, dlaczego zaproponowali ci tak olbrzymią sumę, mogąc za sto kredytów wynająć zabójcę? I czy został im jeszcze jakiś inny wybór?

– Ale przecież nie udałoby się im z tego wykryć, Rod, nie na balu u ambasadora. Wątpię, by uszło im to na sucho.

– Dawniej na pewno nie. Początkowo też tak sądziłem. Ale to przecież właśnie ty przekonywałeś mnie ostatnio, jak bardzo zmieniły się metody popełniania przestępstw. W dzisiejszych czasach im większa jest rozróża i zamieszanie, tym łatwiej pozostać bezkarnym. Niech to w końcu do ciebie dotrze, ty rudowłose baranie.

– Cóż... być może masz rację... – przyznał w końcu Samms.

– Oczywiście, że ją mam, do jasnej cholery, i świetnie o tym wiesz. A wy, chłopcy, szczególnie Jack i Mase, musicie się trochę rozluźnić. Nie uda wam się oddać celnego strzału, jeśli będziecie napięci jak struny. Zajmijcie się czymś, porozmawiajcie z partnerkami lub pomyślcie o Jill...

– Z tym nie będzie kłopotu, sir – odparł Mase Northrop z lekkim uśmiechem. – Wiesz, Jill, o czymś mi to przypomniało. Mentor trafił w samo sedno, mówiąc, że nigdy nie będziesz potrzebowała Soczewki.

– Tak? – spytała Jill zaczepnie. – Nie widzę żadnego związku.

– Nie? Założę się, że wszyscy inni widzą. Co wy na to? – Pozostali Lensmani, łącznie z Sammsem, zgodzili się z entuzjazmem. – Czy sądzisz, że któryś z tych typów, szczególnie Herkimer Herkimer Trzeci, pozwoliłby umundurowanemu funkcjonariuszowi z bronią zbliżyć się do siebie na tyle, by ten mógł zapuścić żurawia do jego umysłu?

– Och... Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale to prawda i bardzo mnie to cieszy... ale tato, wspominałeś coś o uzbrojonych posiłkach. Masz jakieś pojęcie, ile to może potrwać? Mam nadzieję, że z waszym wsparciem dam sobie radę, jednak...

– Poradzisz sobie, Jill. Góra dwie albo trzy minuty.

– Posiłkach? Uzbrojonych? Co masz na myśli? – wtrącił się Samms.

– To, co słyszałeś. Całą cholerną armię. Przesłałem dwugwiazdkowemu komandorowi Alexandrowi Claytonowi myśl, która poderwała go z fotela. Wszystko co ma w pełnej gotowości bojowej. Lekkie i ciężkie pojazdy opancerzone, pełną eskortę ambulatoryjną, wszystko od góry do dołu, śmigacze, helikoptery bojowe i całą ciężką artylerię, w skrócie, wszystko, czego potrzebujemy. Gdybym się odważył, ucieklibyśmy z tobą wcześniej, jednak ulotnimy się dopiero wtedy, kiedy pojawi się wsparcie.

– Gdybyś się odważył? – spytała wstrząśnięta tą myślą Jill.

– Tak, moja droga. Nie odważyłem się. Jeśli coś złączym, zrobimy, co trzeba, modłę się jednak, by do tego nie doszło.

Jednak modły Kinnisona, jeśli rzeczywiście je wznosił, nie zostały wysłuchane. Jill usłyszała wyraźny, choć bardzo zwyczajny i cichy dźwięk, jakby ktoś upuścił długopis. Poczła też niezwykle lekkie drgnięcie mięśnia. Odebrała niemal nieodczuwalne napięcie mięśni karku, w wyniku którego Herkimer odwróciłby głowę w określonym kierunku, gdyby się przed tym nie powstrzymał. Jill błyskawicznie skierowała w tamtą stronę wzrok, w ułamku sekundy oceniając sytuację. Pewien mężczyzna dyskretnie sięgał ręką do kieszeni, jakby po chusteczkę. Jednak mężczyźni na balu u ambasadora nie nosili niebieskich chusteczek, podobnie jak żadna, niezależnie jak farbowana tkanina, nawet w przybliżeniu nie przypominała błękitnej stali automatycznego pistoletu.

Jill krzyknęła i wskazała palcem, nie zdążyła jednak zrobić żadnej z tych rzeczy. Dzięki jej połączeniu z ojcem, Lensmani widzieli to samo, co ona, w momencie, gdy na to patrzyła. Dlatego też pięć wystrzałów, które niemal zlały się w jeden, zabrzmiało zanim dziewczyna zdążyła krzyknąć, wskazać, czy choćby się poruszyć. Potem krzyknęła, ponieważ krzyczały też jednak dziesiątki innych kobiet, nie miało to już żadnego znaczenia.

Conway Costigan, kosmiczny wyga o świetnej reakcji, mający na koncie lata treningu w strzelaniu i walce wręcz, wystrzelił pierwszy, sprzedając zamachowca. I ta odruchowa szybkość Costigana ocaliła tego

dna życie Virgila Sammsa, a niedoszły zabójca umierał z kulą w głowie, zanim skończył pociągać za spust. Ręka umierającego szarpnęła się w górę. I kula, która miała przeszyć serce Sammsa, ugodziła wyżej, przebijając mięśnie jego ramienia.

Roderick Kinnison z powodu wieku oraz jego syn i Northrop z powodu braku doświadczenia byli o ułamek sekundy wolniejsi. Nie celowali jednak w głowę, lecz w korpus, i każda z zadanych ran była śmiertelna. Mężczyzna upadł i znieruchomiał.

Samms zachwiał się, jednak nie upadł, dopóki Kinnison senior, tak łagodnie, jak to było możliwe, nie powalił go na ziemię.

– Odsuńcie się! Zróbcie mu miejsce! – zabrzmiały w tłumie okrzyki.

– Niech mężczyźni się cofną. I któryś pójdzie po nosze. Kobiety proszę o podejście. Stanowczy, nawykły do rozkazywania głos Kinnisona zagłuszał wszystkie inne dźwięki. – Czy jest tu jakiś lekarz?

Lekarz się znalazł i po szybkim przeszukaniu na obecność broni natychmiast zajął się Sammsem.

– Joy, Betty, Jill, Clio. – Kinnison wezwał swą żonę i córkę, Virgilię Samms i panią Costigan. – Najpierw wasza czwórka. Teraz panie, po kolei – kontynuował, wskazując najwyższe i najtęższe kobiety w najbardziej obszernych sukniach. – Stańcie tutaj, przed nim. Zasłońcie go tak, żeby nikt nie mógł do niego strzelić. Pozostałe kobiety niech staną za nim i pomiędzy tymi pierwszymi, jak najbliżej siebie, tak, żeby nie było najmniejszego prześwitu, właśnie tak! Jack, stań tutaj, Mase tam. Costigan z drugiej strony, ja stanę tutaj. Teraz słuchajcie wszyscy. To absolutnie oczywiste, że żadna z kobiet nie mogła ukryć broni powyżej pasa, dzięki Bogu wszystkie mają też na sobie szerokie suknie balowe! Panowie, jeśli którakolwiek z kobiet spróbuje unieść swą suknię choćby na milimetr, natychmiast strzelcie jej w łeb bez zadawania pytań.

– Protestuję, to oburzające! – wykrzyknęła jedna z matron.

– W pełni się z panią zgadzam, madame. To oburzające. – Kinnisonowi udało się przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu. – Jest to jednak konieczne. Przepraszę każdą z pań i pana doktorze, nawet na piśmie, kiedy tylko Virgil Samms znajdzie się na pokładzie *Chicago*. Jednak zanim to nie nastąpi, nie zaufam nawet własnej babci.

Lekarz spojrzał na niego.

– Mam się nim zająć na *Chicago*? Ta rana nie wygląda co prawda zbyt groźnie, jednak ten mężczyzna powinien się jak najszybciej znaleźć w szpitalu. O, są nosze. Tak... poproszę... ostrożnie... właśnie tak, świetnie. Proszę natychmiast wezwać karetkę.

– Już dawno to zrobiłem. Szpital nie wchodzi jednak w grę, doktorze. Jest tam masa niestrzeżonych okien, może też zostać zbombardowany. Nie ma mowy. Nie mogę podjąć najmniejszego nawet ryzyka!

– Przecież ryzykujesz własnym życiem! – wtrąciła ostrym tonem Jill, klęcząca u boku ojca. Upewniwszy się, że nic nie zagraża życiu Pierwszego Lensmana, na powrót skupiła się na tym, co działo się wokół. – Dobrze wiesz, że także jesteś ważną osobistością, a stoisz wyprostowany, cały na widoku. Weź drugie nosze, połóż się na nich, a my osłonimy także ciebie... Przestań być taki uparty i zastosuj się do własnych wskazówek! – dodała z wściekłością, widząc jego wahanie.

– Nie upierałbym się, jeśli byłoby to naprawdę konieczne. Ale nie jest. Gdyby udało im się go zabić, rzeczywiście byłbym następny w kolejce. Jednak tylko go drasnęli i zabicie najlepszego nawet zastępcy niczego by im nie dało.

– Drasnęli? – zawrzała Jill z oburzenia. – Nazywasz tę koszmarną ranę draśnięciem?

– A co? Oczywiście, że to draśnięcie, i tylko dzięki tobie tak to się skończyło. – Odwrócił się i spojrzał na nią z nieudawanym zdziwieniem. – Kości całe, główne tętnice nie naruszone, kula ominęła płuco; za kilka tygodni będzie zdrów jak ryba.

– A teraz – kontynuował, podnosząc głos – proszę panie o podniesienie noszy i wszyscy przejdziemy w kierunku drzwi.

Kobiety, wyraźnie zadowolone z faktu, że znalazły się w centrum uwagi, przestały okazywać oburzenie i bez protestów wypełniły jego polecenie.

– Mam pytanie, chłopcy. – Kinnison przesłał tę myśl przez Soczewkę. – Czy którykolwiek z was, może Costigan, zauważył jakiegokolwiek oznaki zaplanowanego zamieszania, dzięki któremu zamachowiec mógłby uciec niepostrzeżenie, gdybyśmy go nie powstrzymali?

– Nie, sir – odparł natychmiast Costigan. – Ja niczego nie zauważyłem.

– Jack, Mase? Zapewne nie zwracaliście na to uwagi?

Faktycznie, żaden z nich nie zdążył o tym pomyśleć.

– Nauczycie się tego, że aby robić to odruchowo trzeba przeżyć kilka takich akcji. Jednak ja także niczego nie zauważyłem, więc jestem pewien, że nic takiego się nie działo. To profesjonaliści, szybko się połapali.

– Nie sądzi pan, sir, że powinienem zająć się tym w ramach operacji Boskone?

– Nie. – Kinnison zmarszczył brwi, rozmyślając. – Ten zamach został bardzo przemyślnie zaplanowany. Wszystkie dowody, które udałooby się znaleźć, zostały najprawdopodobniej podłożone. Niech się temu przyjrzą wojskowi, a my trzymajmy się własnych...

Na zewnątrz zawyły syreny.

Kinnison wysłał myśl, by zorientować się w sytuacji:

– To ty, Alex?

– Tak. Gdzie podstawić te dziewięćdziesiątkiszóstki z lekarzami i pielęgniarkami? Brama jest dla nich zbyt wąska.

– Rozwal mur. Potem przejedź przez trawnik. Pod same drzwi. I nie przejmuj się całym tym blichтром, traturuj wszystko po drodze. Niech twój adiutant przekaze, że wyslemy im rachunek za zniszczenia. Samms jest ranny w ramie. To nic powaznego, ale zabiorę go do Wzgórza, gdzie będzie bezpieczny. Który statek jest w powietrzu, *Boise* czy *Chicago*? Nie miałem czasu, żeby to sprawdzić.

– Obydwa.

– Dobra robota.

Jack Kinnison patrzył w osłupieniu na olbrzymi czołg, który jadąc powoli przez teren ambasady miażdżył posągi, fontanny i ozdobne drzewka, wgniatając je w ziemię. Chłopak oblizał wyschnięte wargi. Spojrzał na oddział żołnierzy przeczesujących okolicę i rewidujących gości. W powietrzu wisały helikoptery, nad którymi unosiło się dziewięć lekkich krążowników, ewidentnie i złowieszczo gotowych do ataku. Jeszcze wyżej pojawiły się długie słupy ognia, które, jak już wiedział, oznaczały położenie dwóch bojowych statków kosmicznych, najpotężniejszych maszyn zagłady stworzonych przez człowieka. Krew zaczęła odpływać mu z twarzy.

– Boże przenajświętszy, tato! – Chłopak dwa razy przełknął ślinę. – Nie miałem pojęcia... Faktycznie mogli to zrobić.

– Nie tylko mogą, synu. Z całą pewnością by to zrobili, gdyby tylko udało im się na czas ściągnąć tu ciężki sprzęt. – Usta Kinnisona seniora pozostawały mocno zaciśnięte, a jego bystre oczy nawet na ułamek sekundy

nie traciły czujności, gdy przesyłał tę myśl przez Soczewkę. – Nie możemy od was wymagać, byście o wszystkim wiedzieli, jednak dzisiaj przyspieszony kurs nauczania. I tę lekcję macie sobie wyryć na hełmach. W całym cholernym kosmosie nie ma nic cenniejszego, niż życie Virgila Sammsa! Gdyby im się dzisiaj udało, nie byłoby w tym tak naprawdę mojej winy, jeśli jednak zabiją go teraz, wina spadnie wyłącznie na mnie.

Lądowy krążownik z chrzęstem zahamował na żwirze tuż przy samym wejściu i wyskoczył z niego ubrany na biało mężczyzna.

– Proszę mi pozwolić obejrzeć rannego...

– Nie teraz! – odmówił Kinnison ostrym tonem. – Dopiero kiedy cztery cale mocnej stali będą odgradzać go od każdego, kto próbowałby zakończyć to, co zaczęli. Ustawcie się dookoła niego i wnieście go na pokład, szybko!

Będący pod nieustanną i ścisłą ochroną Samms został umieszczony we wnętrzu dziewięćdziesiątkiszóstki i dopiero, gdy zatrzęsnęły się jej masywne drzwi, Kinnison westchnął z olbrzymią ulgą. Kawalkada pojazdów ruszyła.

– Jedziesz z nami, Rod? – krzyknął do niego komandor Clayton.

– Tak, ale dopiero za kilka minut; mam tu coś jeszcze do załatwienia. Niech poczeka na mnie samochód sztabowy, później do was dołączę. – Następnie zwrócił się do trzech młodych Lensmanów i dziewczyny. – Dzisiejsze wydarzenie pokrzyżowało nieco nasze plany, mam jednak nadzieję, że w niewielkim stopniu. Operacje Mateese i Boskone nie ulegają zmianie; Jill i Costigan mogą kontynuować swoje zadania; Northrop, będziesz musiał wprowadzić Jill w operację Zwilnik i zorientować się, co sama wie na ten temat. Co prawda Virgil zamierzał zrobić to osobiście dziś wieczorem, po tym całym zamieszaniu, jednak ty równie dobrze znasz już ten temat. Skoordynujcie działania z Knobosem, DalNaltenem i Fletcherem. Dopóki Virgil nie stanie na nogi, będziesz musiał wspólnie z Jackiem pracować nad operacją Zabriska i Zwilnik, Virgil będzie z wami w kontakcie przez Soczewkę. Zbierzcie informacje i działajcie według własnego uznania. Do roboty! – Ruszył w stronę czekającego na niego sztabowego samochodu.

– Boskone? Zwilnik? – spytała Jill. – O co tu chodzi, co oznaczają te nazwy?

– Jeszcze tego nie wiemy; chcemy tak chyba nazwać kilka planet...

– Co to za dyrdymały – przerwała mu Jill drwiącym tonem. – Możesz mówić z sensem, Mase? Co oznacza Boskone?

– To prosty, charakterystyczny, łatwy do wymówienia neologizm; wydaje mi się, że zaproponował go doktor Bergenholm...

– Przecież wiesz, o co mi chodzi, ty... – przerwała mu, jednak sama umilkła w pół słowa, uciszona błyskawicznie przesłaną jej przez Jacka myślą. Była ona bardzo łagodna, na granicy umożliwiającej kontakt czytelności, jednak wystarczyło to, by dziewczyna drgnęła.

– Zastanów się, co robisz, Jill, bo zachowujesz się, jakby odebrało ci rozum, co nie jest zresztą dla mnie szczególnie zaskoczeniem. Przestań mówić na głos. Mogą się tu znajdować osoby potrafiące czytać z ruchu warg, albo istoty o niezwykle czułym słuchu. Czy to nie zabawne? – Przesłał jej mentalny odpowiednik krzywego uśmiechu, po czym kontynuował. – Wiesz już, czym jest operacja Mateese, jako że dotyczy twojej ukochanej polityki. Operacja Zwilnik to narkotyki, prostytutka i tym podobne. Operacja Boskone dotyczy piratów, dowodzi nią Spud. Operacja Zabriski, za którą odpowiadam ja i Mase, związana jest z badaniem nietypowych zakłóceń w subeterze. Przyłącz się, Mase, i kontynuuj; widzimy się na pokładzie. Powodzenia, Jill!

Młody Kinnison wycofał się z jej umysłu i jego miejsce zajął Northrop. Różnica była kolosalna! Mace wszedł z nią w mentalny kontakt równie delikatnie i czujnie, jak Jack, gotowy momentalnie wycofać się przy najmniejszym nawet ryzyku naruszenia jej prywatności. Jednak w przeciwieństwie do Mase'a, Jack od samego początku w irytujący sposób głaskał ją mentalnie pod włos!

– Powiedz mi coś więcej o operacji Zwilnik – zaczęła Jill.

– Zaczniemy od czegoś innego. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że ty i Jack... nie twierdzą, że nadajecie na innych falach, czy nie możecie się zsynchronizować, jednak... no cóż, tak, jakbyście...

– Próbowali się nawzajem ustrzelić? – zasugerowała Jill.

– Niezupełnie. Raczej siłowali. Przeciągali linę. Więc też to zauważyłaś?

– Oczywiście. Sądziłam jednak, że tylko ja i Jack to widzimy. To jak ból zęba, możesz go znieść, ale czujesz ogromną ulgę, kiedy mija. Cholernie lubię Jacka, ale na odległość.

– A my pasujemy do siebie jak dwa idealnie zestrojone obwody. Jack nie minął się z prawdą mówiąc, że ty... to znaczy, on... Do teraz nie bardzo w to wierzyłem, jeśli jednak... zdajesz sobie oczywiście sprawę, co do ciebie czuję?

Jill kompletnie zatkało. Uniosła ze zdumieniem brwi i powiedziała na głos:

– Nie miałam zielonego pojęcia.

– Oczywiście, że nie. Dlatego użyłaś głosu. Też zauważyłem, że nie potrafię skłamać, kiedy korzystam z kontaktu telepatycznego. Czuję się jak ostatnia gnida, szczególnie, że mamy tyle roboty, musisz mi jednak dać jakąś odpowiedź. Potem, niezależnie, co powiesz, całkowicie poświęcę się pracy. Czy zostałem wyrzucony w otwarty kosmos bez skafandra?

– Nie sądzę. – Jill oblała się rumieńcem, jednak jej głos pozostał spokojny. – Zasługujesz na skafander i wystarczający zapas tlenu, by dotrzeć do innej planety, innego celu. A teraz weźmy się lepiej do pracy.

– Tak. Stokrotne dzięki, Jill. Zdaję sobie sprawę, że to nieodpowiedni czas na podobne rozmowy, musiałem to jednak wiedzieć. – Głęboko zaczerpnął powietrza. – I na tę chwilę o nic więcej nie pytam. Teraz nastaw się na odbiór.

Jill osłabiła mentalną blokadę, przy czym tym razem okazało się to zadziwiająco łatwe; niemal tak, jak podczas kontaktów z ojcem. Mace błyskawicznym strumieniem myśli przesłał jej wszystko, co wiedział na temat czterech operacji, po czym podsumował:

– Operacja Zabriska nie jest moim stałym przydziałem. Kiedy tylko twój ojciec wróci do pracy, będę najprawdopodobniej razem z tobą pracował przy operacji Mateese. Teraz mam być kimś w rodzaju łącznika, jako że Knobos i DalNalten nie znają cię na tyle dobrze, by użyć na tobie swoich Soczewek. Zgadza się?

– Tak. Pana Knobosa spotkałam tylko raz, a doktora DalNaltena nigdy nie miałam okazji poznać.

– Jesteś gotowa skontaktować się z nimi przez moją Soczewkę?

– Tak. Zaczynajmy.

Dołączyło dwóch Lensmanów. I choć weszli oni w kontakt tylko z Northropem, ich myśli, nałożone na myśli Mase'a, docierały do dziewczyny równie wyraźnie, jakby cała ich czwórka rozmawiała ze sobą twarzą w twarz.

– Niesamowite uczucie! – wykrzyknęła Jill. – Toż to przechodzi wszelkie wyobrażenie!

– Przepraszamy za kłopot, panno Samms.

Jill ponownie ogarnęło zdumienie. Choć cichy głos rozbrzmiewający w głębi jej umysłu miał charakterystyczną marsjańską intonację, zniknęły typowe dla Marsjan, szorstkie, gardłowe samogłoski i syczące spółgłoski, zastąpione nieskazitelną angielską wymową.

– Och, nie to miałam na myśli. To naprawdę żaden kłopot. Po prostu nie zdążyłam jeszcze przywyknąć do telepatii.

– Nam również trudno się do niej przyzwyczaić. Poprosiliśmy jednak o to spotkanie, by zapytać, czy dysponuje pani jakimikolwiek nowymi informacjami związanymi z operacją Zwilnik, które mogłyby poszerzyć naszą niezwykle skromną wiedzę na ten temat?

– Obawiam się, że mam ich bardzo niewiele, głównie domysły i niepewne wnioski. Ojciec zapewne wspominał wam o moich metodach pracy?

– Tak. Nie oczekujemy szczegółowych danych. Nawet drobne wskazówki, sugestie czy prawdopodobne tropy mogą mieć nieocenioną wartość.

– No dobrze; spotkałam wyjątkowo niskiego i tłustego Wenusjanina, niejakiego Ossmena, na przyjęciu w europejskiej ambasadzie. Czy któryś z was go zna?

– Słyszałem o nim – odparł DalNalten. – To kupiec o wysokiej reputacji. Prowadzi na Tellusie interesy na taką skalę, że musi tu spędzać większość czasu. Nie figuruje w żadnej z naszych kartotek... jednak nie ma w tym niczego podejrzanego. Proszę kontynuować, panno Samms.

– Chociaż nie przyszedł na przyjęcie razem z senatorem Morganem, zawarł z nim tamtej nocy jakiś rodzaj umowy. Jestem pewna, że chodziło o thionit. I jest to jedyna nowa informacja, jaką dysponuję.

– Thionit! – Wszyscy trzej Lensmani byli w równym stopniu zaskoczeni.

– Tak. Bez wątpienia chodziło o thionit.

– Czy jest pani absolutnie pewna, panno Samms? – Knobos był śmiertelnie poważny.

– Nie mam absolutnej pewności, że ta konkretna umowa dotyczyła thionitu, choć prawdopodobieństwo wynosiło dziewięć do dziesięciu.

Jestem jednak przekonana, że zarówno senator Morgan, jak i Ossmen wiedzą bardzo wiele na temat thionitu i usiłują to ukryć. Obaj reagowali wysoce pozytywnie; współczynnik prawdopodobieństwa znacznie przekracza sześć sigma.

Nastąpiła pauza, którą przerwał Marsjanin, jednak jego myśl nie była skierowana do żadnego z rozmówców.

– Sid! – zawołał i nawet Jill poczuła szybkość przesłanego przez Soczewkę myślowego impulsu.

– Tak, Knobosie? Tu Fletcher.

– Chodzi mi o towar, który przechwyciłeś na asteroidach. To heroina, hadiv i ladolian? Nie było tam thionitu?

– Żadnego thionitu. Pamiętaj jednak, że część tej szajki zdołała uciec. Mogę jedynie potwierdzić, że nie widzieliśmy żadnego thionitu, ani o nim nie słyszeliśmy. Były oczywiście plotki na ten temat, jednak zawsze się jakieś pojawiają.

– Oczywiście. Dziękuję, Sid. – Genialny aparat umysłowy Marsjanina pracował na pełnych obrotach i Jill miała wrażenie, że słyszy szmer wirujących zębatek. Następnie odbyła się równie błyskawiczna wymiana myśli z Wenusjaninem i po kilku sekundach dziewczyna straciła wątek.

– Mam jeszcze jedno pytanie, panno Samms – odezwał się DalNalten. – Czy wyczuła pani cokolwiek, co mogłoby wskazywać na powiązania Ossmena czy Morgana z jakimś urzędnikiem bądź pracownikiem firmy „Podróże Międzygwiazdne”?

– „Podróże Międzygwiazdne”! Isaacson? – Jill zapało dech. – Ale... Nikt nawet nie zakładał takiego scenariusza. Nikt mi w każdym razie o tym nie wspomniał. A sama nie miałam podstaw, by zająć się tym wątkiem.

– Ten wariant nasunął mi się dosłownie przed chwilą, kiedy wspomniała pani o thionicie. Nawet jeśli istnieje jakiś związek, będzie go niezwykle trudno wyśledzić. Ponieważ jednak wszystkie strony, których ta sprawa dotyczy, zostaną najprawdopodobniej objęte prowadzoną przez was operacją Mateese, a każda zdobyta informacja, zarówno pozytywna jak i negatywna, może mieć ogromne znaczenie, byłibyśmy wdzięczni, gdyby miała pani ten wątek na uwadze.

– Ależ oczywiście. Chętnie się tym zajmę.

– Dziękujemy za pani przychyłność i pomoc. Teraz, kiedy znamy już strukturę pani osobowości, będziemy się co jakiś czas kontaktować. Niech

nieśmiertelny Grolossen czuwa nad rekonwalescencją pani ojca.

ROZDZIAŁ 7

Tego samego dnia wieczorem, czy raczej bardzo wczesnym rankiem dnia następnego, senator Morgan i jego pierwszy sekretarz spotkali się potajemnie w biurze zaopatrzonym w podwójną ochronę przeciwko promieniom szpiegującym. Rumieniec goszczący zwykle na okrągłej, masywnej twarzy Morgana stracił nieco na intensywności, a palce jego lewej ręki bębniły bezdźwięcznie po szklanym blacie biurka. Jego szare, przebiegłe oczy były jednak jak zwykle przenikliwe i wyrachowane.

– Ta sprawa śmierdzi, Herkimerze... i wymaga... nie potrafię jednak określić, co poszło nie tak. Operacja była dokładnie zaplanowana. To był wyborowy strzelec, nie miał prawa chybić. Do ostatniej sekundy wszystko szło idealnie. A potem – bum! Pełne fiasko. Wylądował Patrol i przejęli pełną kontrolę. Gdzieś musiał nastąpić przeciek, ale gdzie, do jasnej cholery?

– Nie mogło być żadnego przecieku, szefie, to nie trzyma się kupy. – Sekretarz rozprostował długie nogi, powtórnie założył jedną na drugą w odwrotną stronę, zgasił na wpół spalonego papierosa i odpalił następnego. – Gdyby nastąpił jakikolwiek przeciek, nie poprzestaliby na zabiciu szeregowego wykonawcy. Wie pan równie dobrze, jak ja, że Rocky Kinnison to najtwardszy gość po tej stronie piekła. Gdyby cokolwiek wiedział, zabiłby każdego, kto stanął mu na drodze, łącznie z nami. Poza tym, nie pozwoliliby Sammsowi zbliżyć się do tego miejsca nawet na dziesięć tysięcy mil. Co do tego nie mam wątpliwości. Jestem też pewien, że nie ściągałby wojska dopiero wtedy, kiedy było już po wszystkim. Nie, szefie, nie było żadnego przecieku. Cokolwiek jeden z nich wywąchał, a zapewne był to Samms, który jest diabelnie bystry, znacznie bardziej niż Kinnison, zdarzyło się to już na miejscu. Musiał zauważyć, jak Brainerd sięga po broń.

– Zastanawiałem się nad tym i pewnie bym w to uwierzył, gdyby nie pewna okoliczność. Najwyraźniej nie uwzględniłeś tego, ile czasu minęło pomiędzy strzelaniną a pojawieniem się czołgów.

– Wybacz, szefie. – Na twarzy Herkimera odmalowało się rozgoryczenie. – Tutaj się nie popisałem.

– Bez wątpienia. Minuta i pięćdziesiąt osiem sekund.

– To niemożliwe!

Morgan nie odpowiedział.

– Patrol jest oczywiście bardzo szybki... i zawsze jest w gotowości bojowej... i mogli przerzucić sprzęt za pomocą promieni transportowych, nie korzystając z klasycznego napędu... jednak nawet wówczas... według mojej oceny to pięć minut, szefie. Cztery i pół minuty to absolutne minimum.

– Zgadza się. I jakie są twoje wnioski?

– Rozumiem, do czego pan zmierza. I nie potrafię wyciągnąć żadnych wniosków. To całkowicie zmienia postać rzeczy. Część faktów przemawia za tym, że przeciek nastąpił pomiędzy dwiema i pół a trzema minutami przed podniesieniem alarmu. Proszę mi powiedzieć, szefie, czy to ma jakiś sens?

– Nie. I to mnie właśnie martwi. Jak sam powiedziałaś, fakty, którymi dysponujemy, prowadzą do sprzecznych wniosków. Ktoś musiał się czegoś dowiedzieć przed początkiem akcji. Lecz jeśli tak było, dlaczego nie zrobili nic więcej? I co z Murgatroydem? Jeśli o nim nie wiedzieli, po co ścigali statki, szczególnie wielkie okręty bojowe? A jeśli wiedzieli, że jest gdzieś w pobliżu, dlaczego nie próbowali go namierzyć?

– I pojawia się kolejne pytanie. Dlaczego nasz Murgatroyd nie włączył się do akcji? Może piraci nie przypuszczali, że konieczna będzie interwencja ich floty? Na to chyba wygląda.

– Też tak sędę. Nie było najmniejszego powodu, by angażować flotę w operację związaną z wyeliminowaniem jednego człowieka; szczególnie, że była ona doskonale zaplanowana. Nie tym powinniśmy się jednak martwić. Naszym problemem są Lensmani. Nawet na sekundę nie spuszczałem z nich wzroku. Ani Samms, ani Kinnison nie podjęli w czasie tych dwóch minut żadnych działań.

– W tym czasie młody Kinnison i Northrop opuścili salę.

– Rzeczywiście. Obaj wyszli. Jeden z nich mógł też wezwać patrol. Co ma to jednak wspólnego z ceną wysyłanej na Valerię wołowiny?

Herkimer taktownie przemilczał drażliwą kwestię. Morgan zamilkł na kilka minut, bębniąc palcami po stole, po czym nieśpiesznie

kontynuował:

– Pozostały tylko dwie możliwości, choć obie wydają się równie mało prawdopodobne. To musiała być Soczewka. Albo dziewczyna.

– Dziewczyna? Też coś! Niech pan nie będzie dzieckiem, senatorze. Nie odstępowałem jej na krok nawet przez sekundę.

– Dostałeś ewidentnego mata. – Morgan przestał stukać palcami po stole i uśmiechnął się cynicznie. – Przyglądanie się, jak rzucasz karty, zamiast je jak zwykle rozdawać, sprawiało mi wielką frajdę.

– Doprawdy? – Przystojna twarz Herkimera zastygła w zimnym grymasie. – Ta gra, mój przyjacielu, nie jest jeszcze skończona.

– To ty tak sądzisz – odparł senator drwiąco. – Tak trudno ci uwierzyć, że istnieje kobieta odporna na twoje wdzięki? Pracujesz już nad nią bez najmniejszego rezultatu od sześciu tygodni, choć zwykle nie potrzebujesz nawet sześciu godzin.

– Osiągnę swój cel, senatorze. – Nozdrza Herkimera drapieżnie zadrżały. – Zdobędę ją tak czy inaczej, choćby to była ostatnia rzecz w moim życiu.

– Idę o zakład i stawiam sto kredytów, że ci się nie uda. Nawet przez sześć miesięcy.

– Stoi. Podbijam do tysiąca. Ale czemu sądzi pan, że należy się jej obawiać? Jest, podobnie jak ja, zawodowym psychologiem, to fakt, jednak jestem od niej starszy i bardziej doświadczony. Pozostaje ta cała joga; że niby uczy się siedzieć w kwiecie lotosu, kontemplować własny pępek i jednoczyć z nieskończonością. Naprawdę sądzi pan, że może mi dzięki temu dorównać?

– Wcale tego nie twierdzą. Nic tu się nie zgadza. Jest jednak córką Virgila Sammsa.

– I co z tego? Co do George'a Olmsteda nie miał pan zastrzeżeń, sam wybrał go pan do jednego z naszych najtrudniejszych zadań. A przecież jest on spokrewniony z Virgilem Sammsem niemal równie blisko, jak Virgilia. Równie dobrze mogliby się wykluczyć z jednego jajka.

– Fizycznie tak. Psychologicznie i mentalnie, nie. Olmstead jest realistą, materialistą. Chce dostać nagrodę na tym, a nie tamtym świecie, i tylko do tego dąży. Poza tym najprawdopodobniej zginie podczas wykonywania tego zadania, a nawet jeśli uda mu się przeżyć, nigdy nie osiągnie stanowiska, które gwarantowałyby mu zaufanie czy dostęp

do jakichkolwiek informacji. Natomiast Virgil Samms jest... chyba nie muszę ci tego wyjaśniać. I chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jest do niego podobna. I to, że marnuje na ciebie czas, na pewno nie wynika z twojego zniewalającego uroku osobistego...

– Niech pan posłucha, szefie. Ona o niczym nie wiedziała i nie podjęła żadnych działań. Tańczyłem z nią przez cały czas, byliśmy tak blisko siebie. – Zetknął dłonie w wymownym geście. – Dlatego nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Pańskie podejrzenia, że mogła się ode mnie czegoś dowiedzieć, są kompletnie bezpodstawne. Wie pan przecież, że ani na Ziemi, ani gdziekolwiek indziej, nie ma nikogo, kto potrafiłby wyczytać cokolwiek z mojej twarzy. Poza tym w kluczowym momencie zamachu odgrywała onieśmielone niewiniątko i nawet na mnie nie patrzyła. Może ją więc pan wykluczyć.

– Na to wygląda. – Morgan na powrót zaczął cicho postukiwać palcami po blacie. – Gdyby był nawet cień podejrzenia, że coś od ciebie wyciągnęła, zesłałbym cię do kopalni. Nie ma na to jednak żadnych dowodów. Pozostaje więc Soczewka. Ten wariant od początku wydawał się bardziej logiczny, choć znacznie bardziej fantastyczny, niż udział dziewczyny. Udało ci się dowiedzieć na ten temat czegoś więcej?

– Nie. Wiemy tylko to, co ujawnili sami. Połączenie radiotelefonu, automatycznego tłumacza, telepatii i temu podobnych. Odznaka starannie wyselekcjonowanych, elitarnych funkcjonariuszy policji. Jednak wtedy, na balu, zacząłem podejrzewać, że nie mówią całej prawdy.

– Odniosłem podobne wrażenie. Co zauważyłeś?

– Cofnijmy się do momentu trzy minuty przed zamachem. Oprócz pięciu Lensmanów i Jill Samms była tam masa osób na najwyższych stanowiskach, sala była wypełniona wojskową wierchuszka. Byli tam komandorzy i ich zastępcy z wszystkich kontynentalnych rządów Ziemi, innych planet i kolonii i każdy z nich był uzbrojony w przypisany do munduru galowego pistolet. Wówczas nikt jeszcze nie miał pojęcia, że coś się wydarzy; co do tego jesteśmy zgodni. Jednak w trakcie kilku następnych sekund ktoś się czegoś dowiedział i wezwał pomoc. Najprawdopodobniej zrobił to dyskretnie któryś z Lensmanów. JEDNAK w decydującym momencie wszyscy czterej Lensmani mieli już pistolety w dłoniach, przy czym proszę zauważyć, że nie były to Lewistony, i zaczęli

strzelać. I to zanim uzbrojeni oficerowie zorientowali się, że coś się dzieje. Co wskazuje na Soczewki.

– Doszedłem do podobnych wniosków. Jednak niejasności pozostały te same. Jak to zrobili? Czytanie w myślach?

– Dryfowanie w kosmosie! – zachnął się Herkimer. – Moich myśli nie da się odczytać.

– Podobnie jak moich.

– Poza tym, gdyby potrafili czytać w myślach, nie czekali by z reakcją do ostatniej sekundy, chyba że... Ej, zaraz!... Czy tuż przed akcją Brainerd nie zachowywał się nerwowo? Jak wiesz, nie mogłem ryzykować patrzenia w jego stronę.

– Nie to, żeby nerwowo, ale był lekko spięty.

– Otóż to. Najemni zabójcy nie są zbyt bystry. Lensman zauważył, jak Brainerd się spina, i nabrał podejrzeń. Podniósł alarm, trzymając się standardowych reguł. Ostrzegł pozostałych, by byli w gotowości. Jednak z drugiej strony, gdyby potrafili czytać w myślach, powinni zabić go wcześniej. Myślę, że byli po prostu czujni i błyskawicznie nacisnęli na spust.

– Może i tak. Nie spotkałem się chyba nigdy z równie słabym i pokrętnym wyjaśnieniem, jednak fakty je potwierdzają... a my możemy je poświadczyć... Musisz mieć jednak świadomość, przystojniaku, że niektórym się to nie spodoba. Bez wątplenia będą bardzo niezadowoleni.

– Delikatnie rzecz ujmując, szefie. Ta wersja ma jednak jeden zdecydowany plus. – Herkimer uśmiechnął się złośliwie. – Pozwala nam zwalić wszystko na Dużego Jima Towne'a. Będziemy bardzo niezadowoleni, że zleca mokrą robotę takim nieudacznikom.

W improwizowanym, ciężko opancerzonym ambulansie Virgil Samms usiadł i wysłał myśl do swego przyjaciela, Kinnisona, natykając się na panujący w jego umyśle kompletny mętlik.

– W czym problem, Rod?

– We wszystkim! – warknął wielki Lensman w odpowiedzi. – Mieli i być może wciąż mają nad nami cholernie dużą przewagę. Zrobili coś,

czego się kompletnie nie spodziewaliśmy. Stałem tam bezradny jak dziecko, pozwalając, byś wszedł prosto w pułapkę. Dałem się kompletnie zaskoczyć i to uczucie zdecydowanie mi się nie podoba. Robię się przez to nerwowy. Mogą na tym poprzestać, jednak bardzo w to wątpię, więc staram się przewidzieć ich następny krok.

– I do jakich doszedłeś wniosków?

– Do żadnych. Jestem w kropce. Dlatego przerzucam to na twoje barki. Za to ci przecież płacą, za myślenie. Może więc ruszysz głową? Co byś zrobił, będąc na ich miejscu?

– Rozumiem. Więc uważasz, że marnowanie czasu na powrót do portu kosmicznego to nie najlepszy pomysł?

– Otóż to. Boję się jednak, czy wytrzymasz transfer?

– Oczywiście. Opatrzyli i obandażowali mi ramię, rękę mam na temblaku. Szok praktycznie już minął. Trochę mnie boli, jednak niezbyt dotkliwie. Mogę ustać na nogach.

– W porządku. Clayton! – Kinnison przesłał przez Soczewkę energiczną myśl. – Czy któryś z obserwatorów zauważył coś podejrzanego wokół nas bądź nad naszymi głowami?

– Nie, sir.

– Świetnie. Tu Kinnison do komandora Clayтона, oto rozkazy. Potrzebny jest helikopter, który przeniesie mnie i Sammsa na platformę, gdzie skorzystamy z promieni transportowych. Niech załogi *Boise* i krążowników zachowają maksymalną czujność. Zawiadom *Chicago*, że mają zabrać nas na pokład. *Boise* i *Chicago* przechodzą z twojej jednostki do zadań specjalnych pod moją komendę. Odbiór.

– Clayton do Komisarza Kinnisona. Otrzymałem rozkazy, przechodzę do ich wykonania. Bez odbioru.

Transfery przebiegły bez incydentów. Dwa superpancerniki skoczyły w stratosferę i ruszyły na zachód. W połowie drogi do Wzgórza Kinnison wezwał doktora Fredericka Rodebusha.

– Fred? Tu Kinnison. Niech Cleve i Bergenholm będą z nami w kontakcie. Jakie są odczyty liczników Geigera na zewnątrz Wzgórza?

– Wszystkie w normie – zameldował po chwili fizyk-Lensman. – A o co chodzi?

Kinnison zrelacjonował przebieg ostatnich wydarzeń.

– Dlatego przekaz chłopakom ze Wzgórza, że cały personel ma być w pełnej gotowości bojowej.

– Mój Boże! – wykrzyknął Cleveland. – Ale to cofa nas do czasów Wojen Międzyplanetarnych!

– Z jedną wyraźną różnicą – zauważył Kinnison. – Jeśli nastąpi atak, będzie miał ściśle nowoczesny charakter. Mam nadzieję, że uda nam się go przetrzymać. Na szczęście ta stara góra ma niezwykle masywną rzeźbę. Jak wysoki poziom promieniowania jest w stanie zatrzymać?

– Żelazo alotropowe, wzbogacony uran czy pluton? – Rodebush złapał za suwak logarytmiczny.

– A jaka to różnica?

– Z praktycznego punktu widzenia... zapewne żadna. Jeśli jednak rzucimy do obrony jednostkę specjalną, niewiele bomb dosięgnie celu, więc moim zdaniem...

– Nie chodziło mi o bomby.

– A o co?

– Izotopy. Szczelną, grubą warstwę pyłu. Działającego powoli i niepostrzeżenie zabójcę, z którym nie poradzą sobie ani nasze statki, ani ekrany ochronne Wzgórza. Musimy zdecydować po pierwsze, czy Virgil Samms będzie bezpieczniejszy tam, we Wzgórzu, czy w kosmosie, na burcie *Chicago*, a po drugie, jak długo to wszystko potrwa.

– Rozumiem... Moim zdaniem tutaj, pod Wzgórzem. Przez miesiące, a nawet lata będzie absolutnie bezpieczny. I zawsze można wyjść na zewnątrz. Niezależnie od tego, jaka temperatura będzie panować na powierzchni, mamy wystarczająco silne ekrany ochronne i dostateczną ilość ciężkiej wody, kadmu, ołowiu, rtęci i wszystkiego innego, co jest niezbędne do bezpiecznego wydostania się na zewnątrz przez śluzy ewakuacyjne.

– To właśnie miałem nadzieję usłyszeć. Natomiast w kwestii obrony... Zastanawiałem się... Nie chciałbym wyjść na rozhisteryzowanego panikarza... jednak krew mnie zalewa, kiedy pomyślę, że moglibyśmy powtórnie dać się... – urwał swą myśl w pół słowa.

– Czy mogę coś zaproponować, sir? – Myśl Bregenholma przerwała przedłużającą się ciszę.

– Bardzo chętnie wysłucham twojej sugestii. Jak dotąd twoje spostrzeżenia zawsze były niezwykle trafne. Jakies kolejne przecucie?

– Nie, sir, logiczny porządek działań. Ostatni alarm ćwiczebny, sprawdzający stan gotowości w przypadku nagłego zagrożenia, miał miejsce wiele miesięcy temu. Przeprowadzenie podobnej operacji obecnie, nawet, jeśli nic się nie wydarzy, będzie po prostu kolejnym niezapowiedzianym sprawdzianem szybkiego reagowania, połączonym z pochwałami, awansami i materialnym wynagrodzeniem dla najlepszych. Zaś jednostki, które wykazą się mniejszą efektywnością, otrzymają praktyczne wskazówki na przyszłość.

– Znakomity pomysł, doktorze Bergenholm. – Fenomenalny, przenikliwy umysł Sammsa natychmiast podchwycił i ocenił tę ideę. – I cóż to będzie za okazja, Rod, na dokonanie czegoś znacznie większego i ważniejszego, niż przeprowadzony na kontynentalną, a nawet telluriańską skalę alarm ćwiczebny. To będą pierwsze manewry Galaktycznego Patrolu!

– Chciałbym, Virge, jednak nie możemy tego zrobić. Moi chłopcy są przygotowani, ty jednak nie. Nie ma tu członków Rady, a ty nie masz uprawnień.

– Można to zaaranżować w kilka minut. Pod kątem psychologicznym to najlepszy moment. Uwzględniając potencjalne zagrożenie, uważam, że powinniśmy to zrobić właśnie teraz. Przecież sam spodziewasz się ataku?

– Tak, to prawda. I jestem gotowy na podjęcie stosownych kroków. Nie możemy przy tym wykluczać, że ten, kto próbował cię zabić, jest lepszym strategiem ode mnie.

– Jakie jest zdanie pozostałych? Doktorze Bergenholm?

– Idąc nieco innym niż komisarz Kinnison tokiem myślenia, doszedłem do identycznych wniosków. Musimy być gotowi na zmasowany atak.

– Nieco innym? – zapytał Kinnison. – W jakim sensie?

– Nie wziął pan pod uwagę możliwości, panie komisarzu, że próba zamachu na Pierwszego Lensmana, Sammsa mogła być zaledwie pierwszym posunięciem w zakrojonej na szeroką skalę operacji.

– Rzeczywiście, nie pomyślałem... a jest to całkiem prawdopodobne. Więc zaczynaj, Virge... – myśl nie została zakończona, gdyż Samms już przystąpił do dzieła.

Umysły ośmiu innych Lensmanów w jednej chwili połączyły się z umysłami Tellurian.

Samms z niezwykłą powagą zwrócił się na głos do swego przyjaciela:

– Otwieram zebranie Rady Galaktycznej. Czy ty, Rodericku Kinnisonie, przysięgasz z najwyższą sumiennością i starannością stać na straży autorytetu tej Rady w całym wszechświecie?

– Przysięgam.

– Jako przewodniczący Rady Galaktycznej, na mocy nadanych mi uprawnień, mianuję cię kontradmirałem Galaktycznego Patrołu. Moi koledzy z Rady przyłączają właśnie siły zbrojne swych układów słonecznych do Galaktycznego Patrołu... Nie zajmie to wiele czasu... Możesz zacząć obsadzać stanowiska i wydawać rozkazy dotyczące mobilizacji.

W tym czasie oba superpancerniki dotarły do Wzgórza. *Boise* wciąż jeszcze unosił się w powietrzu, *Chicago* osiadł już na ziemi. Kinnison nie zaprzętał sobie jednak głowy lądowaniem, przetransportowaniem Sammsa, ani procedurami związanymi z powrotem *Chicago* na orbitę. Wiedząc, że wszystko jest już pod kontrolą, pozostał w swej kajucie i przystąpił do pracy.

– Zwracam się do całego personelu wszystkich sił zbrojnych wchodzących obecnie w skład Galaktycznego Patrołu! – rzekł do ultrafaleowego mikrofonu; w jego nawykłym do wydawania komend, dźwięcznym głosie pojawiły się znajome, chropawe nutki. – Tu kontradmirał Kinnison z Tellusa. Czy wszyscy członkowie Galaktycznego Patrołu zostali już zaprzysiężeni?

Wszyscy potwierdzili.

– Spocznij. Schemat organizacyjny, który otrzymaliście, został już zaktualizowany. Wpiszcie do swoich dzienników pokładowych datę i godzinę. Awanse: komandor Clayton, Ameryka Północna, Tellus...

Przebywający w swoim biurze w nowojorskim porcie kosmicznym Clayton stanął na baczność i energicznie zasalutował; wzrok mu błyszczał, a pokryta głębokimi bliznami twarz zajaśniała.

...zostaje mianowany admirałem Pierwszego Galaktycznego Regionu. Komandor Schweikert, Europa, Tellus...

W Berlinie szczupły, niemal fircykowaty mężczyzna o rzadkich blond włosach i błękitnych oczach skłonił się sztywno i akuratnie zasalutował.

...zostaje mianowany wiceadmirałem Pierwszego Galaktycznego Regionu.

I tak dalej, według kolejności na liście. Marszałek i marszałek porucznik Systemu Słonecznego; generał i generał porucznik planety Sol Trzy. Od dawna już uzgodnione awanse na zwalniające się wysokie stanowiska. Następnie lista komandorów z pozostałych planet: Guindlos z Redland na Marsie; Sesseffsen z Talleronu na Wenus; Raymond z podsystemu Jowisza, Newman z Alphacenty; Walters z Syriusza; VanMeeter z Valerii; Adams z Procyona; Roberts z Altaira; Bartell z Fomalhouta; Armand z Vegi i Coigne z Aldebarana, każdy z nich był już naczelnym dowódcą sił zbrojnych swej planety. Teraz wszyscy otrzymali stopień generalski.

– Wszystkich od komandora porucznika w górę proszę o dostrojenie się do mojego umysłu, pozostali są wolni. – Kinnison umilkł, uruchamiając Soczewkę. – Wstępne formalności mamy już za sobą. Nie muszę wam chyba mówić, chłopcy, jak bardzo cieszą mnie wasze nominacje. Jesteście najlepsi i nie mógłbym chyba liczyć na pewniejsze wsparcie, gdy zrobi się gorąco...

– „Masz nasze pełne wsparcie, szefie!”, „Jesteśmy z tobą, Rod!”, „Kontradmiral Granitowy Rod!”, „Teraz pójdziemy jak burza!” – dotarły do niego wymieszane ze sobą myśli. Ci wspaniali ludzie, z którymi tak często dzielił niebezpieczeństwa i niewygody, cieszyli się jak dzieci.

– Jednak okoliczności, które to umożliwiły, mogą także wymagać od nas wytężonych działań; będziecie musieli zapracować na dodatkowe gwiazdki na pagonach i moją przychylność. – Kinnison zapanował nad natłokiem przesyłanych mu myśli i naszkicował sytuację, reasumując: – Jak więc sami widzicie, wszystko może zakończyć się wyłącznie na manewrach. Jednak z drugiej strony, jeśli wróg jest na tyle silny, by pozwolić sobie na budowę floty wojennej oraz liczyć na olbrzymie wsparcie ze źródeł, o których nie mamy najmniejszego pojęcia, musimy być przygotowani na konflikt o niespotykanej dotychczas skali. Przygotujcie się więc na najgorsze. Przejdę teraz na kontakt głosowy, by dokończyć formalności.

– Kinnison do dowódców wszystkich flot, flot pomocniczych i sił zbrojnych wchodzących w skład Galaktycznego Patrolu. Proszę o uwagę. Naszym głównym celem i zadaniem taktycznym jest obrona Wzgórza przed spodziewanym atakiem Czarnej Floty. Jej wielkość, moc bojowa i skład

pozostają nieznanne. Nie znamy też jej pochodzenia, rasowej przynależności załóg, ani miejsca i czasu uderzenia.

– Kinnison do admirała Claytona. Oto rozkazy. Przejmiesz po mnie funkcję dowódcy jednostek *Boise* i *Chicago*.

– Clayton do kontradmirała Kinnisona. Przyjąłem rozkazy. Przejmuję dowodzenie. Znajduję się przy centralnej prawej śluzie *Chicago*. Poinstruowałem chorążego Mastersona, oficera dowodzącego tym gigantem, by zczekał i przetransportował cię na dół, do Wzgórza.

– CO TAKIEGO? Po jaką cholere... – Była to myśl, przy czym przekazana poza protokołem.

– Wybacz, Rod, strasznie mi przykro. Dobrze wiesz, jak bardzo chciałbym mieć cię u swego boku. – To również była myśl. – Wymaga tego jedna sytuacja. Admirałowie przemierzają kosmos ze swymi flotami. Kontradmirałowie pozostają na lądzie. Ja przekazuję ci meldunki, a ty zajmujesz się koordynacją wszelkich działań na odległość.

– Rozumiem. – Następną, pełną irytacji myśl Kinnisona, skierowana była do Sammsa. – Aleks by mi tego nie zrobił; wie doskonale, że powyrywałbym mu nogi z tyłka, gdyby tylko spróbował. Więc to twoja sprawka. Co chcesz tym do cholery osiągnąć?

– I kto teraz zgrywa bohatera, Rod? – zapytał Samms spokojnie. – Pójdź po rozum do głowy i wracaj na Ziemię, gdzie twoje miejsce.

Kinnison przez dłuższą chwilę bił się z myślami, po czym z wymuszonym uśmiechem przeniósł się na Ziemię. Jednak nie do znanych mu kwater Patrolu, lecz do położonych głęboko pod nimi bunkrów. I choć początkowo odczuwał przygnębienie i gorycz, szybko pochłonęła go praca. Organizowano właśnie Kwaterę Główną Wielkiej Floty, jego kwaterę główną, a wysiłki najwybitniejszych umysłów i najlepszych inżynierów z trzech planet skupione były na wzmacnianiu już wyjątkowo potężnych sił obronnych Wzgórza. Bardzo szybko okazało się, że admirał Clayton i wiceadmirał Schweikert również odwalili kawał dobrej roboty.

Cały ciężki sprzęt, którym dysponowała Ziemia, ich planeta macierzysta, był już na miejscu, podobnie jak mniej liczne i słabiej uzbrojone kontyngenty Marsa, Wenus i Jowisza. Zaś floty odległych systemów słonecznych – kutry, okręty zwiadowcze i kilka lekkich krążowników – nie formowały szyków bojowych, ani nie kierowały się w stronę Słońca. Zamiast tego wszystkie te statki mknęły z maksymalną

prędkością, by w odległości kilku lat świetlnych stworzyć kulistą formację wokół Systemu Słonecznego. I te setki statków kosmicznych dosłownie przeczesywały całą otaczającą je przestrzeń promieniami szpiegowskimi.

– Jest dobrze – zwrócił się Kinnison do Sammsa, który towarzyszył mu teraz przy panelu dowodzenia. – Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

– A jeśli nic się nie wydarzy? – Samms wciąż był nastawiony nieco sceptycznie. – Jak długo potrważą te manewry?

– Aż oficerom wyrosną długie siwe brody, jeśli będzie to konieczne. Ale nie martw się, będę skrajnie zaskoczony, jeśli zdążymy uformować wstępną linię obrony.

I Kinnison nie był zaskoczony, gdy jeszcze przed zakończeniem tworzenia sferycznej formacji obronnej ożył głośnik komunikatora:

– Okręt Flagowy *Chicago* do Kwatery Głównej Wielkiej Floty! – meldowano gorączkowym tonem. – Zlokalizowaliśmy położenie Czarnej Floty. Rektascensja dwanaście godzin, deklinacja plus dwadzieścia stopni, odległość około trzydziestu lat świetlnych...

Kinnison już otworzył usta, by się wtrącić, po czym olbrzymim wysiłkiem woli zmusił się do milczenia. Rozpierała go chęć przejęcia inicjatywy, chciał wydać tym chłopcom szczegółowe rozkazy, nie mógł sobie jednak na to pozwolić. Był teraz wielką szychą; cóż za cholerne szczęście! Odpowiadał co prawda za wielką politykę i ogólną strategię, jednak najistotniejsze decyzje zostały już podjęte i wypełnianie konkretnych zadań spoczywało na innych. Choć nie był tym zachwycony, nic nie mógł na to poradzić. Te myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy.

– ...przy tak olbrzymiej odległości nie jesteśmy w stanie ocenić jej możliwości bojowych ani składu. Będziemy was na bieżąco informować.

– Potwierdź przyjęcie meldunku – rozkazał swemu głównemu oficerowi łącznikowemu, Randolphowi, noszącemu teraz pięć srebrnych belek majora. – Nie mam dalszych rozkazów.

Kinnison spojrział na swój ekran. Claytonowi nie trzeba było mówić, by podciągnął swe lekkie statki; wszystkie mknęły teraz z maksymalną prędkością w kierunku Sol i Tellusa. Sztab opracował trzy główne plany bitwy. Każdy z nich miał swe mocne i słabe punkty. Operacja Acorn zakładała prowadzenie walki na dużym dystansie, w przybliżeniu dwunastu lat świetlnych. Przytrzymanie sił wroga, w szczególności ciężkiego sprzętu,

z dala od Wzgórza, przez co jednostki bezzałogowe będą bezskuteczne... chyba że część ciężkiego sprzętu zdoła się przedrzeć, albo jednostki bezzałogowe wykonają manewr mylący, albo wydarzy się kilka innych niespodzianek... z których każda skończy się dla Wzgórza potężnym łomotem!

Przesłał Sammsowi, który śledził tok jego myśli, kwaśny uśmiech i wyrecytował:

– Olbrzymia półkula pełgających fioletowych płomieni, przez którą nie przeniknie żaden obiekt materialny ani promień niszczący.

– No cóż, ten chyba nieco zbyt malowniczy opis był bez wątpienia prawdziwy przed erą alotropowego żelaza i policyklicznych wiertel. Pozwolisz, że również przywołam pewien cytat: „Pewni możemy być jedynie zmian”.

– Aha. – Kinnison powrócił do swych rozmyślań. – Operacja Adack. Na średnim dystansie.

Nigdy nie był do tej opcji szczególnie przekonany, choć część jajogłowych ze sztabu uważała ją za najlepsze rozwiązanie. Była kompromisem. Miała wszystkie wady obu pozostałych, nie posiadając przy tym żadnej z ich zalet. Było to nie do przyjęcia; Czarna Flota musiałaby mieć absolutnie fantastyczną strukturę, by podobna strategia zdała egzamin.

Virgil Samms, który w milczeniu palił papierosa, uśmiechnął się w duchu. Było mało prawdopodobne, by Granitowy Rod poszedł na jakikolwiek kompromis.

Pozostawała więc jedynie Operacja Affick. Dopuszczenie wroga na bliską odległość. Miało to trzy olbrzymie zalety. Po pierwsze, mogli w pełni wykorzystać broń ofensywną Wzgórza. Po drugie, mieli nowe ekrany ochronne Rodebusha–Bergenholma. Po trzecie, uniemożliwiali przeciwnikowi wykonanie manewru mylącego. Ta opcja miała jednak jedną olbrzymią wadę. Część, a być może nawet większość sił przeciwnika przebije się przez linię obrony. Jednostki bezzałogowe, roboty, zdalne pociski wyposażone w superszybki napęd, policykliczne wiertła i głowice jądrowe mogące sprawić, że Ziemia zadrży w posadach.

Jedną dzięki nowym ekranom ochronnym wstrząśnięcie Ziemią w posadach może być niewystarczające. Aby wyeliminować Virgila Sammsa, musieliby posunąć się do zniszczenia całej planety. Czy możliwe jest stworzenie tak potężnej bomby? Bardzo w to wątpił. Pod względem

technologii Ziemia miała bezwzględną przewagę nad całą poznaną częścią Kosmosu. Zaś na Ziemi prym zawsze wiedli naukowcy z Ameryki Północnej. Nawet gdyby to właśnie Amerykanie tworzyli trzon Czarnej Floty i mieli kogoś równie dobrego, jak Adlington, lub przeczesali promieniami szpiegującymi jego umysł, laboratoria i fabryki, byłoby to trudne do zrealizowania. Sam Adlington był jeszcze daleki od stworzenia tak niszczycielskiej bomby. Mógł co prawda umieścić głęboko pod ziemią ładunek przeznaczony do próbnej detonacji, choć było to bardzo mało prawdopodobne. Kinnison odwrócił się w stronę Sammsa.

– A więc operacja Affick, Virge, chyba że struktura ich floty jest radykalnie różna od wszystkiego, z czym kiedykolwiek zetknąłem się w kosmosie.

– No i? Nie powiem, bym był tym szczególnie zaskoczony.

Spokojna konstatacja faktu i równie spokojna odpowiedź znakomicie charakteryzowały obu mężczyzn. Kinnison nie prosił o radę, podobnie jak Samms jej nie udzielał. Kinnison, po przeanalizowaniu sytuacji, podjął decyzję. Samms, mając absolutną pewność, że w świetle dostępnych danych jest to decyzja najlepsza, zaakceptował ją bez pytań i zastrzeżeń.

– Mamy jeszcze parę minut – zauważył Kinnison. – Nie bardzo wiem, jaką wybiorą strategię natarcia. Nadciągają od strony Warkocza Bereniki. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem, a ty? Może stosują manewr okrążający?

– Nie, nie spotkałem się. – Samms w zamyśleniu zmarszczył brwi. – To zapewne manewr okrążający.

– Zgadza się. – Kinnison zwrócił się do Randolpha. – Przekaż, by meldowali o wszystkim, czego się dowiedzą, nie możemy czekać już ani...

Nie zdążył dokończyć, gdy nadszedł meldunek.

Czarna Flota miała standardowy kształt; była znacznie większa od kontyngentu Ameryki Północnej, jednak zdecydowanie ustępowała Wielkiej Flocie, którą obecnie dysponował Galaktyczny Patrol. Miała trzy lub cztery okręty flagowe...

– A my mamy sześć! – rzekł Kinnison uradowany. – Nasze dwa, azjatycki *Himalaje*, afrykański *Johannesburg*, południowoamerykański *Bolivar* i europejska *Europa*.

– ...Standardowe proporcje w liczbie ciężkich krążowników, choć posiada wyjątkowo dużo statków zwiadowczych i lekkich krążowników. Dwa lub trzy duże statki, choć przy tak wielkiej odległości nie da się ich dokładnie sklasyfikować. Wysłaliśmy zwiadowców na rozpoznanie.

– Przekaż Claytonowi – wydał Kinnison rozkaz Randolphowi – że ma działać według wytycznych operacji Affick.

– Przekazuję kolejny meldunek. – Głośnik znowu ożył. – Mają trzy okręty flagowe, przypuszczalnie podobnej klasy, co *Chicago*, nie są one jednak sferyczne; kształtem przypominają kroplę ły.

– Niedobrze. – Przesłał Kinnison myśl Sammsowi. – Nie podoba mi się to. Są one równie dobre w ataku, jak i w ucieczce.

– ...bojowe krążowniki również mają kształt ły. Mniejsze statki mają kształt torpedy. Pozostają jeszcze trzy duże statki, których wciąż nie potrafimy sklasyfikować. Mają sferyczny kształt, są ogromne, jednak nie wyglądają na uzbrojone czy chronione polem siłowym; przewożą prawdopodobnie jednostki bezzałogowe. Nawijujemy kontakt bojowy!

Jednak zamiast wpatrywać się w znajdujące się przed nimi ekrany, obaj Lensmani weszli w kontakt z Claytonem, by zobaczyć wszystko jego oczami. Olbrzymi Stożek Bojowy był już uformowany, a wydanie rozkazu otwarcia ognia trwało równo dwie sekundy. Oficerowie ogniovi w tym samym ułamku sekundy dotknęli przycisków spustowych. I z gigantycznej gardzieli bojowego stożka wytrysnęła szeroka na milę kolumna energii tak surowej, czystej i niewiarygodnie gwałtownej, że ktoś, kto jej nie widział, nie mógł mieć na jej temat nawet mglistego wyobrażenia. Nie dało się jej po prostu opisać.

Już prototyp tej straszliwej broni, Trójplanetarny Cylinder Anihilacji, był niezwykle skuteczny. Promienie ofensywne neviańskich rybiokształtnych krążowników były jeszcze potężniejsze. Zaś neutralizatory Clevelanda–Rodebusha, opracowane na pokładzie *Boise* podczas długiego lotu na Newię, miały jeszcze większą moc. Promień energii wyemitowany przez flotę Galaktycznego Patrolu, wciąż opracowywany i udoskonalany przez najlepszych naukowców i inżynierów, był ukoronowaniem i kwintesencją tych poprzednich.

Okręty flagowe i kilka mniejszych ciężkich krążowników posiadały generatory pola siłowego pozwalającego wytrzymać najpotężniejszy nawet

atak, jednak mniejsze statki, które znalazłyby się w polu oddziaływania tej będącej niemal ciałem stałym wiązki energii, zamieniłyby się w parę.

Jednak tuż przed wydaniem rozkazu o otwarciu ognia obserwatorzy zameldowali o dwóch wydarzeniach, przy czym wszystko wskazywało na to, że były to szczegółowo zaplanowane w czasie działania, w wyniku których świeżo upieczony admirał Pierwszego Galaktycznego Regionu odwołał atak i rozformował Stożek Bojowy zaledwie kilka sekund po rozpoczęciu działań. Po pierwsze, trzy tajemnicze statki transportowe rozpadły się, zanim trafiła w nie wiązka energii, i setki, a nawet tysiące małych obiektów rozleciały się sferycznie we wszystkie strony z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła, daleko poza zasięg promieni bojowych Patrolu. Po drugie, spełniły się najgorsze przewidywania Kinnisona. Rój małych statków pirackich, które musiały ukrywać się gdzieś na Ziemi, mknął już od południa w stronę Wzgórza.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął Clayton do mikrofonu. Promień straszliwej energii zniknął. – Rozformować szyk! Przydzielam zadania: lekkie krążowniki i statki zwiadowcze niech przechwycą te bomby. Ciężkie krążowniki niech nawiążą walkę z analogicznymi jednostkami piratów, jeśli to możliwe dwa na jednego. *Chicago* i *Boise* atakują pierwszy okręt flagowy. *Bolivar* i *Himalaje* drugi. *Europa* i *Johannesburg* trzeci!

Cała przestrzeń wypełniła się rojem pędzących i wściekle walczących ze sobą statków. Trzy pirackie pancerniki jednocześnie skoczyły do przodu. Zmasowany promień z ich precyzyjnie zsynchronizowanych i wycelowanych baterii ogniowych uderzył w najbliższą superciężką jednostkę Patrolu, *Boise*. Pod wściekłą siłą tego idealnie obliczonego w czasie ataku pierwszy, drugi i trzeci ekran, stanowiące całą tarczę ochronną tego statku bojowego, rozbłyły wszystkimi kolorami spektrum i zgasły. Jednak jego główny pilot miał znakomity refleks i zareagował w ułamku sekundy. Nim osłony odmówiły posłuszeństwa, zdążył zrobić unik. I statek, choć był poważnie podziurawiony i nie mógł już brać udziału w walce, uniknął zniszczenia. Później okazało się, że zginęło tylko czterdziestu członków załogi.

Piraci nie mieli tyle szczęścia. *Chicago*, po utracie partnera, wraz ze statkami *Bolivar* i *Himalaje*, zaatakował drugi piracki flagowiec i ułamek sekundy później, z dwójką innych siostrzanych statków, trzeci. Po chwili dwa pirackie superpancerniki przestały istnieć.

Zaś w tym samym czasie pierwszy piracki flagowiec po prostu zniknął! Jego roztropnemu kapitanowi nie uśmiechała się walka z pięcioma przeciwnikami i rozkazał natychmiastowy odwrót; zdążył już oddalić się o jedną szesnastą roku świetlnego, około sto miliardów mil od Ziemi, i zużywał całą swoją energię na zwiększenie tego dystansu.

– *Bolivar, Himalaje* – krzyknął ostro Clayton. – Dorwijcie go! – Choć bardzo tego pragnął, nie mógł dołączyć do pogoni. Musiał zostać tutaj. Nie miał nawet czasu, by zakląć. Bez chwili wytchnienia wydawał rozkaz za rozkazem:

– *Chicago! Johannesburg! Europa!* Atakujcie wedle uznania wszystkie ciężkie statki, które pozostały! Roznieście je w pył!

Zazgrzytał zębami. Statki zwiadowcze i lekkie krążowniki siały spustoszenie, wróg miał jednak przewagę trzy do jednego. Chryste, jak wielu musiało się przedrzeć! Piraci, wzięci w kleszcze pomiędzy Wzgórzem i ciężkimi statkami bojowymi, nie przetrwają długo, mogą jednak zdążyć osiągnąć swój cel; szczególnie, że sferyczna linia obrony była dziurawa jak sito! Używając niezbyt wyszukanego kosmicznego żargonu wycedził parę słów i bojąc się tego, co zobaczy, rzucił krótkie spojrzenie w stronę Wzgórza, by zobaczyć, czy coś z niego zostało. Spojrzał i czteroliterowe brzydkie słowo utknęło mu w gardle.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Te pirackie bomby powinny były obrać pancerną powłokę góry jak nektarynkę i rozrzucić ją od Pacyfiku do Missisipi. W miejscu Wzgórza powinna ziać głęboka na milę dziura. Tak jednak nie było. Wzgórze wciąż tam stało. Mogło nieco ucierpieć. Z powodu niemal nieprzerwanych oślepiających atomowych eksplozji, które wstrząsały ziemią, Clayton nie był w stanie dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć, jednak Wzgórze wciąż tam było!

Wstrząśnięty rozgrywającym się na jego oczach przerażającym spektaklem Clayton ujrzał piracki krążownik z podziurawionym kadłubem, który z niewiarygodną prędkością runął bezwładnie na opancerzoną górę. Jednak w miejscu, w którym uderzył w ziemię, nie powstał, jak można by się było spodziewać, krater. Statek dosłownie rozsmarował się po zboczu góry, która najwyraźniej wciąż była chroniona pancierzem!

– Widziałeś to, Alex? To dobrze. Bo pewnie byś w to nie uwierzył – rozległ się cichy głos Kinnisona. – Przekaż naszym statkom, by trzymały się z daleka. Na każdy punkt naszej powierzchni oddziałuje pod

prostopadłym wektorem siła przekraczająca sto tysięcy G. Nasi chłopcy utrzymują ją na możliwie najniższym poziomie, na jakiejś jednej czwartej mocy, trzeba się jednak mieć na baczności. A co z *Bolivarem* i *Himalajami*? Udało im się dorwać pirata?

– Przyznam, że nie wiem. Zaraz to sprawdzę... Nie, sir, nie udało im się. Meldują, że zostali w tyle i wkrótce stracą ślad.

– Tego się obawiałem, biorąc pod uwagę kształt ich statku. Chyba tylko Rodebush to przewidział... no cóż, będziemy musieli przeprojektować i przebudować...

Zaraz po przesłaniu ostatniej myśli, wiceadmirał Kinnison z uśmiechem odchylił się w fotelu. Bitwa była już praktycznie zakończona. Wzgórze wyszło z niej obronną ręką. Ekran ochronny Rodebusha–Bergenholma pozwoliły mu przetrwać przeprowadzony na niespotykaną dotychczas skalę i wymykający się ludzkiej wyobraźni atak jądrowy. A udany kontratak uchronił je przed zniszczeniem. Jak na razie wyglądało to nie najgorzej.

Dotychczasowy pancierz ochronny Wzgórze przestał istnieć. Zamienił się... no właśnie, w co? Został napromieniowany na głębokość setek jardów i stał się bardziej radioaktywny, niż rdzenie reaktorów w Hanford. Pozbycie się go nie będzie prostym zadaniem. Niezbędna będzie kompleksowa operacja związana z wyrzuceniem za pomocą promieni transportowych kilku milionów metrów sześciennych materii w otwarty kosmos, gdzie będą mogły stygnąć przez kilkaset lat. Nie był to jednak powód do zmartwień.

Bergenholm zapewniał, że ekrany ochronne zapobiegają także rozprzestrzenieniu się radioaktywności, co bez nich byłoby nieuniknione, więc Virgil Samms był bezpieczny!

– Virge, mój chłopcze, idziemy. – Pochwycił Pierwszego Lensmana pod zdrowe ramię i pomógł mu wstać z fotela. – Stary doktor Kinnison zaleca zjedzenie wielkiego, soczystego steku!

ROZDZIAŁ 8

Ten zmasowany atak na Virgila Sammsa i odparcie go przez nowych stróżów prawa, Lensmanów, oraz wszystkie oddziały specjalne sił zbrojnych Ameryki Północnej, stały się najważniejszą informacją w telewizyjnych serwisach całej Cywilizacji. Przez godzinę przekazywały ją więc wszystkie kanały telewizyjne. Po czym zabrzmiało staccato podawanych w oszalamiającym tempie doniesień o powstaniu Galaktycznego Patrolu, dokonanej pod pretekstem przeprowadzenia manewrów mobilizacji Wielkiej Floty Galaktycznego Patrolu i na koniec o desperackim i niemal udanym ataku na Wzgórze.

– Jeszcze chwila, szanowni państwo, zaraz uzyskamy połączenie. Zobaczycie coś, czego nigdy jeszcze nie widzieliście i nie ujrzycie w przyszłości. Będziemy tak blisko, jak na to pozwolą mundurowi. – Wzrok popularnego telewizyjnego reportera, a także teleobiektyw jego operatora skierowały się na spowitą gęstymi kłębami dymu, rozżarzoną powierzchnię najstarszej trójplanetarnej cytadeli, a na dziesiątkach planet miliardy widzów coraz gęściej tłoczyły się wokół teleekranów i głośników, chcąc obejrzyć i usłyszeć wstrząsające nowości.

– Jest, proszę państwa; oto jedyna prawdziwie niezdojta forteca, jaką kiedykolwiek zbudowano! Wielu naszych ekspertów już dawno spisało ją na straty jako przestarzałą, wygląda jednak na to, że Lensmani mieli w rękawach coś więcej, niż tylko puste ręce, he–he–he! Nie afiszowali się oni jednak ze swymi możliwościami, dlatego większość z nas nie zwracała na nich szczególnej uwagi; jednak jako reporter mam prawo oficjalnie przypuszczać, że Soczewki mają znacznie większe znaczenie, niż ktokolwiek z nas sądził. W przeciwnym razie nikt nie narażałby się na tak wielkie ryzyko i olbrzymie nakłady finansowe, nie wspominając o ogromnych stratach w ludziach, tylko po to, by zabić Pierwszego Lensmana, a najwyraźniej o to właśnie chodziło.

– Jak już kilka minut temu wspominaliśmy, przedstawiciele wszystkich placówek Cywilizacji wystosowali oficjalne noty, w których stanowczo odcinają się od jakiegokolwiek związku z tym skandalem. Sprawcy wciąż

pozostają nieznani. Tak naprawdę, szanowni państwo, cała ta sytuacja jest z każdą chwilą coraz bardziej niejasna. Nie udało się wziąć żywcem ani jednego członka załogi Czarnej Floty! Nawet na statkach, które zostały jedynie uszkodzone, wszyscy wysadzili się w powietrze! A na wrakach nie odnaleziono żadnych mundurów, dzienników pokładowych, ani w ogóle niczego, co mogłoby umożliwić identyfikację!

A teraz gwóźdź programu! Stacja „Wiadomości z Wszechświata” otrzymała zezwolenie na przeprowadzenie wywiadu z dwoma głównymi Lensmanami. Virgil Samms i Granitowy Rod Kinnison, są państwu doskonale znani i wystąpią osobiście w naszym programie. Łączymy się teraz, oczywiście za pomocą zdalnego przekazu, ze znajdującym się w samym Wzgórzu biurem Galaktycznego Patrolu. Mamy połączenie. Zechce pan zbliżyć się nieco do mikrofonu, panie Samms? Czy mam może zwracać się do pana inaczej?

– Ma się pan zwracać: Pierwszy Lensmanie Samms – rzekł Kinnison szorstkim tonem.

– Oczywiście, Pierwszy Lensmanie Samms. Dziękuję, panie Kinnison. A teraz, Pierwszy Lensmanie Samms, nasi widzowie chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o Soczewkach. Wszyscy wiedzą, do czego służą, czym jednak tak naprawdę są? Kto je wynalazł? Jak działają?

Kinnison już otworzył usta, jednak Samms uciszył go myślą.

– Odpowiem pytaniem na pytanie. – Samms uśmiechnął się rozbijając. – Czy pamięta pan, co się wydarzyło, kiedy piraci nauczyli się kopiować złoty meteor Służby Trójplanetarnej?

– Och, rozumiem. – Telewizyjny gwiazdor, choć był człowiekiem aroganckim i gruboskórnym, wykazał się znakomitą refleksją. – Cicho sza? To informacja poufna?

– To ściśle tajne. Nawet bardzo – potwierdził Samms. – I niektóre informacje dotyczące Soczewek zamierzamy jak najdłużej utrzymać w tajemnicy.

– Rozumiem. No cóż, przyznają państwo, że trudno odmówić im racji. Proszę mi w takim razie powiedzieć, kto pana zdaniem był autorem zamachu i skąd przybyła Czarna Flota?

– Nie wiem – odparł Samms powoli i z namysłem. – Nie mam zielonego pojęcia.

– Słucham? Jest pan tego pewien? A może ma pan jednak jakieś podejrzenia, którymi nie chce się z nami podzielić z pobudek dyplomatycznych?

– Nie mam żadnych podejrzeń. I mogę pana o tym przekonać za pomocą Soczewki. Myśli przekazywane przez Soczewkę płyną bezpośrednio z umysłu i nie mogą być świadomie manipulowane za pomocą mięśni języka. Umysł nie jest w stanie kłamać, nawet jeśli kłamstwa te nazwie się „dyplomacją”.

Lensman zademonstrował możliwości Soczewki w praktyce, zaś reporter kontynuował:

– Jest to, szanowni państwo, szczerą prawdą i muszę przyznać, że na chwilę odebrało mi mowę... co samo w sobie jest nie lada osiągnięciem. I ostatnie pytanie, panie Samms. O co tak naprawdę chodzi z tymi Soczewkami? Jaki jest prawdziwy powód istnienia was, Lensmanów, Galaktycznej Rady i całej reszty? Co chcecie osiągnąć? I dlaczego ktoś próbuje was za wszelką cenę wyeliminować? Prosiłbym też, jeśli to możliwe, by udzielając odpowiedzi na głos, przesłał ją pan jednocześnie przez Soczewkę. Jakież to wspaniałe uczucie, szanowni państwo, kiedy ma się absolutną pewność, że uzyskana informacja jest w stu procentach prawdziwa.

– Nie widzę przeszkód, by odpowiadając na to pytanie, nie skorzystać jednocześnie z Soczewki. Naszym głównym celem jest... – i zacytował dosłownie doniosłe frazy, które Mentor tak trwale zapisał w jego umyśle. – Jesteście przecież świadomi, jak mało jest dziś we wszechświecie prawdziwego szczęścia i dobrobytu. Chcemy szerzyć jedno i drugie. Dążymy do tego, by szczęście i dobrobyt stały się udziałem każdego z nas; by każdy mógł wykonywać pracę, do której jest stworzony, odczuwając z tego powodu dumę i satysfakcję. Zaś co do zamachu na moje życie, jedynym logicznym wyjaśnieniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest istnienie jakiejś grupy, organizacji czy rasy, której realizacja tych celów jest bardzo nie na rękę i która postanowiła się nas pozbyć, zaczynając ode mnie.

– Dziękuję za rozmowę, panie Samms. Jestem przekonany, że nasi widzowie są w pełni usatysfakcjonowani. A teraz, proszę państwa, Granitowy Rod, Rod Kinnison... proszę bliżej mikrofonu... dziękuję. Pan zapewne również nie ma konkretnych podejrzeń...

– Oczywiście, że mam! – warknął Kinnison z taką furją, że pięćset milionów widzów podskoczyło przed ekranami. – Mam odpowiedzieć na głos, przez Soczewkę, czy na obydwu sposoby? – Po czym dodał już tylko przez Soczewkę – Przemyśl to pytanie, synu, bo podejrzewam absolutnie wszystkich.

– N... n... na obydwu sposoby, panie Kinnison, jeśli można prosić. – Nawet gwiazdor „Wiadomości z Wszechświata” był wstrząśnięty cichą lecz zabójczą furją wielkiego Lensmana, wziął się jednak w garść na tyle szybko, że jego zawahanie było niemal niezauważalne. – Z myśli, którą przesłał mi pan za pomocą Soczewki, wynika, że podejrzewa pan wszystkich; czy tak, panie Kinnison?

– Dokładnie tak. Wszystkich. Podejrzewam każdy kontynentalny rząd na każdym ze znanych światów, z rządem Ameryki Północnej na Tellusie włącznie. Podejrzewam partie polityczne i organizacje mniejszości. Podejrzewam grupy nacisku. Podejrzewam kapitalistów i robotników. Podejrzewam organizacje przestępcze. Podejrzewam narody, rasy i światy, o których nikt z nas nawet nie słyszał; nawet pan, jeden z czołowych we wszechświecie reporterów telewizyjnych.

– Jednak, jak rozumiem, nie dysponuje pan jeszcze niczym konkretnym?

– Czy uważa pan, że traciłbym wtedy czas na tę rozmowę?

Pierwszy Lensman Samms siedział w swej prywatnej kwaterze pogrążony w myślach. Lensman Dronvir z Rigel Cztery stał za jego plecami, pomagając mu w rozmyślaniach.

Wiceadmirał Kinnison, angażując w to całą swą energię i zapał, zaczął opracowywać kompleksowy program śledztwa, konsolidacji, rozwoju, przeprojektowywania i przebudowy.

Virgilia Samms niemal co wieczór chodziła na przyjęcia. Tańczyła, flirtowała i rozmawiała. I to jak rozmawiała! Potrafiła przeplatać te błahe najczęściej pogawędki pozornie niewinnymi pytaniami i komentarzami, które mogły wprawiać rozmówców w pewne zakłopotanie, nie wzbudzały jednak szczególnych podejrzeń.

Conway Costigan, z ukrytą pod rękawem Soczewką, szczególnie się nie maskując, starając się jednak nie rzucać w oczy, przemierzał kosmiczne szlaki, prowadząc szczegółowe obserwacje i składając wyczerpujące meldunki.

Jack Kinnison zajmował się pilotażem, nawigacją i obliczeniami dla swego przyjaciela i towarzysza broni, Masona Northropa, który otoczony najnowszymi i niezwykle złożonymi elektronicznymi matrycami, słuchał i przyglądał się, słuchał i dostrajał, słuchał i przebudowywał, słuchał i – na koniec – dokonywał namiarów za pomocą superczułych obwodów.

DalNalten i Knobos z tuzinem utalentowanych pomocników przeczesywali archiwa trzech światów i ubocznym produktem ich poszukiwań stało się monumentalne kompendium, „who is who” w przestępczym świecie.

Wysoko wykwalifikowani technicy zapełniali nośniki danymi, które wprowadzali do najbardziej wielofunkcyjnych, najnowocześniejszych maszyn dostępnych ówczesnym statystykom.

Zaś doktor Nels Bergenholm, zarzucając chwilowo swą aktualną pracę, poświęcił swe wyjątkowe zdolności niezwykle skomplikowanym badaniom w dziedzinie blisko z nią spokrewnionej chemii organicznej.

Ściany kwatery Virgila Sammsa zapełniły się wykresami, planami i rysunkami. Na jego biurku piętrzyły się stosy zestawień i streszczeń, którymi następnie zapełniały się kosze na śmieci. Zaś w pewnym momencie:

- Lensman Olmstead z Alphacenty, sir – zapowiedziała sekretarka.
- Znakomicie! Proszę go wpuścić.

Gość wszedł. Mężczyźni przyglądali się sobie uważnie przez pół minuty, po czym uśmiechnęli się i wymienili energiczny uścisk dłoni. Byli absolutnie identyczni. Odróżniało ich jedynie to, że przybysz był brunetem.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, George. Skierował cię do mnie Bergenholm?

– Tak. Powiedział, że może upodobnić twoje włosy do moich, włączając pojedyncze siwe włoski. Peruka, którą dla mnie zrobił, to po prostu arcydzieło.

– Jesteś żonaty? – Samms wybiegł myślą naprzód, starając się przewidzieć możliwe komplikacje.

- Podobnie jak ty jestem wdowcem. I...

– Wystarczy, nie chcę znać szczegółów. – Nadał przez Soczewkę wezwania. Lensmani z różnych zakątków kosmosu weszli z nim w kontakt, łącząc się jednocześnie ze sobą.

– Witam was, Lensmani, szczególnie dotyczy to ciebie, Rod; jest z nami George Olmstead, mamy też kontakt z jego bratem, Rayem. Rozpaczynam akcję.

– Nie podoba mi się ten pomysł! – zaprotestował Kinnison. – To zbyt niebezpieczne. Kiedy przysięgałem na kosmos, że będę cię ochraniał, mówiłem serio!

– I właśnie dlatego jest to w pełni bezpieczne. Jeśli Bergenholm jest przekonany, że jesteśmy wystarczająco podobni...

– Jestem pewien. – Głęboki, dźwięczny głos Bergenholma nie pozostawił wątpliwości w żadnym z połączonych umysłów. – Zamiana nie zostanie wykryta.

– ...i jeśli nikt nie wie ani nawet nie podejrzewa, George, że masz Soczewkę.

– Jestem tego pewien. – Olmstead roześmiał się cicho. – Nikt oprócz nas i twojej sekretarki nie wie też, że tu jesteśmy. Od wielu lat specjalizuję się w tego typu sprawach. Fotografie, odciski palców, wszystko jest już załatwione.

– Świetnie. Ja po prostu nie jestem tu w stanie wydajnie pracować – wyraził Samms oczywistą dla wszystkich myśl. – Dronvir jest znacznie lepszym analitykiem ode mnie, nie umkną mu żadne istotne powiązania. Wiemy już, że ekipa Towne'a i Morgana, zakłady energetyczne Mackenziego, zakłady przemysłowe Ossmena i firma Podróże Międzygwiazdne są ze sobą powiązane i że w grę wchodzi thionit; nie udało nam się jednak ustalić niczego więcej. Istnieje minimalnie dodatnia korelacja pomiędzy zgonami spowodowanymi zażywaniem thionitu i przybywaniem do Układu Słonecznego liniowców należących do Podróży Międzygwiazdnych.

Wydatki niektórych urzędników ze Służb Ekranu Ochronnego Ziemi, znacznie przekraczające ich dochody, pozwalają też podejrzewać, że umożliwiają oni kosmicznym statkom, bądź pochodzącym z nich szalupom, nielegalne lądowania. Możliwe, że mamy do czynienia z przemysłem thionitu, choć nie ma na to twardych dowodów. Krótko mówiąc, brakuje

nam podstawowych danych dotyczących każdej sfery naszych działań i nadszedł czas, abym sam przyłączył się do ich pozyskiwania.

– Nie mogę się z tobą zgodzić, Virge. – Kinnisonowie nigdy nie poddawali się bez walki. – Olmstead jest zręcznym politykiem i świetnym fachowcem, a ty jesteś naszym głównym koordynatorem. Dlaczego nie pozwolimy mu w dalszym ciągu działać w kontrwywiadzie i wykonywać pracę, którą planujesz wziąć na swoje barki, a tobie nie pozostawimy dowodzenia całością.

– Długo się nad tym zastanawiałem i uznałem...

– Ponieważ Olmstead sobie z tym nie poradzi. – Milcząco dotychczas umysł stanowczo wtrącił się do rozmowy. – I twierdzą to ja, Rularion z Bieguna Północnego Jowisza. – I są z tym związane czynniki psychologiczne. Umiejętność wyodrębniania i oceny poszczególnych elementów złożonej sytuacji; umiejętność podejmowania właściwych decyzji bez wahania; a także wiele innych czynników, które może trudno tak jednoznacznie zdefiniować, choć ogólnie można określić je mianem siły umysłu. Co pan na to, Bergenholmie z Tellusa? Gdyż wyczuwam, że pana umysł jest pod względem psychologicznej i filozoficznej głębi bardzo zbliżony do mojego. – Ta skandalicznie egoistyczna wypowiedź była z punktu widzenia mieszkańca Jowisza zwykłą konstatacją faktu i tak też odebrał ją Bergenholm.

– Zgadza się. Olmstead temu nie podoła.

– A Samms sobie poradzi? – zapytał Kinnison.

– Trudno powiedzieć. – Bergenholm przesłał mentalny odpowiednik wzruszenia ramion.

– Nie wiem, czy sobie poradzę, zamierzam jednak spróbować. – I Samms, chcąc zakończyć ten spór, zaprosił Bergenholma oraz dwóch pozostałych Lensmanów do swojego biura i zdjął Soczewkę.

– I to jest kolejna rzecz, która mnie niepokoi – wyraził Kinnison swe ostatnie zastrzeżenie. – Bez Soczewki będziesz narażony na dodatkowe niebezpieczeństwo.

– Och, nie zamierzam się z nią rozstawać na długo. Poza tym Virgilia, która bez Soczewki potrafi osiągnąć niekiedy lepsze wyniki, nie jest w rodzinie Sammsów wyjątkiem.

Zaproszeni weszli do biura Sammsa, po czym zaskakująco szybko z niego wyszli. Kilka minut później opuścili je również obaj Lensmani.

– Do widzenia, George – powiedział głośno mężczyzna o rudych włosach. – I życzę ci powodzenia.

– Nawzajem, szefie. – I mężczyzna o ciemnych włosach wyszedł z pomieszczenia.

Norma, sekretarka Sammsa, była bystrą i spostrzegawczą dziewczyną. Obligowało ją do tego pełnione przez nią stanowisko. Odprowadziła wychodzącego mężczyznę wzrokiem, po czym zmierzyła Lensmana taksującym spojrzeniem.

– Po prostu nie wierzę własnym oczom, panie Samms – rzekła po chwili. – Poza różnicą w kolorze włosów i tym, że, jak by to powiedzieć... nieco się garbi... mógłby być pana sobowtórem. Musicie mieć kilku wspólnych i to niezbyt dalekich przodków.

– To oczywiste. Jesteśmy dalekimi kuzynami w czwartym pokoleniu. Wiedzieliśmy o swoim istnieniu, jednak po raz pierwszy spotkaliśmy się osobiście.

– Dalekimi kuzynami w czwartym pokoleniu? Co to oznacza? Jak to rozumieć?

– Cóż, powiedzmy, że dawno temu żyło sobie dwóch mężczyzn, Albert i Chester.

– Co? A nie było to przypadkiem dwóch Irlandczyków o imionach Pat i Mike[1]? Chyba coś pan kręci, szefie. – Na twarzy dziewczyny pojawił się szelmowski uśmiech. W szczytowych godzinach pracy zawsze była ona dynamiczną, kompetentną i efektywną sekretarką, jednak w wolnych chwilach podobne żarty były w prywatnym biurze Pierwszego Lensmana czymś zwyczajnym. – To do pana zupełnie niepodobne.

– To pewnie dlatego, że mówię to jako znawca swej genealogii, a nie jako gawędziarz. Zaś kontynuując, powiedzmy, że Chester i Albert mieli po czwórce dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, dwie pary identycznych bliźniaków. I kiedy wszystkie one dorosły, to znaczy...

– Nie chce pan chyba, bym uwierzyła, że te identyczne bliźniaki zawarły ze sobą związki małżeńskie?

– Właśnie tak. A czemu nie?

– Bo jest to całkowicie sprzeczne z rachunkiem prawdopodobieństwa. Proszę jednak kontynuować. Chyba już wiem, o co w tym chodzi.

– Każda z tych par miała tylko jedno dziecko. Powiedzmy, że nazywały się one Jimm Samms i Sally Olmstead oraz John Olmstead i Irene Samms.

Beztroska dziewczyny gdzieś się ulotniła.

– James Alexander Samms i Sarah Olmstead Samms. Pańscy rodzice. A jednak nie wiedziałam, o co chodzi. Więc ten George Olmstead jest pańskim...

– Dokładnie tak, jakkolwiek to nazwać. Choć ja także nie wiem, jak się to nazywa. Może zadzwonisz do działu genealogii i sama się dowiesz. Nic więc dziwnego, że wyglądamy tak samo. I jest nas trzech, George ma brata bliźniaka.

Rudowłosy Lensman wrócił do gabinetu, zamknął drzwi i przesłał Virgilowi Sammsowi myśl przez Soczewkę.

– Udało się, Virgil! Rozmawiałem z nią przez bitych pięć minut, niemal leżąc na jej biurku, a ona się nie zorientowała. I jeśli kompletnie nabrała się na zrobioną przez Bergenholma perukę, to nabierze się każdy.

– Znakomicie! Sam zrobiłem małą próbę z najbardziej czujnymi ludźmi, jakich znam, i jak dotąd nikt mnie nie rozpoznał.

Ostatnie wątpliwości zostały rozwiane, Samms wsiadł do ciężkiego, odpornego na radiację i promieniowanie neutronowe wahadłowca, jedyne go środka transportu łączącego Wzgórze ze światem zewnętrznym. Następnie szybkim krążownikiem poleciał do Nampy, gdzie remontowano właśnie „przypadkowo” uszkodzony transkontynentalny statek pasażerski, którym podróżował Olmstead. Nikt nie zauważył krótkiej nieobecności George’a i Samms bez problemu zajął jego miejsce. Zwrócił częściowo wykorzystany bilet i przesiadł się na statek do Nowego Jorku. Tam złapał helikopter lecący do posiadłości senatora Morgana. Zaprowadzono go do gabinetu Herkimera Herkimera Trzeciego.

– Olmstead. Z Alphacenty.

– Słucham? – Spoczywająca na blacie biurka dłoń Herkimera lekko drgnęła.

– Proszę. – Rzucona przez Lensmana koperta wylądowała na biurku Herkimera tuż przy jego dłoni.

– Odciski palców. W tym miejscu.

Samms wypełnił polecenie.

– Tam może pan umyć ręce. – Herkimer nacisnął przycisk. – Sprawdźcie odciski palców, każdy z osobna, i porównajcie z kartoteką. Porównajcie obie połówki przedartej kartki, każde włókno. – Odwrócił się

do Lensmana, który stał już w milczeniu przy jego biurku. – To rutyna, niezbędna w pańskim przypadku formalność.

– Oczywiście.

Następnie przez kilka długich sekund obaj mężczyźni badawczo mierzyli się wzrokiem.

– Może być pan dla nas przydatny, Olmstead. Opinie na pana temat są bardzo korzystne. Czy jednak zajmował się pan kiedykolwiek thionitem?

– Nie. Nie wiem nawet, jak wygląda.

– Więc dlaczego się pan w to angażuje?

– Wasi wywiadowcy dokładnie mnie prześwietlili. I czego się dowiedzieli? Zwyczajne wspinanie się po szczeblach kariery i awans na stanowisko, z którego mogę czerpać pewne profity dla siebie i dla organizacji.

– Najpierw dla siebie, potem dla organizacji?

– A co w tym dziwnego? Dlaczego miałbym się od was różnić?

Tym razem mężczyźni dłużej mierzyli się wzrokiem; w oczach jednego tlił się ogień, piwne, znaczone złotymi plamkami oczy drugiego były zimne jak lód.

– Rzeczywiście, dlaczego? – Herkimer lekko się uśmiechnął. – My się z tym jednak nie afiszujemy.

– Oficjalnie także tego nie robię, jednak tutaj mogę sobie chyba pozwolić na szczerość.

– Rozumiem. Skorzystamy z pańskich usług, panie Olmstead, jeśli tylko pan przeżyje. Musi pan jeszcze przejść pewien test.

– Wspomniano mi o tym.

– Nie jest pan ciekaw szczegółów?

– Niespecjalnie. Pan go przecież przeszedł, prawda?

– Co mi pan próbuje zainsynuować? – Herkimer zerwał się na równe nogi, z oczu posypały mu się iskry.

– Dokładnie to, co pan usłyszał. A jak pan to zinterpretuje, to już pańska sprawa. – Głos Sammsa był równie lodowaty, jak jego spojrzenie. – Wybraliście mnie właśnie dlatego, że taki jestem. Czy naprawdę uważa pan, że zbudowałem swą pozycję na pochlebstwach?

– Tego nie powiedziałem. – Herkimer usiadł i wyjął z szuflady dwie małe, przezroczyste kapsułki wypełnione purpurowym proszkiem. – Wie pan, co to jest?

– Domyślam się.

– Każda z nich zawiera maksymalną dawkę narkotyku, jaką może przyjąć silny, posiadający zdrowe serce człowiek. Niech pan usiądzie. Oto pierwsza porcja. Proszę wyciągnąć zatyczkę, przytknąć kapsułkę do nosa, nacisnąć ją i wciągnąć zawartość do płuc. Jeśli będzie pan w stanie siedząc przy tym biurku odmówić sobie drugiej dawki, przeżyje pan. Przyjęcie jej będzie śmiertelne.

Samms usiadł, otworzył kapsułkę, przyłożył ją do nosa i wciągnął jej zawartość do płuc.

Jego ręka z głuchym odgłosem uderzyła o blat biurka. Dłonie same zacisnęły się w pięści, pod skórą wyraźnie zarysowały się napięte ścięgna. Jego twarz pokryła się bladością, powieki się zacisnęły, a mięśnie szczęk zamieniły w węzły, zaciskając zęby jak imadło. Każdy mięsień jego ciała napiął się niczym w przedśmiertnym skurczu. Serce waliło mu jak oszalone, a oddech stał się chrapliwy.

Była to typowa dla thionitu, przerażająca „blokada mięśni”; ekstatyczne odrętwienie całkowitego spełnienia, zaspokojenia wszelkich żądz.

Galaktyczny Patrol stał się dla niego rzeczywistością; siłą, która stopniowo rozprzestrzenia się na wszystkie planety wszystkich galaktyk i wszechświatów we wszystkich istniejących czasoprzestrzeniach. Wiedział, czym były Soczewki i po co zostały stworzone. Zrozumiał czas i przestrzeń. Poznał początek i koniec wszechrzeczy.

Widział też i robił rzeczy, na które najlepiej opuścić zasłonę milczenia, gdyż wszystkie jego pragnienia, jakie kiedykolwiek posiadał, psychiczne i fizyczne, mniej lub bardziej stłumione, szlachetne i niskie, zostały zaspokojone. **WSZYSTKIE PRAGNIENIA!**

I kiedy Samms siedział tam, balansując na granicy życia i śmierci, w czystej ekstazie, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł senator Morgan. Herkimer, odwracając się, drgnął niemal niezauważalnie; czyżby w spojrzeniu jego piwnych oczu, teraz otwartym i szczerym, pojawiło się stłumione natychmiast poczucie winy?

– Cześć, szefie. Proszę wejść. Cieszę się, że pana widzę. Niech pan nie myśli, że to, co robię, sprawia mi przyjemność.

– Czyżby? Od kiedy to przestałeś być sadystą? – Senator usiadł za biurkiem swego podwładnego i palcami lewej ręki zabębnił bezgłośnie

po blacie. – Czy nie przyszedł ci przypadkiem do głowy pomysł, by...? – Zamilkł znacząco.

– Jaki pomysł? – Jeśli Herkimer grał, robił to perfekcyjnie. – Jest zbyt wartościowy, by go stracić.

– Ja to wiem, ty jednak zachowujesz się tak, jakbyś nie zdawał sobie z tego sprawy. Jeszcze nigdy negocjacje w twoim wydaniu nie były tak żałosne; przy czym doskonale wiedziałeś, że masz do czynienia z prawdziwym tygrysem, przecież właśnie dlatego został wybrany do tego zadania. I nic prostszego, niż podać mu o szczyptę za dużo.

– To jakiś absurd, szefie, i dobrze pan o tym wie.

– Doprawdy? Na pewno nie chodzi tu o rywalizację, on przecież nie pretenduje na twoje stanowisko. Nie stanie się też twoim przełożonym, każdy ma tu własne pole manewru. Więc o co chodzi? W tych okolicznościach twoja krwiożerczość nie zaprowadziłaby cię tak daleko. Bądź szczery, Herkimerze.

– Niech będzie; nienawidzę tej przeklętej rodziny! – wybuchnął Herkimer.

– Rozumiem. Teraz to ma sens. – Twarz Morgana się rozjaśniła, jego palce znieruchomiały. – Nie udało ci się zrobić z córki Sammsa swej dziwki i nie masz dostatecznej władzy, by obdrzeć ją żywcem ze skóry, więc masz uczulenie na wszystkich jej krewnych. Teraz to rozumiem. Ale pozwól, że coś ci powiem. – Jego spokojny głos był bardziej złowieszczy, niż najgłośniejsze nawet wykrzykiwane groźby. – Nie mieszaj swoich problemów sercowych z pracą i kontroluj swoje sadystyczne zapędy. I nie pozwól, by podobne incydenty miały miejsce w przyszłości.

– Obiecuję, szefie. Poniosło mnie, ale on po prostu doprowadził mnie do szału!

– Oczywiście. Właśnie o to mu chodziło. To elementarne. Obnażając twoją małostkowość, jednocześnie skutecznie wzmocnił swoją pozycję negocjacyjną. Ale uwaga, twój gość przychodzi do siebie.

Mięśnie Sammsa się rozluźniły. Z trudem otworzył oczy, jednak upokorzenie, które niczym fala przetoczyło się przez jego świadomość, było tak silne, że zadrżał i ponownie je zamknął. Zawsze miał o sobie, jako mężczyźnie, dość wysokie mniemanie; nie mieściło mu się w głowie, że może zniżyć się do poziomu tak obrzydliwej deprawacji, nikczemności i kompletnej moralnej degradacji. A mimo to każda cząstka jego jestestwa

krzyczała o więcej; zarówno jego umysł jak i ciało wypełnione były przemożnym pragnieniem powtórzenia tych z niczym nieporównywalnych doznań, które wprawiły go w skrajną wręcz ekstazę.

A przed nim na biurku leżała druga duża porcja; choć „wączacze” thionitu nigdy nie dopuszczali do tego, by sięgnięcie po kolejną dawkę narkotyku było możliwe bez podjęcia konkretnego fizycznego wysiłku, który przywracał im jasność myślenia. Zażycie drugiej dawki go zabije. I co z tego? Czymże jest śmierć? Jaki sens ma życie bez poczucia ekstazy, której właśnie doświadczył i której zamierza doświadczyć ponownie? Zresztą thionit nie był go w stanie zabić. Był supermanem i właśnie to udowodnił!

Wyprostował się i sięgnął po kapsułkę. I ten minimalny wysiłek wystarczył, by Pierwszy Lensman Virgil Samms odzyskał nad sobą kontrolę. Choć pragnienie zażycia narkotyku bynajmniej nie minęło. Wręcz przeciwnie, nawet się wzmogło.

Miną całe miesiące, nim będzie potrafił myśleć o thionicie, czy nawet purpurowym kolorze, bez spazmatycznego łapania oddechu i napięcia wszystkich mięśni. Miną lata, nim choćby częściowo zapomni o mrocznych zakamarkach swej duszy, których istnienia dotychczas nawet nie podejrzewał. Jednak to właśnie ta niezwykła złożoność charakteru pozwoliła Virgilowi Sammsowi znaleźć w sobie siłę. Dotknął kapsułki kciukiem i palcem wskazującym, nie podniósł jej jednak, lecz przesunął po blacie biurka w stronę Herkimerera.

– Zabierz to, kolego. Jeden niuch tego świństwa wystarczy mi na całe życie. – Zmierzył sekretarza nieprzeniknionym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na Morgana i skinął głową. – A sam nie powiedział, czy przeszedł kiedykolwiek podobny test. Jedynie nie zaprzeczył, kiedy go o to zapytałem.

Herkimer z widocznym trudem zachował milczenie, w odróżnieniu od Morgana.

– Za dużo pan mówi, Olmstead. Czy da pan już radę ustać na nogach?

Trzymając się oburącz blatu biurka, Samms podniósł się z trudem. Cały pokój wirował, a każdy znajdujący się w nim przedmiot poruszał się po niezależnej i nieprawdopodobnej orbicie; głowa, która już pękała mu z bólu, groziła rozsadzeniem niczym bomba odłamkowa; czarne i białe plamki oraz wielokolorowe rozbłyski migotały mu przed oczami. Rozluźnił ręce, którymi kurczowo trzymał się biurka, i runął z powrotem na fotel.

– Jeszcze nie do końca – przyznał zdrętwiałymi wargami.

Morgan, choć starał się tego nie okazywać, był zdumiony. Jednak nie dlatego, że Samms nie utrzymał się na nogach, lecz faktem, że tak szybko był w stanie się podnieść. – Tygrys było złym słowem, Olmstead był prawdziwym dinozaurem.

– To trwa kilka minut, w przypadku jednych dłużej, innych krócej – rzekł Morgan, siląc się na obojętność. – Dlaczego sądzi pan jednak, że Herkimer nigdy tego nie brał?

– Dlaczego? – Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem, jednak ich pojedynek był dłuższy i bardziej wymowny. – A jak się panu wydaje? Jak według pana udało mi się dożyć takiego wieku? Dzięki tępotcie?

Morgan wyjął wenusjańskie cygaro, umieścił je wygodnie między zębami, zapalił je i zanim odpowiedział, trzy razy powoli dmuchnął dymem.

– Mądrała z pana. Analityczny umysł – rzekł beznamiętnie, jakby nie na temat. – Zostawmy jednak Herkimera. Niech pan spróbuje ze mną.

– Dlaczego nie? Z tego, co mi wiadomo, dzięki pańskiej pozycji nigdy nie musiał pan niczego udowadniać. Sądzę jednak, że mógł pan spróbować.

– Stara dobra wazelina, co? – Morgan pozwolił, by w jego głosie i wyrazie twarzy pojawiła się odrobina dokładnie odmierzonej pogardy. – Jak przetrwać w tym świecie, lekcja pierwsza: podlizuj się szefowi.

– Niezła próba, senatorze, jednak strzelił pan kulą w płot. – Samms, który już niemal w pełni doszedł do siebie, uśmiechnął się promiennie. – Obaj dobrze wiemy, że wyrosłem już z krótkich spodenek; inaczej by mnie tu nie było.

– Tym razem puszczę to panu płazem. – Ten ton i spojrzenie powodowały, że wszyscy jego podwładni kulili się ze strachu, jednak nie Olmstead. – Jednak proszę już tego nie robić. To może być ryzykowne.

– Och, nie sądzę, by wiązało się to z jakimkolwiek niebezpieczeństwem, w każdym razie nie dzisiaj. Konsekwentnie ignoruje pan dwa czynniki. Po pierwsze, nie przyjąłem jeszcze tej pracy.

– Czy jest pan aż tak naiwny, by sądzić, że wypuszczę pana stąd żywego, jeśli pana nie przyjmę?

– Jeśli nazywa pan to naiwnością, to tak. Wiem, że budynek pełen jest pańskich ochroniarzy, nie ma to jednak żadnego znaczenia.

– Doprawdy? – spytał Morgan jedwabistym, pełnym jadu głosem.

– Oczywiście. – Na Olmsteadzie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.
– Proszę postawić się na moim miejscu. Zdaje pan sobie przecież sprawę, że żyję już na tym świecie wystarczająco długo i od dawna nie trzymam się maminej spódnicy.

– Rozumiem. Nie boi się pan nawet diabła. Punkt dla pana. I sprawdza mnie pan, tak jak ja sprawdzam pana. Kolejny punkt. Zaczynam pana lubić, George. Chyba wiem, co pan trzyma w zanadrzu, ale niech panu będzie, tak dla jasności.

– Jestem pewien, że pan to wie. Jeśli ktoś ma być moim szefem, musi być co najmniej tak dobry, jak ja. W przeciwnym wypadku przejmuję jego stanowisko.

– Doceniam szczerść. Muszę przyznać, że naprawdę pana polubiłem, Olmstead! – Masywna twarz Morgana rozpląnęła się w szerokim uśmiechu; senator wstał, podszedł do Lensmana i energicznie uściskał mu dłoń. Samms, który próbował wyczytać coś z jego twarzy, nie był jednak w stanie określić, na ile szczerzy był ten entuzjazm. – Chce pan dostać tę pracę? I kiedy może pan zacząć?

– Tak, sir. Byłem gotowy już dwie godziny temu, sir.

– Znakomicie! – huknął Morgan tubalnym głosem. Choć w żaden sposób tego nie skomentował, zauważył i docenił nową formę, w jakiej zwracał się do niego Samms. – Nie wiedząc, co to za zadanie i ile za to zapłacę?

– W tej chwili te sprawy nie są istotne, sir. – Samms, który bez szczególnego trudu podniósł się z fotela, by uściskać dłoń senatora, spróbował potrząsnąć głową. Obyło się bez niespodzianek. Świetnie, niemal doszedł już do siebie. – Jeśli chodzi o pracę, albo będę ją w stanie wykonać, albo wyjaśnię, dlaczego jest to niemożliwe. Zaś w kwestii zapłaty, słyszałem wiele opinii na pański temat, nikt jednak nie nazwał pana sknerą.

– Znakomicie. Wróżę panu świetlaną przyszłość. – Morgan raz jeszcze potrząsnął dłonią Lensmana, który także tym razem nie był w stanie ocenić stopnia szczerści senatora. – Wtorkowe popołudnie. Nowojorski Port Kosmiczny. Statek *Virgin Queen*. Proszę się zameldować u kapitana Willoughby’ego, w jego biurze, równo o czternastej. Wychodząc, proszę zajrzeć do biura mojego kasjera. Żegnam.

[1] Pat i Mike – bohaterowie kultowych irlandzkich dowcipów.

ROZDZIAŁ 9

Piractwo było zjawiskiem powszechnym. Przez wiele lat nikt jednak nawet nie podejrzewał, jak bardzo może być ono dochodowe. Murgatroyd był po prostu kosmicznym Kapitanem Kiddem. I nawet gdyby rzeczywiście był w jakiś sposób związany z firmą Podróże Międzygwiazdne, nie byłoby w tym niczego zaskakującego. Podobne relacje istniały od zawsze; budzący największy postrach, najokrutniejsi piraci w dziejach ludzkości utrzymywali ściśle kontakty z możliwymi tego świata.

Virgil Samms rozmyślał o piratach i piractwie, kiedy opuszczał biuro senatora Morgana. I temat ten wciąż zaprzętał mu głowę, gdy składał Roderickowi Kinnisonowi meldunek.

– Ale skończmy już z tym tematem, Rod. Podaj mi najnowsze informacje na temat operacji Boskone.

– Bez końca się rozrasta. Miałeś rację co do tego, że straty, które ponosi firma Podróże Międzygwiazdne w związku z atakami piratów, są najprawdopodobniej fikcyjne. I nie chodzi tu o ataki, o których wiemy. Te, po których udaje nam się odnaleźć statek, na którym przynajmniej część załogi pozostała przy życiu i jest w stanie udzielić nam konkretnych informacji. Wszystkie takie przypadki są do siebie bardzo podobne. Dopiero gdy przeanalizowaliśmy wszystkie zniknięcia statków, trafiliśmy w dziesiątkę.

– Nie brzmi to zbyt przekonująco, słucham jednak dalej.

– Sięga to głębiej, niż podejrzewałeś. Nie mieliśmy najmniejszych kłopotów ze zdobyciem list pasażerów i członków załóg niezależnych jednostek, które zniknęły bez śladu. Byliśmy w stanie namierzyć ich przyjaciół i krewnych, przy czym koncentrowaliśmy się głównie na żonach. Poza tymi, którzy nigdy nie zagrzewają miejsca na dłużej i trudno ich znaleźć. Na statkach kosmicznych latają przeważnie ludzie młodzi, a ich żony są jeszcze młodsze. Większość tych młodych kobiet podejmuje pracę, wychodzi powtórnie za mąż i tak dalej. W skrócie, normalka.

– A w przypadku Podróży Międzygwiazdnych wygląda to inaczej?

– Zdecydowanie. Przede wszystkim byłbyś zdumiony tym, jak rzadko podawano do wiadomości spisy pasażerów. Zaś list członków załogi nie publikowano nigdy. Nie wchodząc w szczegóły, udało nam się dotrzeć do tych informacji. Jednak dziewięć z dziesięciu tych żon zniknęło, zaś pozostałe nigdy nie wyszły powtórnie za mąż. A te, które udało nam się znaleźć, nigdy nie dbały o to, czy ich mężowie żyją i czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczą. I wtedy nastąpił przełom; pamiętasz zniknięcie szkolnego statku ze studentkami na pokładzie?

– Oczywiście. To była głośna sprawa.

– Istnieje pewien interesujący fakt związany z tym rejsem: dwa dni przed startem statku uczelnia została ograbiona. Wejście do skarbcza wysadzono termitem i cały budynek administracji spłonął przy okazji do cna. Całe archiwum uczelni uległo zniszczeniu. Dlatego lista zaginionych została sporządzona na podstawie oświadczeń przyjaciół, krewnych i bóg wie kogo jeszcze.

– Coś sobie przypominam. Wydawało mi się wtedy jednak, że tę listę dostarczyła kosmiczna firma przewozowa... Och! – Ton myśli Sammsa gwałtownie się wyostrzył. – To były Podróże Międzygwiazdne działające pod przykrywką!

– Bez wątpienia. Sądzimy, że mniej więcej w tym samym czasie zniknęło więcej statków z kobietami na pokładzie. Na uczelni Austin uczyło się tamtego roku więcej osób, niż kiedykolwiek. Na pokładzie nie było regularnych studentów, a jedynie wolni słuchacze, dla których zniknięcie w kosmosie było znacznie wygodniejsze od znalezienia się na zwykłej liście osób zaginionych.

– Ale, Rod! To może oznaczać... gdzie się jednak podziali?

– Trafiłeś w sedno. I odnalezienie tego „gdzie” staje się częścią projektu. W galaktyce znajdują się ponad dwa miliardy słońc i z wiarygodnych obliczeń wynika, że istnieje jeszcze więcej planet zamieszkałych przez istoty, które w mniejszym bądź większym stopniu przypominają ludzi. Zdajesz sobie sprawę, jak wielką część galaktyki już zbadaliśmy i jak szybko odbywa się eksploracja pozostałej części. Obaj możemy jedynie przypuszczać, gdzie są te załogi, ci inżynierowie oraz ich żony bądź dziewczyny. Jestem jednak pewien czterech rzeczy, choć żadnej z nich nie możemy udowodnić. Po pierwsze, nie zginęli w kosmosie. Po drugie, wylądowali na wygodnej dla nich i świetnie wyposażonej

telluriańskiej planecie. Po trzecie, zbudowali tam flotę. Po czwarte, przy pomocy tej floty zaatakowali Wzgórze.

– Sądzisz, że to Murgatroyd? – Samms, wstrząśnięty raportem Kinnisona, zachował jednak spokój.

– Nie mam pojęcia. Mamy jeszcze zbyt mało danych.

– A oni będą kontynuować rozbudowę tej floty – rzekł Samms. – Od początku była ona znacznie większa, niż ta, z którą planowali się zmierzyć. Ta, którą budują obecnie, jest większa, niż wszystkie nasze połączone siły. Jednak politycy zawsze będą patrzeć nam na ręce... chyba że... gdybyśmy...

– Możesz sobie darować to gdybanie – twarz Kinnisona wykrzywiła się w drapieżnym uśmiechu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co miałeś na myśli. Znasz ten skraj galaktyki położony najbliżej Tellusa, który przecina ta wielka kosmiczna szczelina?

– Tak.

– Za tą szczeliną, w rejonie kosmosu, który nawet za tysiąc lat nie będzie w pełni zbadany, znajduje się planeta bliźniaczo podobna do Ziemi. Choć bez energii jądrowej i kosmicznej technologii, jest ona wysoko uprzemysłowiona, a jej mieszkańcy są bardzo otwarci na kontakt. To projekt Bennett. Ścisłe tajny. Wiedzą o nim wyłącznie Lensmani. Całością kierują dwaj przyjaciele Dronvira, niezwykle inteligentni i zręczni dyplomaci. Wkrótce ruszy tam produkcja statków dla Galaktycznego Patrolu.

– Ale, Rod... – zaczął protestować Samms, oczami wyobraźni widząc niezliczone problemy i olbrzymie trudności wiążące się z podobnym przedsięwzięciem, które tak skrótowo przedstawił mu jego przyjaciel.

– Daj spokój, Virge! – przerwał mu Kinnison. – Nie twierdzą oczywiście, że będzie to łatwe, możemy jednak zrobić wszystko to, co robią oni, osiągając przy tym znacznie lepsze wyniki. Możesz spokojnie zająć się swoimi zadaniami, wiedząc przy tym, że kiedy – przy czym zauważ, że mówię „kiedy”, a nie „jeśli” – będzie to konieczne, będziemy mieć w odwodzie flotę, przy której nasze oficjalne siły zbrojne wydają się być jednostką operacyjną. Widzę jednak, że masz spotkanie, pojawiła się Jill. Pozdrów ją ode mnie. I, jak mówią mieszkańcy Vegi, „Ogon do góry, bracie!”.

Samms znajdował się w bogato zdobionym hotelowym holu, do którego weszło dwóch umundurowanych „chłopców” hotelowych i Jill Samms. Pierwsza podeszła do niego dziewczyna.

– Widzę, moja droga, że rozpoznanie mnie nie sprawiło ci problemów?

– Najmniejszych, wujku George. – Pocałowała go zdawkowo. Chłopcy hotelowi zdążyli się ulotnić. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. Wiele o tobie słyszałam. A więc do „Morskiej Chaty”?

– Tak, zarezerwowałem tam stół.

I w tej znanej restauracji, która jako najbardziej hałaśliwy i zatłoczony nocny lokal w mieście zapewniała absolutną dyskrecję, pili z umiarem, z nieco mniejszym umiarem jedli, nie ograniczając się jedynie w rozmowie.

– Sądzisz, że jest tu całkowicie bezpiecznie? – spytała Jill na początek.

– Całkowicie. Nawet superczułe mikrofony nie są w stanie niczego wychwycić; jest też ciemno i nawet osoby potrafiące czytać z ruchu warg potrzebowałyby dwunastocalowego noktowizora.

– Cudnie! Odwalili kawał świetnej roboty, tato. Gdyby nie twoja... no, twoja osobowość, nie rozpoznałabym cię nawet teraz.

– Więc uważasz, że jestem bezpieczny?

– Całkowicie.

– Omówmy w takim razie sytuację. Ty, Knobos i DalNalten macie bardzo przenikliwe i tęgie umysły. Niemożliwością jest, by cała wasza trójka była w błędzie. Wynika z tego, że Podróże Międzygwiazdne są związane zarówno z ekipą Towne’a i Morgana, jak i z thionitem. Można z tego wysnuć logiczny wniosek, który podziela oczywiście Dal, choć nie mówi tego wprost, że... – Samms zawiesił głos.

– Zgadza się. Że cieszący się złą sławą Murgatroyd nie jest kolejnym hersztem piratów, lecz pracuje dla Podróży Międzygwiazdnych i należy do bandy Towne’a, Morgana i Isaacsona. Toż to kompletnie szalony pomysł! Czy ten system jest naprawdę do tego stopnia przegniły?

– Sprawy mogą wyglądać znacznie gorzej. Przejdźmy do kolejnej kwestii. Kto według ciebie jest tu faktycznym szefem?

– Bez wątplenia nie jest nim Herkimer Herkimer Trzeci. – Jill odhaczyła go palcem. Została zapytana o zdanie i zamierzała udzielić jednoznacznej i zdecydowanej odpowiedzi. – Mógłby co najwyżej zarządzać budką z hot dogami. To także nie Clander. On nie jest nawet płotką. Na pewno nie jest to też żaden Wenusjanin ani Marsjanin. Mogą

zajmować się sprawami w skali jednej planety, to jednak wszystko, na co ich stać. Oczywiście nie miałam nigdy okazji, by spotkać się z Murgatroidem osobiście, słyszałam jednak, że nie dorównuje on Towne'owi. Także Big Jim, czym będziesz zapewne równie zdumiony jak ja, niemal na pewno nie jest mózgiem tego przedsięwzięcia. – Spojrzała na niego pytająco.

– Jeszcze wczoraj byłbym kompletnie zaskoczony, jednak po dzisiejszym dniu możesz mi wierzyć, że w ogóle mnie to nie dziwi.

– Bardzo mnie to cieszy. Sądziłam, że będziemy się o to sprzeczać; sama byłam gotowa zakwestionować zasadność swoich wniosków, gdyż mijają się one z naszą ogólną wiedzą, czy raczej z tym, co za nią uważamy. Pozostają więc Isaacson i senator Morgan. – Jill w konsternacji zmarszczyła brwi; po raz pierwszy wydawała się zbита z tropu. – Isaacson jest niewątpliwie grubą rybą. Jest zdolny. Dobrze poinformowany. Niezwykle kompetentny. To pierwszorzędny specjalista. W przeciwnym razie nie byłby w stanie zarządzać firmą Podróże Międzygwiazdne. Z drugiej strony zawsze uważałam Morgana za typowego pozera... – Jill zamilkła, nie kończąc swej myśli.

– Podobnie jak ja, aż do dzisiaj – zgodził się Samms posępnie. – Sądziłem, że jest on po prostu kolejnym skorumpowanym, chciwym i uprawiającym demagogię politykiem. Niewykluczone, że nasze zdanie na jego temat ulegnie radykalnej zmianie.

Umysł Sammsa pracował na pełnych obrotach. Bazując na zupełnie różnych przesłankach, doszli z Jill do tego samego wniosku. Lecz gdyby Morgan faktycznie był taką szyczą, czy zniżyłby się do rozmowy z taką płotką jak Olmstead? A może Olmstead ma do odegrania znacznie ważniejszą rolę, niż Samms przypuszczał?

– Jest jeszcze masa spraw, które chciałbym z tobą omówić – kontynuował po krótkiej pauzie – ponieważ jednak kwestia przywództwa to jedyny temat, w którym moje doświadczenie może mieć wpływ na twój osąd, opowiem ci o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

Nadszedł wtorek i punkt o szesnastej Samms wszedł do biura. Za dużym, uprzątniętym stołem siedział żylasty, siwowłosy mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy.

– Kapitan Willoughby?

– Tak.

– George Olmstead melduje się do pana dyspozycji.

– Czwarty oficer. – Kapitan wduśli przycisk; ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi zamknęły się i uruchomił się mechanizm zatraskowy.

– Czwarty oficer? To jakaś nowa ranga? Jaki będzie zakres moich obowiązków?

– Nowa i wyjątkowa. Oto kontrakt. Proszę przeczytać i podpisać. – Nie dodał: „jeśli się pan zgadza”, gdyż nie było takiej potrzeby. Było absolutnie jasne, że kapitan Willoughby, będąc z natury człowiekiem małomównym, nie zamierzał robić wyjątku dla swego nowego podwładnego.

Samms zaczął czytać. „...Czwarty oficer... ma obowiązek... nie ponosi odpowiedzialności za obsługę i eksploatację wyżej wymienionego statku... za ładunek...”. – Kolejny punkt na tyle się wydzielał, że od razu rzuciło mu się to w oczy. – „Dowodząc grupą poza statkiem ma prawo użyć siły, przez pozbawienie życia czy zastosowanie innej kary, którą uzna za stosowną...”.

Lensman był wstrząśnięty do głębi, udało mu się tego jednak nie okazać. Wziął od kapitana pióro – jego własne, jak miał prawo podejrzewać Willoughby, mogło być wypełnione znikającym tuszem – i podpisał się jako George Olmstead, idealnie naśladowując jego płynny, zamaszysty charakter pisma.

Następnie Willoughby zabrał go na pokład transportowca o nazwie *Virgin Queen* i zaprowadził go do jego kabiny.

– Tutaj, panie Olmstead. Oprócz zapoznania się z tą jednostką i z resztą swoich ludzi, przez następne kilka dni nie będzie miał pan żadnych obowiązków. Może pan swobodnie poruszać się po całym statku, z jednym wyjątkiem. Proszę się trzymać z daleka od kabiny dowodzenia, dopóki pana nie wezwę. Czy to jasne?

– Tak, sir. – Willoughby odwrócił się i Samms, po wrzuceniu swego bagażu na półkę, rozejrzał się po kabinie.

Pomieszczenie było oczywiście bardzo małe, jednak uwzględniając znaczenie każdego dodatkowego obciążenia, było urządzone wręcz

ekstrawagancko. Były tam regały, czy raczej wąskie półki z książkami, lampy imitujące światło słoneczne i stojaki na papiery, urządzenia treningowe i gry, był tam też odbiornik łapiący programy z niemal wszystkich zakątków kosmosu. Brakowało natomiast ultrafioletowego wideoekranu. Samms nie był tym szczególnie zdziwiony. „Oni” nie mogli przecież dopuścić, by George Olmstead dowiedział się, dokąd lecą.

Zaś sporym zaskoczeniem było dla niego spotkanie z ludźmi, którzy mieli być jego bezpośrednimi podwładnymi; spodziewał się jednej, góra dwóch osób, a było ich równo czterdziestu. I już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to zbieranina mętów i szumowin z najgorszych spelunek kosmosu. Szybko zorientował się jednak, że nie byli to wyłącznie kosmiczni włóczędzy i mieszkańcy slumsów. Sześciu z nich, którzy zarówno fizycznie jak i psychicznie byli znacznie silniejsi od pozostałych, okazało się uciekinierami z cel śmierci, skazanymi za morderstwa, a nawet gorsze przestępstwa. Samms spojrział na jednego z nich, najpotężniej zbudowanego, rudowłosego oprycha o wzroku zdolnym skruszyć kamień.

– Mówili ci, Tworn, na czym będzie polegało twoje zadanie?

– Żadnych konkretów. Tylko tyle, że to niebezpieczne, ale jeśli będę dokładnie wypełniał rozkazy szefa, to być może wyjdę z tego bez jednego zadraśnięcia. A w przyszłym tygodniu mieli mnie wysłać na tamten świat. I tak się tu znalazłem, szefie.

– Rozumiem. – I Virgil Samms, będący znakomitym psychologiem, zaczął po kolei poznawać i analizować członków swej barwnej ekipy, nim nie wezwano go do kabiny dowodzenia.

Panel nawigacyjny był zakryty, nie było też widać żadnej mapy. Na jedynym działającym ekranie widniała planeta i wściekle jasna, niebieskawa gwiazda.

– Zgodnie z rozkazami, które otrzymałem, mam teraz opowiedzieć panu wszystko, co wiem na temat pańskiego zadania oraz znajdującej się pod nami planety. Nazywają ją Trencó. – Virgilowi Sammsowi, będącemu pierwszym stronnikiem Cywilizacji, który usłyszał tę nazwę, kompletnie nic ona nie mówiła. – Proszę wybrać około pięciu ludzi z pańskiej załogi, macie polecieć na tę planetę i zebrać tyle zielonych liści, ile tylko zdołacie. W rzeczywistości nie są one zielone, to raczej odcień purpury. Najlepsze są te rozłożyste, mające mniej więcej dwie stopy długości i stopę szerokości.

Niech pan jednak nie będzie zbyt wybredny. Jeśli nie natraficie na te szerokie, bierzcie, co wpadnie wam w ręce i wracajcie.

– Czego możemy się spodziewać po przeciwniku – zapytał Samms spokojnie. – I czym dysponuje, że jest tak niebezpieczny?

– Niczym. Planeta nie jest nawet zamieszkała, chodzi o warunki, jakie na niej panują. To, obok Aryzji, najbardziej niegościnna planeta w całym kosmosie. Nigdy nie zbliżyłem się do niej bardziej niż teraz i wszystko, co o niej wiem, pochodzi z drugiej ręki. Jest tam jednak coś, co zabija ludzi, bądź doprowadza ich do szaleństwa. Podczas każdego rejsu wysyłamy siedem bądź osiem łodzi i od trzydziestu pięciu do czterdziestu ludzi i ani razu nie udało się zebrać więcej niż dwieście funtów liści. Najczęściej w ogóle wracają z pustymi rękami.

– Więc tracą rozum? – Choć Samms potrafił kontrolować swoje emocje, jego twarz pobladła. Planeta nie mogła przecież przypominać Aryzji. – Jakie są tego objawy? Jak to opisują?

– Objawy są różne. Głównym symptomem jest utrata wzroku. Nie chodzi o to, że ślepną w dosłownym sensie, jednak nie są w stanie określić, gdzie się coś znajduje, bądź widzą rzeczy, których nie ma. Każdej nocy poziom opadów wynosi tam czterdzieści stóp, a do rana wszystko wysycha. Rozpętują się tam najgwałtowniejsze burze elektryczne we wszechświecie i wieją wiatry, których prędkość wynosi ponad osiemset mil na godzinę; mogę pokazać panu wykresy.

– Uff! A ile mamy czasu? Za pańskim pozwoleniem, chciałbym zrobić najpierw mały rekonesans.

– Niegłupi pomysł. Wpadło też na niego dwóch pańskich poprzedników, jednak nie na wiele im się to zdało; nie wrócili. Ma pan dwa, góra trzy telluriańskie dni, potem spiszę pana na straty i wyślę następne łodzie. Niech pan wybierze pięciu swoich ludzi i wybada sytuację.

Kiedy szalupa oddzieliła się od statku, w głośniku zabrzmiał energiczny głos Wiloughby'ego:

– Wiem, że chodzą wam po głowach głupie pomysły. Zapomnijcie o tym. Czwarty oficer Olmstead otrzymał rozkaz, by wpakować kulkę każdemu, kto nie podporządkuje się jego rozkazom. Macie słuchać jego poleceń. I jeśli szalupa zacznie wykonywać jakieś dziwne manewry, rozniosę ją w pył. Udanych zbiorów!

Przez czterdzieści osiem telluriańskich godzin, poświęcając tylko kilka chwil na sen, Samms zajmował się analizą i badaniem panujących na Trencu warunków i im lepiej poznawał tę planetę, tym bardziej jawiła się ona obca i pełna anomalii.

Jest to bardzo osobliwa planeta. Jej atmosfera nie ma nic wspólnego ze znanym nam powietrzem, zaś hydrosfera w niczym nie przypomina wody. Połowę jej atmosfery i większość hydrosfery stanowi substancja chemiczna o bardzo niskiej temperaturze parowania i temperaturze wrzenia około siedemdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita. Dni na Trencu są niezwykle upalne, a noce przejmująco zimne.

Dlatego też nocami padają tu deszcze, przy których telluriańskie oberwania chmury, w trakcie których spada cal wody na godzinę, wydają się mżawką. Cały okrągły rok przez Trencu przetaczają się prawdziwe ulewy, których poziom dochodzi do czterdziestu siedmiu stóp i pięciu cali każdej nocy. I ta niewiarygodna kondensacja opadów rodzi oczywiście wichury. Wykresy Wiloughby'ego były bardzo precyzyjne. Za wyjątkiem biegunów w każdym miejscu i o każdej porze wieją tu wiatry, przy których ziemskie wichury wydają się być lekką bryzą. Zaś wzdłuż równika, podczas każdego wschodu i zachodu słońca wicher wieje z dziennej na nocną półkulę z taką prędkością, że nie mogą się z nim równać najgwałtowniejsze nawet ziemskie cyklony i huragany.

I jeszcze burze z piorunami. Przy czym nie są to łagodne, okazjonalne błyskawice, charakterystyczne dla umiarkowanego klimatu Ziemi, lecz nieustanne, oślepiające rozbłyski, przewyższające jasnością blask słońca; przeszywające i rozdzierające atmosferę wyładowania o mocy wielu miliardów woltów nie tylko sprawiają, że ciemność jest tu zjawiskiem nieznanym, lecz także zniekształcają nie do poznania osnowę i istotę samej przestrzeni. Zmysł wzroku jest niemal całkowicie bezużyteczny w tym dziwnie zniekształconym środowisku. Podobnie jak promienie szpiegujące.

Łądowanie na dziennej półkuli było niemożliwe z powodu wiatru; mogło się to ewentualnie udać w samo południe, jednak statek nie ustałby na powierzchni nawet kilku minut. Łądowanie na stronie nocnej było niemal równie niebezpieczne z uwagi na wyładowania, na które narazona byłaby szalupa. Chyba że na jej pokładzie znajdowało się coś, co można by przerobić na piorunochron. Co, jak się okazało, było wykonalne.

Od bieguna do bieguna, przez okrągłą dobę Samms raz po raz wysyłał w stronę powierzchni Trencu, czy raczej jej fałszywego obrazu, wiązki promieni skanujących, niezmiennie otrzymując nieprawdopodobne i fikcyjne odczyty. Planeta chybotwała się, kołysała, chwiała i wirowała. Rozpadała się na fragmenty, z których każdy mknął po matematycznie niemożliwych trajektoriach.

W końcu, zdesperowany, skierował promień skanera w dół i utrzymał go w stałej pozycji. I po raz kolejny zobaczył, jak planeta rozpada się przed jego oczami na kawałki, tym razem jednak to przeczekał. Wiedział, że znajduje się co najmniej dwieście mil ponad stratosferą. A mimo to na własne oczy widział, jak masa postrzępionych skał spada z szaleńczą prędkością wprost na jego szalupę! Pech chciał, że członkowie jego załogi, na których nie zwracał dotychczas szczególnej uwagi, zobaczyli to samo, i jeden z nich z dzikim wrzaskiem rzucił się w stronę Sammsa i panelu sterowania.

Samms, sięgając po pistolet i pałkę, odwrócił się dokładnie w chwili, gdy rudowłosy olbrzym z zimną krwią powalił niedoszłego napastnika na ziemię, uderzając go kantem dłoni w podstawę czaszki.

– Dzięki, Tworn. Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo chcę wydostać się stąd żywy, a z nim nie przetrwalibyśmy nawet piętnastu minut. Jesteś cholernie dobry w tym, co robisz, szefie, znacznie lepszy od nas, więc zamierzam grać według twoich reguł. Jasne?

– Jasne. Potrafisz posługiwać się pałką?

– Po mistrzowsku – przyznał skromnie wielkolud. – Powiedz tylko, jak długo ten gość ma być nieprzytomny; przywalę mu tak, że ocknie się co do minuty. Choć najlepiej byłoby od razu skasować tego śmiecia. Żaden z niego pożytek.

– Dopiero kiedy przekonam się, że faktycznie nie nadaje się do roboty. Jesteś z Procji, prawda?

– Taa. Midlands, na północ od centrum.

– Co nawywijałeś?

– Na początek nic wielkiego. Załatwiłem gościa, który na to zasługiwał. Gnojek miał jednak kupę kasy i dostałem dwadzieścia pięć lat. Nie byłem szczególnie zachwycony, zacząłem robić ostre rozróby i wpakowali mnie do izolatki; tak mnie skopali, że ledwie się z tego wylizałem. Próbowałem

uciec; zabiłem sześciu czy ośmiu, a może dwunastu strażników, ale się nie udało. Więc zwerbowali mnie na tę wielką łajbę. I tak to wyglądało, szefie.

– Mianuję cię teraz dowódcą ekipy. Trzymaj. – Wręczył Twornowi pałkę. – Miej ich na oku; ja nie będę miał na to czasu. To będzie twarde lądowanie.

– Robi się, szefie. – Tworn skalibrował swój oręż, uderzając się na próbę po nodze. – Bez obaw. Jeśli chodzi o tych gnojków, ten zbiornik na sprężone powietrze jest wyłącznie do twojej dyspozycji.

Samms w końcu zdecydował, co zrobić. Orientując się na terminator po porannej stronie planety, ustawił swój mały stateczek nieco bliżej świtu, niż północy i skierował go w stronę powierzchni. Dokonał szybkiego odczytu pozycji słońca, wyłączył ekrany i pozwolił szalupie opadać, obserwując jedynie wskaźniki ciśnienia i żyroskop.

Sto milimetrów słupka rtęci. Trzysta. Pięćset. Zmniejszył prędkość opadania. Miał lądować w rzadkiej cieczy, jednak zbyt gwałtowne uderzenie mogło roztrzaskać szalupę, a on nie miał pojęcia o panującym na powierzchni Trencu ciśnieniu atmosferycznym. Sześćset. Nawet tak późną nocą mogło przewyższać ziemskie... bądź być od niego znacznie niższe. Siedemset.

Szalupa coraz bardziej zwalniała, a jego napięcie rosło znacznie szybciej, niż odczyt wskaźnika. Jego własny organizm był najczulszym instrumentem pokładowym! Osiemset. Jak znosi to załoga? Ilu Tworn był zmuszony ogłuszyć? Pospiesznie zerknął przez ramię. Ani jednego! Teraz, nie widząc na ekranach fantasmagorycznych obrazów, znosili wszystko z całkowitym spokojem – był jedyną osobą na pokładzie, która odczuwała napięcie!

Dziewięćset... dziewięćset czterdzieści. Szalupa z gwałtownym pluskiem wbiła się w taflę cieczy. Dostatecznie wytraciła już jednak prędkość, a miejsce było wystarczająco głębokie, by obyło się bez uszkodzeń. Samms zwiększył odrobinę ciąg silnika i podniósł ostry dziób szalupy w kierunku słońca. Mały statek uniósł się powoli, zatrzymując tak blisko powierzchni, na ile pozwolił mu Samms, i szorując rufą po mulistym dnie niczym rzeczny statek parowy ostrożnie przedzierający się przez mieliznę. Straszliwa ulewa zaczęła słabnąć. Lensman zdawał sobie sprawę, że zbliża się kolejny moment krytyczny.

– Przypnijcie się pasami, panowie, dopóki nie wiemy, do czego ten wiatr jest zdolny.

Atmosfera, która poruszała się z szybkością znacznie przekraczającą prędkość dźwięku, nie była w rezultacie gazem, lecz przypominała ciało stałe. Nawet twarde pancerz szalupy wykonany z unikalnych stopów, mimo niezwyklej wytrzymałości nie był na to gotowy. Przy wyłączonych silnikach zostałaby ona rozpruta, zmiażdżona, rozerwana na strzępy i pozwijana w precle. Samms wdusił przycisk; szalupa ruszyła ku powierzchni i gdy tylko się wynurzyła, wściekły podmuch quasistalego gazu porwał ją w powietrze.

Za drugim razem szalupa opadała znacznie szybciej i przebiegło to o wiele spokojniej; Samms nie próbował się też wynurzyć ani kierować w stronę brzegu. Wiedząc już, że ocean jest zbyt płytki, by stanowiło to dla statku zagrożenie, pozwolił, by szalupa opadła na dno. Przechylił ją też na bok i poprowadził pod lekkim kątem. Szalupa wryła się w muł na tyle głęboko, że skraj prawego iluminatora zrównał się z dnem oceanu. Po raz kolejny wyczekali i tym razem po wynurzeniu się na powierzchnię szalupa nie poddała się wiatrowi.

Na podstawie czysto teoretycznych założeń Samms doszedł do wniosku, że przyczyna tych dziwnych zniekształceń widoczności jest związana z odległością, i jak na razie jego obserwacje potwierdzały to założenie. Powoli i ostrożnie zaczął przeczesywać przestrzeń promieniem skanera. Dziesięć stóp... dwadzieścia... czterdzieści... obraz był w pełni czytelny. Przy pięćdziesięciu stopach widoczność drastycznie się pogorszyła; przy sześćdziesięciu stała się zerowa. Skrócił promień do czterdziestu stóp i zaczął obserwować rośliny, rosnące z tak niesamowitą szybkością, że nawet liście przyciśnięte wichurą płasko do ziemi i wczepione w nią gęstymi odrostkami, miały już kilka cali długości. Występowały tam także swoiste zwierzęce formy życia, Samms nie był jednak w tym momencie zainteresowany fauną planety.

– Czy to właśnie o te liście chodzi, szefie? – zapytał Tworn, spoglądając na ekran zza pleców Sammsa. – Wyjdziemy je teraz pozbierać?

– Jeszcze nie. Nawet jeśli uda nam się otworzyć właz, wiatr nas zmiażdży. Urwie głowę każdemu, kto wychyli ją na zewnątrz. Za jakiś czas wiatr powinien zelżeć; wyjdziemy chwilę przed południem. Do tego czasu wszystko przygotujemy. Niech chłopaki wyjmą kilka zapasowych

wsporników dwunastek, kilka karabinków, łańcuch i sto stóp mocnej kosmicznej liny.

– W porządku – kontynuował, kiedy jego rozkazy zostały wykonane. – Przeciągnijcie linę od wciągarki przez bloczki, tutaj, tutaj i tutaj, żebym mógł was wciągnąć przy tym wietrze. Kiedy będziecie na zewnątrz, założę linę do zdalnie obsługiwanej wciągarki.

Chwilę przed tym, jak oślepiające, niebieskobiałe słońce osiągnęło zenit, sześciu mężczyzn ubrało kosmiczne skafandry i Samms ostrożnie otworzył włazy powietrznej śluzy. Działały. Wiatr był tylko odrobinę silniejszy, niż w przypadku ziemskich huraganów, i bezlitośnie smagane nim szerokolistne rośliny wyciągały się ku słońcu, ugięte pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Liście były najwyraźniej niemal w pełni dojrzałe.

Czterech mężczyzn przymocowało skafandry do liny. Lina została zwolniona. Każdy z nich zrywał dwa liście, największe, najbardziej mięsiste i purpurowe, jakie miał w zasięgu ręki. Samms wciągał ich z powrotem i odbierał zbiory, a Tworn układał liście w stertę. Operację tę powtórzyli wielokrotnie.

W południe przez kilka minut panował „spokój”. Silny mężczyzna był w stanie ustać pod tym niezwykle teraz zmiennym wiatrem i był w stanie się poruszać nie będąc zmiecionym za horyzont. I podczas tych kilku minut liście zbierała cała szóstka. Trwało to jednak bardzo krótko. Wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać ze zdwojoną siłą; ponownie trzeba było korzystać z liny i wciągarki. I po zaledwie pół godzinie, kiedy lina zaczęła niemal śpiewać z naprężenia, Samms stwierdził, że muszą kończyć.

– To wszystko na dzisiaj, chłopcy – oznajmił. – Jeszcze jakieś dwa wyjścia i ta lina pęknie. Zbyt dobrze pracujecie, bym miał was stracić. Szczelnie zamknijcie statek.

– Możemy wpuścić powietrze, sir? – spytał Tworn.

– Nie wydaje mi się – odparł Samms po chwili namysłu. – Nie. Nie będę ryzykował. Ten gaz, jakikolwiek jest jego skład, jest zapewne równie toksyczny, jak cyjanek. Zostaniemy w skafandrach i pozbędziemy się go w kosmosie.

Czas mijał. Zapadła „noc”, zerwała się ulewa i rozpętała powódź. Podłoże rozmiękło. Samms włączył silniki i uwalniając szalupę z błota, wystartował z planety. Otworzył zawory odpowietrznika oraz obie śluzy powietrzne, skażone powietrze zostało zastąpione przez najczystszą

międzyplanetarna próżnię. Wysłał sygnał na *Virgin Queen*. Statek przyjął szalupę na burcie.

– Szybko się pan uwinął, Olmstead – pogratulował mu Willoughby. – Dziwi mnie, że w ogóle pan wrócił, pomijając już to, ile pan zebrał i że obyło się bez strat w ludziach. No, mów pan szybciej, ile tego jest?

– Trzysta czterdzieści osiem funtów, sir – zameldował nadzorca ładunku.

– Mój Boże! I to same szerokie! Nikomu się to jeszcze nie udało! Jak pan tego dokonał, Olmstead?

– Nie wiem, czy powinno być to pańskim zmartwieniem. – W wyrazie twarzy Sammsa nie było śladu impertynencji, malowało się na niej wyłącznie zamyślenie. – Nie, żeby mnie to obchodziło, jednak wątpię, by ktokolwiek inny był w stanie wykorzystać moje metody. Dlatego najlepiej będzie, jeśli najpierw złożę raport tym na górze i niech sami zdecydują. W porządku?

– Jak najbardziej – zgodził się szyper ochoczo. – Taka ilość! I to bez żadnych strat!

– Szalupa musi mieć maksymalny zapas powietrza, to wszystko; jednak powietrze jest tu, w kosmosie niezwykle kosztowne. – Ta uwaga Sammsa nie była przypadkowa.

– Powietrze! – parsknął Willoughby. – Od ręki mogę dać panu sto butli z powietrzem za każdy z tych liści!

I to właśnie chciał wiedzieć Samms.

Kapitan Willoughby był człowiekiem wyrachowanym. Wiedział, że można robić karierę wykorzystując, a następnie tratując podwładnych. I podlizując się tym przełożonym, którzy są zbyt potężni, by móc pozbawić ich stanowiska i zająć ich miejsce. Zdawał sobie sprawę, że Olmstead ma wszelkie atuty, by stać się grubą rybą. Zmienił więc taktykę.

– Polecono mi nie udzielać panu żadnych informacji, nim nie dotrzemy na Trencu – rzekł do swego czwartego oficera przepraszającym tonem, krótko po tym, jak *Virgin Queen* opuścił system słoneczny Trencu. – Nie udzielono mi jednak żadnych instrukcji na potem; zapewne sądzili, że podobnie jak w przypadku pańskich poprzedników, nie będzie już pana na pokładzie. Tak czy inaczej, jeśli ma pan ochotę, może pan zostać w sterowni.

– Dziękuję, kapitanie, ale czy powinienem się podczas rejsu wysuwać przed szereg? – Skinął nieznacznie głową w stronę pozostałych oficerów. – Nie obchodzi mnie, dokąd lecimy, i nie chcemy chyba, by pojawiły się jakieś niepotrzebne pytania?

– Tak będzie oczywiście lepiej, choć moim zdaniem bije ich pan wszystkich o głowę.

– Dziękuję, Willoughby, doceniam pańską opinię.

Samms nie był z kapitanem do końca szczerzy. Na podstawie długości rejsu określił z dokładnością do kilku parseków odległość Trencu od Układu Słonecznego. Nie znał pozycji planety w stosunku do Ziemi, gdyż odległość była tak olbrzymia, że nie był w stanie rozpoznać żadnej gwiazdy ani konstelacji. Znał jednak kurs, na jaki wszedł statek po starcie z planety, i od tego momentu był w stanie określać obierane kierunki i pokonywane odległości. Był w pełni usatysfakcjonowany.

Minęło kilka dni bez żadnych incydentów. Kiedy Samms został ponownie wezwany na mostek, statek zbliżał się do systemu trzech słońc.

– Będziemy tu lądować? – zapytał obojętnym tonem.

– Nie będzie lądowania – odparł Willoughby. – Polecą pan szalupą z ładunkiem liści i będzie musiał zejść na wystarczająco niski pułap, by dokonać precyzyjnego zrzutu. Rozkazy do pilota: rozpocząć hamowanie, przejść na napęd inercyjny i zrównać kurs z prędkością obrotową planety. Niech się pan przyjrzy, Olmstead. Widział pan już podobne systemy?

– Nie, ale słyszałem o nich. Tamte dwa słońca są znacznie większe i bardziej oddalone, niż na to wygląda, a to tutaj, o wiele mniejsze, porusza się po charakterystycznej trojańskiej orbicie. Czy tamte duże słońca posiadają jakieś planety?

– Wokół każdego krąży ponoć pięć czy sześć planet; bardziej rozgrzanych i wysuszonych niż wrota piekieł. To małe słońce ma ich siedem, jednak tylko druga planeta tego systemu, Cavenda, posiada warunki zbliżone do telluriańskich. Na początek musimy zlokalizować duży kontynent o zarysach przypominających diament... jest tylko jeden o takim kształcie... oto on. Proszę zwrócić uwagę, że jeden z jego krańców jest nieco szerszy; to północna część tego kontynentu. Wyznaczamy pionową linię przedzielającą kontynent na dwie połowy i odmierzamy, patrząc od północy, jedną trzecią tej linii. Tam znajduje się miejsce, do którego zmierzamy... Dostrzega pan krater?

– Tak. – Statek, choć wciąż znajdował się setki mil ponad powierzchnią planety, gwałtownie zwalniał. – Musi być ogromny.

– Ma co najmniej pięćdziesiąt mil średnicy. Niech pan obniża pułap, aż będzie pan absolutnie pewien, że kontener wyląduje wewnątrz krateru. Wtedy zrzuci pan ładunek. Mechanizm wyrzutni i spadochron są automatyczne. Wszystko jasne?

– Tak, sir. Wszystko jasne. – Samms wyszedł.

W rzeczywistości był on znacznie bardziej zainteresowany gwiazdami, niż dostarczeniem ładunku. Jakąś znajdującą się najbliżej Sol konstelacją, którą byłby w stanie rozpoznać z każdego punktu kosmosu. Jej kształt mógł być mniejszy i mniej lub bardziej zniekształcony; jej mniejsze gwiazdy, widoczne z Ziemi wyłącznie z powodu mniejszej odległości, mogły być ciemniejsze, a nawet niewidoczne; obraz mógł być też zakłócony światłem znajdujących się w pobliżu innych gwiazd; jednak takie olbrzymy, jak Canopus, Rigel, Betelgeza i Deneb byłyby bez wątpienia doskonale widoczne, gdyby tylko był w stanie je rozpoznać. Na Trencu jego obserwacje zakończyły się fiaskiem, teraz jednak kontynuował poszukiwania.

Tym razem pojawiło się coś mgliście znajomego! Spocony z napięcia, próbując ignorować najbliższe i najjaśniejsze gwiazdy, skoncentrował się na pozostałych. Najbardziej widoczne były dwie, niebiesko-biała i czerwona. Rigel i Betelgeza? Czyżby był to gwiazdozbiór Oriona? Pas był bardzo słaby, ale widoczny. A więc Syriusz musi być gdzieś tutaj, Pollux tutaj, i przy tej odległości powinny być tak samo jasne. I faktycznie tam były. Aldebaran powinien być pomarańczowy i o mniej więcej jedną wielkość gwiazdową jaśniejszy niż Pollux; zaś Capella powinna być żółta i jeszcze o pół raza jaśniejsza. Wszystkie tam były! W nieco większej odległości, choć dostatecznie widoczny, znajdował się gwiazdozbiór Oriona! A więc ta stacja przeładunkowa thionitu jest planetą, której rektascensja wynosi w przybliżeniu siedemnaście godzin, a deklinacja plus dziesięć stopni!

Wrócił na *Virgin Queen*. Statek wystartował. Samms zadał tylko kilka pytań, zaś Willoughby był wstrzemięźliwy w udzielaniu informacji, a jednak Pierwszy Lensman pozyskał wiedzę kompletnie niedostępną dla jego kolegów piratów. Wyobcowany, milczący i nie wykazujący zainteresowania otoczeniem, zdawał się spędzać większość swego czasu

w kajucie, jeśli nie wypełniał akurat swych obowiązków. Miał jednak oczy i uszy otwarte. I, jak już wspomniano, niezwykle przenikliwy umysł.

Virgin Queen błyskawicznie pokonał odległość między Cavendą a Vegą, docierając na miejsce dokładnie o czasie; dostojny, w nic nie zamieszany statek kosmiczny, będący, niczym sama żona Cezara, poza wszelkimi podejrzeniami. Samms dokonał rozładunku, a następnie ponownego załadunku statku towarem, który miał zostać dostarczony na Ziemię. Statek przeszedł przegląd techniczny i odbył szybki, spokojny rejs na Tellus. Wylądował w Nowojorskim Porcie Kosmicznym. Virgil Samms wszedł spokojnym krokiem do pozornie zwyczajnej toalety, z której po chwili równie spokojnie wyszedł George Olmstead, w najdrobniejszych szczegółach znający teraz przebieg ostatnich wydarzeń.

Gdy tylko stało się to możliwe, Samms połączył się przez Soczewkę z Northropem i Kinnisonem.

– Przeanalizowaliśmy tysiące sygnałów, sir – zameldował Northrop, mówiąc w imieniu ich obydwu – tylko jeden z nich zawiera jakąś wiadomość, jest ona jednak pozbawiona sensu.

– Jak to? – zapytał Samms ostrym tonem. – Kiedy korzysta się z Soczewki, każda wiadomość, nawet zniekształcona, zaszyfrowana czy niekompletna, ma sens.

– Nie chodzi o to, że jej nie zrozumieliśmy – wtrącił się Jack. – Nie wiemy tylko, co oznacza. Jest to powtarzane w kółko słowo: „GOTOWE”.

– Co takiego? – Wykrzyknął Samms i młodzieńcy mogli wręcz poczuć, jak intensywnie pracuje jego umysł. – A czy ten sygnał nie jest przypadkiem nadawany z miejsca, którego przybliżone współrzędne to siedemnaście godzin i plus dziesięć stopni?

– Niemal dokładnie. Jakim cudem? Skąd to wiesz?

– Więc sens sygnału jest jasny! – wykrzyknął Samms i zarządził powszechną naradę Lensmanów.

– Kontynuujcie pracę w dotychczasowych ramach – zarządził Samms pod koniec. – Niech Ray Olmstead wciąż zastępuje mnie we Wzgórzu. Wybieram się na Plutona i, mam nadzieję, na Palain 7.

Roderick Kinnison naturalnie protestował, jednak jego protest, co było równie oczywiste, został odrzucony.

ROZDZIAŁ 10

Pluton jest średnio oddalony od Słońca jakieś czterdzieści razy bardziej niż Ziemia. Każdy jard kwadratowy powierzchni Ziemi pochłania szesnaście tysięcy razy więcej energii słonecznej, niż w przypadku Plutona. Słońce oglądane z Plutona jest niewyraźną, bladą plamką. Nawet w peryhelium, które zdarza się tylko raz na dwieście czterdzieści osiem telluriańskich lat, w samo południe, na równiku Pluton jest tak przeraźliwie zimny, że panujące na jego powierzchni warunki klimatyczne są dla ciepłokrwistych, oddychających tlenem ludzkich istot wręcz niemożliwe do wyobrażenia.

Bodaj najlepszym tego świadectwem był fakt, że najlepsi inżynierowie Patrołu przez ponad sześć miesięcy ulepsiali kombinezon, który miał teraz na sobie Samms. Gdyż żaden zwykły kosmiczny skafander nie był dostatecznie wytrzymały. Sama przestrzeń kosmiczna nie jest zimna; utrata ciepła następuje jedynie w wyniku wypromieniowywania go w niemal absolutną próżnię. Jednakże przy kontakcie ze skalistą, metaliczną powierzchnią Plutona może nastąpić przewodnictwo i ta olbrzymia, nieuchronna utrata ciepła była dla telluriańskich naukowców największym wyzwaniem.

– Uważaj na stopy, Virge! – brzmiała ostatnia natarczywa myśl Kinnisona. – Przypomnij sobie tych psychologów; wystarczyło, że mieli przez pięć minut kontakt z gruntem i stopy zamarzały im do kostek. Nie twierdzą, że nasi chłopcy to amatorzy, jednak zawsze jest jakiś margines błędu. Jeśli tylko poczujesz, że marzną ci stopy, rzucaj wszystko i natychmiast tu wracaj!

Virgil Samms wylądował. Jego stopy nie traciły ciepła. W końcu, gdy przekonał się, że ogrzewacze w jego skafandrze działają bez zarzutu, pieszo pokonał drogę do osady, która znajdowała się nieopodal miejsca lądowania. Tam też spotkał pierwszego Palainianina.

Czy też, mówiąc dokładniej, ujrzał tylko część pierwszego Palainianina, ponieważ żadna żyjąca w trzech wymiarach istota nigdy nie widziała i nie zobaczy w całości przedstawiciela żadnej z zimnokrwistych, oddychających trującym gazem ras. Gdyż na planetach, na których temperatura zaledwie

o kilka stopni przewyższa absolutne zero, nie są w stanie rozwijać się znane nam organiczne, funkcjonujące w trzech wymiarach formy życia opartego na wodzie w stanie ciekłym i tlenie w stanie gazowym. Wiele, a być może nawet większość tych skrajnie zimnych planet posiada jakiś rodzaj atmosfery, zaś część nie posiada jej w ogóle. Jednak pomimo kompletnego braku tlenu i wody, a niekiedy także atmosfery, na wielu milionach tych światów rozwinęły się wysoko zorganizowane formy życia. Istoty te nie egzystują jednak wyłącznie w trzech wymiarach. Z konieczności, nawet w swych najprymitywniejszych formach, nauczyły się one rozpościerać w hiperprzestrzeń. I właśnie to metaboliczne rozprzestrzenianie się umożliwia tym formom życia istnienie w tak ekstremalnych warunkach.

To rozciągnięcie się w hiperprzestrzeń powoduje też, że żadna ludzka istota nie jest w stanie ujrzeć Palainianina w pełnej postaci, dostrzegając jedynie płynny, amorficzny, wciąż zmieniający się obraz będący jego chwilową, trójwymiarową projekcją. Nie da się jej w żaden sposób opisać ani określić. Virgil Samms przyglądał się Palainianinowi, próbując określić, do czego jest podobny. Nie był w stanie stwierdzić, czy ma on oczy czy szypułki, nogi, ramiona czy macki, zęby czy dziób, pazury, szpony czy stopy, skórę, łuski czy pióra. Nawet w przybliżeniu nie przypominał on niczego, co Samms kiedykolwiek widział, z czym miał do czynienia, czy co był sobie w stanie wyobrazić. Dał za wygraną i wysłał próbną myśl:

– Nazywam się Virgil Samms, jestem Tellurianinem – zaczął powoli i ostrożnie po nawiązaniu pierwszego, powierzchniowego kontaktu z umysłem istoty. – Czy mógłby pan, lub pani, poświęcić mi chwilę swego czasu?

– Z największą ochotą, Lensmanie Samms, jako że mój czas nie ma najmniejszej wartości. – Umysł istoty z oszałamiającą szybkością i precyzją zsynchronizował się z umysłem Sammsa. Czy raczej część jej umysłu weszła w kontakt z częścią umysłu Sammsa; miną całe lata, nim Pierwszy Lensman dowie się o Palainianinie czegoś więcej, niż dowiedział się podczas tego pierwszego kontaktu. Żadne ludzkie istoty, za wyjątkiem Lensmanów, nie są w stanie nawet mgliście wyobrazić sobie zawłej i paradoksalnej złożoności umysłu Palainianina.

– „Pani” będzie bardziej adekwatne – kontynuował płynnie swą myśl autochton. – Moje imię, w waszej symbolice, brzmi Dwunasta Pilinipsi; z wykształcenia, doświadczenia i zawodu jestem Naczelnym

Dexitrobooperem. Wyczuwam, że faktycznie jesteś mieszkańcem tej piekielnej Trzeciej Planety, na której, jak przez długi czas sądziliśmy, nie jest w stanie rozwinąć się jakiegokolwiek życia. Zresztą, tak czy inaczej komunikacja z waszą rasą była dotychczas kompletnie niemożliwa... Ach, ta Soczewka. Rzecz niewątpliwie godna uwagi. Mogłabym cię zabić i ci ją zabrać, gdyby nie oczywisty fakt, że jesteś jedyną istotą, która może jej używać.

– Co takiego? – Przez umysł Sammsa przetoczyła się fala niepokoju i konsternacji. – Zetknęliście się już kiedyś z Soczewką?

– Nie. To pierwsza, z którą mamy do czynienia. Jednak jej działanie, z punktu widzenia mechaniki, matematyki i filozoficznych założeń, nie jest szczególnie skomplikowane.

– Co takiego? – wykrzyknął Samms ponownie. – Jesteście więc w stanie produkować je sami?

– W żadnym wypadku, podobnie jak Tellurianie. W grę wchodzi wielkości, zmienne, determinanty i siły, których żaden Palainianin nigdy nie będzie w stanie obliczyć, wytworzyć czy kontrolować.

– Rozumiem. – Samms próbował wziąć się w garść. Jako Pierwszy Lensman szczególnie się nie popisał...

– Nic z tych rzeczy. – Zapewniła go istota. – Uwzględniając nieznaną środowisko, na pobyt w którym się pan dobrowolnie choć bezmyślnie naraził, pański umysł jest wyjątkowo silny i zintegrowany. W przeciwnym razie pańska psychika uległaby rozpadowi. Gdyby sytuacja była odwrotna, sama myśl o koszmarnym upale, jaki panuje na waszej Ziemi... proszę się do mnie nie zbliżać! – Stworzenie zniknęło, po czym zmaterializowało się na powrót w odległości wielu jardów. Jego umysłem wstrząsnął dreszcz odrazy, przerażenia i nieskrywanej antypatii. – Wróćmy jednak do sedna. Próbowałam przeanalizować i zrozumieć pańskie intencje, jednak bez powodzenia. Oczywiście trudno się temu dziwić, zważywszy mój słaby intelekt i mizerną kondycję. Proszę mi w najprostszy sposób wyjaśnić cel pańskiej misji.

Słaby? Mizerną? W obliczu potęgi, jaką właśnie zaprezentowała ta istota, Samms próbował doszukać się w jej słowach ironii, sarkazmu bądź udawania. I nie dopatrywał się żadnego ukrytego znaczenia. Przez bite piętnaście minut usiłował więc objaśnić jej ideę Galaktycznego Patrolu, jednak jedyną reakcją był absolutny brak zrozumienia.

– Kompletnie nie jestem w stanie pojąć celu ani przyczyny tworzenia podobnej organizacji – oznajmiła otwarcie. – Cóż dobrego może przynieść taki altruizm? Dlaczego jakakolwiek rasa miałaby ryzykować, czy robić dla nas więcej, niż my możemy zrobić dla niej; przecież to niedorzeczne. Naszą Naczelną Doktryną, jak już pan zapewne wie, jest zasada: ignoruj i bądź ignorowany.

– Nasze planety nawiązały jednak pewne relacje; nie zignorowaliście naszych psychologów, a pani nie zignorowała mnie – zaprotestował Samms.

– Och, nikt z nas nie jest idealny – odparła Pilinipsi, przesyłając mu mentalny ekwiwalent wzruszenia ramion i machnąwszy licznymi mackami jednej z kończyn. – Żadnego ideału nie da się w pełni osiągnąć, więc także do tego możemy się jedynie asymptotycznie zbliżać. A ja, będąc dość głupia i naiwna, a przy tym słaba i niezdecydowana, jestem od niego daleka.

Samms, kompletnie osłupiały, spróbował innej taktyki:

– Być może będę mógł nieco czytelniej przedstawić swoje motywy, jeśli poznam panią nieco lepiej. Znam pani imię i wiem, że jest pani kobietą z Palain 7. – O prawdziwej klasie Sammsa mógł świadczyć fakt, że pomyślał „kobietą”, a nie „istotą płci żeńskiej”. – Nic nie mówi mi jednak nazwa pani zawodu. Czym zajmuje się Naczelny Dexitroboper?

– Nadzoruje on, a czasem ona czy ono, proces dexitrobopingu. – Myśl, choć absolutnie czytelna, była dla Sammsa kompletnie niezrozumiała i Palainianka, zdając sobie z tego sprawę, spróbowała raz jeszcze:

– Dexitrobopung jest związany z... pożywieniem? Nie, z substancjami odżywczymi.

– Aha, uprawy, rolnictwo – pomyślał Samms, jednak tym razem to Palainianka nie była w stanie pojąć, o co mu chodzi. – Polowanie? Rybołówstwo? – Żadnego postępu. – Proszę mi pokazać.

Spełniła jego prośbę, jednak także to nie dało rezultatu, gdyż dla Sammsa jej ruchy nie miały najmniejszego sensu. Osobliwie przelewająca się, subtelnie zmieniająca kształt postać miotała się w tył i w przód, rosła i malała, pojawiała i znikwała, cyklicznie zmieniając swój kształt, formę, wielkość, wygląd i fakturę. Pokrywała się na przemian kolcami, czułkami, łuską albo wyjątkowo odrażającymi pierzastymi liśćmi, z których sączył się

purpurowy śluz. Jednak z jej zachowania nic kompletnie nie wynikało. Wynik całej tej aktywności był najwyraźniej zerowy.

– Tak to właśnie wygląda. – Myśli Pilinipsi na powrót stały się czytelne. – Czy ta demonstracja była dla pana zrozumiała? Najwyraźniej nie. To zaskakujące. Skoro Soczewka w tak olbrzymim stopniu ułatwiła zdolność komunikowania się, miałam nadzieję, że zadziała również na płaszczyźnie fizycznej. Najwyraźniej w grę wchodzi tu jakaś podstawowa, istotna różnica, której natury na razie nie znamy. Być może... gdybym także miała Soczewkę; jednak nie...

– Ależ tak! – wtrącił Samms z przejęciem. – Dlaczego nie poleci pani na Aryzję i nie spróbuje przejść testu? Posiada pani wspaniały, prawdziwie potężny umysł. Dorównuje nim pani Lensmanom pod każdym względem, z wyjątkiem jednego... po prostu nie chce się pani z niego korzystać!

– Ja? Mam lecieć na Aryzję? – Ta myśl w umyśle Tellurianina zabrzmiała niczym pełen pogardy śmiech. – Cóż za skrajnie niedorzeczna, bezbrzeżnie wręcz głupia idea! Naraziłoby mnie to na dyskomfort, a być może nawet niebezpieczeństwo. Nasze czasoprzestrzenie są zapewne rzeczywiście nieprzystawalne i nie ma gwarancji, że dodatkowa Soczewka pozwoliłaby w najmniejszym nawet stopniu przewyciężyć istniejące między nimi różnice.

– Czy w takim razie – Samms pozwolił sobie na uszczypliwość – może mnie pani poznać z kimś, kto jest bardziej głupi, tępy i nierozsądny niż pani?

– Tu, na Plutonie, jest to niemożliwe. – Palainianka nie była urażona. – Właśnie dlatego to ja komunikowałam się z poprzednimi Tellurianami i teraz rozmawiam z panem. Pozostali was unikają.

– Rozumiem – odparł Samms ponuro. – A na waszej rodzimej planecie?

– Ach, tam z całą pewnością. Jest tam nawet grupa takich osób, cały klub. Nikt z nich nie jest oczywiście tak szalony i nieprzewidywalny jak pan, jednak wszyscy są znacznie mniej normalni niż ja.

– Który z członków tego klubu byłby najbardziej zainteresowany, by zostać Lensmanem?

– Kiedy opuszczałam Palain 7 najmniej stabilnym członkiem Klubu Nowego Myślenia był Tallick. Zaraz po nim Seven Kragzex. Od tamtej pory mogło się to oczywiście zmienić. Obawiam się jednak, że nawet

Tallick, w swym najbardziej ekstrawaganckim wcieleniu, nie byłby na tyle szalony, by przyłączyć się do pańskiego Patrolu.

– Mimo to chciałbym spotkać się z nim osobiście. Czy mogłaby pani dać mi mapę z wytyczoną trasą przelotu stąd na Palain 7?

– Oczywiście. Uzyskane od pana informacje są dla mnie kompletnie bezużyteczne, a w ten sposób najłatwiej i najszybciej się pana pozbędę. – Palainianka przesłała do umysłu Sammsa mapę ze szczegółową trasą przelotu, zerwała telepatyczne połączenie i wykazując pełną obojętność, powróciła do swych niezrozumiałych zajęć.

Samms, mając w głowie kompletny mętlik, wrócił na statek i wystartował z planety. I gdy pokonywał lata świetlne i parseki, jego umysł coraz głębiej pogrążał się w labiryncie jałowych spekulacji. Kim naprawdę byli ci Palainianie? Jak naprawdę wyglądała ich egzystencja? I dlaczego niektóre myśli tych dexitrobooperów, cokolwiek znaczyło to słowo, były dla niego tak cudownie jasne, wyraziste i proste, podczas gdy inne...?

Wiedział, że Soczewka odbierze i przekształci w zrozumiałą dla niego symbolikę każdą myśl albo przesłanie, niezależnie od tego, jak zostały one nadane, zakodowane czy przeinaczone. Winna nie była tu Soczewka, lecz jego własna symbolika. W grę wchodziły pojęcia – przedmioty, fakty i zjawiska – na tyle obce telluriańskiemu doświadczeniu, że nie miały w nim swoich odpowiedników. Dlatego ludzki umysł nie wykształcił mechanizmów i narzędzi pozwalających je zrozumieć.

Prowadzili z Roderickiem Kinnisonem burzliwe dyskusje, rozważając możliwość napotkania inteligentnych form życia na tyle odmiennych od ludzi, że jakikolwiek kontakt byłby niemożliwy. Po tym, czego właśnie doświadczył, taka możliwość stała się bardziej realna, niż którykolwiek z nich przypuszczał. I zastanawiając się nad tym, jak bardzo ten częściowy kontakt z Palainianinem wytrącił go z równowagi, wciąż miał jednak posępną nadzieję, że nigdy nie stanie się ona faktem.

Bez większych problemów znalazł palainiański układ słoneczny, a w nim Palain 7. Zarówno słoneczna, jak i ciemna strona tej planety spowite były mrokiem; jej mieszkańcy nie potrzebowali światła. Podane przez Pilinipsi namiary były jednak szczegółowe i dokładne, dzięki czemu Samms z łatwością zlokalizował główne miasto, czy raczej główną wioskę, jako że nie było tam prawdziwych miast. Odnalazł jedyny na planecie port kosmiczny. Jeśli można go było tak nazwać. Cofając się pamięcią,

dokładnie odtworzył tę część rozmowy z Palainianką będącą Naczelnym Dexitroboperem Plutona.

„Miejsce, w którym lądują statki kosmiczne”. Tak brzmiała jej myśl, gdy określała mu położenie tego miejsca względem miasta. Tylko tyle. To jego, a nie jej umysł dorysował w jego wyobraźni hangary, stanowiska startowe, pojazdy obsługi, pracowników i inne elementy obecne we wszystkich znanych Sammsowi kosmoportach. Albo Palainianka nie dostrzegła detali, które Samms wpłótł w jej wizualizację, albo nie uznała ich za wystarczająco istotne, by w to ingerować.

Cały ten teren był kompletnym pustkowiem. Pokrywały go jedynie wypełnione żużlem, postrzępione kratery, wypalone w tej niewyobrażalnie zimnej, skalistej i metalicznej powierzchni przez płomienie rakietowych silników. Teren portu kosmicznego niczym nie różnił się od innych rejonów tej wyjątkowo jałowej planety.

Nie odebrał żadnych sygnałów, nikt też nie przekazał mu procedur lądowania. Najwyraźniej każdy był tu zdany na siebie. Samms włączył więc potężne reflektory statku i korzystając z ich pomocy, bezpiecznie posadził go na powierzchni.

Założył kombinezon i ruszył w stronę śluzy powietrznej, po drodze zmienił jednak zdanie i udał się do ładowni. Początkowo Samms zamierzał dotrzeć na miejsce na własnych nogach, lecz widząc to wyboiste pustkowie i kompletnie nieznaną teren rozpościerający się między lądowiskiem a miastem, postanowił skorzystać z „pełzacza”.

Ten pojazd, choć dość powolny, był w stanie dotrzeć dosłownie wszędzie. Jego korpus, zbudowany ze szczególnie wrażliwego na magnetyzm stopu, miał kształt cygara. Wehikuł wyposażony był w duże, miękkie i mocne koła, gąsienice, śmigła do poruszania się w wodzie i powietrzu, składane skrzydła, a także napędowe, hamujące i manewrowe silniki odrzutowe. Potrafił pokonywać pustynie Marsa, oceany i trzęsawiska Wenus, poprzecinane szczelinami lodowce Ziemi, lodowate, kolczaste powierzchnie zbudowanych z żelaza asteroidów i zrytą kraterami, pokrytą pyłem powierzchnię Księżyca. I nawet jeśli poruszał się z niejednakową prędkością, zawsze było to jednakowo bezpieczne.

Samms zwolnił zaczepy i wjechał do śluzy ładowni, notując w umyśle, że będzie musiał oczyścić ją z obcej atmosfery, nim ponownie otworzy wewnętrzny wjazd. Znalazł się na planecie!

Czy powinien użyć przednich reflektorów? Nie wiedział, jak zareagują Palainianie na światło, ani jakie mają do niego nastawienie. Nie przyszło mu do głowy, by spytać o to, gdy był na Plutonie, a mogło to być istotne. Użycie podczas lądowania reflektorów już mogło przynieść jego misji niepowetowane szkody. W ostateczności mógł prowadzić przy świetle gwiazd... potrzebował jednak światła, gdyż bez niego nie dostrzeże żadnej żywej istoty ani ruchomego obiektu. W promieniu wielu mil nie było żadnego znaku obecności Palainian. Choć wiedział, że na Palain panować będzie ciemność, spodziewał się jednak, że będą tu budynki, naziemne pojazdy, samoloty i przynajmniej kilka statków kosmicznych, a nie to kompletne pustkowie.

Powinna być tu chociaż droga łącząca główne miasto planety z jego portem kosmicznym, jednak Samms nie widział żadnej ze statku i nie znalazł jej także teraz. Albo nie potrafił jej rozpoznać. Przerzucił bieg i ruszył po linii prostej w stronę miasta. Jazda po wyboistym gruncie była wyjątkowo uciążliwa, jednak pełzacz był skonstruowany tak, by wytrzymać największe nawet obciążenie, a fotel pilota w równym stopniu amortyzował wstrząsy. I chociaż teren był znacznie bardziej nierówny, niż gładka droga do Rigelston, Samms był znacznie mniej poobijany.

Zbliżając się do wioski, przygasił światła i zredukował szybkość. Wjeżdżając do niej, całkowicie je wyłączył i jadąc z minimalną prędkością, zdał się na światło gwiazd.

Cóż to było za miasto! Virgil Samms widział zamieszkałe rejony na niemal wszystkich planetach Cywilizacji. Widział miasta na planie koła, wycinka koła, elipsy, kwadratu, równoległociąca i niemal każdej innej znanej figury geometrycznej. Widział budowle o wszelkich możliwych kształtach i rozmiarach, wąskie drapacze chmur, rozległe budynki parterowe, budynki wieloboczne, kopuły, kule, cylindry, a także klasyczne bądź odwrócone i całe bądź ścięte stożki i piramidy. Jednak niezależnie od rozplanowania i kształtów tych budowli, wszystkie te zamieszkałe obszary uporządkowane były według jakiegoś zrozumiałego wzorca. Lecz nie w tym przypadku!

Samms, którego oczy zdążyły przyzwyczaić się do kompletnej ciemności, dość dobrze rozróżniał już kształty, jednak im więcej widział, tym mniej to wszystko ogarniał. Nie dostrzegał żadnego śladu przestrzennego planowania, spójności czy integralności. Wyglądało to tak,

jakby jakaś kosmiczna ręka rozrzuciła na kompletnym pustkowiu setki budynków, niewiarygodnie i absurdalnie zróżnicowanych pod względem kształtu, konstrukcji i architektoniki, i od tamtej pory każdy z tych obiektów leżał dokładnie tam, gdzie upadł. W kompletnie przypadkowych miejscach wznosiły się wielopiętrowe sterty bezładnie zwałonych na siebie budowli. Gdzieś tam rozpościerały się olbrzymie, nieregularne place kompletnie pustej przestrzeni. Nie było też żadnych ulic, przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu tego słowa.

Samms wjechał na jeden z takich pustych placów, zatrzymał „pełzacza”, wyłączył napęd gąsienicowy, zaciągnął hamulec ręczny i zgasił silnik.

„Nie podejmuj pochopnych działań, stary” – powiedział sam sobie. – „Zanim nie ustalisz, czym tak naprawdę zajmuje się ten dexitroper, staraj się do niczego nie mieszać i nie narobić żadnych szkód!”.

Żaden Lensman nie wiedział jeszcze wtedy, że egzystencja zimnokrwistych, oddychających trującym gazem istot wykracza poza trzy wymiary; Samms zdawał sobie jednak sprawę, że to, czego był świadkiem, wykracza poza jego pojmowanie. Wraz z Kinnisonem dość spokojnie rozważali podobną możliwość, jednak rzeczywistość wstrząsnęła nawet umysłem Pierwszego Lensmana Cywilizacji.

Tak czy inaczej nie musiał już podejżdzać bliżej. Zdążył już na tyle poznać strukturę osobowości Palainian, by przez Soczewkę wyczuć ich obecność ze znacznie większej odległości. Jego osobista wizyta w Palainopolisie nie była koniecznością, lecz znakiem dobrej woli.

– Tallick? Kragzex? – wysłał poszukującą, pytającą myśl. – Lensman Virgil Samms z Sol Trzy wzywa Tallicka i Kragzexa z Palain 7.

– Kragzex odpowiada na wezwanie. – Nadeszła błyskawiczna odpowiedź, równie precyzyjna i krystalicznie jasna, jak w przypadku Pilinipsi.

– Czy jest tu także Tallick? Czy przebywa on obecnie na tej planecie?

– Jest tutaj, w tej chwili zajmuje się jednak emmfozingiem. Wkrótce do nas dołączy.

Niech to diabli wezmą! Znowu to samo! Najpierw „dexitrobing”, a teraz to!

– Jedną chwilkę – poprosił Samms. – Sens pańskiej myśli jest dla mnie kompletnie niezrozumiały.

– Zauważyłem. To oczywiście moja wina, nie byłem w stanie w pełni dostroić swego umysłu do pańskiego. Proszę nie odebrać tego jako zniewagi pod adresem charakteru czy siły pańskiego intelektu.

– W żadnym wypadku. Jestem pierwszym Tellurianinem, którego pan poznał?

– Tak.

– Kiedy wymieniałem myśli z inną Palainianką, pojawiły się identyczne trudności. Nie jestem w stanie tego zrozumieć ani wytłumaczyć. Najwyraźniej różnice pomiędzy nami są na tyle fundamentalne, że na pewnych płaszczyznach porozumienie jest kompletnie niemożliwe.

– Wyśmienita i bez wątpienia zgodna z prawdą konkluzja. Zatem ten emmfozing... jeśli dobrze zrozumiałem, wasza rasa posiada tylko dwie płcie?

– Dokładnie tak.

– Nie potrafię tego zrozumieć. Trudno tu znaleźć jakąkolwiek analogię. Emmfozing jest w każdym razie związany z reprodukcją.

– Rozumiem. – Uczucie, którego doświadczył Samms, nie ograniczało się wyłącznie do szczerości kompletnie obcej jego dotychczasowemu doświadczeniu; dawało mu też ono nowe spojrzenie na moc i ograniczenia samej Soczewki.

Charakteryzowała się ona, niejako z natury, absolutną perfekcją. Odbierała myśli i precyzyjnie tłumaczyła je na angielski. W niewielkim zakresie dopuszczała pewną swobodę przekładu. Jednak pojęć nie posiadających w języku angielskim wiernych odpowiedników czy desygnatów Soczewka nie tłumaczyła w ogóle. Dla każdego z nich tworzyła ona pozbawiony znaczenia symbol, który od tego momentu był przez wszystkie Soczewki kojarzony z tym właśnie konkretnym pojęciem i żadnym innym. Samms uświadomił sobie też, że być może pewnego dnia zrozumie, czym tak naprawdę zajmuje się dexitroper i na czym polega emmfozing, choć szanse na to są bardzo nikłe.

Po chwili dołączył do nich Tallick i Samms, choć robił to już tak wiele razy, po raz kolejny z entuzjazmem opisał swe marzenia i plany związane z Galaktycznym Patrolem. Kragzex odmówił jakiegokolwiek udziału w tym przedsięwzięciu niemal równie gwałtownie, jak Pilinipsi, Tallick jednak zwlekał z podjęciem decyzji.

– Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że nie jestem w pełni normalny – przyznał. – Co może tłumaczyć fakt, że bardzo chciałbym mieć taką Soczewkę. Z tego, co pan powiedział, wnioskuję jednak, że nie dostanę Soczewki, by móc korzystać z niej wyłącznie dla swych egoistycznych celów?

– Tak to właśnie rozumiem – przyznał Samms.

– Tego się obawiałem. – Tallick wydawał się wyraźnie... „przygaszony” było chyba najbardziej odpowiednim słowem. – Właśnie nad czymś pracuję. Jest to zakrojone na bardzo szeroką skalę, szalenie trudne i złożone przedsięwzięcie, które może wiązać się nawet z pewnym ryzykiem. Soczewka mogłaby być niezwykle przydatna.

– W jakim sensie? – spytał Samms. – Gdyż jeśli pańska praca ma przynieść wystarczająco dużo pożytku dla innych, Mentor bez wątpienia ją panu da.

– Przyniosłaby ona korzyść wyłącznie mojej osobie. My, Palainianie, jak pan już zapewne zauważył, jesteśmy samolubni, małoduszni, małostkowi, tchórzliwi, chytry i przebiegli. Nie ma w nas nawet cienia tego, co nazywacie „odwagą”. Swe cele osiągamy podstępem, uciekając się do oszustw, wybiegów i krętactw. – Soczewka bezlitośnie przekazywała Virgilowi Sammsowi brutalnie precyzyjne odpowiedniki każdej myśli Palainianina. – Jeśli już jesteśmy zmuszeni działać otwarcie, redukujemy osobiste zagrożenie do absolutnego minimum. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że takie nastawienie i cechy charakteru dyskwalifikują mnie, podobnie jak każdego innego przedstawiciela mojej rasy, jako potencjalnego Lensmana.

– Niekoniecznie.

Niekoniecznie! Choć Virgil Samms nie zdawał sobie z tego sprawy, był to jeden z prawdziwie krytycznych momentów w historii tworzonego właśnie Galaktycznego Patrolu. Pierwszy Lensman podjął ogromny, świadomy wysiłek, by wznieść się ponad ograniczone nietolerancją i uprzedzeniami ludzkie doświadczenie i spojrzeć na całą sytuację z perspektywy aryzyjskiego Mentora, a nie swego telluriańskiego umysłu. Fakt, że Virgil Samms był pierwszym człowiekiem na Ziemi, który urodził się z takim darem, stanowił jedną z przyczyn, dla których został Pierwszym Lensmanem.

„Niekoniecznie”, powiedział Virgil Samms i mówił to szczerze. Był do głębi wstrząśnięty i każda cząstka jego człowieczeństwa buntowała się przeciwko otwartej bezdusznosci tej nieludzkiej istoty. Jednak wielu rzeczy ludzkie istoty nigdy nie będą w stanie zrozumieć, a nie było cienia wątpliwości, że Tallick dysponuje prawdziwie potężnym umysłem.

– Stwierdził pan, że posiada zbyt ograniczony umysł. Cóż mam w takim razie powiedzieć o swoim? Przecież postrzegam rzeczywistość tylko z jednego, czysto ludzkiego punktu widzenia. Jeśli spojrzeć na to pod szerszym kątem, pańska motywacja może okazać się równie „szlachetna”, jak moja. Podsumowując, zapytam więc: czyż nie zdarza się panu współpracować z innymi Plainianinami, by osiągnąć wspólny cel?

– Czasami tak.

– Jest pan więc w stanie uznać zasadność współpracy z istotami innymi, niż Palainianie, jeśli miałyby to przynieść jakieś korzyści obu rasom?

– Tylko pod warunkiem, że takie korzyści istnieją, na razie jednak nie potrafię ich sobie wyobrazić. Ma pan na myśli jakieś konkretne przedsięwzięcie?

– W tej chwili nie – uchylił się Samms przed odpowiedzią. Wyczerpał już wszystkie swoje argumenty. – Jestem jednak przekonany, że jeśli poleci pan na Aryzję, dowie się pan o kilku takich przedsięwzięciach.

Nastąpiła chwila milczenia.

– W takim razie lecę na Aryzję! – wykrzyknął Tallick radośnie. – Zawrę umowę z pańskim przyjacielem, Mentorem. Podzielę się z nim pięćdziesięcioma, czy powiedzmy czterdziestoma procentami czasu i wysiłku oszczędzonego przy realizacji mych własnych przedsięwzięć!

– A więc w drogę, Tallick. – Sammsowi udało się ukryć to, co naprawdę sądzi o planie Palainianina. – Kiedy możesz wyruszyć? Od razu?

– W żadnym wypadku. Muszę najpierw dokończyć projekt, nad którym teraz pracuję. Za jakiś rok, a może nawet później. Choć niewykluczone też, że wcześniej. Kto to może wiedzieć?

Tallick przerwał połączenie i Samms zmarszczył brwi. Nie wiedział dokładnie, ile trwa tutejszy rok, zdawał sobie jednak sprawę, że jest on bardzo, ale to bardzo długi.

ROZDZIAŁ 11

Mały, czarny statek zwiadowczy dowodzony wspólnie przez starszego pilota, Johna K. Kinnisona, i starszego elektronika, Masona M. Northropa, mknął po kursie wyznaczonym na współrzędne RA17, D+10. Pod względem wyposażenia i załogi odbiegał on jednak od typowych statków zwiadowczych. Kajuta dowodzenia była tak nabita elektroniką i komputerami, że ledwie się można było przez nią przecisnąć; aparatura pomiarowa dorównywała precyzją instrumentom, jakich używano jedynie na wielkich galaktycznych jednostkach badawczych. Zaś załoga składała się z siedmiu, a nie jak zwykle w takich przypadkach dwudziestu osób; jednego kucharza, trzech inżynierów i trzech oficerów wachtowych. Pełniący akurat wachtę młody człowiek w stopniu trzeciego oficera przez jakiś czas śledził obraz na swym monitorze, porównując go co chwilę z mapą przypiętą do znajdującego się przed nim panelu. Na koniec, z wysoce przesadnym szacunkiem, zwrócił się do dwójki Lensmanów:

– Który z panów, wasze magnificencje, jest na chwilę obecną oficjalnym dowódcą tego kosza na rupiecie?

– On. – Jack użył swego papierosa jako wskaźnika. – Ten chłoptaş z wyskubanym meszkiem nad górną wargą. Ja przejmuję stanowisko dopiero o szesnastej zero zero i mam jeszcze w zapasie drogocenną telluriańską minutę, w czasie której mogę pomarzyć o ślicznotkach z oddalonej od nas o całe lata świetlne Ziemi.

– Co takiego? Ślicznotkach? W liczbie mnogiej? Kiedy następnym razem spotkam osobkę, której zdjęcia walają się po całym statku, opowiem jej o twoich poligamicznych pomysłach. Zignoruję też docinki na temat moich wąsów, skoro sam nie potrafisz zapuścić własnych. Podobnie jak ignoruję cię teraz, widzisz? – Ostentacyjnie odwracając się plecami do rozpartego w fotelu Kinnisona, Northrop, ostrożnie stawiając kroki, ominął trzy bądź cztery elektroniczne matryce i stając za plecami oficera wachtowego, rzucił okiem na ekran. Potem przyjrzał się mapie. – Was ist los, Stu? Niczego tu nie widzę.

– To raczej specjalność Jacka, a nie twoja, Mase. System, do którego zmierzamy, jest potrójny, chociaż na mapach widnieje jako podwójny. Nie ma w tym zresztą niczego dziwnego. Cały ten region jest słabo zbadany, więc są to mapy astronomiczne, a nie nawigacyjne. To czyni nas jednak pierwszymi odkrywcami i nasz oficer dowodzący – tak właśnie mówi regulamin „oficer”, a nie „oficerowie” – powinien...

– Teraz jestem nim ja – oznajmił Jack, ruszając dostojnym krokiem w stronę monitora. – Spadaj stąd, prostaku. Wybiorę dla maleństwa nazwę. Złożę meldunek. Trafię do encyklopedii...

– Bujaj się, smarkaczu. Nie dowodziłeś w chwili odkrycia. – Northrop położył swą wielką dłoń na twarzy Jacka i delikatnie go odepchnął. – Trafisz bez wątpienia, ale do szpitala, jeśli będziesz przypisywał sobie moje zasługi. Poza tym, pewnie nazwałbyś ją „Dołeczki”, a to po prostu odrażające!

– A ty jakbyś ją nazwał? Pewnie Virgilia?

– Bynajmniej, drogi chłopcze. – Dokładnie taki miał zamiar, teraz było mu jednak niezręcznie. – Nazwę je na cześć naszego projektu. Planeta, której szukamy, będzie się nazywać Zabriską, a słońca, w zależności od ich wielkości, kolejno: A, B i C Zabriskae. Pełniący wachtę oficer, porucznik L. Stuart Rawlings, zanotuje to wraz z resztą kluczowych danych w dzienniku pokładowym. Czy możesz sklasyfikować je z tej odległości, Jack?

– Mogę jedynie spróbować, choć z dużą dozą prawdopodobieństwa. – Po czym po kilku minutach: – Dwa giganty, niebiesko-biały i niebieskawo-żółty, oraz żółty karzeł.

– Karzeł w systemie trojańskim?

– Tak przypuszczam, gdyż jest to jedyne miejsce, w którym mogłyby istnieć od tak dawna, choć trudno to stwierdzić na pierwszy rzut oka. Jedno jest w każdym razie pewne: jeśli twoja Zabriską nie należy do systemu, który znajduje się bezpośrednio za tym, który mamy przed sobą, musi być jedną z planet tego właśnie giganta, a to słońce, bracie, jest naprawdę gorące!

– Musi być w tym systemie. Tak dużego błędu w odczycie nie popełniłem od drugiego roku studiów.

– Tu się zgodzę... w porządku, wydaje mi się, że jesteśmy wystarczająco blisko. – Jack zredukował do zera główny ciąg, nie

wyłączając napędu Bergenholma; pozbawiony inercji statek momentalnie znieruchomiał w otwartym kosmosie. – Teraz musimy sprawdzić, z której z tych dwunastu czy piętnastu planet została nadana ostatnia wiadomość... Wydaje się, że jesteśmy wystarczająco stabilni. Włącz swoje kamery, Mase. Po piętnastu minutach wyjmij pierwszą kliszę. Przy szerokim kącie nachylenia do ich ekliptyki powinno mi to dać wystarczającą ilość danych do obliczeń.

Praca zajęła im około godziny.

– Jakiś duży obiekt zbliża się do nas od strony Tellusa – zameldował oficer wachtowy. – Z dużą prędkością. Mam nawiązać kontakt?

Nieznajomy statek odezwał się jednak pierwszy:

– Tu statek kosmiczny *Chicago*, NA2AA. Macie jakieś problemy? Przedstawcie się.

– Statek kosmiczny NA774J odpowiada na wezwanie. Nie mamy żadnych problemów...

– Northrop! Jack! – dotarła do nich pełna niepokoju myśl Virgila Sammsa. Pancernik przemknął obok w odległości zaledwie kilkuset mil i znieruchomiał. – Dlaczego się tu zatrzymaliście?

– Stąd został nadany nasz sygnał, sir.

– Och. – Setka myśli, zbyt szybkich i fragmentarycznych, by można je było odczytać, przemknęła przez umysł Sammsa. – Widzę, że dokonujecie obliczeń. Czy krótki lot inercyjny i zrównanie szybkości, bym mógł się dołączyć, nie odrzuci was zbyt daleko?

– Nie, sir; mam już wszystko, czego potrzebuję.

Samms przeniósł się na ich pokład i trzech Lensmanów zaczęło analizować mapę.

– Cavenda znajduje się tutaj – wskazał Samms. – Trencu tutaj, bardziej oddalony. Byłem pewien, że ten sygnał pochodzi z Cavendy, jednak Zabriski, chociaż znajduje się niemal na tej samej linii, nie jest nawet w połowie tak odległa od Tellusa. – Nie pytał młodych Lensmanów, czy są pewni swych wniosków. Doskonale to wiedział. – Jestem niezmiernie ciekaw, czy jedynie komplikuje to nasze związane z thionitem problemy, czy rodzi całkiem nowe? Do dzieła, chłopcy, cokolwiek planowaliście.

Jack ustalił już, że planetą, której szukali, jest druga w tym systemie, A Zabriskae Dwa. Podleciał do niej tak blisko, jak mógł, nie tracąc przy tym pełnego zasięgu, i ustawił statek na jednej linii z Sol.

– Teraz chwilę poczekamy – oznajmił. – Biorąc pod uwagę aktualną częstotliwość nadawania, co najmniej kilka godzin, jednak nie więcej, niż dziesięć. Przy następnej transmisji namierzemy źródło z dokładnością do kilku stóp. Ustaw ekrany na maksymalny zasięg, Mase.

– Aktualną częstotliwość? – mruknął Samms. – Więc ostatnio wzrosła?

– I to znacznie, sir.

– To ogromnie ułatwia nasze zadanie. Można się było tego spodziewać, gdy George Olmstead zajął się zbiorem liści. Problem jednak pozostaje. Może podczas oczekiwania przyjrzymy się nieco tej planecie?

W trakcie obserwacji utwierdzili się w przekonaniu, że planeta A Zabriskae Dwa faktycznie nie ma nic do zaoferowania. Była mała, pozbawiona wody i powietrza, całkowicie pusta i jałowa. Pozbawionego najmniejszych nawet wzniesień czy zagłębień krajobrazu nie urozmaicały nawet kratery po meteorytach. Żaden jard kwadratowy jej powierzchni niczym nie różnił się od pozostałych.

– Żadnej rotacji – zameldował Jack, odrywając oczy od barometru. – Na tej kupie piachu nie ma i nigdy nie będzie żadnego życia. Zaczynam mieć wątpliwości.

– Podobnie jak ja – przyznał Northrop. – Wciąż uważam jednak, że sygnał pochodzi właśnie stąd, kierunek i odległość się zgadzają, wygląda jednak na to, że został nadany ze statku. I dopóki tu jesteśmy, w szczególności dotyczy to *Chicago*, nie będzie dalszych transmisji.

– Niekoniecznie. – Po raz kolejny umysł Sammsa wzniósł się ponad jego telluriańskie doświadczenie i wiedzę. Nie miał jeszcze konkretnych domysłów, starał się jednak nie wyciągać żadnych wniosków. – Nawet na takiej planecie mogą żyć istoty obdarzone zaawansowaną inteligencją.

Po kilku godzinach oczekiwania promień komunikacyjny niespodziewanie ożył: GOTOWE, GOTOWE, GOTOWE. – Ten energicznie powtarzany komunikat nadawany był przez niecałą minutę, to jednak wystarczyło.

Northrop wykrzykiwał sekwencje liczb; Jack manewrował statkiem, zmieniając siłę i kierunek ciągu, trzech oficerów wachtowych, nie odrywając oczu od swych ekranów, wysyłało promienie obserwacyjne, ultrapromienie i wiązki szpiegujące we wskazanych im kierunkach.

– I jeśli będzie trzeba, przebijcie się przez planetę na wylot; równie dobrze mogą znajdować się po drugiej stronie – instruował Jack

energicznym tonem.

– Obiekt jest po tej stronie! – Rawlings dostrzegł to pierwszy. – Nie wygląda zbyt okazale, chociaż... to chyba stacja przekaźnikowa.

– Przekażnik! A niech to... – Jack miał na końcu języka niecenzuralny komentarz, udało mu się jednak opanować. W obecności Pierwszego Lensmana młodzież nie pozwalała sobie na przekleństwa. – Tak czy siak powinniśmy wylądować, sir, i zbadać to miejsce.

– Jak najbardziej.

Wylądowali i ostrożnie wyszli ze statku. Horyzont, który w rzeczywistości był znacznie bliższy niż na Ziemi, wydawał się znacznie bardziej odległy, gdyż w polu widzenia nie było kompletnie niczego, żadnego drzewa, krzewu, skały, kamienia, czy najmniejszej nawet nierówności terenu, która zakłócałaby geometryczną doskonałość idealnie gładkiej, twardej i oslepiającej tafli piekielnie rozgrzanego, białego piasku. Początkowo Samms miał poważne wątpliwości; powierzchnia planety była rozgrzana do czterystu siedemdziesięciu pięciu stopni, co nie wróżyło niczego dobrego. Zdecydowanie nie podobał mu się też wygląd skrajnie rozżarzonego, niebieskobiałego słońca, a istnienie podobnej pustyni w ogóle wymykało się jego wyobraźni. Ich skafandry posiadały jednak znakomitą termoizolację, szczególnie chroniąc stopy, i znakomicie odbijały światło; a atmosferę zastępowała tu niemal doskonała próżnia. Przez jakiś czas mogli tu spokojnie przebywać.

Skrzynka, w której znajdowała się stacja przekaźnikowa, wykonana była z nierdzewnego metalu i była w miarę regularnym sześcianiem o wysokości jakichś pięciu stóp. Była tak głęboko wkopana, że jej górna krawędź znajdowała się dokładnie na poziomie powierzchni, a jej pokrywa, praktycznie nieodróżnialna od otaczającego ją piasku, nie była przykręcona ani przyspawana, lecz luźno leżała na wierzchu.

Badanie obiektu wiązką obserwacyjną wykazało, że nie było w nim żadnych min pułapek. Jack odchylił pokrywę i trzech Lensmanów dokładnie przyjrzało się ukrytym w środku urządzeniom, nie dowiadując się niczego nowego. Znajdował się tam superczuły, bezkierunkowy odbiornik, wąsko ukierunkowany nadajnik, urządzenie namiarowe z niezwykle precyzyjnym uranowym zegarem oraz „wieczny” zasilacz. I nic więcej.

– Co dalej, sir? – zapytał Northrop. – Przypuszczalnie za kilka dni nadejdzie sygnał przychodzący. Mamy tu zostać i przekonać się, czy pochodzi z Cavendy?

– Tak, ty i Jack powinniście poczekać. – Samms zamyślił się przez chwilę. – Choć wątpię teraz, czy sygnał nadejdzie z Cavendy. Nie sądzę, by był dwukrotnie nadawany z tego samego miejsca, choć musimy się co do tego upewnić. Nie widzę w tym najmniejszego sensu!

– A ja chyba wiem, o co w tym chodzi, sir! – To była specjalność Northropa. – Z żadnego statku nie da się stąd trafić w Ziemię jednokierunkowym promieniem, chyba że przez kompletny przypadek, a nie mogą użyć systemu dwukierunkowego, bo musiałby być przez cały czas włączony i byłby równie łatwy do namierzenia, jak Missisipi. Ta planeta jest już jednak od wieków całkowicie stabilna i bez wątpienia to właśnie dlatego ją wybrali, a urządzenie namiarowe, z którego korzystają, to Marchanti; drugi Marchanti, którego w życiu widziałem.

– Czymkolwiek on jest – wtrącił Jack i nawet Samms przesłał pytającą myśl.

– To najprecyzyjniejsze urządzenie, jakie kiedykolwiek zbudowano – wyjaśnił ekspert. – Jego dokładność jest ograniczona jedynie precyzją, z jaką określa się ruchy względne. Gdybym mógł wprowadzić do niego wystarczająco precyzyjne równanie – teraz robi to ta taśma – i oddać dwa próbne strzały, gwarantuję, że trafiłbym osiemnastocalowym promieniem w dowolny punkt na Ziemi z dokładnością do dwóch stóp. Przypuszczam, że jest ono wycelowane w talerz jakiejś konkretnej anteny znajdującej się na jednej z planet Układu Słonecznego. Mógłbym bez większego trudu zakłócić jego celność, jednak nie po to tu chyba jesteśmy.

– Zdecydowanie nie po to. Chcemy ich tylko namierzyć, wzbudzając przy tym jak najmniej podejrzeń. Jak często, twoim zdaniem, przylatują tu, by zrobić przegląd techniczny stacji, zmienić taśmę, czy dokonać innych niezbędnych zabiegów?

– Muszą tylko zmieniać taśmy. Sądząc po rozmiarze tych szpul, robią to niezbyt często. Jeśli wystarczająco precyzyjnie określili ruchy względne, mogli to wyliczyć z takim zapasem czasowym, na jakim im zależy. Z moich obliczeń wynika, że szpuli zostało jeszcze na jakieś trzy miesiące.

– A większość została już zużyta. Nic dziwnego, że nie mogliśmy niczego znaleźć. – Samms wyprostował się i rozejrzał po przerażającym

pustkowiu. – Popatrzcie tam. Wydaje mi się, że zauważyłem jakiś ruch. Coś się porusza!

– Tu bliżej też i wygląda naprawdę zabawnie. – Jack wybuchnął śmiechem. – Wygląda jak koła łopatkowe z osią napędową i całą resztą ze staroświeckiego rzeczno-parostatku, które obojętne na wszystko toczą się przez pustynię. Minie mnie w odległości zaledwie czterech stóp, jednak nie zbacza z kursu nawet o włos. Spróbuję to zatrzymać i lepiej się przyjrzeć.

– Bądź ostrożny, Jack! – ostrzegł go Samms. – Nie dotykaj go. Może być pod napięciem, albo gorzej.

Jack chwycił metalową pokrywę, którą wciąż trzymał w ręce, wbił jej krawędź w piasek i poruszając nią tam i z powrotem stworzył na trasie obiektu pionową przegrodę. Wędrowiec nie zwrócił na nią uwagi. Nie zmienił też stałej, wynoszącej kilka mil na godzinę szybkości. Jego całkowita długość wynosiła około dwunastu cali, a jego kończyny w kształcie kół łopatkowych miały jakieś dwa cale szerokości i trzy cale średnicy.

– Myśli pan, że naprawdę jest żywy, sir? W takim miejscu?

– Jestem tego pewien. Przyjrzyj się uważnie.

Stworzenie uderzyło w przegrodę i zatrzymało się. Lecz choć przestało się poruszać do przodu, nie zmieniło prędkości obrotów. Jakby nie zdawało sobie sprawy, bądź było mu obojętne, że jego koła ślizgają się po gładkim, twardym piasku, że nie jest w stanie wspiąć się na pionową, metalową płytę i porusza się w miejscu.

– Cóż za wybitny intelekt! – zachichotał Northrop, kucając. – Dlaczego się nie cofnie albo nie zawróci? Być może jest żywy, jednak zdecydowanie nie błyszczy rozumem.

Stworzenie, które znalazło się teraz w cieniu jego hełmu, gwałtownie znieruchomiło i bezwładnie upadło na piasek.

– Nie zasłaniaj mu światła! – krzyknął Jack i gwałtownie odepchnął przyjaciela; w promieniach wściekłego słońca tubylec na powrót ożył i jego koła zaczęły obracać się równie energicznie, jak poprzednio. – Mam pewną hipotezę. Może ona zabrzmieć dziwacznie, bo nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale to stworzenie zachowuje się jak przetwornik energii. Bezpośrednio żywi się ono surową energią. Nie musi jej magazynować, bo na tej planecie nie jest to potrzebne. Co prawda kilka dodatkowych

sekund w cieniu pewnie by je zabiło, jednak tutaj nie ma cienia. Z czego wynika, że nie może być ono niebezpieczne.

Wyciągnął rękę i dotknął środka obracającej się osi. Nic się nie stało. Odwrócił stworzenie pod kątem prostym do płyty. Zaczęło się od niej oddalać, w pełni zadowolone z nowego kierunku. Złapał je ponownie i wetknął w piasek próbnik, przed samą jego osią, tuż przy jednym z kół. I stworzenie, najwyraźniej nie potrafiąc uwolnić się z nawet tak prostej pułapki, zaczęło poruszać się w kółko, gotowe do końca swego życia jeździć po tym wąskim okręgu.

– Dobrze to ująłeś, Mase – wykrzyknął Jack. – Cóż za wybitny intelekt!

– To zdumiewające, chłopcy, naprawdę zdumiewające; nasza nauka nigdy się z czymś takim nie zetknęła! – Samms był wyraźnie podekscytowany. – Ciekawe, czy uda mi się dotrzeć do jego umysłu lub świadomości. Chcecie się przyłączyć?

– Oczywiście!

Samms nastroił się na odbiór niskich częstotliwości i rozpoczął sondowanie, coraz niżej, coraz głębiej, a Jack i Mase utrzymywali z nim łączność. Stworzenie było zdecydowanie żywe, pulsowało i wibrowało witalnością, choć równie jasny był fakt, że ma ono niezwykle niską inteligencję. Było jednak niewątpliwie świadome swego istnienia, z czego wynikało, że jest obdarzone rozumem, nawet jeśli był on śladowy i prymitywny. I chociaż jego szczątkowa świadomość nie potrafiła odbierać ani wysyłać komunikatów myślowych, wiedziało ono, że jest fontem, że musi się nieprzerwanie toczyć i że ten przymus toczenia się jest cnotą, która zapewnia jego gatunkowi przetrwanie.

– Cóż za dziwoląg! – wykrzyknął Jack, Samms był jednak zachwycony.

– Chciałbym znaleźć jeszcze jedno czy dwa takie stworzenia, żeby przekonać się... Chyba poświęcę na to trochę czasu. Czy widzicie ich tu więcej?

– Nie, ale możemy poszukać. Stu! – zawołał Northrop.

– Tak?

– Możesz się rozejrzeć? Znajdź kilka tych fontem i ściągnij je tu promieniem transportowym.

– Już się robi!

Zajęło to kilka sekund.

– Fotografujesz je, Lance? – Samms połączył się z kierownikiem ds. komunikacji na *Chicago*.

– Oczywiście, sir, każdą z nich. A tak w ogóle, to czym one są? Zwierzętami, roślinami czy minerałami?

– Nie wiem. Prawdopodobnie nie należą do żadnej z tych grup. Chciałbym zabrać kilka na Tellus, obawiam się jednak, że nie przeżyją nawet pod atomową lampą. Przekażemy raport dla Towarzystwa Naukowego.

Jack uwolnił swego jeńca i ustawił stworzenie w taki sposób, by wyminęło się w odległości kilku stóp z jednym z nowo przybyłych, jednak fontemy zareagowały na siebie. Obie skręciły i przylgnęły do siebie kołami. Ich osie wygięły się do siebie, każda pod kątem prostym, i połączyły. Miejsce połączenia nabrzmiało w podwójną grudkę wielkości pięści. Połówki osi dwukrotnie się wydłużyły. Grudka podzieliła się na cztery części, tworząc cztery idealne koła łopatkowe. Z miejsca, w którym spotkały się dwie fontemy, rozjechały się cztery w pełni uformowane osobniki; ich ścieżki utworzyły dwie wzajemnie prostopadłe linie proste.

– Coś pięknego! – wykrzyknął Samms. – I zwróćcie chłopcy uwagę na metodę uniknięcia kazirodztwa. Na tej idealnie wręcz gładkiej planecie te osobniki nigdy się już ze sobą nie spotkają. Szansa na to, że spotka się ich potomstwo z pierwszego pokolenia, jest również niemal zerowa. Obawiam się jednak, że tracę tu czas. Zabierzcie mnie z powrotem na *Chicago*, muszę kontynuować swą misję.

– Nie wygląda na to, by był pan optymistycznie nastawiony, sir – ośmielił się zauważyć Jack, gdy NA774J zbliżał się do *Chicago*.

– Niestety nie jestem. Sygnał niemal na pewno nadejdzie z niemożliwego do przewidzenia kierunku, ze statku, który znajduje się tak daleko stąd, że nawet superszybki krążownik nie zdoła zbliżyć się do niego na tyle, by wykryć... poczekaj chwilę. Rod! – myśl, którą przesłał przez Soczewkę do starszego Kinnisona była tak gwałtowna, że obaj młodzi Lensmani podskoczyli.

– O co chodzi, Virge?

Samms udzielił mu szybkich wyjaśnień, podsumowując:

– Dlatego chcę, byś wysłał tu statki zwiadowcze, które ustawią się w szyku sferycznym wokół zabriskańskiego układu, w odległości jednego

deteta[2] od jego granicy i zachowując odległość jednego deteta jeden od drugiego, tak abyśmy byli w stanie namierzyć każdy statek, który z dowolnego miejsca w kosmosie skieruje promień na tę planetę. Chyba nie potrzeba do tego zbyt wielu jednostek?

– Nie, jednak niewiele nam to da.

– Dlaczego?

– Bo w najlepszym razie potwierdzimy jedynie to, co i tak już wiemy: że Podróże Międzygwiazdne są zamieszane w przemyt thionitu. A statek może być czysty i służyć jedynie za kolejny przekaźnik.

– Zapewne masz rację. – Nawet jeśli Virgil Samms poczuł się nieco dotknięty tą niefrasobliwą krytyką jego pomysłu, nie dał tego po sobie poznać. Przez kilka minut intensywnie rozmyślał. – Masz rację. Muszę skoncentrować się na Cavendzie. A jak ci idzie z operacją Bennett?

– Świetnie! – odparł Kinnison z entuzjazmem. – Kiedy znajdziesz trochę czasu, powinieneś sam tu przylecieć i zobaczyć postępy. To wspaniała planeta, Virge, i będzie gotowa!

– Tak zrobię. – Samms przerwał połączenie i wywołał Dronvira.

– Jeśli coś się tu zmieniło, to tylko na gorsze – zameldował Rigelianin lakonicznie. – Lekka dodatnia korelacja, jaka występowała pomiędzy zgonami spowodowanymi zażywaniem thionitu i przybywaniem liniowców należących do Podróży Międzygwiazdnych, zniknęła.

To proste stwierdzenie faktu nie wymagało żadnego komentarza. Obaj Lensmani wiedzieli, co to oznacza. Przeciwnik, przewidując wykorzystanie analizy statystycznej, bądź też z pobudek ekonomicznych, ograniczył dostawę narkotyku.

Także DalNalten, zwykle spokojny i zrównoważony, był do siebie kompletnie niepodobny. Był tak przygnębiony i nieszczęśliwy, że trzeba go było długo nakłaniać, by zdał jakąkolwiek relację.

– Jak wiesz, nasi najlepsi agenci rozpracowują międzyplanetarnych przewoźników – rzekł w końcu ponuro. – Ustaliliśmy raczej niewiele. Jednak zebrane przez nas fakty prowadzą do skrajnie absurdalnych wniosków. Jak chociażby wyjaśnić fakt, że import i eksport thionitu pomiędzy Tellusem i Marsem, Marsem i Wenus oraz Wenus i Tellusem utrzymuje się na dokładnie takim samym poziomie?

– Co takiego?

– Otóż to. I właśnie dlatego nie przygotowaliśmy z Knobosem nawet wstępny raportu.

Następna była Jill.

– Jestem przekonana, choć nie mam na to żadnych nowych dowodów, że ich szefem jest Morgan. Przeanalizowałam każdy możliwy scenariusz, w którym to Isaacson pociąga za sznurki, jednak żaden nie trzyma się kupy... – Zawiesiła głos.

– Jestem już gotów przyjąć ten punkt widzenia, przynajmniej w charakterze hipotezy roboczej. Kontynuuj.

– Wygląda na to, że Morgan zawsze miał pod kontrolą lewicowych narodowców. Teraz przyjął nową strategię i wraz ze swym Piętaszkiem, członkiem izby reprezentantów Fliercem, zabiega o względy przychylnych nam radykałów i tak zwanych liberałów w senacie i parlamencie, składając im bardzo kuszące oferty. Komentatorzy snują różne domysły, ja jednak nie mam najmniejszych wątpliwości, że wystartuje w najbliższych wyborach do Rady Galaktycznej.

– A wy z Dronvirem siedzicie oczywiście z założonymi rękami?

– Oczywiście! – zaśmiała się Jill, szybko jednak spoważniała. – Morgan jest wytrawnym graczem, tato. Zajmujemy się oczywiście tworzeniem i rozpowszechnianiem naszej własnej propagandy, jednak niewiele możemy tak naprawę zdziałać. Sam tego przez chwilę posłuchaj i zrozumiesz, o co mi chodzi.

Daleko w swym pokoju Jill przewinęła taśmę i pstryknęła przełącznikiem. Zajaśniał ekran, na którym ukazała się nalana, spocona i emanująca powagą twarz Morgana.

– ...i kim właściwie są ci Lensmani? – rozległ się jego grzmiący głos; z każdej sylaby biło pełne pasji przekonanie. – To pacholki klasy rządzącej, gotowi wbić wam nóż w plecy oszuści i łajdacy. Są NARZĘDZIEM W RĘKACH BEZWZGLĘDNYCH REKINÓW FINANSJERY! To najemnicy międzyplanetarnych bankierów, tych toczących społeczeństwo rakowych narośli, gnębiących zwykłego człowieka i wdeptujących go stalowym obcasem w ziemię! Pod maską demokracji chcą zaprowadzić najbardziej przerażającą tyranie, jaką ten wszechświat kiedykolwiek... – Jill z wściekłością wyłączyła nagranie.

– I masa ludzi łyka te... te bzdety! – niemal warknęła. – Nawet gdyby mieli umysłowość... tej zabriskañskiej fontemy, o której opowiadał

mi Mase, powinni się zastanowić. A jednak tego nie robią!

– Zdaję sobie z tego sprawę. Już wcześniej wiedzieliśmy, że to świetny aktor; teraz wiemy, że jest kimś więcej.

– Przekonaliśmy się też, że odwoływanie się do rozumu, ani żadne psychologiczne przeciwdziałania nie przyniosą żadnego skutku. Jesteśmy z Dronvirem zgodni, że musisz poświęcić kilka ładnych miesięcy na prowadzenie własnej kampanii wyborczej. Osobiście.

– To niewykluczone, na razie mam jednak masę innych spraw.

Samms przerwał połączenie i pogrążył się w myślach. Nie usiłował w sposób świadomy wykluczyć z tego procesu dwóch młodych Lensmanów, jednak jego umysł pracował tak szybko i chaotycznie, że byli oni w stanie wyłapać tylko kilka fragmentów. Niepojęty bezmiar kosmosu – namierzanie – wykrywanie – mały, szybko poruszający się księżyc Cavendy – i znowu, zdecydowanie WYKRYWANIE.

– Mase – przesłał Samms ostrożną myśl. – Jako specjalista od takich spraw wytłumacz mi, dlaczego nawet w najmniejszej szalupie zwiadowczej detektory mają praktycznie taki sam zasięg, jak te w największych liniowcach i statkach bojowych?

– Winny jest poziom szumów, sir, i zakłócenia powodowane przez generatory jądrowe.

– Nie można ich zaekranować?

– Nie w całości, sir, bez pełnej blokady odbioru.

– Rozumiem. Przypuśćmy więc, że wszystkie znajdujące się na pokładzie generatory jądrowe zostaną wyłączone, a niezbędne ciepło i światło zapewnimy dzięki elektryczności z akumulatorów, ogniw pierwotnych lub generatorów napędzanych silnikiem o spalaniu wewnętrznym lub silnikiem cieplnym. Czy zwiększy się wówczas zasięg wykrywania?

– I to bardzo, sir. Przypuszczam, że czynnikiem ograniczającym będzie wówczas sam kosmos.

– Obyś miał rację. Podczas oczekiwania na pojawienie się kolejnego sygnału mógłbyś opracować wstępny projekt takiego detektora. Jeśli, jak przypuszczam, Zabriska okaże się ślepym zaułkiem, operacja Zabriska dobiegnie końca i stanie się odtąd częścią operacji Zwiłnik, a wasza dwójka natychmiast poleci za mną na Tellus. Ciebie, Jack, bardzo potrzebują przy

operacji Boskone. A ja i Mase dokonamy stosownych przeróbek na pokładzie jednej z luksusowych jednostek Patrolu.

[2] Detet – odległość, przy której jeden statek kosmiczny jest w stanie wykryć inny (przyp. autora).

ROZDZIAŁ 12

Kiedy smoliście czarny, zmodyfikowany statek zwiadowczy dolatywał do Cavendy, siedzący za jego sterami Virgil Samms wyzerował ciąg, wyłączył atomowe generatory i uruchomił supermocne detektory. W zasięgu pięciu pełnych detetów w każdą stronę, w obrębie sfery o średnicy ponad dziesięciu detetów, nie było żadnego innego statku. Wykrywał pewną aktywność na bardzo jeszcze odległej planecie, nie wzbudzało to jednak jego niepokoju. Nawet jeśli na Cavendzie nie było akurat statków kosmicznych, co było mało prawdopodobne, przemytnicy narkotyków niewątpliwie dysponowali generatorami jądrowymi. Obawiał się jedynie tego, że zostanie namierzony. Na pewno było tu bardzo wiele detektorów, najprawdopodobniej automatycznych; nie tylko zwykłych subeterycznych, lecz także elektrodetektorów i radarów.

Podleciał na odległość jednego i jednej czwartej deteta, zatrzymał się i ponownie przeczesał przestrzeń promieniem detektora. Wciąż była pusta. Wtedy, po dokonaniu serii obserwacji, przeszedł na napęd inercyjny i w przybliżeniu określił prędkość rzeczywistą statku, mając nadzieję, że zrobił to wystarczająco precyzyjne. Ponownie wyłączył generatory jądrowe i uruchomił szesnastocylindrowy silnik diesla, który miał je zastąpić.

Nie było to najlepsze rozwiązanie, musiało jednak wystarczyć. Oprócz dostarczania energii napędowi Bergenholma, silnik był w stanie wytworzyć wystarczającą ilość kilodyn, by wygenerować prędkość wielokrotnie przekraczającą prędkości osiągnęte przez bezwładną materię. Co prawda zużywał ogromne ilości tlenu, miał jednak pracować tylko przez kilka minut. Przy wyłączonych generatorach jądrowych statek był niewykrywalny przez powszechnie stosowane detektory dalekiego zasięgu. A ponieważ leciał z szybkością nadświatłą, nie „widziały” go także elektromagnetyczne detektory sieciowe ani radary. To Sammsowi wystarczało.

Samms nie był najlepszym w Układzie Słonecznym specjalistą od obliczeń, a urządzenia, którymi dysponował, także pozostawiały wiele do życzenia. Korekta ewentualnych błędów pozycyjnych nie powinna

nastęrczyć mu większych problemów, jednak im bardziej zbliżał się do Cavendy, utrzymując kurs na jej niewielki księżyc, tym większe ogarniały go wątpliwości. Czy określając na oko rzeczywistą prędkość statku nie pozwolił sobie na zbyt duży margines błędu? Pozostawała jeszcze jedna zmienna, moment wyłączenia ciągu. Samms zwolnił, szybkość statku nieznacznie tylko przekraczała prędkość światła, jednak nawet przy tej względnie małej szybkości jedna milisekunda niedoszacowania skutkowałaby dwustumilowym przemieszczeniem.

Wprowadził do systemu odpowiednie korekty i w napięciu zastygł przed panelem kontrolnym.

Kliknęły przełączniki, nastąpiło wyłączenie ciągu, statek przeszedł na lot inercyjny. Samms gorączkowo weryfikował odczyty instrumentów. Nie wyglądało to najgorzej. Nieznacznie przeszacował prędkość rzeczywistą; jeszcze chwila i statek, nie chroniony przez tarczę księżyca, mógł być wykryty z Cavendy. Wycofał go do bezpiecznej strefy, przeszedł na napęd inercyjny, po czym włączył na pełną moc ryczący niemiłosiernie silnik, by szarpnięciem skorygować prędkość rzeczywistą, stale tracąc przy tym wysokość. Powtarzał ten manewr wielokrotnie, z uporem kierując statek w stronę powierzchni.

Bardzo ucieszył go fakt, że powierzchnia satelity jest bardziej nierówna, pofałdowana i zryta kraterami, niż powierzchnia ziemskiego Księżyca. Na takim terenie namierzenie nawet ruchomego pojazdu, szczególnie jeśli poruszał się ostrożnie, było praktycznie niemożliwe.

Za pomocą kilku serii krótkich, ostrożnych bezinercyjnych skoków, korygując prędkość rzeczywistą inercyjnymi zderzeniami z gruntem, ustawił statek w takiej pozycji, że olbrzymi glob Cavendy znajdował się bezpośrednio nad jego głową. Z głębokim westchnieniem ulgi wyłączył główny silnik, uruchomił maksymalnie naładowane akumulatory i włączył detektor i promień szpiegujący. Miał świetny punkt obserwacyjny.

Ze wskazań detektorów wynikało, że na całej planecie jest tylko jeden punkt, w którym zachodzi jakaś aktywność. Samms precyzyjnie określił jego położenie i ustawiając moc promienia szpiegującego na minimum, zaczął się do niego ostrożnie, jard za jardem przybliżać. Stop! Tak jak podejrzewał, znajdował się tam ekran blokujący promienie szpiegujące. Był on olbrzymi, miał prawie dwie mile średnicy i był usytuowany niemal dokładnie pod nim, czy raczej wprost nad jego głową.

Samms przywiózł ze sobą teleskop, który był znacznie potężniejszy niż teleskopowy wideoekran jego statku zwiadowczego. Ponieważ siła grawitacji na powierzchni tego księżyca była pięciokrotnie niższa niż na Ziemi, wyładowanie jego elementów ze statku i złożenie ich w całość nie sprawiło Sammsowi najmniejszego problemu.

Jednak nawet teleskop nie na wiele się przydał. W skali kosmosu Cavenda nie była odległym obiektem, jednak przenośne przyrządy optyczne nie nadają się do precyzyjnych obserwacji. Mimo to Lensman dostrzegł zarys czegoś, co przy odpowiedniej dozie wyobraźni można było uznać za fabrykę. Maksymalnie wyęzając wzrok, był też nawet skłonny uwierzyć, że dostrzega przypominający wykałaczkę obiekt i ciemną, owalną plamkę, każde z których mogło być statkiem kosmicznym przestępców. Co do dwóch rzeczy nie miał jednak wątpliwości. Na Cavendzie nie było prawdziwych miast. Nie było tu także nowoczesnych portów kosmicznych, ani nawet lotnisk.

Rozebrał teleskop, załadował go na statek, nastawił detektory i zaczął czekać. Od czasu do czasu musiał się oczywiście przespać, jednak nawet standardowe detektory emitowały sygnał dźwiękowy, gdy rejestrowały jakiegokolwiek zmiany, a detektor Sammsa był zdecydowanie bardziej złożony. Dlatego, kiedy tylko statek handlarzy narkotyków wystartował z planety, Samms opuścił system Cavendy równie dyskretnie, jak do niego przybył, i ruszył śladem piratów.

Samms z wyprzedzeniem opracował strategię. Korzystając z diesla i utrzymując dystans nieco ponad jednego deteta, zamierzał z możliwie największą szybkością podążać za statkiem piratów na tyle długo, by określić ich kurs. Następnie, przechodząc na napęd atomowy, miał oddalać się na odległość dwóch detetów, by po jakimś czasie ponownie przechodzić na diesel i potwierdzać ich trasę. Tę procedurę miał powtarzać tak często, jak będzie to konieczne dla określenia celu ich podróży.

Zgodnie z wiedzą Lensmanów firma Podróże Międzygwiazdne zawsze używała do swych celów klasycznych liniowców i frachtowców, zaś jego statek zwiadowczy był znacznie szybszy od każdej z takich jednostek. Lecz nawet gdyby, co wydawało się wysoce nieprawdopodobne, statek piratów był szybszy od statku Sammsa, zbliżając się do celu swej podróży wciąż powinien znajdować się on w zasięgu używanych przez niego detektorów. Lecz jakże Samms się pomylił!

Podczas pierwszego pomiaru dystansu okazało się, że cel znajduje się w odległości nie dwóch, lecz trzech i pół deteta, podczas drugiego odległość wzrosła do czterech i jednej czwartej deteta, a podczas trzeciego wynosiła już równo pięć detetów. Z zachmurzoną miną Samms przyglądał się, jak jaskrawy dotychczas punkt światła niknie w ciemnościach. Ta owalna plamka, którą dostrzegł wtedy na planecie, rzeczywiście była statkiem kosmicznym, jednak nie sferycznym, jak przypuszczał, lecz mającym kształt łzy, a jego ostro zakończona rufa skierowana była wówczas w dół. Okazał się superszybką jednostką. I tak to się skończyło. Nie był to jednak pierwszy z pomysłów Sammsa, który spalił na panewce, i zapewne nie ostatni. Przywrócił napęd atomowy i powiadomił wiceadmirała Kinnisona o konieczności pilnego spotkania na pokładzie *Chicago*.

– Co znajduje się na tym kursie? – zapytał pierwszego kapitana superpancernika, jeszcze przed połączeniem się statków.

– Nic, o czym byśmy wiedzieli, sir – zameldował kosmiczny weteran po przestudiowaniu przekazanych mu map.

Samms przeszedł na pokład gigantycznego statku wojennego i wraz z Kinnisonem pochylił się nad tymi samymi mapami.

– Postawiłbym na Eridana – rzekł w końcu Kinnison. – Nie leży on co prawda bezpośrednio na tym kursie, mogli jednak bez trudu wydedukować, że bezpieczniej będzie dotrzeć do niego okrężną drogą, nawet jeśli zajmie im to dodatkowy dzień. A, jak dobrze wiesz, cała ta planeta jest własnością firmy Podróże Międzygwiazdne, od rdzenia do powierzchni, na której znajdują się najbogatsze we wszechświecie kopalnie uranu. Założone przez tę właśnie firmę. Nikt nie będzie podejrzewał załadowanego uranem transportowca. Co sądzisz o wzięciu Eridana pod obserwację?

Samms pogrążył się w zadumie.

– Nie... w każdym razie nie teraz. Mamy jeszcze zbyt mało informacji.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I właśnie dlatego uważam, że to najlepszy czas i miejsce, by się czegoś dowiedzieć – przekonywał go Kinnison. – Jesteśmy pewni, a przynajmniej niemal pewni tego, że właśnie wylądował tam superszybki statek z ładunkiem thionitu. Jest to najświeższy trop, jakim dysponujemy. Moim zdaniem powinniśmy zarządzić blokadę planety, wprowadzić stan wyjątkowy i nie wypuszczać ani nie wpuszczać tam nikogo, nim się czegoś nie dowiemy. Na pewno znajduje się tam ktoś, kto

wie znacznie więcej, niż my. Musimy znaleźć taką osobę i zmusić ją do mówienia.

– Trochę się zagalopowałeś, Rod. Wiesz równie dobrze jak ja, że złapanie kilku płotek to za mało. By przypuścić otwarty atak, musimy mierzyć znacznie wyżej.

– Zapewne masz rację – burknął Kinnison niechętnie. – Ale wiemy tak cholernie mało, Virge.

– Wiemy dość niewiele – przyznał Samms. – Z trzech podstawowych aspektów tej sprawy, jasne jest wyłącznie jej tło polityczne. Jeśli chodzi o narkobiznes, wiemy, skąd pochodzi thionit i gdzie jest przetwarzany; podejrzewamy też, że Eridan może być w tym procesie kolejnym ogniwem. Z drugiej strony znamy jedynie wielu drobnych handlarzy i kilku pośredników. Nie znamy natomiast tożsamości ani metod działania osób stojących wyżej w hierarchii, a to są właśnie szefowie, o których nam tak naprawdę chodzi. Jeszcze mniej wiemy o piratach. Słowo „Murgatroyd” może mieć tyle wspólnego z konkretną osobą, co słowo „Zwilnik”...

– Zanim za bardzo odbiegiesz od tematu, powiedz, co zamierzasz zrobić w kwestii Eridana?

– Moim zdaniem najlepiej nie podejmować na razie żadnych działań. Choć Knobos i DalNalten powinni przenieść uwagę z należących do Podróży Międzygwiazdnych pasażerskich liniowców na statki przewożące uran z Eridana na trzy planety naszego Układu Słonecznego. To ci wystarczy?

– Jak najbardziej. Szczególnie, że w końcu staje się jasne, dlaczego od tak dawna gonili w piętę, śledząc wciąż te same kontenery z narkotykiem przetrzucane w kółko tam i z powrotem. Musimy dorwać tych z samej góry, a to przebiegli gracze. Trudno mi sobie jednak wyobrazić, by to Morgan był u nich głównym rozgrywającym; szczególnie że bez najmniejszego trudu udaremniliście z Fairchildem jego próby zinfiltrowania Wzgórza. Morgan to pyskаты polityk, typowy kombinator, który gromadzi w sejfie materiały na temat partyjnych szefów, politycznych kontraktów, chórzystek i futer z marsjańskich tekkyli, a osoba, której szukamy, ma zdecydowanie większe ambicje.

– Nie musisz mi mówić! – Była to na tyle paląca kwestia, że Samms uciekł się do idiomu. – Chłopcy mieli prześwietlić jego sejf już tydzień

temu, jednak trafili na jakiś sęk. Sprawdzę, czy coś już wiedzą. Dostrój się, Rod. Ray! – przesłał myśl do swego kuzyna.

– Tak, Virge?

– Udało się już prześwietlić ten sejf promieniem szpiegującym?

– Dobrze, że się odzywasz. Tak, zeszłej nocy. Jest kompletnie pusty, jak głowa podlotka. Nie licząc atomowego gadżetu zabezpieczającego, którego zneutralizowanie zajęło specom z laboratorium Bergenholma cały tydzień.

– Jasne. Dzięki. Bez odbioru. – Samms odwrócił się do Kinnisona. – I co ty na to?

– Nieźle. Naprawdę cwany z niego lis. – Przyznał Kinnison. – Miałeś co do niego rację. Ale zacząłeś coś mówić na temat piratów, nadstawiam uszu.

– Tylko tyle, że mamy bardzo niewiele punktów zaczepienia. Wiemy jedynie, jakiego rodzaju artykułami wydają się być najbardziej zainteresowani. Ostatnio kilku takich transportów nie była w stanie ochronić nawet uzbrojona eskorta, która zresztą także zniknęła. Wydaje mi się jednak, że nawet na podstawie tak skąpych informacji będziemy w stanie przeprowadzić pewną operację...

Szybki, opływowy frachtowiec i ciężki kosmiczny krążownik sunęły jednostajnie przez międzygwiazdną pustkę. Transportowcem przewożony był niezwykle cenny ładunek; nie było to jednak złoto, klejnoty czy metale szlachetne, lecz przedmioty o unikalnej wręcz wartości: precyzyjne obrabiarki, misterne instrumenty optyczne i urządzenia elektroniczne czy najwyższej klasy urządzenia pomiarowe i zegary. Na statku znajdował się także Pierwszy Lensman, Virgil Samms.

Zaś na pokładzie okrętu wojennego leciał Roderick Kinnison. Po raz pierwszy w historii zwykły bojowy krążownik był okrętem flagowym kontradmirała floty.

W zasięgu detektorów tych dwóch jednostek nie było żadnego innego statku, obaj Lensmani zdawali sobie jednak sprawę, że nie są sami. W odległości półtora deteta, równoległym kursem, utrzymując tę samą co oni prędkość, leciało zwróconym ku przodowi szykiem półsferycznym

sześć ogromnych, mających kształt łyzy superpancerników, których istnienia rządy Tellusa ani kolonii nawet nie podejrzewały. Te najszybsze i najbardziej śmiertelne statki bojowe, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek, były pierwszymi owocami operacji Bennett. Na ich pokładach również znajdowali się Lensmani: Costigan, Jack Kinnison, Northrop, Dronvir z Rigel Cztery, Rodebush i Cleveland. Nie było przy tym potrzeby instalowania dodatkowych detektorów; ośmiu Lensmanów utrzymywało ze sobą tak ścisły kontakt, jakby znajdowali się w jednym pomieszczeniu.

– Zachowajcie maksymalną czujność, panowie – rozległa się spokojna myśl Sammsa. – Za chwilę w odległości kilku minut świetlnych miniemy niezamieszkaną układ słoneczny. Nie ma w nim ani jednej planety typu telluriańskiego. Sądzę, że właśnie tu zaatakują. Niech każdy zestroi się z Kinnisonem i z kapitanem swojego statku. Przejmujesz dowodzenie, Rod.

Jeszcze przed momentem kosmos w promieniu deteta w każdym kierunku był całkowicie pusty. W następnej chwili na ekranie detektora zabłyśły trzy jaskrawe punkty, znajdujące się na jednej linii ze zwodniczo bliską, martwą planetą.

Taki rozwój wydarzeń był dla wszystkich niespodzianką, gdyż oczekiwano tylko dwóch napastników: statku bojowego, który miał zająć się eskortą, i krążownika do przechwycenia ładunku. To, że piraci stali się ostrożniejsi bądź bardziej podejrzliwi i wysłali do akcji trzy pancerniki, nie zmieniło jednak strategii Patrolu. Samms uznał bowiem, a Dronvir, Bergenholm i Rularion z Jupitera się z nim zgodzili, że dowódca całej operacji znajduje się na pokładzie jednostki, która zaatakowała frachtowiec.

Chwilę później każdy z Lensmanów zobaczył to, co widział Roderick Kinnison: sześć kolejnych jaskrawobiałych punktów, które pojawiły się na ekranach przebiegłego frachtowca i służącego za przynętę krążownika.

– Jack i Mase, bierzcie dowódcę! – wysłał Kinnison energiczną myśl. – Dronvir i Costigan, prawa flanką; to ten, który atakuje frachtowiec. Fred i Lyman, lewa flanką. Naprzód!

Statki piratów ruszyły do ataku, wypełniając eter i subeter skondensowanym pasmem zakłóceń, przez które nie był w stanie przebić się żaden sygnał o pomoc; dwa pancerniki rzuciły się na krążownik, trzeci zajął się frachtowcem. Piraci nie mieli najmniejszych wątpliwości, że ten pierwszy będzie stawiał zaciekły opór. Bojowe krążowniki Patrolu były potężnymi jednostkami, świetnie sprawdzającymi się zarówno w ataku jak

i w obronie, przeciwnik zdążył też poznać już męstwo ich załóg. Kompletnie zaskoczony był jednak dowódca pirackiego pancernika, który przypuścił atak na frachtowiec. Jego pierwsza salwa promieni bojowych wycelowana w przednią część statku, z dala od cennego ładunku, miała kompletnie zniszczyć ekrany ochronne, poszycie i samą strukturę dziobu, niczym rozgrzany do białości pogrzebacz wbity w kostkę masła. Praktycznie cała sekcja dziobowa wraz ze sterownią powinna zostać dosłownie zdmuchnięta i rozproszyc się w przestrzeni w postaci roztopionych kawałków i smug zmienionego w parę metalu. Jednak nic takiego nie miało miejsca; ten transportowiec nie był łatwym łupem!

Roderick Kinnison dobrze zadbał o to, by tego konkretnego frachtowca i lecącego nim Virgila Sammsa nie chroniły standardowe ekrany. Całkowita masa zasilających je generatorów ponad dwukrotnie przekraczała ciężar przewożonego nim ładunku, który bynajmniej nie należał do najlżejszych. Dlatego też promienie piratów, które bezlitośnie uderzały, siekły i chłostały statek dosłownie go oblepiając, nie były w stanie go dosięgnąć. I gdy zdumieni napastnicy sukcesywnie zwiększali moc promieni, dochodząc do absolutnej granicy swych możliwości bojowych, jedynym efektem było natężenie kaskadowych rozbłysków energii, która odbijała się na wszystkie strony od wściekle rozżarzonych ekranów obronnych telluriańskiego frachtowca.

Zaskoczenie nie ominęło również dowódców dwóch pozostałych pirackich statków bojowych. Ekrany krążownika Patrolu wytrzymały połączony atak obu pancerników! Przy czym jego promień bojowy nie podpaliłby nawet zapalki, gdyż cała energia statku zasilala ekrany ochronne! Lecz kiedy kompletnie zaskoczeni bandyci uświadomili sobie w końcu, że z myśliwych stali się zwierzyną, było już za późno. Sześć potężnych, mających kształt łyż statków wojennych, znacznie większych, szybszych i lepiej uzbrojonych niż ich własne jednostki, przypuściło na nich atak, blokując wszystkie kanały łączności równie skutecznie, jak oni sami zrobili to chwilę wcześniej.

Mając za zadanie zniszczenie, a nie pojmanie przeciwnika, cztery z nowo przybyłych statków w mgnieniu oka rozniosły w pył dwa atakujące frachtowiec pancerniki. Ich taktyka była bardzo prosta; po wytraceniu prędkości i przejściu na napęd inercyjny każdy z nich zajął pozycję na jednym z rogów umownego czworoboku i wykorzystując cały swój

imponujący potencjał ofensywny otworzył ogień. Była to niemal na pewno jedna z najkrótszych, zaś bez wątpienia najbardziej gwałtowna kosmiczna bitwa, jaka się kiedykolwiek rozegrała.

Następnie cztery pancerniki Patrolu dołączyły do swych dwóch siostrzanych jednostek i skoncentrowały się na jedynym ocalałym statku piratów, którego kapitan czynił ostatnie, rozpaczliwe próby uniknięcia potyczki. Jego szanse były jednak równe zeru. Miał przeciwko sobie sześć znacznie przewyższających go potencjałem bojowym statków, każdy z których zajął pozycję na jednym z wierzchołków ośmiościanu. On zaś znajdował się w jego geometrycznym centrum, nie będąc w stanie zneutralizować unieruchamiających go wiązek przechwytyjących, ani wyrwać z pola rażenia przeciwników. Został złapany w sferyczną, czy też raczej, biorąc pod uwagę taktykę zastosowaną przy użyciu tak niewielu jednostek, „pudełkową” pułapkę.

Rozniesienie w pył ostatniego statku wroga nie sprawiłoby teraz jednostkom Patrolu najmniejszego problemu, jednak właśnie tego chciały one za wszelką cenę uniknąć. Priorytetem było uzyskanie informacji. Dlatego też każdy ze statków Patrolu skierował wiązkę kilkunastu promieni bojowych na iskrzące się ekrany obronne wroga, tak by każdy jard kwadratowy ochronnego pola siłowego znajdował się pod bezpośrednim ostrzałem. Moc każdego promienia była gwałtownie zwiększana – tak intensywnie, jak to tylko możliwe bez utraty panującej pomiędzy wiązkami równowagi i synchronizacji – aż do momentu, w którym wściekle rozżarzony ekran ochronny piratów przybrał intensywnie fioletowy odcień, co oznaczało, że znajduje się na granicy zniszczenia. W tym momencie wystrzelono bezlitosne wiązki promieni igłowych. Ekran ochronny pirackiego pancernika był już naładowany do granic wydajności; dalsze zasilanie go defensywną energią przestało być możliwe. W rozbłyskach ultrafioletu przechodzącego w czerń jego przeciążone sekcje jedna po drugiej gasły i odmawiały posłuszeństwa, a wiązki czystej energii niczym bezlitosne ostrza dźgały kadłub statku.

Na pierwszy ogień poszła maszynownia, choć odnalezienie newralgicznych elementów napędu wymagało wgryzienia się promieniami igłowymi na sto stóp w głąb kadłuba pirackiego statku. Poczynione uszkodzenia były jednak wystarczające, by wpuścić do środka promienie szpiegujące, a następnie szybko i precyzyjnie zniszczyć silniki pancernika.

Po zaledwie kilku sekundach jego kadłub dryfował bezwładnie, a statki Patrolu obierały go niczym pomarańczę, a raczej jak kucharz amator niechlujnie obierający ziemniaka. Energetyczne ostrza odcięły ogon i dziób, górną i dolną część a także bakburtę i sterburtę okrętu; następnie pookrawały rogi tego, co pozostało, aż jedynym nietkniętym elementem statku pozostała sterownia.

Następnie, gdy tylko udało się zrównać prędkości rzeczywiste, przypuszczony został szturm na jej pokład. Atakiem dowodził Dronvir z Rigel Cztery; tuż za nim podążali Costigan, Northrop i Kinnison Młodszy wraz z plutonem uzbrojonych po zęby żołnierzy kosmicznej piechoty morskiej.

Samms wraz z dwoma naukowcami zdawali sobie sprawę, że nie powinni mieszać się do mającej się rozegrać walki wręcz. W odróżnieniu od Kinnisona, który klnąc na czym świat stoi pozostał jednak na pokładzie statku.

Z kolei Dronvir nie lubił walczyć. Sama myśl o starciu się z przeciwnikiem w bezpośredniej walce budziła w nim organiczny wręcz sprzeciw. Jednak w świetle raportów składanych przez obsługę promieni szpiegujących i dzięki wiedzy Lensmanów na temat psychologii piratów oczywistym było, że Dronvir powinien jako pierwszy dotrzeć do sterowni i musi znaleźć się tam jak najszybciej. Gdyby zaś musiało dojść przy tym do walki, był do niej świetnie fizycznie predysponowany. Dysponował ogromną, przystosowaną do grawitacji dwukrotnie przewyższającą ziemską siłą fizyczną, dzięki czemu bojowy rynsztunek, który tak bardzo ograniczał telluriańskich żołnierzy, był dla niego ledwie zauważalnym obciążeniem. Jego zmysł percepcji, którego nie była w stanie ograniczyć żadna materialna substancja, dostarczał mu informacji o wszystkich zachodzących wokół niego wydarzeniach. Jego niewiarygodna wręcz szybkość umożliwiała mu nie tylko uchylenie się przed każdym oddanym do niego strzałem, lecz także wyeliminowanie każdego napastnika, zanim ten zdążył w niego wycelować. I jeśli człowiek był w stanie walczyć tylko jednym kosmicznym toporem, lub strzelać tylko z dwóch laserowych pistoletów naraz, Rigelianin płynął przez przestrzeń w kierunku tego, co pozostało z pirackiego statku, trzymając w sprężystych i giętkich, lecz niezwykle silnych mackowatych „rękach” nie jeden czy dwa, lecz cztery kosmiczne topory.

Czemu korzystano z toporów? Dlaczego nie z Lewistonów, strzelb czy pistoletów? Dlatego, że pancerze ówczesnych kombinezonów bojowych były niemal całkowicie odporne na ogień z dwóch lub trzech broni ręcznych. Zaś wytrzymałość ich ekranów ochronnych była równa sześcią prędkości każdego wystrzelonego w nie pocisku. Dlatego właśnie powstało to osobliwe skrzyżowanie zaawansowanej technologii z archaicznym narzędziem bojowym.

Większość piratów zginęła oczywiście podczas rozdierania ich okrętu na kawałki. Reszta została zabita przez promienie igłowe. W sterowni znajdował się jednak oddział elitarnych gwardzistów, którzy otoczyli kapitana i jego oficerów szczelnym kordonem. I to oni stanowili grupę, którą należało wyeliminować w walce wręcz.

Gdyby atak przypuszczono od strony jedynych drzwi, piraci mogliby skoncentrować ogień na jednym bądź dwóch żołnierzach Patrolu, a ich dowódca miałby wystarczającą ilość czasu, by zrobić to, co było w tej sytuacji jego jedynym wyjściem. Jednak gdy atakujący byli wciąż w otwartej przestrzeni, ostrze pola siłowego ścięło bok pomieszczenia, promień transportowy odrzucił oderwaną ścianę na bok i napastnicy jednocześnie wpłynęli do środka.

Walka w nieważkości w niczym nie przypomina żadnej ze znanych na Ziemi dyscyplin gimnastycznych. Jest znacznie trudniejsza do opanowania, a w chwilach stresu mięśnie odruchowo powracają do wykonywania ruchów, do jakich przywykły w warunkach grawitacji, co bywa niezwykle kłopotliwe. Dlatego zaciekle i zabójcze w zamierzeniu działania podejmowane przez większość uczestników obu walczących stron, były w swej bezskuteczności niemal komiczne. W zaledwie kilka sekund pomieszczenie wypełniło się rojem postaci, które w desperackiej walce fruwały pomiędzy sufitem, podłogą i ścianami, wymierzając sobie wściekle ciosy i odlatując do tyłu przy każdym zamachnięciu się ręką.

Telluriańscy Lensmani mieli jednak większe doświadczenie. Jack Kinnison, gdy tylko wleciał do środka, natychmiast złapał za najbliższy stabilny wspornik. Podciągnął się do podłogi, zapał o nią obiema stopami, namierzył wzrokiem najbliższego przeciwnika, zamachnął toporem i z całej siły odepchnął od podłogi. Zrobił to z takim wyczuciem czasu, że w chwili największego impetu ostrze jego śmiertelnej broni wbiło się w hełm pirata; co było w pełni skuteczne. Wyszarpnął topór i odepchnął zwłoki

w takim kierunku, by siła odrzutu skierowała go z powrotem w stronę podłogi, w miejsce, z którego mógł powtórzyć ten manewr.

Jako że Mason Northrop był znacznie cięższy i silniejszy od swego przyjaciela, jego technika była skrajnie odmienna. Zanurkował on w kierunku przymocowanego do podłogi stołu dla map. Zahaczył obutą w stal stopą o jedną z nóg stołu, a drugą wsparł się na jego blacie. Z uwagi na nieważkość i inercję pojęcia takie jak pion czy poziom przestawały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zachowując w ten sposób przewagę nad przeciwnikami, wykorzystując długość swego ciała, ramienia i topora, dysponował naprawdę dużym zasięgiem. Wyciągał rękę, zaczepiał krańcem topora o pas, karabinek czy fałdę kombinezonu i przyciągając przelatującego obok niego w bezradnej furii pirata, zadawał mu morderczy cios. Co także było w pełni skuteczne.

Dronvir z Rigel 4 nie spieszył się z rozpoczęciem ataku. Uczucia takie jak podniecenie czy złość były mu całkowicie obce. Jedynie poprzez obserwację był w stanie zrozumieć znaczenie tych emocji. Nigdy nie brał też udziału w żadnej walce. Dlatego też zatrzymał się na kilka sekund, by przeanalizować sytuację i opracować najbardziej skuteczne metody działania. By zająć się umysłem kapitana piratów, nie potrzebował fizycznego kontaktu, musiał się jednak do niego bardziej zbliżyć. Nikt nie mógł go też atakować, by nie zakłócać jego koncentracji. Przyjrzał się temu, co robią Kinnison, Costigan i Northrop, szczegółowo analizując ich odmienne style walki. Dostosował zdobytą wiedzę do własnej masy, muskulatury oraz długości i siły swych ramion, każde z których było dwa razy dłuższe i dziesięć razy silniejsze niż trąba słonia. Wyliczył wartości sił i dźwigni, akcji i reakcji, punktów przyłożenia, nacisków i napięć.

Odrzucił dwa ze swych toporów. Wyrzucił w przód dwie wolne macki, każdą z nich owijając wokół szyi pirata. Dwa pozostałe topory mignęły, niemal ocierając się o trzymające piratów ramiona Rigelianina i wydawało się wręcz niemożliwe, że ich ostrza nie przecięły pancerza jego kombinezonu. Dwie głowy odpłynęły od ciał, a Dronvir sięgnął po dwóch następnych piratów. Potem po następnych i tak raz za razem. Spokojnie i beznamiętnie, nie tracąc jednak nawet milisekundy na zbędny ruch, Dronvir w krótszym czasie osiągnął więcej, niż wszyscy pozostali Tellurianie.

– Costigan, Northrop, Kinnison, potrzebuję wsparcia! – wysłał myśl. – Nie mam już czasu, by ich więcej zabijać. Kapitan umiera od zadanej samemu sobie rany i muszę wykonać niezwykle ważne zadanie. Przypilnujcie, proszę, by nikt mnie nie zaatakował, kiedy będę zajęty.

Dronvir dostroił swój umysł do umysłu kapitana piratów i rozpoczął sondowanie, jednak ten, nawet umierając, stawiał zacięty psychiczny opór. Rigelianin nie był jednak sam; z jego umysłem harmonijnie zestroiły się dwa najpotężniejsze umysły Ziemi obdarzone niedostępną dla Rigelian siłą i atrybutami: Roderick Kinnison z jego niespożytą energią, niezłomną wolą i nadludzkim uporem oraz Virgil Samms z tym wszystkim, co czyniło z niego Pierwszego Lensmana.

– MÓW! – zażądał ten straszliwy, potrójny umysł z mocą, której po prostu nie było można się oprzeć. – SKĄD PRZYLECIELIŚCIE? Opór jest daremny. Zarówno twój jak i tych, którym służysz. Bazy i siły, którymi dysponujecie, są znacznie mniejsze i słabsze od naszych, gdyż Podróże Międzygwiazdne są tylko korporacją, a my jesteśmy Galaktycznym Patrolem. MÓW! KIM SĄ TWOI SZEFOWIE? MÓW! MÓW!

I pod wpływem tego przemożnego nacisku w umyśle pirata pojawił się niewyraźny obraz zamienionej w wojenną bazę planety, będącej pomniejszoną kopią należącej do Patrolu planety Bennett, jednak bez najmniejszych wskazówek co do jej nazwy czy lokalizacji, oraz równie niewyraźny, choć nie tak rozmazany, dzięki czemu twarze były w pełni rozpoznawalne, obraz dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Murgatroyd, herszt piratów, którego ani Samms ani Kinnison nigdy wcześniej nie widzieli; a nieco dalej, górujący nad nim DUŻY JIM TOWNE!

ROZDZIAŁ 13

– Zaczniemy od Murgatroyda. – W swoim biurze we Wzgórzu Roderick Kinnison rozmawiał z Pierwszym Lensmanem. – Co twoim zdaniem powinniśmy z nim zrobić?

– Murgatroyd, hmm. – Samms zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił strugę dymu, obserwując, jak rozplywa się ona w powietrzu. – Ach tak, Murgatroyd. – Zaciągnął się ponownie. – Moim zdaniem na razie powinniśmy zostawić go w spokoju.

– Zgoda – odparł Kinnison. Nawet jeśli Samms był zdziwiony aprobatą przyjaciela, nie dał tego po sobie poznać. – Ale dlaczego? Sprawdźmy, czy myślimy podobnie.

– Ponieważ nie ma on kluczowego znaczenia. Nawet gdybyśmy byli go w stanie odnaleźć... a tak, przy okazji, jakie jest twoim zdaniem prawdopodobieństwo tego, że wytropią go nasi agenci?

– Mniej więcej takie, jak prawdopodobieństwo tego, że przeciwnicy dowiedzą się o zamianie Samms–Olmstead albo znajdą naszą planetę Bennett. Czyli znikome. Czy wręcz zerowe.

– Właśnie. A nawet gdyby udało nam się go złapać i odnaleźć ich tajną bazę, która jest zapewne równie dobrze ukryta, jak nasza, nic by nam to w tej chwili nie dało. Nie bylibyśmy w stanie podjąć żadnych konkretnych działań. Znacznie ważniejsze jest moim zdaniem to, czego się dowiedzieliśmy: że Towne jest faktycznym przełożonym Murgatroyda.

– W pełni się z tobą zgadzam. Jesteśmy już niemal w stanie rozrysować schemat ich organizacji.

– Nie byłbym aż takim optymistą – uśmiechnął się Samms niewesoło. – Jest w nim jeszcze sporo luk, a największą niewiadomą jest Isaackson. Sam wielokrotnie próbowałem ten schemat rozrysować, mamy jednak zbyt wiele niewiadomych. A jak sam dobrze wiesz, błędny schemat jest gorszy, niż żaden. Kiedy tylko uda mi się to zrobić, od razu dam ci znać. Tymczasem wiemy już przynajmniej, jaka jest pozycja naszego przyjaciela, Jamesa F. Towne'a. To właśnie on gra główne skrzypce zarówno wśród piratów, jak

i w polityce. Sytuacja staje się znacznie bardziej klarowna, choć muszę przyznać, że jestem zdumiony.

– Ja również. Ma to jeden duży plus; nie musimy się za nim uganiać. Choć zdaje się, że zawsze miałeś go pod lupą?

– Tak, chociaż te nowe powiązania rzucają światło na wiele niejasnych dotąd szczegółów. Zdają się one potwierdzać także przyjętą przez nas roboczą hipotezę, której nie jesteśmy jeszcze w stanie oczywiście potwierdzić, że Isaacson jest faktycznym szefem narkotykowego syndykatu. Kimś w rodzaju wiceprezesa firmy odpowiedzialnego za narkotyki.

– Co takiego? To dla mnie nowość. Skąd taki wniosek?

– Jest już niemal pewne, że na czele tej organizacji stoi Morgan. Od jakiegoś czasu jest on także faktycznym władcą Ameryki Północnej. I ma pod sobą prezydenta Witherspoona, który wypełnia zapewne jego bezpośrednie polecenia.

– Bez wątpienia. Partia Narodowa jest czymś w rodzaju dobrze zorganizowanej grupy przestępczej, w której Witherspoon jest jednym z podrzędnych wykonawców, a Morgan głównym bossem. Potraktuj to w ten sposób.

– Wiemy, że Jim Towne także pełni jedną z kluczowych funkcji; być może jest on głównodowodzącym sił zbrojnych przeciwnika. I podobnie jak Isaacson, z którym zajmują równe co do rangi pozycje, jest bezpośrednim podwładnym Morgana.

– Może jest jeszcze ktoś trzeci? Na przykład Witherspoon?

– Bardzo w to wątpię. Moim zdaniem Witherspoon znajduje się w tej hierarchii co najmniej o jeden szczebel niżej. W porównaniu z nimi to płotka.

– Chyba mnie przekonałeś. Cóż za śliczny obrazek, Virge, w pełni symetryczny. Jego Wysokość Morgan, Sekretarz Wojny Towne i Sekretarz od Spraw Narkotyków Isaacson i każdy z nich bierze aktywny udział w zakulisowych rozgrywkach politycznych. Przez co Operacja Mateese może się okazać trudniejsza, niż nam się wydawało. Na szczęście przekonałem cię, że ta dziedzina zupełnie mi nie leży i nie muszę się teraz od tego wykręcać.

– Tak, zauważyłem twój talent do wywijania się od ciężkich zadań. – Samms uśmiechnął się pod wąsem. – Jednak o ile nie myślę się bardziej niż

zwykle, będziesz tkwił w tym po same nie należące do najmniejszych uszy, dopóki nie będzie po wszystkim.

– Co? Jakim cudem? – zapytał Kinnison.

– Mam nadzieję, że już niedługo wszystko stanie się jasne. – Samms zgasił niedopałek i odpalił następnego papierosa. – Nasz podstawowy problem można sformułować bardzo prosto: Jak przekonać suwerenne państwa Ziemi, w szczególności te leżące na kontynencie północnoamerykańskim, by przyznały Galaktycznemu Patrolowi olbrzymią władzę i niezbędne mu pełnomocnictwa?

– Ładna i przemyślana formułka, Virge. Żadnej improwizacji. Ale czy odrobinę nie przesadzasz? Nie widzę tu specjalnego konfliktu interesów. Patrol będzie przecież całkiem sporą międzysystemową strukturą... posiadającą oczywiście niezbędne międzyplanetarne, międzykontynentalne... i... mmm

– Dokładnie.

– Tak czy inaczej, Virge, jest to w pełni logiczne rozwiązanie; historia zna wiele podobnych precedensów. W dawnych czasach, jeszcze przed erą podróży kosmicznych, kiedy ludzkość zaczynała dopiero korzystać z energii jądrowej, a jedynymi narkotykami, o które musieli się martwić, była kokaina, morfina, heroina i inne czysto telluriańskie substancje. Czytałem o tym kilka dni temu.

Kinnison odwrócił się, sięgnął po jedną ze stojących w równych rzędkach książek i przerzucił kilka stron.

– Rosja była tak zwanym „trudnym dzieckiem” ówczesnego świata; stworzyła coś, co nazywali „żelazną kurtyną”, nie chciała się bawić z dziećmi sąsiadów, zabrała swoje zabawki i poszła do domu. A mimo to, proszę bardzo: Oryginalne źródło jest nieznane, historycy odsyłają do sprawozdania niejakiego Hoovera z lat czterdziestych albo pięćdziesiątych według kalendarza gregoriańskiego. Posłuchaj: „Protokół, o którym mowa w sprawozdaniu, dotyczący powstania Ogólnoświatowej Agencji ds. Narkotyków, został podpisany przez pięćdziesiąt dwa państwa, włączając ZSRR, czyli ówczesną Rosję, i jej państwa satelickie. Było to jedyne międzynarodowe porozumienie, w przypadku którego kraje komunistyczne...”, zapewne wiesz o komunizmie znacznie więcej, niż ja.

– Tylko tyle, że była to kolejna forma dyktatury, która spaliła na panewce.

– „...w przypadku którego kraje komunistyczne nie ograniczyły się wyłącznie do ustnych gwarancji. Jeszcze bardziej zadziwiający w świetle panującej ówczesnie sytuacji politycznej jest fakt, że wszyscy sygnatariusze porozumienia zobligowali się do ograniczenia swej państwowej suwerenności w pięciu niezwykle istotnych punktach, a mianowicie:

Po pierwsze, umożliwić agentom wszystkich państw, które podpisały porozumienie, swobodny, tajny i nie podlegający rejestracji wjazd, swobodne przemieszczanie się i wyjazd z ich krajów – włączając wody terytorialne – niezależnie od miejsca ich usytuowania;

Po drugie, na wniosek Agencji umożliwić figurującym w kartotekach przestępcom i przemytnikom swobodny wjazd i wyjazd z ich krajów;

Po trzecie, jako strona wspomagająca uczestniczyć w każdej antynarkotkowej operacji podjętej przez którykolwiek kraj będący sygnatariuszem Porozumienia;

Po czwarte, na wniosek Agencji utrzymywać w tajemnicy wszelkie przeprowadzane przez Agencję operacje; oraz

Po piąte, na bieżąco i w pełnym wymiarze informować Centralny Zarząd Agencji o wszelkich wymienionych wyżej działaniach”.

– I to najwyraźniej działało, Virge. Jeśli udało im się zrobić to wtedy, tym bardziej poradzimy sobie z Patrolem w dzisiejszych czasach.

– Mówisz, jakby te sytuacje były porównywalne. A nie są. Wówczas państwa wyrzekły się jedynie drobnej części swej suwerenności, dziś będą zmuszone poświęcić ją praktycznie w całości. Będą musiały zmienić swój punkt widzenia z narodowego na galaktyczny. Stać się komórkami Galaktycznej Cywilizacji, jak hrabstwa będące częściami stanów, które są z kolei częściami kontynentów. Galaktyczny Patrol nie będzie w stanie powstrzymać procesu, w wyniku którego stanie się jedyną i nadrzędną władzą na międzysystemową skalę. Będzie musiał stać się organizacją międzysystemową, międzyplanetarną i międzykontynentalną. Ostatecznie obejmie władzę absolutną, nie licząc jakichś czysto lokalnych struktur w rodzaju miejskiej policji.

– Cóż za projekt! – Kinnison milczał przez kilka minut. – Wciąż jednak uważam, że jesteś w stanie go zrealizować.

– Będziemy robić, co w naszej mocy. Na naszą korzyść przemawia to, że została już powołana złożona wyłącznie z Lensmanów i sprawnie funkcjonująca Solariańska Rada oraz fakt, że jurysdykcja rządu Ameryki

Północnej nie wykracza poza granicę kontynentu. I nawet jeśli Morgan posiada wyjątkowe uprawnienia jako faktyczny władca Ameryki Północnej oraz główny boss organizacji działającej na międzygalaktyczną skalę, nie ma najmniejszego wpływu na fakt, że Solariańska Rada stała się częścią Rady Galaktycznej. Choć w rzeczywistości ten konkretny fakt jest mu, podobnie jak nam, bardzo na rękę.

– Przyznam, że nie nadążam. Skąd ten pomysł?

– W odróżnieniu od naszych planów, w których Patrol ma być organizacją koordynującą rozwój wolnych i niezależnych ras, Morgan uważa to za idealne narzędzie do sprawowania galaktycznej dyktatury. Ameryka Północna jest najpotężniejszym ziemskim kontynentem. Pozostałe kontynenty nie będą miały innego wyjścia, jak uznać jej przywództwo. Tellus może z łatwością zdominować inne solariańskie planety, zaś Układ Słoneczny uzyskać dominację nad innymi systemami w miarę ich odkrywania i kolonizacji. Dlatego ten, kto kontroluje Amerykę Północną, kontroluje też wszechświat.

– Rozumiem. To całkiem możliwe. Pozbyć się Lensmanów i zainstalować w ich miejsce swoich przygłupów. Ciekawe, jak ma zamiar to zrobić? Przy użyciu siły? Nie. Sądzę, że podczas kolejnych wyborów. Jeśli tak, będą to najistotniejsze wybory w historii.

– Jeśli zdecydują się na nie czekać. Wydajesz się być przekonany, że nie zaczną działać wcześniej, ja jednak nie jestem tego taki pewny.

– Nie mogą – oznajmił Kinnison. – Wymień mi jedną rzecz, którą mogliby ich zdaniem zrobić, a podziurawię ją jak sito.

– Mogą i obawiam się, że to zrobią – odparł Samms poważnie. – Morgan, wykorzystując do tego oczywiście rząd Ameryki Północnej, może w każdej dogodnej dla siebie chwili zerwać traktat i utworzyć własną Radę.

– Bez kręgosłupa moralnego i odwagi moich chłopców, będących podporą Ameryki Północnej i Patrolu? Nie bądź idiotą, Virge. Oni są lojalni.

– Zgadzam się; nie zapominaj jednak, że są oni opłacani w północnoamerykańskiej walucie. Oczywiście wprowadzimy wkrótce nasz własny, galaktyczny system płatniczy, jednak...

– A jaką to do diabła robi różnicę? – zapytał Kinnison z wściekłością. – Sądziś, że czekaliby na następną wypłatę, gdyby zdecydowali się grać na własną bramkę? Co bym wówczas twoim zdaniem robił, do jasnej

cholery? Podobnie jak Clayton, Schweikert i cała reszta? Sądzisz, że siedzielibyśmy na swych tłustych zadkach, uzalając się nad sobą?

– Nie robilibyście niczego. Nie udzieliłbym wam zezwolenia na podjęcie żadnych nielegalnych...

– Zezwolenia! – wybuchnął Kinnison, zrywając się na równe nogi. – Do diabła z zezwoleniem! Masz chyba nierówno pod sufitem, jeśli sądzisz, że prosiłbym cię wówczas o zezwolenie! Posłuchaj, Samms! – Ton głosu wiceadmirała zmienił się nie do poznania; jego przyjaciel nigdy go jeszcze takim nie słyszał. – Po pierwsze, odebrałbym ci Soczewkę, owinął cię, a szczególnie twoje usta, kilkunastoma metrami szerokiej taśmy klejącej i wrzucił cię do paki. Po drugie, postawiłbym w stan gotowości wszystkie nasze siły, łącznie ze zdolnymi do lotu niedokończonymi statkami z Bennetta, i ogłosił stan wyjątkowy. Po trzecie, dokonałbym szeregu przyspieszonych egzekucji, zaczynając od Morgana i eliminując kolejnych w hierarchii. I jeśli Morgan, w co wierzę, ma choć odrobinę rozumu, doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Och... – Kompletnie zbity z tropu Samms był wstrząśnięty do głębi duszy. – Nie rozważałem podjęcia tak drastycznych kroków, jednak ty zapewne...

– Nie zapewne – poprawił go Kinnison pośpiesznie. – Bez wątpienia.

– ...a Morgan o tym wie... pomijając oczywiście planetę Bennett... i z oczywistych powodów również nie wykorzysta swej tajnej armady. Masz rację, Rod, poczeka do wyborów.

– Bez wątpienia. Wiemy też, jaka będzie ich podstawowa strategia. – Kinnison, już całkowicie spokojny, usiadł i zapalił kolejne cygaro. – Jego Partia Narodowa jest teraz u władzy, jednak to poprzednia administracja naszych kosmokratów podstępnie wystawiła do wiatru ukochany lud i rzuciła cały północnoamerykański kontynent na pastwę zachłannych bogaczy poprzez ratyfikację tego niezgodnego z prawem, moralnością, konstytucją, i tak dalej, traktatu. Łajdacy! Łapówkarze! Niegodni zaufania zdrajcy! Kiedy tylko ten podżegacz Morgan wsiądzie na swego konika, może ciągnąć ten temat do dnia Sądu Ostatecznego. – Kinnison z pasją parodiował potoczysty, górnolotny styl demagoga. – Ponieważ lud nie udzielił im mandatu, by sprzedawali przysługujące mu od urodzenia prawa niczym miskę soczewicy, którą jest ten niegodziwy i podstępny traktat, jest on prima vista, ipso facto, a priori, kompletnie, siłą rzeczy i kategorycznie

nieważny i bezwartościowy. Powstań, ludu Ziemi! Powstańcie, uciemienieni! Pokażcie swą potęgę i zrzucicie z siebie to ogłupiające, poniżające i paraliżujące waszą wolę jarzmo narzucone wam przez bogaczy i uzurpatorów; obalcie opartą na dyktaturze i autokracji, reprezentującą interesy możnych tego świata, nielegalną Radę tak zwanych Lensmanów! Pokażcie swą potęgę podczas głosowania! Wybierzcie własną Radę złożoną nie z Lensmanów, lecz ze zwykłych ludzi, jak wy i ja. Mówię wam, zrzucicie to piekielne jarzmo! – I w tym momencie zaczyna dosłownie toczyć pianę z ust. – Tak, by rząd pochodzący z ludu, wybrany przez lud i służący ludowi nie zniknął z powierzchni Ziemi! – Używa tej archaicznej retoryki już od tak dawna, że wszyscy sądzą, iż wymyślił ją sam; i zapewnia mu ona zawsze taki aplauz, że nigdy nie przestanie z niej korzystać.

– Twoja analiza była bardzo obrazowa, przekonująca i rzeczowa, Rod, nie ma w tym jednak nic śmiesznego.

– Odniosłeś wrażenie, że uważam inaczej? Jeśli tak, muszę być cholernie kiepskim aktorem. Najchętniej dałbym tej krwiożerczej pijawce takiego kopa, że leciałby stąd aż do samej Mgławicy Andromedy. I przy najbliższej okazji na pewno to zrobię!

– Interesujący pomysł, choć nieco odbiegłeś od tematu – roześmiał się Samms, rozbawiony porywczą reakcją przyjaciela. – Mów dalej. Jak na razie w pełni się z tobą zgadzam, jednak twój sposób myślenia jest niezwykle odświeżający.

– No cóż, Morgan, mając do swej dyspozycji cały sztab speców od brudnej roboty, może zapewnić temu pozbawionemu charakteru przygłupowi Witherspoonowi reelekcję i tak skutecznie zahipnotyzować większość ukochanego ludu, że ten uzna to za swój własny wybór. Wygrają wybory. Następnie to już nie przestępcza organizacja Morgana-Towne’a-Isaacsona, lecz legalnie wybrany, posiadający społeczne poparcie rząd Ameryki Północnej zgodnie z programem partii anuluje traktat i powoła swą własną Radę. I właśnie wtedy, mój przyjacielu, ja i moi chłopcy zrobimy to, co do nas należy.

– Tyle tylko, że wówczas będzie to niemożliwe. Przemysł to raz jeszcze, Rod.

– Niby dlaczego? – zapytał Kinnison, choć jego pewność siebie nieco przygasła.

– Ponieważ staniemy się wówczas tymi złymi, a nie jesteśmy w stanie tak skutecznie wpływać na opinię publiczną, jak Morgan.

– Już wiem, co musimy zrobić! – Kinnison walnął pięścią w stół. – Będzie to ściśle jednostronna akcja. Ameryka Północna będzie zdana wyłącznie na siebie.

– Oczywiście.

– Więc zbierzemy wszystkich kosmokratów i naszych sojuszników spoza Ameryki Północnej, przeniesiemy ich na Bennett, czy gdziekolwiek indziej i wytniemy Morganowi i jego ekipie numer. Nie wprowadzimy stanu wyjątkowego ani nikogo nie zabijemy, jeśli nie zdecydują się na wezwanie posiłków. Odseparujemy tylko cały cholerny kontynent od reszty świata. Okryjemy go ekranem ochronnym, przez który nie przeniknie nawet bakteria; polem siłowym, przy którym żelazna kurtyna, o której czytałem, wyda się welonem panny młodej, i nie zdejmujemy go, dopóki nie zaczną błagać o przyłączenie się do nas na naszych warunkach. Idealne, w pełni legalne rozwiązanie. Co powiesz na to, bym od razu wydał chłopakom instrukcje?

– Jeszcze nie teraz – odparł Samms, choć jego oblicze wyraźnie pojaśniało. – Przyznam, że podobne rozwiązanie nigdy nie przyszło mi do głowy... Jest to wykonalne i mogłoby zadziałać, sugerowałbym jednak wykorzystanie go dopiero w ostateczności. Posiada bowiem dwie bardzo poważne wady.

– Zdaję sobie z tego sprawę, jednak...

– Ameryka Północna zostanie doprowadzona do ruiny i zniszczenia te będą prawdopodobnie nieodwracalne. Poza tym, jak wielu ludzi, włączając ciebie i twoje dzieci, zechce dobrowolnie zrzec się amerykańskiego obywatelstwa i bezpowrotnie porzucić ziemię ojczystą?

– Hmm. Rzeczywiście nie brzmi to najlepiej. Ale co innego możemy do cholery zrobić?

– Dokładnie to, co planowaliśmy. Wygramy wybory.

– Co? – Kinnisonowi dosłownie opadła szczęka. – Łatwo ci powiedzieć. Ale jak? Z kim? Jak sobie wyobrażasz znalezienie teraz kogoś, kto jest na tyle wygadany, by przebić kłamstwa i obietnice Morgana? I czy jesteś w stanie skopiować jego zaplecze?

– Nie potrzebujemy jego zaplecza, zrobimy coś lepszego. Prawda zaprezentowana ludziom zrozumiałym i jasnym dla nich językiem, przez

kogoś, kogo lubią, podziwiają i szanują, będzie bardziej atrakcyjna, niż obietnice Morgana. Ta prawda obnaży jego kłamstwa.

– No cóż, kontynuuj. W pewnym sensie odpowiedziałeś na moje pytania, poza najważniejszym. Czy Rada uważa, że dysponuje człowiekiem na tyle energicznym, by temu sprostął?

– Jednogłośnie. Wszyscy są też jednomyślni, że mamy tylko jedną taką osobę. Podejrzewasz, kto to taki?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Kinnison w zamyśleniu zmarszczył brwi, po czym twarz rozjaśniła mu się w szerokim uśmiechu.

– Ależ ze mnie skończony głupiec! – wykrzyknął. – To oczywiste, że jesteś nim ty!

– Bynajmniej. Nie byłem nawet poważnie brany pod uwagę. Zgodnie uznano, że nie mam szans na wygraną. Z uwagi na charakter mojej pracy, nie mogłem budzić zainteresowania opinii publicznej. Jeśli przeciętny człowiek w ogóle o mnie myśli, sądzi, że tkwię oderwany od rzeczywistości w jakiejś wieży z kości słoniowej.

– Faktycznie może tak być, pobudziłeś jednak moją ciekawość. Jakim cudem od tak dawna mieliśmy pod ręką człowieka takiego kalibru, a ja nie miałem o nim zielonego pojęcia?

– Miałeś. To właśnie wokół tego tematu kluczyłem przez całe popołudnie. Chodzi o ciebie.

– Co? – sapnął Kinnison, jakby dostał w splot słoneczny. – Ja? JA? A niech mnie piekło pochłonie!

– Oczywiście, że ty – kontynuował Samms, ucinając gwałtowne protesty Kinnisona. – Po pierwsze, sądząc po przemówieniu, którym mnie właśnie uraczyłeś, nie będziesz miał najmniejszych problemów z publicznymi wystąpieniami.

– Oczywiście, że nie; czy nie używałem jednak wyrażeń, które przepała nadajniki? Bo nie do końca to pamiętam.

– Ja również. Pewnie tak, jednak nie będzie to niczym nowym. Wiadomości nigdy nie przerwały z tego powodu żadnego twojego wystąpienia. Chodzi o to, że nie zdając sobie z tego sprawy, jesteś lepszym mówcą i trybunem niż Morgan, kiedy, tak jak teraz, wymaga tego od ciebie sytuacja. A jeśli chodzi o zaplecze, czy może być coś lepszego, niż Patrol? Dobrze wiesz, że każdy, kto do niego należy albo jest z nim związany, udzieli ci pełnego wsparcia.

– No cóż... tak sędzę... zapewne tak będzie.

– A wiesz dlaczego?

– Chyba tylko dlatego, że postępuję wobec nich uczciwie i odpłacają mi tą samą monetą, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Trafiłeś w dziesiątkę. Nie twierdzę, że każdy cię lubi, wszyscy cię jednak szanują. I, co najważniejsze, każdy mieszkaniec kosmosu zna „Granitowego Roda Kinnisona” i wie, skąd ma ten przydomek.

– Jednak czy cała ta akcja nie obróci się przeciwko tobie, Virge?

– Może odrobinę, jednak zupełnie się tego nie obawiam. Poza tym sam powiedziałeś, że chciałbyś dać Morganowi takiego kopa, by leciał do samej Andromedy. A co powiesz na wykopanie go z Panama City na Biegun Północny?

– Tak właśnie powiedziałem i nie były to czcze pogrożki. Podoba mi się ten pomysł. – Lensman zacisnął wargi, a jego nozdrza zadrżały. – I, Bóg mi świadkiem, Virge, tak właśnie zrobię!

– Dziękuję, Rod. – Nie chcąc okazywać rozpierających go emocji, Samms natychmiast przeszedł do kolejnego tematu. – Pomówmy teraz o Eridanie. Zobaczmy, czy już coś wiemy...

Raport Knobosa i DalNaltena był zwięzły i precyzyjny. Udało im się ponad wszelką wątpliwość ustalić, że należące do firmy Podróże Międzygwiazdne statki z uranem przewożą thionit z Eridana na planety Układu Słonecznego. Promienie szpiegujące były bezużyteczne i rozważali możliwość dokonania rekonesansu na własną rękę, zrezygnowali jednak z tego pomysłu. Eridan należał do firmy Uranium Incorporated i Ziemianie stanowili sto procent jego populacji. Ani Knobos ani DalNalten nie był w stanie w wystarczającym stopniu zmienić swego wyglądu. Zostaliby zapewne schwytani i natychmiast rozstrzelani.

– Dziękuję, chłopcy – rzekł Samms, kiedy stało się jasne, że ich krótki meldunek dobiegł końca. – Będzie musiał się tym zająć Conway Costigan. I Jack. Albo Mase. A może obaj?

– Obaj – zdecydował Kinnison. – A także każdy, kto będzie mógł im pomóc.

– Poinformuję ich o tym. – Samms wysłał myślowe komunikaty. – Zmieniając temat, zastanawiam się, co porabia moja córka? Trochę się o nią martwię, Rod. Nieco przecenia swoje siły i możliwości. Pewnego dnia trafi na kasek, na którym połamie sobie zęby, jeśli już tego nie zrobiła.

Im więcej dowiadujemy się o Morganie, tym mniej podoba mi się to, że zajmuje się Herkimerem Herkimerem Trzecim. Mówiłem jej o tym wielokrotnie, jednak nie przyniosło to żadnego rezultatu.

– Nic dziwnego. Jedynym sposobem na wzmocnienie zębów jest gryzienie. Obaj to przerabialiśmy. Teraz kolej na nasze dzieci. Udało nam się przez to przejść. Im też się to uda. A co do Herky’ego Trzeciego... – Zamyślił się na chwilę, po czym kontynuował. – Masz całkowitą rację. Dokonała jednak czegoś, czego nikt inny nie był w stanie zrobić. Gdybyśmy nie mieli Soczewek, kazałbym ją, niezależnie od jej zasług, natychmiast odwołać z tej akcji i oddać pod areszt, jak niesubordynowanego nowicjusza. Mamy jednak Soczewki, dzięki którym możesz nie spuszczać jej z oka... nie wspominając o Masonie Northropie, z którego też jest kawał chłopca... więc nie wydaje mi się, by coś jej szczególnie zagrażało. Nie sądzisz?

– Masz rację – zgodził się Samms, jednak na jego twarzy wciąż malowała się troska. Skontaktował się z Jill przez Soczewkę. Tak jak podejrzewał, uczestniczyła ona w przyjęciu i dokładnie tak, jak się obawiał, tańczyła z najbardziej zaufanym sekretarzem senatora Morgana.

– Cześć, tato! – przywitała się z nim radośnie, ani na jotę nie zmieniając wyrazu twarzy, kokieteryjnie zwróconej ku partnerowi. – Mam zaszczyt zameldować, że operacja przebiega bez najmniejszych zakłóceń.

– Mam nadzieję, że przynajmniej przemyślałaś to, co ci powiedziałem?

– Ależ oczywiście – zapewniła Jill. – Zebrałam masę informacji. Całkiem możliwe, że w pewnym sensie jest on niemal tak niebezpiecznym człowiekiem, za jakiego się uważa, jednak nie zaczęłam jeszcze analizować tych danych. Jak ci już wspominałam, to tylko gra i oboje prowadzimy ją ściśle według reguł.

– To dobrze. I niech tak pozostanie, moja droga. – Samms przerwał połączenie i jego córka na powrót poświęciła całą swą uwagę przystojnemu sekretarzowi, który nie zauważył nawet, że przez chwilę była nieobecna myślami.

Trwał wieczorny bal. Panna Samms tańczyła nieprzerwanie; czasem z którymś z obecnych notabli, jednak głównie z Herkimerem Herkimerem Trzecim.

– Napijesz się czegoś? – zapytał. – Jakiegoś małego i zimnego drinka?

– Niekoniecznie małego, choć bardzo zimnego – zgodziła się z entuzjazmem.

Trzymając w dłoni kieliszek, Herkimer skinął w stronę najbliższych drzwi.

– Słyszałem, że nasz gospodarz nabył ostatnio wspaniałą antyk; wykonaną z brązu statuetkę Neptuna. Powinniśmy rzucić na nią okiem, nie sądzisz?

– Bez wątpienia – przytaknęła ponownie.

Kiedy jednak znaleźli się w zacienionym korytarzu, mężczyzna skinął głową w prawo.

– Jest tu coś, co naprawdę powinnaś zobaczyć, Jill! – wykrzyknął. – Spójrz!

Podążyła za jego wzrokiem. Młoda kobieta, dokładnie jej wzrostu i postury, o identycznych bujnych włosach, będąca jej dokładną kopią pod względem fryzury, ubioru, makijażu i biżuterii, wchodziła właśnie z kieliszkiem w dłoni do sali balowej!

Jill nie zdążyła nawet zaprotestować. Niemal w tej samej chwili promień z krótkolufowego paralizatora przejechał po jej kręgosłupie, od bioder do szyi. Broń była ustawiona na niewielką moc, więc dziewczyna nie upadła, choć nie była w stanie walczyć ani krzyczeć. I już wiedziała, co się dzieje.

Ale przecież to było nie do pomyślenia! Neviańskie paralizatory były równie nielegalne, jak gaz Vee Dwa! A jednak to zrobił!

Zaraz potem pojawiła się ubrana w świeżo wyprasowany, nieskazitelnie biały fartuch kobieta trzymająca w ręku płaszcz z kapturem, a Herkimer zdążył już założyć sztuczną brodę i ciężkie, rogowe okulary. I chwilę później kompletnie bezradna i przez nikogo nie rozpoznana Virgilia Samms poczuła, jak podtrzymywana przez statecznego lekarza i troskliwą pielęgniarkę oddala się chwiejnym krokiem od budynku.

– Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebował, doktorze Murray? – Kobieta ostrożnie i z wprawą ulokowała pacjentkę na tylnym siedzeniu samochodu.

– Dziękuję, panno Childs. – Jill doskonale zdawała sobie sprawę, że rozmowa prowadzona jest na użytek odźwiernego i kierowców i nie wzbudzi żadnych podejrzeń. – Stan pani Harman jest nieco... mmm... ale to nic poważnego.

Samochód wjechał na ulicę i Jill, po raz pierwszy w swym wypełnionym pasmem sukcesów życiu naprawdę przerażona, walczyła z falą ogarniającej ją paniki. Kaptur zsunął jej się na oczy, całkowicie ją oślepiając. Nie była w stanie poruszyć ani jednym mięśniem. Wiedziała jednak, że samochód przejechał kilka przecznic – sześc, jak się jej wydawało – na zachód od Bolton Street, zanim skręcił w lewo.

Dlaczego nikt nie wywołuje jej przez Soczewkę? Wiedziała, że ojciec nie skontaktuje się z nią aż do jutra. Kinnisonowie ani Spud nigdy nie robili tego bez jej osobistego zaproszenia. Jednak może zrobi to Mase przed udaniem się na spoczynek? O tej porze zwykle już spał, a jeszcze wczorajszej nocy była wobec niego dość złośliwa, gdyż pracowała właśnie nad szczególnie delikatną sprawą. Ale zrobi to... musi to zrobić!

– Mase! Mase! MASE!

I w końcu Mase się odezwał.

Głęboko pod Wzgórzem Roderick Kinnison kłął na czym świat stoi; z czysto fizycznych powodów nie mógł on szybko wydostać się z tej wściekle radioaktywnej góry. Zaś znajdujący się w Nowojorskim Porcie Kosmicznym Mason Northrop i Jack Kinnison natychmiast ruszyli na pomoc.

– Gdzie jesteś, Jill? – spytał po chwili Northrop. – Jaka to marka samochodu?

– W okolicy Stanhope Circle. – Nawiązując w końcu kontakt z przyjaciółmi, Jill odzyskała typową dla niej pewność siebie. – W odległości jakichś ośmiu czy dziesięciu przecznic, tego jestem pewna. Samochód to czarny Wilford sedan, zeszłoroczny model. Nie miałam możliwości przyrzeć się rejestracji.

– Bardzo nam to pomoże! – warknął Jack z wściekłością. – Teren w promieniu dziesięciu przecznic to olbrzymia przestrzeń, a co drugi samochód w mieście to czarny sedan Wilford.

– Zamknij się, Jack! Dalej, Jill, mów nam o wszystkim i informuj o każdym szczególe, który może być pomocny.

– Przez jakieś dwadzieścia przecznic zwracałam uwagę na wszystkie zakręty i proste odcinki drogi, stąd jestem pewna, że to Stanhope Circle. Nie wiem jednak, ile razy objechał to rondo i którą drogą z niego zjechał, jednak zaraz po zjeździe z ronda ruch uliczny znacznie zmalał, a tu nie

ma go chyba w ogóle. Na razie to wszystko. Wiecie równie dobrze jak ja, co się teraz stanie.

Dzięki połączeniu z dziewczyną Lensmani wiedzieli, że Herkimer wjechał kołami na chodnik i zaparkował, nie wycofując. Wysiadł z samochodu i wytaszczył z niego sparaliżowane ciało dziewczyny; jej kaptur przesunął się lekko, odsłaniając jedno oko. Świetnie! W polu widzenia znajdował się tylko jeden inny samochód; jasnożółty kabriolet zaparkowany po przeciwnej stronie ulicy, jakieś pół przecznicy dalej. Był tam też znak: OD 7–10 PARKOWANIE ZABRONIONE. Budynek, do którego ją zabierał, miał ponad trzy piętra, numer 14... gdyby tylko odwrócił jej trochę głowę, tak by mogła zobaczyć pozostałe cyfry... 1479!

– To chyba Rushton Boulevard, jak sądzisz, Mase?

– Możliwe. Dom o numerze 1479 znajduje się po stronie prowadzącej do centrum. A niech to!

Gdy znaleźli się w budynku, dwóch zamaskowanych mężczyzn zamknęło i zaryglowało za nimi drzwi.

– I niech pozostaną zamknięte! – rozkazał Herkimer. – Wiecie, co macie robić, dopóki nie wrócę.

Potem windą w górę. Przez masywne, podwójne drzwi do pomieszczenia, w którym najbardziej rzucało się w oczy ciężkie, stalowe krzesło przymocowane do podłogi. Stanęli za nim dwaj zamaskowani mężczyźni.

Jill powoli wracały siły. Zdjęto jej płaszcz. Jej kostki zostały mocno przywiązane do przednich nóg krzesła. Herkimer, nie pozostawiając nawet odrobiny luzu, czterokrotnie owinał linę wokół jej tułowia i oparcia krzesła i zawiązał solidny węzeł. Następnie, wciąż zachowując milczenie, cofnął się o krok i zapalił papierosa. Minęły już ostatnie oznaki paraliżu i dziewczyna zaczęła wściekle walczyć, by wyswobodzić się z więzów, jednak te bezowocne wysiłki również zostały udaremnione.

– Wykręćcie jej obie ręce za plecy – rozkazał Herkimer. – Uważajcie tylko, żeby jej na tym etapie gry niczego nie złamać. Na to przyjdzie jeszcze czas.

W miarę, jak zwiększał się nacisk, Jill, która do tej chwili czuła raczej wściekłość niż strach, zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Nie była w stanie pochylić się do przodu, by złagodzić ból. Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu, mogła tylko zgrzytać zębami i miotać piorunujące

spojrzenia. I zaczęła sobie w końcu uświadamiać swoją sytuację; okazało się, że Herkimer Herkimer Trzeci jest tak naprawdę potworem, jakiego nigdy jeszcze w swoim życiu nie spotkała.

Podszedł do niej w milczeniu, zacisnął dłoń na jej sukni i szarpnął gwałtownie. Pozbawiona ramiączek, szeroko wycięta na plecach suknia, w żadnym wypadku nie zaprojektowana, by wytrzymywać podobne napięcia, rozerwała się w poprzek, wzdłuż górnej krawędzi liny. Herkimer podmuchał na papierosa, którego kocówka zajaśniała niczym rozżarzony węgielek, i zgasił go na białej skórze dziewczyny, tuż pod lewą pachą; rozległ się cichy syk i zapachniało palonym ciałem. Jill szarpnęła się konwulsyjnie i zawyła z bólu, jednak jej bezwzględny oprawca pozostał niewzruszony.

– Zrobiłem to tylko po to, by rozwiązać jakiegokolwiek wątpliwości, co do powagi moich zamiarów. Mam już dość skakania wokół ciebie. Interesują mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, wszystko, co wiesz o Soczewkach; skąd pochodzą, czym tak naprawdę są i do czego służą, poza tym, co opowiadają wasi agenci prasowi. Po drugie, co tak naprawdę wydarzyło się na balu u ambasadora. Mów, co wiesz. Im szybciej zaczniesz, tym mniej będzie bolało.

– Nie wywiniesz się z tego, Herkimer. – Jill ze wszystkich sił starała się uspokoić rozdygotane nerwy. – Zauważą moje zniknięcie, rozpoczną poszukiwania... – Umilkła, z trudem łapiąc oddech. Jeśli powie mu, że Lensmani mają z nią cały czas pełen kontakt, a on w to uwierzy, natychmiast ją zabije. Jill momentalnie zmieniła temat.

– Dziewczyna, która mnie udaje, nie jest na tyle dobra, by oszukać kogokolwiek, kto dobrze mnie zna.

– Nie będzie musiała. – Mężczyzna wykrzywił twarz w zjadliwym uśmiechu. – Nikt, kto cię zna, nie podejdzie do niej na tyle blisko, by zauważyć różnicę. Nie zrobiłem tego pod wpływem impulsu, Jill, wszystko zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Wpadłaś, jak mucha w sieć i nie masz najmniejszych szans, by się z niej wyplątać.

– Jill! – rozległa się myśl Jacka Kinnisona. – To nie Rushton, dom pod numerem 1749 ma tam dwa piętra. Jaka to jeszcze może być ulica?

– Nie mam pojęcia... – Jill nie była teraz w stanie zebrać myśli.

– Niech to diabli! Muszę znaleźć kogoś, kto zna tę dzielnicę. Mase, pędź na rondo, a ja skontaktuję się z Parkerem... – Myśl Jacka urwała się,

gdy zwrócił się do miejscowego Lensmana.

Serce Jill zamarło. Była już absolutnie przekonana, że Lensmani nie odnajdą jej na czas.

– Zaciśnij trochę bardziej, Eddy. Ty też, Bob.

– Przestańcie! O mój Boże, PRZESTAŃCIE! – Nieznośny ból odrobinę zelżał. Przyglądała się z pełną grozy fascynacją, jak drugi rozżarzony węgielek zbliża się do jej obnażonego boku. – Nawet, jeśli ci powiem, i tak mnie zabijesz. Nie możesz mnie już teraz wypuścić.

– Zabić cię, kotku? Nie zrobię tego, jeśli tylko będziesz grzeczna. Mamy masę planet, o których Patrol nigdy nawet nie słyszał, a ty, gdybyś się naprawdę postarała, długo jeszcze mogłabyś wzbudzać męskie zainteresowanie. I jeśli będziesz mnie wystarczająco mocno błagać, być może pozwolę ci spróbować. Jednak zabicie cię sprawiłoby mi równie dużą przyjemność, więc wszystko zależy od ciebie. Nie byłaby to oczywiście szybka śmierć. Na początek kilka drobnych sztuczek, jak te, które zdążyłaś już poznać. Jeszcze kilka gorących pieszczot tu i tam, abyś... Możesz krzyczeć do woli. Sprawia mi to przyjemność, a pokój jest dźwiękoszczelny. Jeszcze odrobinę, chłopcy, jakieś pół cala do góry... wyżej... dość... opuśćcie. Mamy na tę zabawę jeszcze jakieś pół godziny. – Herkimer zdawał sobie sprawę, że na rozdygotaną, wrażliwą i obdarzoną bujną wyobraźnią dziewczynę jego słowa działają niemal równie skutecznie, jak najwymyślniejsze tortury. – Potem zajmę się twoimi paznokciami na dłoniach i stopach, zaczynając od wbijania pod nie płonących drzazg. Następne będą oczy, albo nie. Zostawię je na sam koniec, być mogła patrzeć na dwa wenusjańskie świdrujące czerwie zajmujące się twoimi nogami i marsjańskiego ryjkowca na twoim nagim brzuchu.

Łapiąc dziewczynę lewą ręką za włosy, odchylił jej głowę do tyłu, niemal przyciągając ją do wykręconych za plecy rąk. Jego prawa dłoń, trzymająca przedmiot, którego nazwy nie wymienił, zbliżyła się do jej napiętego gardła.

– Możesz niczego nie mówić, wybór należy do ciebie. – Jego głos był kompletnie bezduszny i groźny niczym sama śmierć, którą, jak już wiedziała, tak bardzo chciał jej zadać. – Jednak pamiętaj; jeśli zdecydujesz się mówić, mów tylko prawdę. Nie będziesz miała okazji skłamać po raz drugi. Liczę do dziesięciu. Raz.

Jill wydała z siebie chrapliwy, zdławiony jęk i Herkimer odrobinę uniósł jej głowę.

– Teraz jesteś w stanie mówić?

– Tak.

– Dwa.

Bezradna, obezwładniona i zdjęta panicznym, wymykającym się wyobraźni strachem Jill zdołała zapanować nad rozdygotanym, balansującym na granicy obłądu umysłem. Wyschniętym językiem oblizwała zdrętwiałe wargi. Wujek Kinnison zwykł mawiać, że umrzeć można tylko raz. Nie zdawał sobie jednak sprawy... Być może na polu walki... Jednak ona umarła już wiele razy... I może umierać w nieskończoność, a i tak nie powie ani słowa...

– Powiedz mu, Jill! – Myśl Northropa wtargnęła do jej umysłu. Jej wielbiciel, nie kryjąc skrajnego wzburzenia, z furią i współczuciem obserwował jej psychiczne i fizyczne katusze. – Po raz dziewiętnasty ci powtarzam, powiedz mu! Właśnie cię namierzaliśmy. Jesteś na Hancock Avenue. Będziemy tam za dwie minuty!

– Tak, Jill, przestań być uparta jak osioł i zacznij mówić! – Myśl Jacka Kinnisona jeszcze głębiej wdarła się w umysł dziewczyny, jednak tym razem, co dziwne, nie wzbudziło to jej niechęci. Nie było w nim niczego z kochanka czy brata; było to wyłącznie braterstwo broni. Którego była częścią. I musi wyjść z tej awantury z podniesioną głową, by ich nie zawieść. – Powiedz temu parszywemu szczirowi prawdę! – Myśl Jacka świdrowała jej umysł. – To nie ma już żadnego znaczenia. Nie pożyje wystarczająco długo, by się nią z kimś podzielić!

– Ale ja nie mogę, nie chcę! – piekliła się Jill. – Przecież wujek Kinnison będzie...

– Nie tym razem, Jill! – próbował też wtrącić się Samms, przeważała jednak pełna pasji myśl kontradmirała: – Nie wyrządzisz tym żadnej szkody. On robi to na własną rękę i gdyby Morgan miał o tym pojęcie, zabiłby go sam. Zacznij mówić, albo spiorę cię na kwaśne jabłko!

Później będą się śmiać z niedorzeczności tej groźby, osiągnęła ona jednak skutek.

– Dziewięć. – Herkimer wykrzywił się drapieźnie w sadystycznym wyczekiwaniu.

– Przestań! – krzyknęła Jill. – Przestań i zabierz to ode mnie, dłużej tego nie wytrzymam, będę mówić! – dziewczyna zanosła się spazmatycznym, rozdzierającym szlochem.

– Spokojnie. – Herkimer schował trzymany w dłoni przedmiot do kieszeni i wymierzył jej tak gwałtowny policzek, że na jej kredowobiałej twarzy pozostały czerwone pręgi po jego palcach. – Tylko się nie rozklej. Jeszcze nawet nie zacząłem nad tobą pracować. Co wiesz o tych Soczewkach?

Dwa razy przełknęła ślinę, nim była w stanie mówić.

– Pochodzą z, chlip!, Aryzji. Ja nie dostałam Soczewki, więc nie wiem, chlip!, zbyt dużo, jednak z tego, co mówili mi chłopcy...

Na zewnątrz budynku trzy czarne sylwetki zjechały w dół. Northrop i młody Kinnison zatrzymali się na poziomie szóstego piętra; Costigan opuścił się na sam dół, by zająć się strażnikami.

– Używajcie pocisków, nie promieni – przypomniał Irlandczyk swym młodszym kolegom. – Musimy posprzątać ten bałagan nie zostawiając śladów, więc starajcie się sprawić jak najmniej zniszczeń.

Żaden z nich nie odpowiedział, obaj byli zbyt zajęci. Dwóch uzbrojonych bandziorów stojących za stalowym krzesłem poszło na pierwszy ogień, następnie Jack wpakował kulkę w głowę Herkimera. Northropowi to jednak nie wystarczyło. Przetawił broń na ogień ciągły i dziesięć ciężkich pocisków przeszło padające ciało, nim uderzyło ono o podłogę.

Trzy szybkie cięcia i dziewczyna była wolna.

– Jill!

– Mase!

Patrząc na tych dwoje, splecionych w namiętym uścisku, nikt nie uwierzyłby, że jest to ich pierwszy pocałunek. Choć nie było najmniejszych nawet wątpliwości, że nie będzie on ostatnim.

Oblany wściekłym rumieńcem Jack podniósł płaszcz i zarzucił go na nieświadomą bożego świata parę.

– Pst! Pst! Jill! Zakryj je! – szepnął nagle tonem. – Cała kosmiczna wierchuszka leci tu postawiona w stan pełnej gotowości, zaraz zrobi się straszna zadyma. Mase, ty zakuta pało, otrząśnij się wreszcie! Wiesz dobrze, jak nerwowo reaguje, kiedy widzi ją biegającą wszędzie półnagą; a kiedy zobaczy ją w tym stanie, w dodatku z tobą, chyba zniesie jajo! Dostaniesz milion karnych punktów i siedemset lat karceru! Tak lepiej. To na razie, spotkamy się w nowojorskim porcie kosmicznym.

Jack Kinnison podbiegł do najbliższego okna, otworzył je jednym szarpnięciem i głową naprzód wyskoczył z budynku.

ROZDZIAŁ 14

Dział rekrutacji każdej firmy zatrudniającej setki tysięcy pracowników jest niezwykle ruchliwym miejscem, nawet jeśli wszystkie jej filie znajdują się na Tellusie, a panujące w niej warunki pracy zbliżone są do idealnych. Kiedy jednak firma prowadzi interesy w koloniach, a praca w niej bardziej przypomina niewolnictwo, rekrutacja pracowników staje się najbardziej palącym problemem. Oddział personalny musi, niczym Alicja w krainie czarów, która biegła ile sił, nie ruszając się z miejsca, pracować pełną parą, by zachować pozycję na rynku. Dlatego ogłoszenia „Poszukujemy pomocników”, pochlebstwem i podstępem zachęcające do podjęcia pracy w firmie Uranium Incorporated, pokrywały całą planetę Ziemia, a w biurach zatrudnienia korporacji dwanaście godzin na dobę, przez siedem dni w tygodniu kłębił się tłum ludzi w większości składający się z najgorszych mętów i szumowin.

Zdarzały się oczywiście wyjątki. Krępy, niedbale ubrany mężczyzna o zachmurzonym obliczu przepchnął się przez tłum oczekujących i wsunął identyfikator w szczelinę okienka punktu informacyjnego. Miał on ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i choć z uwagi na masywną sylwetkę wydawał się być niższy, niż w rzeczywistości, przy osiemdziesięciu pięciu kilogramach żywej wagi był niezwykle harmonijnie zbudowany.

– Ja do pan Birkenfelda. Jestem umówiony – burknął głosem, który w innych okolicznościach mógłby się wydawać przyjemnie głęboki.

Beznamiętnie profesjonalna blondynka wcisnęła przycisk.

– Pan George W. Jones przyszedł na umówione spotkanie, sir...
Dziękuję, sir. – I pan Jones został zaprowadzony do prywatnego gabinetu pana Birkenfelda.

– Proszę usiąść, panie... hmm... Jones.

– Więc pan wie?

– Tak. Nieczęsto ktoś z pana wykształceniem, kwalifikacjami i potwierdzonymi umiejętnościami z własnej inicjatywy stara się u nas o pracę i niezbędne było bardzo dokładne sprawdzenie pańskiej osoby.

– Więc po co tu przyjeżdżałem? – spytał gość zaczepnym tonem. – Mogliście poinformować mnie o odrzuceniu mojej kandydatury listownie. Wszyscy tak robili, odkąd zostałem wylany.

– Ponieważ działając na rubieżach cywilizacji nie możemy oceniać ludzi, sugerując się ich przeszłością, jeśli nie wyklucza ona wykorzystania ich potencjału w przyszłości. I niekiedy, tak jak ma to miejsce w pańskim przypadku, jesteśmy tą przyszłością niezwykle zainteresowani. – Urzędnik świdrował swego gościa wzrokiem.

Conway Costigan zawsze unikał światła jupiterów. Świetnie potrafił wtopić się w tłum i umiejętność tę podniósł do rangi sztuki. Nawet podczas zamieszania na balu u ambasadora udało mu się pozostać niezauważonym. Jego Soczewka była zawsze ukryta. Nikt, oprócz pozostałych Lensmanów, Clio i Jill, którzy trzymali tę wiedzę dla siebie, nie zdawał sobie nawet sprawy, że ją posiada. I choć nie miał najmniejszych wątpliwości, że Birkenfeld nie jest zwyczajnym pracownikiem działu rekrutacji, był także pewien, że dzięki staraniom Patrolu wywiad korporacji Uranium Inc. nie dotarł do żadnych niewygodnych dla niego informacji.

– Więc tak to wygląda? – Jones odrobinę zmienił nastawienie, choć nie było to spowodowane taksującym spojrzeniem Birkenfelda. – Dokładnie tego potrzebuję. Jeszcze jednej szansy. Mogę zacząć od pracy na dole, przyjmę każde stanowisko.

– W naszych reklamach informujemy, zgodnie zresztą z prawdą, że Eridan oferuje nieograniczone możliwości. – Birkenfeld starannie dobierał słowa. – W pańskim przypadku będą one nieograniczone lub równe zeru, co zależy wyłącznie od pana.

– Rozumiem. – Tępota nie była jedną z cech fikcyjnej tożsamości pana Jonesa. – Nie musi pan wchodzić w szczegóły.

– Sądzę, że pan sobie poradzi. – Birkenfeld skinął głową na znak aprobaty. – Muszę jednak postawić sprawę jasno. Jeśli pana potknięcie było, nazwijmy to, „przypadkowe”, zajdzie pan z nami daleko. Jeśli jednak prowadzi pan jakąś podwójną grę, długo pan nie pociągnie i nikt nie będzie za panem tęsknił.

– Zgoda.

– Pańska gotowość do pracy na dole jest godna pochwały, gdyż prawdą jest, że ludzie, którzy przeszli wszystkie stopnie awansu, najlepiej

sprawdzają się na kierowniczych stanowiskach; przynajmniej w naszej specjalności. Od jakiego stanowiska jest pan gotów zacząć?

– A jaki jest wybór?

– Sądzę, że stanowisko ciskacza, biorąc pod uwagę pana posturę i oczywistą siłę fizyczną, będzie najbardziej logicznym wyborem.

– Ciskacza?

– Skupuje urobek w kopalni. Nie możemy też zrobić w pana przypadku wyjątku jeśli chodzi o procedury związane z przyjęciem i transportem.

– Oczywiście.

– Proszę podejść z tym formularzem do pokoju 6217. Pan Calkins przepuści pana przez magiel.

Wieczorem tego samego dnia w podrzędnym pensjonacie George Washington Jones, po metodycznym i szczegółowym przeszukaniu przez służbę specjalną, sięgnął szeroką, lekko przybrudzoną dłonią do ekranowanej skrytki w swej nabitej walizce i dotknął Soczewki.

– Clio? – Śliczna matka jego wspaniałych dzieci pojawiła się w jego umyśle. – Udało się, kochanie, nie mają najmniejszych podejrzeń. Przez jakiś czas nie będę się odzywał; mam nadzieję, że nie potrwa to długo... a jednak tak długo, Clio.

– Uspokój się, Spud, mój kochany, i bądź ostrożny. – Jej głos brzmiał pogodnie, nie potrafiła jednak ukryć, jak bardzo jest przerażona. – Och, jak bardzo bym chciała być tam teraz z tobą!

– Też bym tego chciał, maleńka. – Ich połączone umysły przeniosły się w przeszłość, w czerwony, nieprzenikniony mrok, gdy na olbrzymiej, pokrytej wodą Nevii wykonywali wspólne zadanie. Były to jednak tylko wspomnienia. – Chłopcy będą ze mną w kontakcie i będą cię o wszystkim informować. Poza tym sama wiesz, jak ciężko dzisiaj o dobrą opiekunkę!

Może się wydawać dziwnym, że podstawy eksploatacji rud metali pozostają od wieków niemal niezmienione. Choć może nie ma w tym niczego dziwnego. Złoża metali powstawały podczas stygnięcia skorup planet i zmieniały się jedynie z upływem czasu geologicznego. W dawnych czasach kopalnie nie mogły być oczywiście zbyt głębokie; było w nich zbyt

dużo wody i brakowało powietrza. Pojawienie się silnika parowego pomogło w usuwaniu wody i dostarczaniu powietrza, poszerzając skalę, nie wpływając jednak na sposób wydobycia. Narzędzia były ulepszone, od zwykłych metalowych łomów, przez kilofy, łopaty i świece, przez wiertła, młotki, proch i lampy acetylenowe, przez kombajny, materiały wybuchowe i lampy elektryczne, przez skufery, wiertnice, burleje i bezźródłowe oświetlenie po zaawansowane urządzenia stosowane obecnie; czy jest jednak jakaś zasadnicza różnica? Górnicy pełzają niczym węże, by dostać się do złoża metalu. Polegając wyłącznie na swej fizycznej krzepie, wynoszą drogocenny kruszec na powierzchnię, gdzie staje się on dostępny dla naszych osławionych maszyn. I wciąż giną w kopalniach, umierając koszmarną śmiercią i powiększając bezduszne statystyki, podczas wydobywania surowców, na których opiera się nasza osławiona cywilizacja.

Wróćmy jednak do głównego wątku tej historii; George Washington Jones przybył na Eridana jako zwykły robotnik, ciskacz. Wskoczył do szybu kopalni i opadł w dół, wzdłuż mającej cztery tysiące osiemset mil windy transportowej. Pojazdem służącym do transportu rudy przebył odległość wynoszącą jakieś osiemset mil w linii poziomej i znalazł się w jasno oświetlonej grocie noszącej nazwę Stacja Dwunasta i znajdującej się na najniższym poziomie kopalni. Przydzielono mu pryczę, na której miał sypiać przez piętnaście najbliższych nocy. „Piętnaście dni na dole, trzy na górze”, jak przewidywał standardowy górniczy kontrakt.

Przeszedł czterysta jardów, wrzasnął: „Niczego nie zrzucić” i zaczął się powoli wspinać w górę stromym szybem, który w niektórych miejscach był niewiele szerszy, niż jego ramiona, by dotrzeć na znajdujący się jakieś trzysta stóp wyżej przodek. Po dotarciu na miejsce zgłosił się do górnika będącego jego bezpośrednim przełożonym i chwycił za skufer, który choć w niczym nie przypominał klasycznej szufli, wciąż związany był z ciężką, fizyczną pracą. Znał już odmiany rudy. Rozpoznawał metaliczny, smoliście czarny połysk uraninitu lub blendy uranowej, żółtawość autunitu i karnotyту, czy zróżnicowaną i mylącą zielen tobernitu. Bezwartościowy urobek wędrował ze skufera do wykopanych po bokach przodka, ocembrowanych deskami i wzmocnionych stalowymi obręczami dołów na odpady, niewielka ilość czystej rudy była zrzucana do szybu.

Po jakimś czasie przywyknął do tej pracy i nauczył oddychać osobliwie jałowym, suchym, skompresowanym powietrzem. I kiedy po kilku dniach na jego tubalny okrzyk: „Niczego nie zrzucić!” jeden z górników odkrzyknął: „A może garstkę łakoci?” i na jego głowę posypały się drobne skalne odłamki, wiedział już, że został przyjęty do nieoficjalnej i niepisanej, a mimo to niezwykle skonsolidowanej wspólnoty tych twardych niczym skała mężczyzn. Był jednym z nich.

Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał zrezygnować ze swej strategii bycia niewidzialnym i po kilku dniach rozmyślań znalazł rozwiązanie. Podczas pierwszego dnia „na górze” wybrał się razem z resztą ekipy do jednej z najgorszych spelunek w Danapolis. Mężczyzn otoczyła oczywiście grupka chichoczących, piszczących, krzykliwie wymalowanych i mocno wyperfumowanych dziewcząt i wtedy właśnie Jones pozwolił sobie na zachowanie daleko odbiegające od panujących tu standardów.

– Postawisz mi drinka, przystojniaku? Może zatańczymy?

– Daj mi spokój, mała. – Odsunął natrętą dziewczuchę. – Dość się już nagimnastykowałem na dole, a ty nie jesteś w moim typie.

Najwyraźniej nieświadomy faktu, że dziewczę wymieniło znaczące spojrzenia z parą krzepkich bramkarzy, nietypowy ciskacz podszedł do długiego, stylizowanego baru.

– Butelkę napoju ananasowego – rzekł szorstkim tonem. – I paczkę telluriańskich Sunshinesów.

– A–a–ananso...? – Zdumiony barman nie zdążył dokończyć.

Bramkarze byli szybcy, jednak nie tak, jak Costigan. Jego kolano ugodziło pierwszego w splot słoneczny, a mocny cios łokciem w szczękę omal nie skręcił drugiemu karku. Barman zamachnął się kluczem do beczek i chwilę potem leciał w powietrzu w kierunku stolików. Ludzie, stół i drinki, wszystko z hukiem runęło na podłogę.

– Sam wybieram sobie towarzystwo i piję to, na co mam cholerną ochotę – oznajmił Jones buńczucznie. – Tych leszczy potraktowałem łagodnie. – Omiótł salę złowrogim wzrokiem. – Jestem dziś jednak w podłym nastroju i jeśli ktoś jeszcze wejdzie mi w drogę, wyląduje w warsztacie, a może nawet w kostnicy. Czy to jasne?

Tego było już za wiele; kilkunastu dotkniętych do żywego zakapiorów rzuciło się na śmiałka, który tak nierozważnie zakwestionował cześć całej męskiej populacji Eridana. Następnie, kiedy sześciu czy siedmiu barmanów

gorączkowo dmuchało w policyjne gwizdki, wydarzenia zaczęły rozgrywać się w takim tempie, że ludzkie oko nie było w stanie zarejestrować ich kolejności. Costigan, jeden z najszybszych ludzi w Patrolu, mistrzowsko walczył zarówno rękami jak i nogami, robił wszystko, by pozostać przy życiu; z powodzeniem.

– Co tu się do diabła wyprawia? – rozległy się ochryple, nieznoszące sprzeciwu okrzyki i szesnastu policjantów, którzy nigdy nie zapuszczali się w ten rejon pojedynczo, a tylko całymi szwadronami, zaciekle machając pałkami wytaszczyło w końcu George’a Washingtona Jonesa spod sterty kłębiących się ciał. Był niezłe pokiereszowany i miał kilka stłuczeń, żadna kość nie była jednak złamana i wyszedł z tego praktycznie bez szwanku.

I ponieważ jego wersja wydarzeń nie tylko nie zgadzała się z zeznaniami kilku postronnych świadków, lecz w kilku istotnych szczegółach znacząco się od nich różniła, spędził resztę swego wolnego czasu w areszcie. Taki rozwój wydarzeń w pełni go satysfakcjonował.

Czas mijał, praca posuwała się do przodu. Szybko awansował na starszego ciskacza, następnie na „swata”, który w górniczym slangu oznaczał po prostu pomocnika, młodszego i starszego górnika, po czym przeskakując kilka stanowisk został kierownikiem szychty.

Po czym nastąpiła katastrofa; niespodziewana i wstrząsająca jak każdy wypadek w kopalni. Głośniki nadały krótki komunikat: „Wybuch! Zawał! Zalanie! Pożar! Przeciek gazu! Promieniowanie!” i zamilkły. Nastąpiło spięcie. I nie było jak sprawdzić, co się tak naprawdę wydarzyło.

Wysiadło zasilanie i zgasły światła. Szum powietrza z otworów wentylacyjnych, który z uwagi na swą niezmienną i stałą obecność od dawna przestał być słyszalny, stał się znów zauważalny, gdyż zmieniła się jego głośność i tonacja. Sekundę później ziemia zadygotała i rozległ się przeciągły huk połączony z trzaskiem łamiących się belek i przejmującym, na zawsze zapadającym w pamięć jękiem rozdzieranej stali. A ludzie, jak to bywa w takich sytuacjach, wpadli w panikę; klnąc i krzycząc, miotali się w kompletnych ciemnościach, szukając drogi do wyjścia.

Kierownikowi szychty kilka sekund zajęło podłączenie zasilanej bateriami lampy awaryjnej, a po kolejnych trzech czy czterech sekundach za pomocą pięści, nóg i półmetrowego szlauchu udało mu się zaprowadzić jaki taki porządek. Zginęło tylko czterech ludzi; nie najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Przejdźcie wyżej! Pod tę ścianę! – rozkazał energicznym głosem. – Nie zawali się, jeśli cała góra nie osiądzie. – A teraz powiedzcie mi, twardziele, ilu z was ma ze sobą zestawy ratunkowe? Dwunastu z dwudziestu sześciu; po prostu genialnie! Załóżcie maski. Pozostali niech zostaną na górze; mam nadzieję, że przez jakiś czas będą tu bezpieczni.

I jakiś czas później: – W porządku, na razie to chyba wszystko. – Poświecił latarką w dół. Potężne stalowe dźwigary przestały się już odkształcać, połamane i potrzaskane drewniane belki zastygły w bezruchu.

– Ten szyb może być drożny, wiedzie przez litą skałę. Sprawdzę to. Wright, jesteś cały?

– Chyba tak.

– Przejmiesz tu na górze dowodzenie. Zejdę do chodnika. Jeśli da się przejść, zaświecę latarką. Potem niech ci, którzy mają maski, po jednym schodzą na dół. Miej przy sobie łom i rozwał łeb każdemu, kto będzie miał panikę.

Jones wcale nie był tak pewny siebie, jak mogło to wynikać z jego tonu. Katastrofy w kopalniach powodują, że w ludziach budzi się z niczym nie porównywalne, przejmujące poczucie grozy. Mimo to zszedł w dół szybu, upewnił się, że nie został on zasypany i dał sygnał pozostałym. Następnie, po wydaniu kilku krótkich rozkazów, poprowadził ludzi przez ciemny, pogrążony w ciszy korytarz w kierunku stacji, zachodząc w głowę, dlaczego nikt z pracującego tam dziś personelu nie uruchomił jeszcze instalacji awaryjnej. Po drodze grupa natknęła się na kilka zapadlisk, przez wszystkie udało im się jednak przekopać.

Stacja także pogrążona była w ciszy i mroku. Jones, kierując promień swej lampki na kasku na panel awaryjny, rozbił szkło, otworzył drzwiczki i wcisnął kilka przycisków. Rozbłyły światła. Zamigotała i zawyła sygnalizacja alarmowa. Rotacyjna pompa powietrzna znów wydawała z siebie charakterystyczny stłumiony pomruk. I jedynie pompa wodna, trzęsąc się i dudniąc, mogła w każdej chwili odmówić posłuszeństwa, jednak na razie Jones nie miał na to najmniejszego wpływu.

Sama stacja, która dzięki stalowym wspornikom i filarom była niemal tak wytrzymała jak lita skała, pozostała nietknięta, jednak wszyscy znajdujący się w niej ludzie zginęli. Czterech mężczyzn i pielęgniarka zastygło bez ruchu przy swych stanowiskach; najwyraźniej prowadzące do stacji przewody uległy zniszczeniu i nie dotarło tu żadne ostrzeżenie

o katastrofie. Dym, który kłębammi wdzierał się z głównego tunelu, robił się coraz gęstszy. Jones wduślił następny przycisk; mająca stopę grubości ognioodporna gródź z azbestu i wolframu zamknęła się płynnie, przegradzając wejście do tunelu. Przez chwilę myślał ze współczuciem o tych, którzy mogli zostać na zewnątrz, nie zamierzał jednak tego sprawdzać. Jeśli ktoś przeżył, mógł otworzyć gródź z tamtej strony.

Kłębiący się dym zniknął, światło przestało migać, ucichła sygnalizacja alarmowa. Kierownik szychty, który najwyraźniej został teraz głównym nadzorcą całego poziomu dwunastego, zdjął maskę, odszukał krótkofalówkę i pstryknął przełącznikiem. Mówił, słuchał, znowu mówił, próbował wywoływać kolejne osoby, nikt jednak nie odpowiadał.

– Wright i wasza piątka. – Wybrał górników, co do których miał pewność, że zachowają zimną krew. – Weźcie te pistolety. Nie wahajcie się ich użyć, jednak strzelajcie tylko w ostateczności. Niech ciskacze oczyszczą chodnik na tyle, żeby można się było przedostać. Odszukajcie kierownika szychty na sześćdziesiątym przodku, jest z nim dziewiętnastu ludzi. Ich szyb jest zasypany. Mają tam już na powrót światło, energię i zdatne powietrze i próbują się wydostać, jednak oczyszczanie szybu od góry idzie cholernie wolno. Wright, wyślij jakąś łazę, niech pomoże im od dołu. Reszta niech wraca do chodnika i wyczyści go do ostatniego wyrobiska. Upewnijcie się, że wszystkie szyby są drożne i sprawdźcie każdy przodek; każdy, kto tam przeżył, ma się zgłosić do mnie...

– A po jaką cholere? – wrzasnął jeden z górników. – I tak jest już po nas, a ja potrzebuję wody...

– Zamknij się, durniu! – Rozległ się głuchy odgłos uderzenia pięścią i krzyk zamilkł. – Większość zbiorników jest już pełna wody. – Siwy górnik odwrócił się do samozwańczego szefa i skinął głową w stronę pracującej pompy. – Zaraz będzie jej aż za dużo, dobrze mówię?

– Nie ma się co zastanawiać, do roboty!

Górnicy, zorganizowani teraz i odpowiednio zmotywowani, zabrali się do pracy, a Jones chwycił za mikrofon i wybrał nową kombinację cyfr.

– Czy jest ktoś na górze? – rzekł energicznym tonem. – Czy jest ktoś...

– Och, więc na dwunastce ktoś jednak przeżył! – zapiszczał w jego uchu dziewczęcy głos. – Panie Clancy! Panie Edwards!

– Do diabła z Clancym i z Edwardsem – warknął Jones. – Łącz mnie z naczelnym inżynierem i z głównym geologiem. Byle szybko!

– Dwunastka, mówi Clancy. – Nawet jeśli kierownik produkcji Clancy słyszał ostre słowa Jonesa, a słyszał je bez wątpienia, pominął to milczeniem. – Stanley i Emerson będą tu lada chwila. A tymczasem proszę mi powiedzieć, z kim rozmawiam? Nie poznaję głosu, a minęło już trochę czasu...

– Jones. Kierownik szychty, pięćdziesiąty dziewiąty przodek. Miałem trochę problemów z dotarciem do stacji.

– Co takiego? A gdzie jest Pennoyer? Riley? A...?

– Nie żyją. Wszyscy. Zatruci gazem. Nawaliła sygnalizacja alarmowa.

– I nie zdążyli włączyć nawet systemu oczyszczania powietrza?

– Niczego nie zdążyli.

– A pan gdzie wtedy był?

– Na górze, na przodku.

– Mój Boże! – uzyskane informacje były dla Clancy'ego wystarczająco wymowne.

– Ale do diabła już z tym. Co się wydarzyło? I gdzie?

– Oberwała się winda towarowa, a zaraz potem nastąpiła eksplozja w składzie materiałów wybuchowych tuż przy siódmej stacji, która znajduje się, jak pan wie, zaraz obok głównego szybu. – Jones nie miał o tym pojęcia, jako że nigdy nie był w tej części kopalni, miał już jednak ogólny obraz sytuacji. – Główny szyb zatopiło powyżej Siódemki i zablokowane zostały oba szyby awaryjne. Jedyńka musiała zostać uszkodzona na wysokości Szóstki, Dwójka na wysokości Siódemki. Ale jest już główny inżynier, Stanley. – Kierownik produkcji z ulgą przekazał mikrofon.

Jeden z górników przechodził obok i Jones zakrył mikrofon dłonią.

– Co z wyrobiskami?

– Zaczopowaliśmy wszystkie cztery solidną porcją vibro, do samej Jedenastki.

– Dziękuję....

– Chciałbym tylko wiedzieć – wszedł Stanleyowi w słowo Jones – dlaczego ta cholerna pompa wodna jest tak przeciążona? Jak wygląda obieg wody?

– Musicie być... tak, wasza pompa pokonuje zbyt duże ciśnienie słupa wody. Pięć poziomów nad wami jest kompletnie martwych, więc...

– Martwych? Nie możecie tam kogoś posłać?

– Na razie nie. Więc pompujecie wodę w górę przez martwe pompy na poziomie jedenastym, dziesiątym i wyżej. I kiedy otworzą się zawory bezpieczeństwa...

– Zawory bezpieczeństwa! – Jones prawie krzyczał. – A nie mogę tego cholerstwa po prostu zamknąć?

– Nie, to instalacja wewnętrzna.

– Chryste panie, kto to projektował? Mógłbym zjeść garść pilników i wyrzygałbym lepszą pompę awaryjną.

– I kiedy otworzą się zawory bezpieczeństwa – kontynuował Stanley beznamyślnie – woda spłynie z powrotem do rząpu. Więc najlepiej będzie, jeśli przebijecie się przez jedno z wyrobisk...

– Oprzytomniej, głąbie! – wybuchnął Jones. – Skąd mielibyśmy wziąć na to czas? Złaż z eteru i dawaj Emersona!

– Tu Emerson.

– Masz tam mapy?

– Tak.

– Musimy szybko znaleźć jakiejś obejście na Jedenasty albo utoniemy. Czy możesz poszukać najkrótszej drogi?

– Już się robi. – Główny geolog wydał kilka krótkich poleceń. – Będziesz to miał za minutę. Dzięki Bogu jest tam na dole ktoś, kto potrafi myśleć.

– Nie trzeba mieć nadludzkiej inteligencji, żeby naciskać guziki.

– Zdziwiłby się pan. Miał pan absolutną rację, co do tych wyrobisk; kiedy padnie pompa, zostanie wam bardzo mało czasu. Kiedy woda dotrze do Stacji...

– Będzie pozamiatane. A to już się dzieje; woda się wylewa i wraca do obiegu. Pośpieszcie się!

– Mam te plany. Zaczynajcie w najwyższym punkcie pięćdziesiątego dziewiątego przodka. Proszę powtórzyć.

– Pięćdziesiąty dziewiąty przodek – krzyknął Jones, podkreślając te słowa energicznym machnięciem ręki. Zbici w ciasną gromadę górnicy rzucili się biegiem, a kierownik szychty, nie wypuszczając z dłoni krótkofalówki, ruszył za nimi. Przebiegając obok szumiącej beztrosko pompy, wymierzył jej pełnego frustracji kopniaka.

– Jakieś trzydzieści dwa stopnie odchylenia od pionu; od trzydziestu do trzydziestu pięciu stopni będzie dobrze.

- Odchylenie od pionu od trzydziestu do trzydziestu pięciu stopni.
- Kierunek... macie kompas?
- Tak.
- Ustaw niebieską na zero. Kierunek dwieście siedemdziesiąt pięć stopni.
- Niebieska na zero. Kierunek dwa siedem pięć.
- Odległość, sześćdziesiąt dziewięć i dwie dziesiąte stopy. Przebijecie się niemal na środku Jedenastki.
- Sześćdziesiąt dziewięć z groszami, tylko tyle? Świetnie! Może nam się udać. Kopalnia zostanie oczywiście zatopiona. Od którego poziomu?
- Woda zatrzyma się jakieś cztery mile od powierzchni, na wysokości Szóstki. Trochę to potrwa.
- Jeśli tylko dostaniemy się do Jedenastki, będziemy mieć wystarczająco dużo czasu; zalanie wszystkich korytarzy na Dwunastce zajmie co najmniej tydzień. Jednak przebijanie się będzie cholernie ryzykowne. Czy uwzględniając wydajność pompy i pojemność rzępu mógłby pan obliczyć, ile zostało nam czasu? Potrzebuję przynajmniej godziny, obawiam się jednak, że tyle nie mamy.
- Oczywiście. Dam panu znać.
- Kierownik szychty przepchnął się łokciami przez stłoczonych górników i wlokąc za sobą krótkofalówkę, przecisnął się w górę szybu.
- Wright! – krzyknął Jones i jego głos rozniósł się ogłuszającym echem w górę i w dół wąskiego szybu. – Jesteś na górze?
- Tak! – odkrzyknął jego nieoceniony pomocnik.
- Zostało więcej ludzi, niż sądziłem. Ilu ich jest; będzie połowa?
- Mniej więcej.
- Świetnie. Podziel tych, którzy są z tobą na górze, według specjalności.
- Po czym, gdy dotarł na rzęście oświetlony już przodek: – Gdzie są pomocnicy?
- Tam.
- Poszukajcie stempli. Przetrząšnjcie każdy zakamarek i przytargajcie tu wszystko, co się nadaje. Bierzcie też arkusze dwunastocalowej stali mające co najmniej sześć stóp długości. Budowacze niech zbierają przyniesione materiały i zaczną tu stemplować. Ciskacze, złapcie kilka skuferów i wyrównajcie teren, a potem zacznijcie budować cembrowinę pod tym nawisem. Gruz wrzucajcie do tego dołu na odpady, żebyśmy się

tu nie zakopali. Pracujcie szybko, ale dokładnie. Wiecie, jakie jest obciążenie, i co się stanie, jeśli stemple nie wytrzymają.

Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, wiedzieli, co muszą zrobić i robili to, pracując w szalonym tempie, jednak dokładnie i uważnie.

– Jak szeroki będzie ten tunel, szefie? – spytał starszy budowacz. – Cembrowina na osiem stóp wystarczy?

– Tak. Za chwilę to potwierdzę.

Rozległ się głos głównego geologa.

– Z moich obliczeń wynika, że najwyżej czterdzieści jeden minut.

– Od którego momentu?

– Odkąd padła pompa.

– To było jakieś pięć minut temu. I jeszcze pięć, zanim zaczniemy się przebijać.

Czterdzieści jeden odjąć dziesięć to trzydzieści jeden. A sześćdziesiąt dziewięć i dwie dziesiąte podzielone na trzydzieści jeden dają...

– Dwie i dwadzieścia trzy setne stopy na minutę, jak wynika z moich obliczeń.

– Dzięki. Co powiesz, Wright; jak szeroki tunel możemy wydrążyć w tej skale kopiąc z prędkością dwóch i jednej czwartej stopy na minutę?

– Hmm... – Górnik podrapał się po zarośniętym podbródku. – Ciężka sprawa, szefie. Na samo cięcie z taką prędkością musiałbyś wykombinować prawie sto funtów powietrza na stopę. Bez pomocy burleya wiertnica nie wyrobi takiego ciśnienia, zapcha się i wysiądzie, zanim wgrzyzie się choćby na jedną stopę. A z burleyem może zrobić co najmniej dwa razy tyle; może nawet siedem stóp. Więc jakkolwiek by patrzeć, nie będą to dwie stopy na minutę.

– Miałem nadzieję, że nie potwierdzisz moich przypuszczeń. Więc będziemy drążyć pięć stóp na minutę. Musicie sukcesywnie przycinać belki. Będziemy obsługiwać burley ręcznie.

Wright sceptycznie potrząsnął głową.

– My też, szefie, nie chcemy tu na dole umierać i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale jak pan sobie wyobraża utrzymanie tego cholerstwa w rękach?

– Trzeba zrobić chomąto. Potnijcie nosze na pasy. Będzie nieźle trzęsło, ale będziemy się często zmieniać, a kiedy śmierć zagląda w oczy, człowiek zniesie prawie wszystko.

I równo przez dwie minuty, w czasie których wiertnica przeżuwała i wypluwała skałę, wgryzając się na głębokość ponad pięciu stóp, robota szła wyśmienicie. Maszynę obsługiwało dwóch, a nie trzech mężczyzn, czuwając nad pracą skomplikowanego pneumatycznego agregatu, który nie tylko ustawiał ostrza pod odpowiednim kątem, lecz także nadawał ogromny stały nacisk drobiącemu skałę wiertłu, nawet kiedy wgryzało się w ścianę niemal pionowo do góry pod naciskiem ponad dwustu tysięcy funtów.

Machnęła ręką w ochraniaczu; tam, na górze, głos był beużyteczny. Kliknął zawór; wielka stalowa podkładka powędrowała w górę; podsunięto stempel, który zaskrzypiał przeraźliwie, kiedy ta stalowa podkładka z łoskotem spadała w dół. Po raz drugi, do góry! Po raz trzeci! W osiemnaście sekund, mniej, niż jedną trzecią minuty, udało im się przebić dziesięć cali!

I choć nie było to łatwe, dwóch mężczyzn było w stanie utrzymać burley podczas jednonumutowej zmiany. Jak już wspomniano, było to urządzenie, które wspomagało wiertnicę. Z mechanicznym poświęceniem zaspokajało każdą jej potrzebę. Dobierało wiertła, zmieniało biegi, przedmuchiwało dysze, oczyszczało przewody odpływowe ze sprasowanego rumoszu, a nawet zmieniało diamentowe ostrza w trakcie wiercenia, co dla osób mających pojęcie o twardości stopów neowęglowych i wytrzymałości supermetali może wydawać się po prostu niemożliwe.

Zarówno burley, jak i wiertnica były niezwykle wydajne, jednak praca z nimi nie należała do cichych i spokojnych. Nawet przy minimalnym natężeniu przez ich ryk, wycie i łomot nie był w stanie przebić się żaden dźwięk cichszy niż armatni wystrzał. Zaś absolutnie rutynowej dla obu maszyn procedurze wymiany ostrzy wiertnicy, gdy „palce” burleya wbijały się w litą skałę, towarzyszył niewyobrażalny, niemożliwy wręcz do opisania hałas.

I obie maszyny przez cały czas wypluwały z siebie strumienie przerobionej skały, od pyłu do grudek wielkości pięści.

W miarę, jak tunel stawał się coraz głębszy i rosła wspierająca jego ściany drewniana konstrukcja, praca szła coraz wolniej. Zaczęli tracić czas, który na początku zyskali. Było tam wielu górników, jednak w wąskim szybie nie było miejsca do pracy. I choć budowaczom udawało się przez burzę pyłu i sypiących się kamieni wnosić elementy konstrukcji wspierającej na górę, nie byli w stanie ustawiać jej wystarczająco szybko;

przeszkadzali im w tym przebijający korytarz górnicy. Jeden z nich musiał więc stamtąd wyjść. A ponieważ jeden człowiek nie był w stanie obsługiwać wiertnicy, ten który został, mógł jedynie złapać za burley.

Przymierzali się do tego jeden po drugim. Bez powodzenia. Było to ponad ich siły. Wiertnica, której ostrza, przepustnice i zawory odmawiały posłuszeństwa, przy olbrzymim nacisku dwustu trzydziestu funtów powietrza ledwie nadgryzała ścianę, ślizgając się po skale. Budowacze mieli teraz wystarczająco dużo przestrzeni, nie mieli jednak czego robić.

Jones, który od kilku minut przygryzał wąsa, ignorując gorączkowe sygnały krótkofalówki, spojrzął posepnie na zegarek. Zostały tylko trzy minuty i ponad osiem stóp do przebiccia.

– Dawaj te ochraniacze! – rzekł ochryple i wspiął się na górę po wspornikach. – Ustaw na pełną moc, całe dwieście pięćdziesiąt. Złaż na dół, Mac; ostatni kawałek przebiję sam.

Wsunął ręce w prowizoryczne chomąto, zaparł się stopami i podniósł ciężką maszynę, która z hukiem i jazgotem radośnie przystąpiła do pracy. Boże, jakaż to była tortura! Wspomagana burleyem wiertnica zaczęła swobodnie przeżuwać skałę. Ręka w ochraniaczu stuknęła go w nogę. Stempel. Wciągnął i osadził belkę; dwa cale wyżej. Potem następną. Cztery cale. Sześć. Stopa. Dwie. Trzy. Boże wiekuisty! Czyżby ta nieskończona agonია trwała tylko minutę? A może nie trzyma już tej przeklętej maszyny. Czyżby przestała wiercić? Nie, wciąż wgryzała się w skałę, a na jego głowę padał gwałtowny i obfity deszcz odbijających się od jego kasku skalnych odłamków. I niemal wyczuwał furię, z jaką pracowały zmiany budowaczy, by podtrzymać ruch wirujących na najwyższych obrotach wiertel.

Nie, to była tylko minuta. Zostało jeszcze drugie tyle. Boże! Tak morderczego wysiłku nie wytrzymałby nawet słoń, jednak choćby miało się zawalić niebo i spłonąć piekło ustoi na nogach, dopóki nie przebije się na drugą stronę. I wykazując nieludzką wręcz zawziętość i upór, na granicy utraty przytomności, Lensman Conway Costigan utrzymał się na nogach.

A na leżącym daleko w dole przodku z głośnika rozległ się nowy, nie znoszący sprzeciwu głos:

– Jones! Odezwij się, do diabła! Jeśli nie ma tam Jonesa, niech zgłosi się ktokolwiek inny!

– Tak, sir? – Wright obawiał się odpowiadać na tak kategoryczne wezwanie, jednak jeszcze bardziej bał się je zignorować.

– Jones? Tu Clancy.
– To nie Jones, sir. Tu Wright, starszy górnik.
– A gdzie jest Jones?
– Na górze, sir, w tunelu. Sam obsługuje burleya.
– Sam!?! Niech mnie wszyscy diabli! Zapytaj go, ilu ludzi ma przy wiertnicy?

– Dwóch, sir. Nie ma tam więcej miejsca.
– Powiedz mu, żeby przestał i przekazał to komuś innemu. Nie chcę, żeby tam zginął, do cholery!

– Tylko on jest na tyle silny, żeby dać sobie z tym radę, sir, ale przekażę mu pańskie słowa. – Wiadomość została za pomocą języka gestów przekazana na górę i natychmiast nadeszła odpowiedź. – Zechce pan wybaczyć, sir, ale kazał panu iść do diabła. Powiedział, że nie będzie tracił czasu na pogaduszki, dopóki się nie przebije albo nie opadnie z sił.

Z głośnika posypała się wiązanka tak gwałtownych przekleństw, że wystraszony Wright wrzucił krótkofalówkę do dołu na odpady. I w tej samej chwili wiertnica przebiła się na drugą stronę.

Zamroczony, ogłuszony i skrajnie wyczerpany niehumanicznym wysiłkiem Jones spoglądał nieprzytomnym wzrokiem przez grube soczewki swego hełmu na budowaczy, którzy ustawiali jeszcze ostatnie belki, i wiertnicę, która wraz z wczepionym w nią burleyem wtoczyła się na górę przez wydrążony w skale otwór. Wygramolił się przez niego z trudem i patrząc na bijący w górę snop światła poczuł, jak narasta w nim fala sprzeciwu.

– Dlaczego ten cholerny geolog tak nas okłamał? – mamrotał. – Mieliśmy jeszcze masę czasu, nie musieliśmy wypruwać z siebie żył, ta cholerna woda jeszcze tu nie dotarła, co za... – Zachwiał się lekko, zrobił krótki krok do przodu i w tym momencie zgasło światło. Obliczenia geologa okazały się zaskakująco dokładne. Mieli trochę więcej czasu, był on jednak liczony w sekundach. I Jones, w osobliwy, pokrętny sposób do samego końca wierny logice, stał w niemal kompletnych ciemnościach, mamrocząc i rozmyślając. Jeśli ktoś, kto ma szeroko otwarte oczy, niczego nie widzi, musi być ślepy albo nieprzytomny. On nie był ślepy, musiał być więc nieprzytomny, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Wydał z siebie pełne znużenia i ulgi westchnienie i runął na ziemię.

Światło zostało szybko przywrócone i wszyscy wiedzieli już, że udało się przebić. Panika została zażegnana. I kierownik szychty, zanim jeszcze

odzyskał pełną świadomość, już szedł chodnikiem w stronę Stacji Jedenastej.

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad dalszym przebiegiem tego mrocznego i makabrycznego incydentu. Uruchamiany był poziom za poziomem i, ponieważ posuwanie się w górę jest w kopalni znacznie szybsze od schodzenia w dół, dwie grupy spotkały się na Poziomie Ósmym. Udało się uratować ponad połowę skazanych na śmierć górników i – co z punktu widzenia korporacji Uranium Inc. było znacznie istotniejsze – najgłębsza i najbardziej obfita w złoża część największej kopalni uranu nie została wyłączona z eksploatacji na ponad rok, lecz po zaledwie kilku tygodniach mogła być ponownie uruchomiona.

Zaś George Washington Jones, który po przebytych doświadczeniach wciąż jeszcze nie w pełni doszedł do siebie, został wezwany do głównego biura kopalni. Przed jego pojawieniem się odbyła się następująca rozmowa:

– Zamierzam awansować go na pomocnika kierownika produkcji – oznajmił Clancy.

– Nie wydaje mi się.

– Ale proszę mnie posłuchać, panie Isaacson! Jak, pańskim zdaniem, mam skompletować kadrę, jeśli zabiera pan każdego dobrego pracownika, którego uda mi się znaleźć?

– To nie pan go znalazł, tylko Birkenfeld. Był tu tylko na okresie próbnym. Zostanie przeniesiony do Wydziału Q.

Clancy, który już otworzył usta, by kontynuować swój sprzeciw, zamknął je bez słowa. Gdyż doskonale wiedział, czym jest WYDZIAŁ Q.

ROZDZIAŁ 15

Costigan nie był zaskoczony, gdy w reprezentacyjnym pokoju konferencyjnym Uranium zobaczył mężczyznę, którego znał jako Birkenfelda. Nie spodziewał się jednak, że spotka tam także Isaacsona. Zdawał sobie oczywiście sprawę z faktu, że korporacja Uranium Inc. i cała planeta Eridan są własnością firmy Podróże Międzygwiazdne, jednak z uwagi na wrodzoną skromność nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jego osoba jest na tyle istotna, by wzbudzić osobiste zainteresowanie samego szefa. Dlatego widok tej uprzejmej i nieprzeniknionej twarzy wzbudził w udawanym Jonesie coś więcej, niż chwilowy niepokój. Isaacson był osobą z najwyższych kręgów, należał do innej kategorii wagowej. To Virgil Samms powinien się tym zająć, skoro go jednak nie było...

Spotkanie nie przypominało jednak przesłuchania, lecz od samego początku miało przyjacielski i nieformalny charakter. Gratulowali mu trafnej oceny sytuacji i podejmowania właściwych decyzji. Podziękowali mu słownie oraz wręczyli znaczną sumę kredytów na wydatki. Zachęcali go, by opowiedział coś o sobie, nie miało to jednak nic wspólnego z sądem kapturowym czy krzyżowym ogniem pytań. Zaś prawdziwa przyczyna tego spotkania ujawniła się dopiero w ostatnim pytaniu:

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie Jones, której nie do końca rozumiem – rzekł Isaacson z iście ujmującym uśmiechem. – Skoro pan nie pije i nie szuka towarzystwa... kobiet, po co wybrał się pan do Wesołego Jacka?

– Z dwóch powodów – uśmiechnął się Jones z lekkim zakłopotaniem. – Ten mniej istotny dość trudno będzie wyjaśnić, jednak... no cóż, ostatnimi czasy na Ziemi nie najlepiej mi się układało... przypuszczam, że panowie o tym wiecie?

Wiedzieli.

– Zacząłem postrzegać wszystko w raczej mrocznych barwach, a porządna bójka była najlepszym lekarstwem. Zawsze mi w tym pomagała.

– Rozumiem. A ten istotniejszy powód?

– Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że jestem testowany. Mogłem albo szybko awansować, albo już na zawsze pozostać na dole. Człowiek może awansować na dwa sposoby; albo podlizując się przełożonym, którzy podciągną go na wyższe stanowisko, albo dzięki ludziom, z którymi pracuje i którzy popchną go do góry. A według Hoyle’a najlepszym sposobem na zaprzyjaźnienie się z bandą twardzieli jest spuszczenie im porządnego łomotu, oczywiście po godzinach, przy czym im większa zadyma, tym lepiej. Jestem naprawdę dobry w bójkach, więc założyłem, że policja zdąży interweniować, zanim mnie za bardzo poturbują. I udało się.

– Rozumiem – rzekł znowu Isaacson, jednak już zupełnie innym tonem. Miał już teraz pełny obraz. – Pierwsza metoda awansowania jest tak powszechnie stosowana, że ta druga nie przyszła mi nawet do głowy. Naprawdę świetna robota. – Odwrócił się do pozostałych członków zarządu. – Na tym możemy chyba zakończyć nasze spotkanie?

Z jakiegoś powodu Isaacson lekko skinął głową, zadając to pytanie i wszyscy zebrani jeden po drugim zgodnie przytaknęli. Spotkanie dobiegło końca. Jednak po wyjściu z sali magnat nie wrócił do swoich zajęć ani nie odprawił Jonesa. Zamiast tego zwrócił się do niego:

– Chciałbym, jeśli można, pokazać panu naziemną część naszej infrastruktury.

– Mój czas jest do pańskiej dyspozycji. I jestem tym niezwykle zainteresowany.

Nie ma potrzeby wchodzenia w szczegóły tego największego cywilizacyjnego przedsięwzięcia związanego z wydobywaniem uranu; opisywania silosów, młynów, zbiorników szlamu, pieców do prażenia, procesów rozpuszczania, krystalizacji i rekrystalizacji przy ostatecznym utlenianiu i redukcji. Wystarczy stwierdzić, że Isaacson zaprezentował Jonesowi cały ogrom uranowego kombinatu numer jeden. Wycieczka zakończyła się na ostatnim piętrze górującego nad całą okolicą budynku administracji, w otoczonym potężnym ekranem ochronnym gabinecie, w którym stało biurko, dwa krzesła i niezwykle masywny sejf.

– Proszę się częstować – Isaacson wskazał Jonesowi paczkę jego ulubionych papierosów, a sam zapalił cygaro. – Wiedział pan, że pana sprawdzamy, jestem jednak ciekaw, czy zdawał pan sobie sprawę, które z wydarzeń były częścią tego testu?

– Wszystkie – Jones wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu. – Oprócz eksplozji, oczywiście.

– Oczywiście.

– Było zbyt wiele niewiadomych. Mogłem bez ostrzeżenia ulotnić się z tym milionem.

– Istniała taka możliwość. – O dziwo Isaacson nie powiedział mu, że pułapka została zastawiona znacznie subtelniej, niż na to wyglądało. – Było to jednak warte ryzyka. Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Bo chwilę później stwierdziłem, że mogę zarobić znacznie więcej i dłużej cieszyć się wydawaniem tych pieniędzy.

– Bardzo zdrowe podejście. Z pewnością zauważył pan, że pod koniec spotkania odbyło się głosowanie?

Jones zwrócił na nie uwagę i choć o tym nie wspomniał, od początku wzbudziło ono jego zainteresowanie. Starszy mężczyzna podszedł do sejfu i kiedy go otworzył, okazało się, że w środku znajduje się tylko jeden zadziwiająco mały pakunek.

– Przeszedł pan test, decyzja była jednogłośnie, i dowie się pan teraz tego, co musi pan wiedzieć. Nie, żebyśmy ufali panu bez zastrzeżeń. Przez długi czas będzie pan pod obserwacją i nawet jeden fałszywy krok będzie kosztował pana życie.

– Wygląda na to, że to świetny interes.

– Cieszę się, że tak pan to widzi. Na to właśnie liczyliśmy. Widział pan kombinat. Imponujące przedsięwzięcie, nie sądzi pan?

– Coś wspomniałem, sir. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– A jak zareagowałby pan na informację, że naszą główną siedzibą jest biuro, w którym się właśnie znajdujemy, a nasza prawdziwa działalność związana jest z zawartością tego małego pakunku? – Isaacson zatrzasnął drzwi sejfu i przekręcił pokrętło.

– Jeszcze kilka godzin temu byłbym niezmiernie zdziwiony. – Costigan nie mógł pozwolić sobie na to, by wyjść na głupka, nie mógł też jednak ujawnić, ile wie naprawdę. Musiał utrzymać złoty środek, co było niezwykle trudnym zadaniem. – Jednak po dzisiejszym spotkaniu nie wydaje mi się to aż tak nieprawdopodobne. Albo cała ta sytuacja jest znacznie bardziej zagmatwana.

– Sprytnie! – pochwalił Isaacson. – A co, pańskim zdaniem, znajduje się w tym pudełku? To pomieszczenie jest zabezpieczone przed promieniami

szpiegującymi.

– Przed wszystkim, czym dysponuje Patrol?

– Bez wątplenia.

– No cóż, więc może być to coś, co zaczyna się na literę – niemal niezauważalnym ruchem złożył palce w kształt litery „T”, po czym płynnie dokończył zdanie: – „M” jak morfina.

– Pańska ostrożność i opanowanie są godne pochwały. Jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości odnośnie pańskich kwalifikacji, ostatecznie się one rozwiały. – Zamilkł, marszcząc brwi. Im bardziej utwierdzał się w kompetencjach Jonesa, tym mniej wierzył w jego szczerość. Podobne wątpliwości pojawiały się za każdym razem, gdy nowa osoba była wtajemniczana w sekrety Wydziału Q. Zarząd wyraził pełną aprobatę. Tylko dwa razy pomylili się w ocenie i oba te błędy udało się bez większych problemów naprawić. Chłopak dostał już ostrzeżenie; to powinno wystarczyć. Isaacson podjął więc decyzję:

– Będzie pan pracował z asystentem kierownika produkcji tu na miejscu, dopóki nie oswoi się pan z obowiązkami wynikającymi z tego stanowiska. Potem zostanie pan wysłany na Tellus jako tamtejszy asystent kierownika produkcji. Jednak pańskie kluczowe obowiązki będą związane z Wydziałem Q, którym, jeśli pan sobie poradzi, pewnego dnia będzie pan zarządzał. A, i jeszcze jedno, na Tellus zabierze pan ze sobą pudełeczko podobne do tego, które znajduje się w tym sejfie.

– Och... rozumiem. Dam z siebie wszystko, sir. – Na użytek Isaacsona Jones zacisnął szczęki w grymasie determinacji. – Przystwojenie tego wszystkiego może mi zająć trochę czasu, sir, na pewno sobie jednak poradzę.

– Jestem o tym przekonany. Zaś przechodząc do szczegółów...

Virgil Samms musiał być pewny faktów, którymi dysponował. Mało tego, musiał dysponować dowodami, które nie tylko zadowolilyby przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, lecz co do których najbardziej nawet dociekliwy członek cynicznej i sceptycznej ławy przysięgłych nie miałby choćby cienia wątpliwości. Dlatego też Jack Kinnison i Mase

Northrop podjęli trop thionitu dokładnie od miejsca, w którym George Olmstead, dokonując zrzutu w atmosferze Cavendy, pozbywał się go podczas każdej ze swych podróży. Na szczęście nie wymagało to szczególnych przygotowań.

Jak już wspomniano, Cavenda była prymitywnym światem. Jej rdzenni mieszkańcy byli rasą humanoidów, którzy kulturowo pod pewnymi względami przypominali północnoamerykańskich Indian z czasów Kolumba, pod innymi starożytnych arabskich nomadów. Dwóch miejscowych koczowników, nierozpoznawalnych pod brudnymi, chroniącymi przed wiatrem plecami i cienką warstwą tłuszczu i maskującego makijażu, obojętnie, nie wykazując najmniejszego nawet zainteresowania, obserwowało opuszczający się z nieba spadochron z wiszącym pod nim kontenerem. Następnie dosiedli oni swych pokracznych wierzchowców i ruszyli za skrzynią taszczoną do wioski białych ludzi. W odróżnieniu od wielu innych tubylców, nie wjechali jednak do wioski i nie podparli plecami ściany lub skały, czekając w milczeniu na swoją kolej, by w zamian za kilka godzin prostej pracy otrzymać kubek wysokoprocentowego trunku. Na bieżąco i w najdrobniejszych szczegółach znali jednak rozkład zajęć tych dziwnych, opętanych przez diabła białych ludzi. Jeden z tych pseudo tubylców wyprawiał się w głąsę na dwa czy trzy dni przed tym, jak wielka „rzecz która lata bez skrzydeł” odrywała się od ziemi; drugi wyruszał zaraz po tym.

W ten sposób udało się zarejestrować dokładny czas odlotu statku kosmicznego z Cavendy oraz jego przybycia na Eridana. Opracowanie urządzeń i metod umożliwiających śledzenie statku od momentu jego startu do lądowania było dla inżynierów Patrolu niezwykle trudnym wyzwaniem, udało im się jednak dopiąć swego.

I Jack Kinnison, skrzętnie skrywając kipiące w nim emocje, siedział teraz pogrążony w dystygowanej beczynności w holu portu kosmicznego w Danapolis.

Rankiem połknął małą kapsułkę, będącą na wyposażeniu tajnych służb, i wiedział, że od dwóch godzin jest sprawdzany promieniami szpiegującymi. Nie zdemaskował się, gdyż niemal każdy ekranował swe wewnętrzne i tylne kieszenie, a cienki jak włos przewód pomiędzy Soczewką i nogą był kompletnie niewidoczny, jednak jego

superinstrumenty przynosiły mu tak mało pożytku, że równie dobrze mógł je zostawić na Ziemi.

– Mase! – wysłał myśl, w najmniejszym stopniu nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy. – Wciąż mnie obserwują. A co u ciebie?

– Obserwują? – Myśl, która nadeszła w odpowiedzi, brzmiała jak parsknięcie. – Jestem otoczony jak łódź podwodna przez wodę!

– Pozostań w kontakcie. Połączę się ze Spudem. Spud!

– Witaj, Jack. – Conway Costigan, który teraz już samotnie przebywał w sanktuarium Wydziału Q, nie wydawał się być specjalnie zajęty, choć w rzeczywistości miał pełne ręce roboty.

– Przynęta, którą zarzuciliśmy dla odwrócenia uwagi, została połączona razem z wędką. Są tak przeczulenii na punkcie inwigilacji swoich sił zbrojnych, że mamy z Mase'em kompletnie związane ręce. Czy innych też namierzili?

– Nie. Tylko was.

– Świetnie. Przekaż im, że ich kontrwywiad wyeliminował nas z gry.

– Przekażę. Obserwują was na odległość, czy macie kogoś na ogonie?

– Na moim siedzi zabójcza blondynka; świetna figura, wielkie, prowokujące oczy. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, szczególnie te wypchane piersi. Jest cała okablowana, przyjacielu, i nie miałem okazji lepiej się jej przyjrzeć, nie zdziwiłbym się jednak, gdyby jej nozdrza były o jedną milionową milimetra za szerokie. Chciałbym użyć promienia szpiegującego. Czy skorzystanie z pomocy Freda będzie bezpieczne? – Miał na myśli szpakowatego inżyniera, który obijał się teraz na jednym ze statków kosmicznych; innych niż ten, na którym z Northropem przybyli na Eridana.

– Wykluczone. Mogę to zrobić sam, nie wychodząc przy tym z roli... Nie, nigdy jej wcześniej nie widziałem. Nie ma się zresztą czemu dziwić; zasada „niech nie wie lewica, co czyni prawica” jest tu obowiązującą normą. A co u ciebie, Mase? Czy koło ciebie też kręci się jakaś kruszynka?

– W rzeczy samej, bracie; nie nazwałbym jej jednak kruszynką. Jest niemal mojego wzrostu. – Northrop wskazał na wysoką, szczupłą brunetkę, która przechodziła obok niego z wrodzoną, świadomie niewystudiowaną gracją profesjonalnej modelki.

– Hmm... Jej także nie znam – oznajmił Kinnison. – Jednak obie mają na sobie czterocalowe blokady promieni szpiegujących i są zapewne

poowijane przewodami jak bożonarodzeniowe choinki. Należy założyć, że są odporne na promień paralizatora. Nie mogę ich oczywiście prześwietlić, spróbuję jednak na oko... Miałaś rację, Jack. Mają w nosach zatyczki filtrujące. Thionit, gaz Vee-Dwa, wszystko, co się da. Roześlę ich podobizny, może ktoś je rozpozna.

Ponad setka najzdolniejszych pracowników operacyjnych Patrołu z Ameryki Północnej, dokonując mentalnej inwazji na Eridana, zaczęła intensywnie studiować przekazane im wizerunki. Nikt nie znał wysokiej brunetki, jednak...

– Znam tę blondynkę – oznajmił Parker, as wywiadu z dwudziestopięcioletnim stażem. – To „Zabójcza Hazel” DeForce, twarda sztuka. Uważaj na nią; równie sprawnie posługuje się nożem i gołymi rękami, co bronią palną.

– Dzięki, Parker. Słyszałem o niej. – Costigan szybko analizował sytuację. – Jest wolnym strzelcem. Nie jesteśmy w stanie określić, dla kogo teraz pracuje. – Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Pewne jest tylko jedno, ten ktoś ma mnóstwo pieniędzy. Jej stawka jest bardzo wysoka. To już wszystko?

– Tak, dzięki, chłopaki. – Po czym zwrócił się do Jacka i Northropa: – Moim zdaniem to nie wasza kategoria wagowa, chłopcy; poza tym jest was tylko dwóch, nie macie wsparcia i jesteście nieuzbrojeni. W zwykłych ubraniach jesteście jak kaczki na strzelnicy, a jeśli włączycie pola ekranujące, utwierdzą się tylko w swoich podejrzeniach i od razu was zgarną, a mogą nawet sprzątnąć. Lepiej jak najszybciej się stamtąd zwijajcie; w tej sytuacji niczego więcej nie możecie zrobić.

– Oczywiście, że możemy! – zaprotestował Kinnison. – Chciałeś, żebyśmy odwrócili ich uwagę, tak?

– Tak, ale zrobiliście już...

– To, co zrobiliśmy, to dopiero przygrywka. Zorganizujemy tu taką dywersję, że chłopcy będą mogli przenosić thionit w obcasach i nikt nie zwróci na to najmniejszej uwagi. A tak przy okazji, nie wiesz jeszcze, kto go będzie przerzucał?

– Nie udało mi się zdobyć żadnych informacji.

– Wkrótce się dowiesz, łobuzie. Nie zdążysz się zdziwić!

– Co znowu wymyśliłeś? – spytał Costigan ostrym tonem.

– Zamierzam... – I Jack wprowadził przyjaciela w szczegóły swego planu. – I nawet nie próbuj nam zabraniać. Sam wiesz, że działamy teraz na własną rękę.

– No cóż... sędzę... brzmi to całkiem niezłe. I jeśli wam się uda, możemy na tym bardzo skorzystać. Do dzieła.

Pociągająca blondynka o twarzy niewiniątka spoglądała markotnie na tablicę przylotów i odlotów, na której czas przylotu opóźnionego już o trzy godziny statku przesunął się o kolejne trzydzieści minut. Wyciągnęła książkę, spojrzała na jej okładkę i schowała ją z powrotem. Sięgnęła po czasopismo, w połowie gestu cofnęła jednak rękę, kładąc ją na kolanie. Westchnęła, z gracją tłumiąc ziewnięcie, odchyliła w fotelu – Jack zwrócił uwagę, że siedziała w takiej pozycji, by nie mógł zobaczyć wnętrza jej nosa – i zamknęła oczy. I Jack Kinnison, po chwili namysłu, usiadł obok niej.

– Proszę mi wybaczyć, ale jesteśmy chyba w bardzo podobnym położeniu. Czy może mi pani powiedzieć, dlaczego konwenanse zmuszają dwoje ludzi, którzy utknęli w poczekalni, nie mając pojęcia, kiedy przyleci ich statek, by cierpieli w samotności? Mogą przecież cierpieć wspólnie, świetnie się przy tym bawiąc.

Dziewczyna powoli otworzyła oczy; nie była zaskoczona ani przestraszona; nie wyglądała nawet na zaciekawioną. Przez dłuższy czas przyglądała mu się z taką obojętnością, że zaczęły go ogarniać wątpliwości; czyżby do końca zamierzała odgrywać słodkie niewiniątko?

– Tak, konwenanse bywają niekiedy niedorzeczne – przyznała w końcu i na jej ślicznych ustach pojawił się cień uśmiechu. Jej niski i zmysłowy głos idealnie harmonizował z jej urodą. – W końcu najbardziej nawet porządni ludzie zawierają znajomości na pokładzie statku, więc dlaczego nie tutaj?

– No właśnie, dlaczego? Zapewniam panią, że należę do porządnych ludzi. Nazywam się Willi Borden. Dla przyjaciół Bill. A pani?

– Beatrice Bailey, albo po prostu Bee. O czym chciałby pan porozmawiać?

– A może raczej coś zjemy? Jestem tu z przyjacielem. Kręci się gdzieś w pobliżu; wielki zawadiaka z cienkim, czarnym wąsikiem. Może widziała pani, jak przed chwilą z nim rozmawiałem?

– Kiedy pan o nim wspomniał, wydaje mi się, że tak. Rzeczywiście wielki, aż za bardzo. – Powiedziała to obojętnym tonem, wyraźnie dając

przy tym do zrozumienia, że to Jack jest mężczyzną w jej typie. – Dlaczego pan o nim wspomniał?

– Umówiliśmy się, że zjemy razem kolację. Może poszukamy go i zjemy ją razem?

– Czemu nie? Jest sam?

– Był, kiedy ostatnio go widziałem. – Chociaż Jack doskonale wiedział, gdzie i z kim jest teraz Northrop, musiał zachować ostrożność, gdyż nie miał pojęcia, ile ta „Bee Bailey” wie tak naprawdę. – Ma tu jednak znacznie więcej znajomych, niż ja, więc mógł kogoś spotkać. Może wezmę część pani rzeczy?

– Będę wdzięczna, jeśli weźmie pan te książki. To jednak olbrzymi teren. Jak zamierza go pan znaleźć? Wie pan, gdzie teraz jest?

– M–m! – Zaprzeczył energicznie. To był decydujący moment. Dziewczyna niczego jeszcze oczywiście nie podejrzewała, było jednak widać, że nie do końca ma ochotę stąd wychodzić; gdyby zaś odmówiła... – Szczerze mówiąc nie dbam o to, czy go znajdziemy; mam coraz większą ochotę puścić go kantem. Co pani na to? Skoczmy na chwilę na trzecie lądowisko, żeby nie miał pretensji, że go nie szukałem, i szybko tu wrócimy. Chyba że nie chce pani, byśmy zostali tylko we dwoje?

– Mój adwokat radzi mi, bym nie odpowiadała na takie pytania – roześmiała się dziewczyna bez troski, jej odpowiedź była jednak wystarczająco jasna.

Choć przemieszczali się wyjątkowo niespiesznym krokiem, a Kinnison nie szukał Northropa wzrokiem, obie pary natknęły się na siebie w południowej części trzeciego lądowiska.

– Moja kuzynka, Grace James – Northropowi nie drgnęła nawet powieka. – A to Dzikie Willi Borden, choć z uwagi na włosy zwykle nazywamy go Łysym.

Dziewczęta zostały sobie przedstawione; obie obdarzyły się przy tym zdawkowymi uśmiechami i obojętnie wymieniły zwyczajowe uprzejmości. Czy rzeczywiście, jak się to mogło wydawać, były dla siebie kompletnie obce? A może, podobnie jak obaj młodzi Lensmani, ściśle ze sobą współpracowały? Jeśli tylko grały, musiały być świetnymi aktorkami, gdyż w ich zachowaniu nie wyczuwało się najmniejszego nawet śladu fałszu.

– Dokąd teraz, pilocie? – Jack nie zamierzał marnować czasu. – Znasz tu każdy kąt. Zaprowadź nas w jakieś sympatyczne miejsce.

– Tędy, mój stary druhu. – Northrop ruszył różnym krokiem i Jack znów poczuł ogarniający go niepokój. Droga prowadziła wprost na tyły wyludnionego lądowiska trzeciej klasy, na którego płycie stał tylko jeden superszybki statek kosmiczny. Jeśli przez najbliższe piętnaście sekund nic się nie wydarzy...

I nic się nie wydarzyło. Cała czwórka, śmiejąc się i rozmawiając, podeszła ramię w ramię do wyjścia. Otworzyły się drzwi i Lensmani przystąpili do działania.

Nie chcieli poturbować tych kobiet, musieli jednak działać szybko, dbając przy tym o własne bezpieczeństwo. Niemożliwością jest jednak szybkie przeniesienie przytomnej kobiety, szczególnie jeśli jest ona zwinna, silna i uzbrojona, i unieruchomienie jej przy tym na tyle, by nie była w stanie użyć pięści, nóg, zębów, pistoletu czy noża. Zadanie staje się jednak znacznie łatwiejsze, gdy jest ona nieprzytomna. Jack obrócił więc swą partnerkę, jedną ręką przytrzymał obie jej dłonie, a drugą szybkim ruchem podniósł ku jej szyi; silny palec bezbłędnie nacisnął właściwy nerw i ciało dziewczyny zwiotczało. Obie ofiary zostały wniesione na pokład i statek, osłonięty teraz szczelnym polem siłowym, wystartował z planety.

Kinnison nie zwracał uwagi na statek ani kierunek lotu; rozkazy zostały wydane już wcześniej i były szczegółowo wypełniane. Zamiast tego położył swą ofiarę na podłodze, dokładnie ją przeszukał i po kolei usunął wszystkie przewody, urządzenia oraz ofensywne i defensywne uzbrojenie. Nie rozebrał jej do końca, upewnił się jednak, że jedyną bronią, którą dysponowała teraz młoda dama, było to, czym obdarzyła ją natura. Northrop z równą starannością zajął się swoją rzekomą kuzynką, po czym z pomieszczenia została usunięta wszelka broń ręczna i obie pary drzwi zostały szczelnie zaryglowane.

– A teraz, Zabójcza Hazel DeForce – rzekł Jack swobodnym tonem – możesz już przestać udawać. Już od co najmniej dwóch minut jesteś przecież kompletnie przytomna. Jak widać, twój osławiony seksapil nie zadziałał. Nie ma tu niczego, czym mogłabyś się posłużyć, a nie jesteś na tyle głupia, by rzucić się na mnie z gołymi rękami. Która z was jest kapitanem tej drużyny, ty, czy ta wystrojona lalunia?

– Wystrojona lalunia! – wykrzyknęła wysoka brunetka, jednak jej protest został zagłuszony przez głos blondynki, która mówiła głośniejszy, szybciej i znacznie ostrzejszym tonem.

– Wydaje się wam, że się z tego wywiniecie? – zapytała wyzywającym tonem. – Wy... – niecenzuralna, kąśliwa i niezwykle szczegółowa charakterystyka obu Lensmanów mogłaby wypalić dziurę w czterowarstwowym azbieście. – I co niby zamierzacie z nami zrobić?

– Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, sądzę, że tak – odparł Kinnison, ignorując żargon głębokiego kosmosu. – Co do drugiej sprawy, na razie jeszcze nie wiem. A co zrobiłabyś ty, gdyby sytuacja była odwrotna?

– Spiekłabym cię na żużel... albo wzięłabym nóż...

– Hazel! – ostrzegła ją brunetka ostrym tonem. – Uważaj! Wyprowadzisz ich z równowagi i mogą...

– Zamknij się, Jane! Nic nam więcej nie zrobią, to psychologicznie niemożliwe. Mam rację, glino? – Hazel zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i dmuchnęła dymem prosto w twarz Kinnisona.

– W zasadzie tak – przyznał Lensman szczerze. – Możemy was jednak zamknąć na resztę życia.

– Dostałeś próżniowego udaru, czy sam masz mnie za idiotkę? – parsknęła szyderczo. – Na jakiej podstawie? Jesteśmy bezpieczne jak u Pana Boga za piecem. Poza tym już wkrótce zamienimy się miejscami. Być może o tym nie wiecie, ale lecą teraz za nami najszybsze statki we wszechświecie.

– W tym przypadku się mylisz. Nasze są równie szybkie i lecimy właśnie na spotkanie z jednostką do zadań specjalnych. Ale dość tych pogaduszek. Chcę wiedzieć, jakie zadanie wykonujecie i dlaczego nas śledziłyście. Słucham.

– Doprrrawdyy? – zagruchała Hazel jadowitym tonem. – Usiądź mamusi na kolankach, smarkaty żołnierzyku, na pewno powie ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć.

Obaj Lensmani sondowali umysły dziewczyn na wszelkie możliwe sposoby, nie dotarli jednak do żadnych przydatnych informacji. Kobiety nie miały pojęcia o możliwościach Lensmanów, były jednak nastawione skrajnie wrogo i ich psychiczne blokady, choć zupełnie podświadome, były skuteczniejsze niż najbardziej nawet wyszukane ekrany mentalne.

– Mają coś w torebkach, Mase? – zapytał Jack w końcu.

– Sprawdzę... Nic szczególnego, poza... – zmieniony ton głosu Northropa sprawił, że Jack szybko spojrzał w jego stronę.

– To tylko list od chłopaka – wzruszyła Hazel ramionami. – Niczego tam nie znajdziecie, czytajcie na zdrowie.

– Być może w treści listu, warto jednak sprawdzić kopertę i papier na obecność sympatycznego atramentu czy innych podobnych sztuczek. – Choć znał już treść ukrytej wiadomości, uznał, że warto poświęcić na to czas. Nikt spoza Patrolu nie powinien wiedzieć, że Aryzyjska Soczewka umożliwiała odcyfrowanie każdej informacji, niezależnie od tego, jak bardzo byłaby ona zaszyfrowana, przeinaczona czy zamaskowana i w jaki sposób przesłana.

– Posłuchaj, Hazel – rzekł Kinnison, podnosząc do oczu lekko teraz poplamioną kartkę. – „Trzy sześć dwa”, sądzę, że chodzi o ciebie i że to ty tu dowodzisz, „Sprawdzamy wspomnianych wcześniej mężczyzn stop wykorzystaj trzy dziewięć osiem”, to zapewne ty, Jane, „i zawrzyjcie znajomość stop jeśli w przeciągu osiemnastu godzin nie otrzymacie dalszych instrukcji natychmiast ich zlikwidujcie stop grupa jeden”.

Jasnowłosa agentka po raz pierwszy straciła swą niezachwianą pewność siebie.

– Jakim cudem... przecież tego kodu nie da się złamać! – wydała z siebie zduszony okrzyk.

– I znów się mylisz, Miła Alicjo[3]. Niektórzy z nas są specjalistami. – Po czym wysłał myśl do Northropa: – To trochę zmienia postać rzeczy, Mase. Zamierzałem puścić je wolno, teraz jednak nie jestem tego taki pewien. Może skonsultujemy to z szefem?

– Jak najbardziej.

Skontaktowali się z Sammsem, któremu rozważenie tej sprawy zajęło dokładnie minutę.

– Twoja pierwsza decyzja była prawidłowa. Wypuście je. Wiadomość, którą znaleźliście, może być dla nas przydatna i dostarczyć nam pewnych informacji, a dziewczyny są dla nas bezużyteczne. Niczego nie wiedzą. Gratuluję, chłopcy, przeprowadzona przez was operacja „Przynęta” zakończyła się pełnym sukcesem.

– Auć! – Jack skrzywił się w myślach do swego partnera, gdy tylko Pierwszy Lensman przerwał kontakt. – Innymi słowy: wiedzą wystarczająco dużo, by dostać na nas zlecenie, ale nie ma to większego znaczenia!

– Bo nie ma, stary – uśmiechnął się w odpowiedzi Northrop. – Miałoby to może jakieś znaczenie, gdyby im się powiodło; teraz, kiedy jesteśmy poza ich zasięgiem, nie ma najmniejszego. Lensmani wylądowali i sytuacja jest pod kontrolą. Koniec kropka.

– Fakt. Zakończmy już tę sprawę. – Jack zwrócił się do blondynki. – Dalej, Hazel. Idziemy. Szalupa numer cztery. Pójdiesz spokojnie, czy mam znów zająć się twoją szyją?

– Mógłbyś zająć się innymi częściami mojego ciała, byłoby to znacznie przyjemniejsze. – Dziewczyna wstała i spojrzała mu prosto w oczy. Jej usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu. – Oczywiście gdybyś był mężczyzną, a nie marną imitacją harcerzyka.

Kinnison bez słowa obrócił się na pięcie i otworzył drzwi. Hazel z wyniosłą miną ruszyła do przodu, jednak wyższa dziewczyna cofnęła się o krok. – Jesteś pewna, że jest tam powietrze... i że rzeczywiście puszcza nas wolno. Może dadzą nam pooddychać świeżą próżnią?

– Co? Są na to za miękcy – odparła Hazel pogardliwym tonem. Chodź, Jane. Powiedziałaś Czwórka, słodziutki?

Dziewczyna poszła przodem. Kinnison otworzył włącz szalupy. Jane pośpiesznie weszła do środka, zaś Hazel zatrzymała się i wyciągnęła rękę.

– Nie pocałujesz mamusi na pożegnanie, chłopczyku? – rzekła kpiąco.

– Lepiej nie trać czasu. Wystrzelimy tę szalupę, zamkniętą albo otwartą, za pięćdziesiąt sekund. – Kinnison miał nadzieję, że dziewczyna nie domyśla się, ile wysiłku kosztuje go to, by jego głos pozostał równy i beznamiętny.

Spojrzała na niego, chciała coś jeszcze dodać, spojrzała ponownie. Wiedziała, na ile może sobie pozwolić, by nie przeciągnąć struny. Weszła do szalupy i złapała za dźwignię. I kiedy włącz płynnie się zasuwiał, Lensmani usłyszeli dźwięczny śmiech przypominający brzęk lodowych sopli rozbijających się o metalowe dzwoneczki.

– Parka z piekła rodem! – Kinnison otarł pot z czoła, gdy tylko szalupa oddzieliła się od statku. Spotkanie z Hazel było dla niego zupełnie nowym doświadczeniem; mimo wykształcenia, treningu i doświadczenia nie miał pojęcia, jak radzić sobie w takich sytuacjach. – Słyszałem o gościu, który złapał tygrysa za ogon, ale... – Jego myśl urwała się, pozostawiając nutę zdumienia i konsternacji.

– Tak. – Northrop był w nie lepszym nastroju. – Chociaż technicznie rzecz biorąc wygraliśmy, prawda? Ależ dały nam koszmarny wycisk.

– W każdym razie uszliśmy z życiem... Możemy przekazać Parkerowi, że posiadane przez niego informacje zgadzają się co do przysłowiowej joty. A teraz, kiedy mamy to już za sobą, skontaktujmy się ze Spudem. Dowiemy się, jak wygląda sytuacja.

Costigan–Jones zapewnił ich, że wszystko idzie zgodnie z planem. Bez najmniejszych problemów udało się prześledzić drogę, którą ładunek thionitu został przewieziony ze statku do samego biura Jonesa; obecnie przesyłka spoczywała w sejfie Departamentu Q pod jego osobistym nadzorem. Przeprowadzona przez Kinnisona i Northropa dywersja, na co obaj liczyli, w znaczącym stopniu rozluźniła atmosferę. Costigan z niezmaconym spokojem wysłuchał ich historii.

– Powiedz mi tylko, czy powinienem być ją zastrzelić? – zapytał Jack. – I nie chodzi mi o to, czy potrafiłbym ją zastrzelić, bo doskonale wiem, że nie, tylko czy powinienem być to zrobić? Co o tym sądzisz, Spud?

– Nie wiem. – Costigan zastanawiał się przez dłuższą chwilę. – Nie wydaje mi się. Nie z zimną krwią. Ja także nie potrafiłbym tego zrobić; a gdybym potrafił, i tak bym się na to nie zdecydował. Nie warto brudzić sobie rąk. Pewnego dnia i tak ktoś ją zastrzeli, jednak nie będzie to nikt z naszych; chyba że podczas walki.

– Dzięki, Spud; dzięki temu czuję się trochę lepiej. Bez odbioru.

Biurko Costigana-Jonesa było niemal puste; jego pozycja w Wydziale Q zapewniała mu minimalną ilość papierkowej roboty. Dlatego też jego przygotowania do odlotu ograniczały się do kilku prostych czynności. Otworzył sejf, wsunął pakunek do kieszeni, zamknął sejf i firmowym samochodem udał się do portu kosmicznego.

Nie musiał też przechodzić żadnych formalności, kiedy opuszczał planetę. Eridan posiadał oczywiście coś w rodzaju granicy celnej, planeta całkowicie należała jednak do koncernu Uranium Inc. i tutejsi celnicy nie zwracali najmniejszej uwagi na należące do firmy statki ani na jej nielicznych pracowników noszących charakterystyczne, złote odznaki. Dlatego też Jones nie potrzebował biletu, paszportu ani wizy. Pracownicy korporacji mogli bez żadnych przeszkód przemieszczać się na należących do firmy statkach pomiędzy wszystkimi jej filiami, niezależnie od ich lokalizacji. Dlatego też, otoczony aurą władzy wynikającej z jego nowego

stanowiska, ze Złotą Odznaką Numer Trzydzieści Osiem, George W. Jones został błyskawicznie zaokrętowany na pokładzie przewożącego uran statku i zaprowadzony do swojej kajuty.

Nie było też niczego zaskakującego w fakcie, że podróż z Eridana na Ziemię przebiegła bez najmniejszych zakłóceń. Statek był najzwyczajszym frachtowcem odbywającym rutynowy lot z transportem uranu. Ładunek miał oczywiście sporą wartość, co było warunkiem sine qua non międzygwiazdowego handlu, nie był jednak bezcenny. W żadnym wypadku nie stanowił łakomego kąska dla piratów. I tylko dwie osoby wiedziały, jak bardzo ten transport różnił się od poprzedniego, czy tego, który będzie leciał po nim. By nie wzbudzać podejrzeń, statek nie posiadał też żadnej eskorty ani ochrony, zaś Virgil Samms i Roderick Kinnison zadbali o to, by żadna jednostka Patrolu nie zbliżała się do niego bardziej, niż na cztery detety.

Podróż nie była jednak monotonna. Jones miał pełne ręce roboty i ledwie starczyło mu czasu, by zapoznać się z materiałami, które przekazał mu Isaacson, planami technicznymi, diagramami sekwencji działań i schematami organizacyjnymi Zakładów Numer Osiemnaście na Tellusie.

Po przybyciu do prywatnego kosmoportu, będącego integralną częścią Zakładów Numer Osiemnaście, Jones nie był szczególnie zaskoczony faktem (wiedział teraz znacznie więcej, niż kilka tygodni temu, i nieskończenie więcej, niż przeciętny człowiek z ulicy), że celnicy na tym konkretnym północnoamerykańskim punkcie granicznym są równie wyrozumiali, jak ich koledzy z Eridana. Nie zadali sobie nawet trudu przeliczenia jego bagaży, nie mówiąc o przejrzeniu ich zawartości. Deklaracje celne podbili, nie czytając ich ani nie sprawdzając. Poddali co prawda członków załogi pobieżnej rewizji i równie pobieżnie przeszukali kajuty, jednak dwucyfrowa złota odznaka zadziałała na nich niczym magiczny talizman. O nic nie pytany, nietykalny Jones został wraz z bagażem odeskortowany do firmowego samochodu.

– Budynek administracji – zwrócił się Costigan–Jones do kierowcy.

[3] Nawiązanie do tytułu wiersza W. S. Gilberta „Gentle Alice Brown” (przyp. tłum.)

ROZDZIAŁ 16

Jak już wspomniano, motorem wszelkich poczynań Eddorian była żądza władzy; należałoby wyjaśnić i być może nieco rozwinąć tę myśl. Ich wojny, konflikty, wyniszczające intrygi i właśnie były nieuniknioną konsekwencją potęgi, możliwości i ograniczeń ich umysłów. Największa liczba konfliktów, jakie byli w stanie rozpętać na jednej planecie, nie mogła nawet częściowo zająć ich umysłów, zaś w odróżnieniu od Aryzjan nie potrafili się oni zadowolić filozoficznym roztrząsaniem nieskończonych możliwości Kosmicznego Wszechbytu. Musieli coś zrobić, lub, co odpowiadało im znacznie bardziej, zmusić słabsze od siebie istoty, by zmieniały fizyczny wszechświat, czyniąc go takim, jaki zdaniem Eddorian powinien być.

Ich priorytetem było stworzenie kilku poziomów kontroli. Drugi poziom, zaraz po Mistrzach, był oczywiście najważniejszy i po dokładnym przeprowadzeniu szczegółowej inspekcji obu galaktyk postanowili przydzielić tę zaszczytną funkcję Ploorianom. Ploor, jak to teraz doskonale wiemy, jest planetą o tak zmiennym słońcu, że wszystkie tamtejsze formy życia podlegają radykalnym, cyklicznym zmianom swej fizycznej formy, by przeżyć zachodzące tam co roku niezwykle gwałtowne wahania klimatu. Jednak fizyczna forma, jaką przybierały inne żywe istoty, nie miała dla Eddorian najmniejszego znaczenia. Jako że w naszej przestrzeni nie istniała ani jedna planeta, która nawet w przybliżeniu przypominałaby ich własną, niemożliwe było istnienie tu podobnych do nich istot, zaś pod względem umysłowym Ploorianie pozostawiali bardzo niewiele do życzenia.

Na trzecim poziomie znajdowało się wiele różnych ras, spośród których najskuteczniejsi i najbardziej bezwzględni byli zimnokrwieści, oddychający trującym gazem Eichowie, zaś czwarty stanowiły miliardy istot reprezentujące miliony przeróżnych ras.

W punkcie historii, stanowiącym dla Virgila Sammsa i Rodericka Kinnisona teraźniejszość, Eddorianie byli zajęci i, jeśli można użyć tego słowa, szczęśliwi. Gharlan z Eddoru, który jako drugi w hierarchii władzy podlegał jedynie Jego Ultymatywnej Wysokości Suprematorowi, zwracał niewielką uwagę na pojedyncze planety czy rasy. Nawet tak potężny umysł

jak jego, kontrolując wydarzenia na dwudziestu, potem sześćdziesięciu, a w końcu stu milionach planet, był w stanie robić to tylko w ogólnych zarysach, nie wchodząc w szczegóły.

Dlatego meldunki, które napływały teraz do Gharlana nieustannie wzbierającym strumieniem, dotyczyły całych klas i grup planet, systemów słonecznych i galaktycznych regionów. Mogła znajdować się w nich wzmianka o jakiejś konkretnej planecie reprezentatywnej dla całej klasy planet, nigdy jednak nie dotyczyły one żadnej pojedynczej istoty stojącej na niższym niż Ploorianie poziomie rozwoju. Gharlan analizował te niezliczone raporty, segregując je, interpretując i porównując, określając trendy i tendencje oraz najbardziej prawdopodobne konsekwencje. Wydawał rozkazy, wykonywanie których coraz bardziej zmieniało cały galaktyczny region w część Wielkiego Planu.

Jak już jednak wspomniano, boskoński system posiadał pewną immanentną skazę. Jak świat światem podwładni przymykają oczy na własne błędy, by zatuszować swą niekompetencję. Dlatego też Gharlan, który nie miał szczególnych powodów, by o to pytać, niczego nie wiedział o niefortunnych wydarzeniach na Sol Trzy, tej przeklętej planecie, która nie tak dawno sprawiła mu więcej problemów, niż wszystkie inne światy razem wzięte.

Po fakcie łatwo jest powiedzieć, że powinien był kontynuować swój osobisty nadzór nad Ziemią. Czy ten punkt widzenia da się jednak obronić? Egoistyczny, pewny siebie, arogancki Gharlan był przekonany, że udało mu się w końcu postawić Ziemię do pionu i że niczym nie różni się ona teraz od innych planet tej klasy. A gdyby nawet zdecydował się na tak jaskrawe odstępstwo od reguły, czy nie spotkałoby się to z natychmiastową interwencją Zespołu Starszych Aryzji?

Tak czy inaczej Gharlan nie wiedział, że nowo powstały Galaktyczny Patrol obronił Trójplanetarne Wzgórze przed Czarną Flotą. Nie wiedział o tym także Ploorianin pełniący obowiązki jego zastępcy, ani żaden z członków tej przerażającej grupy Eichów, która już wtedy nazwała się Radą Boskonu. Najwyższy rangą Boskonianin, który wiedział o fiasku, był tak absolutnie pewny swych umiejętności, że nie uznał tej drobnej porażki za sprawę wystarczająco istotną, by meldować o niej swemu bezpośredniemu przełożonemu. Sam podjął już odpowiednie kroki, by naprawić sytuację. I wszystko wskazywało na to, że sprawy przybrały

pomyślny obrót; udało się uspić czujność Patrolu i zaszcześcić w nim wiarę we własną przewagę; wiarę, która podczas wyborów okaże się dla niego zgubna.

Istota, która nie licząc niezbyt intensywnie, jednak zdecydowanie niebieskiej karnacji niczym nie różniła się od człowieka, przez dwie godziny rozmawiała na osobności z senatorem Morganem.

– Pańskie meldunki, dotyczące omawianych kwestii, są pełne i wyczerpujące – rzekł gość na koniec. – Nie ma w nich jednak żadnej wzmianki o Soczewkach.

– Celowo. Badamy ten temat, jednak każdy meldunek oparty na naszej dotychczasowej wiedzy byłby częściowy i nieprzekonujący.

– Rozumiem. Takie podejście jest zwykle godne pochwały. Wieści o tym zjawisku dotarły jednak wyżej i dalej, niż pan sądzi, i polecono mi, bym rozeznał się w sytuacji i zdecydował, czy zająć się tym osobiście.

– Zapewniam, że dam sobie...

– To ja o tym zadecyduję – przerwał Morganowi jego gość. – Częściowy meldunek będzie zatem wystarczający. Proszę mówić.

– Zgodnie z zaproponowaną i przyjętą procedurą, jeden z Lensmanów został pojmany żywcem. Z uwagi na fakt, że Soczewka posiada właściwości telepatyczne i przypuszczalnie działa na olbrzymie odległości, operacja została zrealizowana w możliwie najkrótszym czasie. Natychmiast po zdjęciu jej z ręki funkcjonariusza Patrolu Soczewka przestała emitować światło, a agent, który ją założył, zginął. Potem jeszcze czterech nie mających dla nas znaczenia pracowników zostało zmuszonych do jej założenia. Cała czwórka straciła życie, co wykluczyło możliwość wystąpienia zbiegu okoliczności. Podjęto próbę zbadania fragmentu tego materiału, jednak bez powodzenia. Wydawał się całkowicie nieaktywny. Nie reagował też na ładunki elektryczne, subatomowe bombardowanie ani skrajne temperatury. Jeniec był oczywiście przesłuchiwany przy użyciu serum prawdy i promieni. Jego umysł wypierał się jakiegokolwiek wiedzy na temat natury Soczewki, w co jestem skłonny uwierzyć. Jego umysł uparcie trzymał się też wersji, że otrzymał Soczewkę na planecie Aryzja. Polecam pańskiej uwadze hipotezę, że wyżsi rangą oficerowie Patrolu są poddawani hipnozie, w celu ukrycia prawdziwego pochodzenia Soczewek.

– Pańska hipoteza zostanie wzięta pod uwagę.

– Mężczyzna zmarł podczas przesłuchania. Dwie minuty po jego śmierci Soczewka zniknęła.

– Zniknęła? Co pan ma na myśli? Odleciała? Rozpłynęła się? Została ukradziona? Rozpadła się?

– Nie. Bardziej przypominało to wyparowanie bądź sublimację, tyle że bez stopniowego zmniejszania się wielkości. Nie udało się też wykryć żadnych widocznych pozostałości, stałych, płynnych ani gazowych. Platynowa bransoletka pozostała nienaruszona.

– Co potem?

– Nastąpił atak sił Patrolu i nasza ekspedycja została zniszczona.

– Czy jest pan pewien zaobserwowanych faktów?

– Posiadam szczegółowe nagrania. Chce je pan zobaczyć?

– Proszę je przesłać do mojego biura. Od tej chwili zwalniam pana z wszelkiej odpowiedzialności w kwestii Soczewek. Być może nawet ja uznam za stosowne przekazać tę sprawę wyżej. Czy posiada pan jeszcze jakieś materiały, niekoniecznie fakty, które mogą mieć z nimi jakiś związek?

– Nie – odparł Morgan. Na szczęście dla Virgili Samms senator uznał za niewarty wzmianki fakt zniknięcia bez śladu jego osobistego sekretarza oraz kilku członków pewnego podejrzanego gangu. W jego przekonaniu nawet jeśli miało to jakiś związek z Soczewkami, był on czysto przypadkowy. Herkimer, pomimo rad i rozkazów, najprawdopodobniej potraktował dziewczynę zbyt ostro i banda Sammsa go sprzątnęła. Należało mu się.

– Nie mam zastrzeżeń do żadnej fazy pańskich działań. Szczególnie jeśli chodzi o thionit, odwała pan kawał dobrej roboty. Przestrzega pan oczywiście szczególnych środków ostrożności przy doborze kluczowych pracowników?

– Oczywiście. Są poddawani testom i znajdują się pod nieustanną obserwacją. Isaacson zamierza właśnie awansować człowieka, który wykazał się wyjątkową skutecznością.

– I proszę się tego trzymać. Do widzenia.

Gość wyszedł.

Morgan sięgnął do przełącznika, cofnął jednak rękę. Nie. Chciał być obecny przy mającej się odbyć rozmowie, nie miał jednak na to czasu. Sprawdzał Olmsteda wielokrotnie i osobiście i doskonale wiedział już,

co ten człowiek sobą reprezentuje. To wydział Isaacsona i niech on się tym zajmie. On cały swój czas musi poświęcić pracy, z którą nikt inny sobie nie poradzi. Narodowcy muszą wygrać nadchodzące wybory.

Zaś w biurze prezesa firmy Podróże Międzygwiazdne Isaacson podniósł się z fotela i wymienił z George'em Olmsteadem uścisk dłoni.

– Wezwałem pana z dwóch powodów. Po pierwsze, by odpowiedzieć na pańskie zawiadomienie, że jest pan gotowy na poważniejszą pracę. Skąd pomysł, że mamy taką do zaoferowania?

– Czy muszę odpowiadać na to pytanie?

– Zapewne nie... nie. – Magnat uśmiechnął się nieznacznie. Morgan miał rację, tego człowieka na pewno nie można było nazwać głupim. – Mamy dla pana taką pracę, jest pan do niej gotowy i ma pan wyszkolonego następcę do pracy przy zbiorze liści. Po drugie, dlaczego wbrew rozkazom zmniejszył pan, zamiast zwiększyć ilość liści zbieranych podczas każdego wylotu? To bardzo poważna sprawa, Olmstead.

– Już to wyjaśniałem. Gdybym tak nie postąpił, konsekwencje mogłyby być znacznie poważniejsze. Czyżby nie przekonały pana moje argumenty?

– Pański tok rozumowania mógł ulec zniekształceniu podczas transmisji. Chciałbym to usłyszeć bezpośrednio od pana.

– Oczywiście. Bycie pazernym nie jest szczególnie rozsądne. Istnieje granica, po przekroczeniu której coś, co było nic nie znaczącym drobiazgiem, staje się problemem, który należy zlikwidować. A ponieważ nie chcę znajdować się na pokładzie tego promu, kiedy Patrol rozniesie go w pył, zmniejszyłem normę zbiorów i radzę utrzymać ją na tym poziomie. Zbiory są i tak znacznie większe, niż dawniej, i nieskończenie większe, niż żadne. Proszę to przemyśleć.

– Rozumiem. Na jakiej podstawie określił pan wysokość tej normy?

– Wyłącznie na podstawie czystych domysłów. Założyłem, że trzysta procent z uzyskiwanej uprzednio miesięcznej średniej powinno zadowolić każdego, komu chciwość nie przyćmiewa zdrowego rozsądku, zaś większa ilość może zapalić ostrzegawczą lampkę tam, gdzie najmniej tego potrzebujemy. Dlatego zmniejszyłem normę do trzystu procent i poradziłem Ferdy'emu, by się jej trzymał, albo dał sobie z tym spokój, dopóki jest jeszcze cały.

– Przekroczył pan swoje kompetencje... i wykazał się niesubordynacją... Nie zdziwiłbym się jednak, gdyby pańskie obliczenia

były trafne. W zasadzie ma pan oczywiście rację i można ustalić wysokość normy na drodze statystycznej i psychologicznej analizy. Jednak na razie jesteśmy pod olbrzymią presją, by zwiększyć produkcję.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Przekłeta presja. Mój drogi kuzyn, Virgil, jest, jak pan wie, kompletnym świrem. To wizjoner, idealista z głową pełną świetlanych wizji wszechświata wolnego od ludzi takich jak pan czy ja. Proszę go jednak pod żadnym pozorem nie lekceważyć i nie traktować jak zwykłego durnia. Wie pan też, zapewne lepiej niż ja, kim jest Rod Kinnison. Na pana miejscu poszukałbym kogoś, kto ma ochotę zamknąć im te cholerne usta, wybijając im przedtem zęby.

– Zdecydowanie przychyliam się do tej sugestii. Wróćmy jednak do tego proponowanego panu awansu. Wie pan oczywiście, przynajmniej w ogólnych zarysach, z czym związana jest nasza działalność w Northport?

– Byłoby dość dziwne, gdybym nie słyszał o największych zakładach uranowych na Ziemi. Nie posiadam jednak wystarczająco wysokich kwalifikacji, by zostać kompetentnym kierownikiem technicznym.

– To nie będzie konieczne. Zamierzamy obsadzić pana na kluczowym stanowisku w nowej, niezwykle perspektywicznej branży naszej działalności, znanej pod nazwą Wydziału Q. Przy czym nie jest to związane z produkcją ani uranem.

– Wydział Q? Zamieniam się w słuch. Jakie obowiązki będą związane z tym... stanowiskiem? Czy będę się tak naprawdę zajmował?

Mężczyźni zmierz yli się wzrokiem; dwie pary zimnych, nieustępliwych oczu wpiły się w siebie nawzajem.

– Zapewne nie będzie dla pana szczególnie zaskoczeniem fakt, że do Northport docierają niekiedy substancje nie mające nic wspólnego z uranem?

– Rzeczywiście nieszczególnie mnie to dziwi – odparł Olmstead sucho.
– I jaka będzie moja rola?

– W tej chwili nie widzę potrzeby wchodzenia w detale. Proponuję panu stanowisko.

– Przyjmuję je.

– Znakomicie. Zawiozę pana do Northport, resztę omówimy po drodze.

Rozmowę kontynuowali w zabezpieczonym przed promieniami szpiegującymi, dźwiękoszczelnym przedziale stratosferycznego liniowca Podróży Międzygwiazdnych.

– Zechciałby mi pan powiedzieć, panie Isaacson, ile osób zajmowało przede mną to stanowisko i co się z nimi stało? Dorwał ich Patrol?

– Było ich dwóch. Jednak nic nie wskazuje na to, by ekipa Sammsa nabrała jakichkolwiek podejrzeń. Obu to stanowisko przerosło, nie poradzili sobie też z personelem. Jeden miał podejrzane pomysły, drugi nie wytrzymał napięcia. Jeśli nie będzie pan próbował czegoś wykręcić albo nie załamie się psychicznie, otworzą się przed panem, i mówię to z pełnym przekonaniem, nieograniczone wręcz perspektywy.

– Gdyby przytrafiło mi się coś podobnego, byłbym niezmiernie zdziwiony. – Na twarzy Olmsteada pojawił się wymuszony, zawzięty i nieco gorzki uśmiech.

– Ja również – przyznał Isaacson.

Wiedział już, co to za człowiek i jak wielkie ma doświadczenie. W starciu z samym Morganem doprowadził do bezbramkowego remisu, w sekundy powalając wcześniej na deski Herkimera, który też nie był łatwym przeciwnikiem. Przy myśli o sekretarzu, który zniknął ostatnio w niejasnych okolicznościach, magnat stracił na chwilę wątek rozmowy. Jakie było drugie dno tej sprawy, Soczewka czy dziewczyna? A może jedno i drugie? Gdyby był na miejscu Morgana... ale nie był. Miał wystarczająco dużo własnych zmartwień, by przejmować się losem pracujących dla Morgana kanalii. Analizował przez chwilę nieprzenikniony, lekko kpiący uśmiech Olmsteada i nabrał pewności, że podjął słuszną decyzję.

– Jak rozumiem, zostanę jednym z podstawowych ogniw w głównej sieci dostaw. Jakie będą moje metody pracy i pod jaką przykrywką będę działał?

– Zaczniemy od metod. Pojedzie pan na ryby. Mam nadzieję, że jest pan dobrym wędkarzem?

– Można to tak ująć. Nie będę musiał niczego udawać.

– Jeden z najbliższych weekendów i, jak mamy nadzieję, każdy następny spędzi pan nad jeziorem, oddając się swej ulubionej pasji. Weźmie pan ze sobą klasyczny prowiant w pudełku na lunch. Po skończeniu posiłku w trakcie wędkowania wyrzuci pan pudełko za burtę.

– I to wszystko?

– Zgadza się.

– Pudełko na lunch będzie więc wyjątkowe?

– Coś w tym guście, chociaż na oko będzie zupełnie zwyczajne. Teraz kwestia przykrywki. Co pan powie na „kierownika działu badań”?

– Trudno powiedzieć. To zależy od rodzaju badań. Zanim jeszcze zostałem inżynierem, zajmowałem się czymś w rodzaju czystej nauki, było to jednak dawno temu i nigdy nie zostałem wybitnym specjalistą.

– I dlatego właśnie uważam, że pan sobie poradzi. Mamy zdecydowanie zbyt wielu specjalistów. Miotają się we wszystkich kierunkach bez ładu i składu. Potrzebujemy człowieka na tyle doświadczonego w pracy naukowej, by z grubsza wiedział, o co chodzi, jednak przede wszystkim chodzi nam o zdrowy rozsądek i coś, co można by nazwać charyzmą. Kogoś, kto będzie potrafił w razie konieczności ściągnąć specjalistów na ziemię i skłonić ich, by ze sobą współpracowali. Jeśli pan sobie poradzi, a nie rozmawiałbym z panem, gdybym sądził inaczej, wszyscy przekonają się, że potrafi pan zapracować na swoją wypłatę. Podobnie, jak nie da się ukryć faktu, że pańscy poprzednicy tego nie potrafili.

– W tym ujęciu brzmi to całkiem nieźle. Sądzę, że sobie z tym poradzę.

Rozmowa toczyła się dalej, nie dotyczyła już jednak żadnych istotnych tematów. Samolot wylądował. Isaacson zapoznał nowego kierownika działu badań z kierownikiem produkcji, Randem, który z kolei przedstawił go kilku naukowcom i swej smukłej, rudowłosej sekretarce.

Od razu stało się jasne, że zarządzanie wydziałem badań nie będzie łatwe. Kadra kierownicza zachowywała się wyzywająco, pracownicy średniego szczebla byli nachmurzeni, a ludzie na niższych stanowiskach ponurzy i wystraszeni. Obrażona na cały świat sekretarka paradowała z zadartym nosem. Zarówno mężczyźni jak i kobiety, sugerując się starym powiedzonkiem: „Nowa miotła, nowe porządki” i to po raz trzeci w ciągu zaledwie sześciu miesięcy, spodziewali się po nim najgorszego. Dlatego też wszyscy byli skrajnie zdziwieni faktem, że nowy szef przez dwa bite tygodnie nie zajmował się niczym innym oprócz czytania raportów i zaznajamiania ze swym wydziałem.

– Jak ci się podoba nowy szef, May? – zapytała podczas przerwy sekretarkę jedna z jej koleżanek.

– Och, nie jest taki zły... tak mi się przynajmniej wydaje – odparła May z rezerwą. – Spokojny, raczej powściągliwy, nie przystawia się, ani nic w tym rodzaju; ciekawe, czy trafi mi się kiedyś szef, który ma o czymkolwiek pojęcie; ale byłby numer, co? Ale wiesz, nad czym się

zastanawiam Molly? – zachichotała nagle rudowłosa sekretarka. – Najpierw był ten szurnięty fotograf, pamiętasz? Z tymi stereoaparatai za milion kredytów i masą podobnych gadżetów. Potem fanatyk golfa. Ciekawe, na co wydaje pieniądze ten doktor Olmstead?

– Nie martw się, moja droga, wkrótce się tego dowiesz. – Ton głosu Molly nieco zmieniał dosłowne znaczenie jej wypowiedzi.

– Taki mam zamiar, Molly, dokładnie taki mam zamiar. – Wypowiedane przez May słowa także nie do końca oddawały faktyczny sens jej wypowiedzi. – Życie takiego szefa to prawdziwa mordęga. Musi sześć czy siedem godzin dziennie siedzieć za biurkiem albo w sali konferencyjnej, jeśli nie struga akurat wariata gdzie indziej, za nędzne tysiąc kredytów miesięcznie. Niektórzy to się potrafią ustawić.

– Święte słowa, May. Ale kiedyś my też wyjdziemy na swoje.

Czas mijał. George Olmstead studiował raporty, tony raportów. Przeczytał jeden z nich, zmarszczył brwi, przeczytał ponownie, po czym wysłał swą rudowłosą sekretarkę po sprawozdanie, które przeglądał kilka tygodni wcześniej. Pod wieczór zabrał je ze sobą do domu, zaś następnego ranka wcisnął trzy przyciski. Trzech młodych ludzi wyrażających chłodną rezerwę zjawili się na jego wezwanie.

– Dzień dobry, doktorze Olmstead.

– Witajcie, chłopcy. Nie jestem być może wybitnym znawcą fundamentalnej teorii leżącej u podstaw waszych obliczeń, jeśli jednak połączycie to, to i to – wskazał mocno podkreślone ołówkiem fragmenty trzech prac – czy nie będziecie w stanie opracować projektu, który w istotnym stopniu usprawni proces oczyszczania i wzbogacania uranu?

Nie mieli pojęcia. Gdyż sprawdzenie tej teorii nie należało do zadań żadnego z nich osobno, ani ich trójki jako zespołu.

– Od tej chwili będzie to waszym priorytetowym zadaniem. Rzućcie wszystko, nad czym w tej chwili pracujecie, połączcie siły i sprawdźcie to. Najpierw teoretycznie, a potem przeprowadźcie mały laboratoryjny eksperyment. I natychmiast zameldujcie mi o wynikach.

– Tak jest.

Młodzi ludzie wrócili po kilku dniach.

– Udało się?

– W teorii wszystko działa, sir, w skali laboratoryjnej także. – Trzej młodzi ludzie wydawali się jeszcze bardziej spięci, niż poprzednio. Nie

po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni dyrektor działu badań osiągnie korzyści z pracy, która leży poza jego kompetencjami.

– Świetnie. Panno Reed, proszę mnie połączyć z Randem. Rand? Tu Olmstead. Trzech moich chłopców wpadło na pomysł, dzięki któremu możemy zaoszczędzić milion kredytów rocznie... Ja? W żadnym wypadku! Pogadaj z nimi. Nie rozumiem ani jednej z trzech części składowych tego projektu, nie mówiąc o samej realizacji. Chcę, żebyś od razu przydzielił im priorytet klasy AAA w zakładzie pilotażowym. Jeśli sobie poradzą, a idę o zakład, że tak będzie, zamieszczę ich fotografie w „Northport News” i dam po parę tysięcy kredytów premii plus kilka tygodni wolnego na ich wydanie... Tak, przyślę ich do ciebie. – Odwrócił się do osłupiałej trójki. – Podejdźcie teraz z waszym projektem do Randa. Pokażcie mu, co macie i pędźcie do zakładu pilotażowego.

Jakiś czas później Molly i May ponownie spotkały się w damskiej toalecie.

– A więc twój nowy szef jest wędkarzem! – parsknęła Molly. – Podobno zapłacił ponad dwieście kredytów za kołowrotek! Miałaś rację, May, życie szefa to prawdziwa katorgia. Ponoć w całej kadrze kierowniczej nie ma nikogo, kto więcej siedziałby za biurkiem, mniej przy tym pracując.

– I kto rozpowiada te podłe kłamstwa? – krzyknęła gniewnie rudowłosa May, kompletnie nieświadoma faktu, że diametralnie zmienia swe poprzednie stanowisko. – To kompletna bzdura, a nawet gdyby tak było, robi więcej, siedząc bez ruchu, niż każdy inny szef w tej fabryce biegający w kółko z prędkością czterdziestu mil na minutę. Tyle ci powiem!

George Olmstead zapracowywał na swą wypłatę.

Jego pozycja uległa ostatecznemu ugruntowaniu, gdy kilka dni później działem badań wstrząsnęła elektryzująca wiadomość. „Słuchajcie wszyscy! Przyjeżdża do nas sam pan Isaacson! Ciekawe po co? Chyba nie myślicie, że chce nam zabrać staruszka?”

Przyjechał. Po raz pierwszy robił obchód całego wydziału. Bardzo uważnie się wszystkiemu przyglądał i to, co zobaczył, dało mu pełny obraz sytuacji.

Olmstead zaprowadził szefa do swego prywatnego gabinetu i wcisnął przycisk uruchamiający aparaturę, która miała ochronić to pomieszczenie przed wszelkimi formami inwigilacji czy podsłuchu. Nie była ona jednak

w stanie zablokować głębszych kanałów przepływu informacji, z których korzystali Lensmani.

– Świetna robota, George. Spisał się pan tak cholernie dobrze, że zamierzam wyciągnąć pana z Wydziału Q i mianować kierownikiem produkcji naszych nowych zakładów na Vedze. Czy zna pan kogoś, komu mógłby przekazać tu swoje obowiązki?

– Włączając w to Wydział Q? Nie. – Choć Olmstead nie dał tego po sobie poznać, był rozczarowany, słysząc słowo „Vega”. Miał znacznie wyższe aspiracje, związane z tajną planetą boskońskich sił zbrojnych; to był jego główny cel, nie tracił jednak nadziei, że uda mu się zapracować na to przeniesienie.

– Mam tu już odpowiedniego kandydata na to stanowisko, nazywa się Jones. Choć na Vedze by sobie nie poradził.

– Proponuję więc doktora Whitwortha. To jeden z dzieciaków, którzy opracowali nowy proces technologiczny. Choć może zająć mi to trochę czasu. Co najmniej trzy tygodnie.

– Dokładnie tyle nam potrzeba. Dzisiaj jest piątek. Ma pan tu zdaje się wszystko pod kontrolą, może więc wziąć pan sobie wolny weekend?

– I tak chciałem to zrobić. Choć, jak przypuszczam, nie udam się tam, dokąd zamierzałem pojechać?

– Raczej nie. Jezioro Chesuncook, droga 273. Zapadła prowincja, hotel gorzej niż trzeciorzędny, jednak ryby biorą jak wściekłe.

– Bardzo mnie to cieszy. Kiedy jest się na rybach, miło jest jakąś złowić.

– Byłoby podejrzane, gdyby pan niczego nie złapał. Pojemniki na lunch są w bufecie. Niech pan poleci sekretarce, żeby przyniosła panu jeden z nich, z masą kanapek i innego prowiantu. Proszę wyruszyć wczesnym popołudniem, kiedy tylko stąd wyjadę. Przed wyjazdem, kiedy będzie pan już miał pojemnik, proszę koniecznie odwiedzić Jonesa. Do widzenia.

– Panno Reed, proszę przysłać do mnie Whitwortha. Potem niech pani skoczy do bufetu i przyniesie mi pudełko na lunch. Kanapki i termos z kawą. Prowiant dla przemoczonego i głodnego wędkarza.

– Już się robi! – Naburmuszenie zniknęło bez śladu; szef rudowłosej sekretarki nie miał sobie równych w całym kombinacie.

– Witaj, Ned. Siadaj na tronie. – Olmstead gestem dłoni wskazał stojące za wielkim biurkiem krzesło. – Zajmij go do mojego powrotu.

Prawdopodobnie do poniedziałku.

– Na ryby, co? – W zachowaniu chłopaka nie było już cienia sztywności, rezerwy czy nieprzychylności. – Szczęściarz z pana, szefie.

– No cóż, mój młody, błyskotliwy przyjacielu. Może pewnego dnia sam będziesz na tyle stary i gruby, by wybrać się na ryby. Któż to wie? Na razie.

Z pudełkiem na lunch w dłoni, obładowany wędkarskim rynsztunkiem Olmstead ruszył beztrąsko korytarzem do biura asystenta kierownika produkcji, Jonesa. I choć nie do końca wiedział, czego się spodziewać, nie był zdziwiony, widząc na stoliku pudełko na lunch do złudzenia przypominające to, które przyniósł ze sobą. Położył swoje obok.

– Cześć, Olmstead. – Żadnemu z Lensmanów nie drgnęła nawet powieka, obaj perfekcyjnie trzymali się swych ról. – Zrywasz się z roboty?

– Tak. Wpadłem powiadomić centralę, że nie będzie mnie do poniedziałku.

– W porządku. Mnie także, choć będę musiał jechać szybciej. Wybieram się nad jezioro Chemquassabamticook.

– Tak się nazywa, czy tylko kichnąłeś? No nic, baw się dobrze, przyjacielu. Ja z kolei połączyłem przyjemne z pożytecznym i przekazałem swoje obowiązki Whitworthowi, niech się oswaja. To wcielenie uczciwości zaczyna za jakąś godzinę i ma już ze strachu pełne spodnie. Musi jednak dotrzeć do poniedziałku i jeśli się sprawdzi, awans ma niemal w kieszeni.

Jones uśmiechnął się szeroko.

– Metoda nieco brutalna, choć niewątpliwie skuteczna. Do zobaczenia.

– Na razie. – Olmstead ruszył w stronę wyjścia, nonszalancko biorąc po drodze podmieniony pojemnik na lunch. Chwilę później opuścił budynek.

Wezwał swojego Dillinghama i rzucił pojemnik na lunch na siedzenie tak niedbałym ruchem, jakby nie zawierał on bliżej niesprecyzowanej ilości czystego, wartego kilka milionów kredytów thionitu.

– Życzę udanego weekendu, sir – rzekł nadzorca dziedzina, pomagając mu załadować bagaż i sprzęt wędkarski.

– Dziękuję, Otto. Jeśli uda mi się coś złapać, przywiozę ci w poniedziałek kilka rybek. – Wybiegając w przód, warto zauważyć, że faktycznie je przywiózł. Lensmani zawsze dotrzymują słowa, niezależnie od okoliczności i tego, jak błahę sprawę ono dotyczy.

Było wczesne piątkowe popołudnie i na drogach panował już spory ruch. Northport nie było co prawda metropolią, nie było tu też jednak wielopasmowych, jednokierunkowych i nieprzecinających się magistrali. Jednak Olmstead nigdzie się nie spieszył. Utrzymując niewielką prędkość, przejechał swym spektakularnym pojazdem – opalizująca zieleń jego karoserii kontrastowała z chromowym brązem zrobionego na wysoki połysk oblicowania – przez miasto i skręcił w wiodącą na północ odnogę superautostrady. Jednak nawet wtedy nie przyspieszył. Chciał dotrzeć do stacji kontrolnej na granicy rezerwatu o zmierzchu. Dziewięćdziesiąt mil na godzinę w zupełności wystarczało. Zjechał na pasmo wolnego ruchu, dziewięćdziesiątkę, i z punktu widzenia innych mknących po autostradzie maszyn jego pojazd wydawał się teraz nieruchomy.

Było to przedziwne uczucie. Wydawało się, że to samochody stoją w miejscu, a droga pod nimi pędzi do tyłu. Nie było wyprzedzania, przemykania pomiędzy innymi pojazdami czy zajeżdżania sobie drogi. Tylko niekiedy szyk samochodów ulegał zmianie, gdy któryś z nich niemal niezauważalnie przejeżdżał na sąsiedni pas, zwalniając bądź przyspieszając, by przystosować się do przypisanej dla danego pasa prędkości.

Było słoneczne, bezchmurne popołudnie; niezbyt zimne, ale i nieszczerólnie upalne. Olmstead, rozkoszując się jazdą, dotarł do zjazdu z autostrady dokładnie w wyznaczonym czasie. Zostawiając za sobą szeroką, gładką szosę, gwałtownie zwolnił, gdyż nawet Dillingham Super-Sporter nie był w stanie poruszać się z dużą szybkością po wąskiej, wyboistej i pagórkowatej drodze prowadzącej nad jezioro Chesuncook.

O zmierzchu dotarł do posterunku. Nie zatrzymując się na drodze, zjechał na pobocze, wysiadł, przeciągnął się i zrobił kilka energicznych kroków, by rozprostować kości.

– Długa podróż? – zapytał ubrany w szykowny mundur strażnik. – Jest pan uzbrojony?

– Nie mam ze sobą żadnej broni. – Olmstead pozwolił się zrewidować.
– Z Northport. To zabawne, jak trudno się w końcu zatrzymać, nawet jeśli człowiek nigdzie się tak naprawdę nie spieszy. Zamierzam coś teraz przekąsić; zapraszam na kanapki i gorącą kawę, chyba że woli pan zimny koktajl cytrynowy albo napój wiśniowy?

– Dzięki, ale mam własną kolację. Sam właśnie zamierzałem coś zjeść. Wspomniał pan coś jednak o koktajlu cytrynowym?

– Mhm. Idealnie schłodzony. Zero w skali Celsjusza.

– W takim razie chętnie się przyłączę. Dziękuję.

Olmstead otworzył służący za chłodziarkę schowek, wyjął z niego dwie półlitrowe butelki i zachęcająco postawił je obok otwartego pojemnika na lunch na niskim, kamiennym murku.

– Hmm... Ma pan tu prawdziwe cacko. – Strażnik spoglądał z zachwytem na luksusowego, dwukołowego giganta, wsłuchując się z uznaniem w ledwie słyszalny szum silnika. – Słyszałem o tych nowych supermodelach, nigdy jednak żadnego nie widziałem. Piękna rzecz. Wszystkie domowe wygody, co?

– Coś w tym guście. Na pewno nie pomoże mi się pan uporać z tymi kanapkami, zanim nie szcerstwieją?

Mężczyźni, siedząc na murku, jedli i rozmawiali. Gdyby strażnik wiedział, co znajduje się w stojącym przy jego nodze pudełku, z wrażenia zwaliłby się zapewne na ziemię. Dlaczego miałby jednak cokolwiek podejrzewać? W zachowaniu żadnego z wysoko postawionych pracowników Boskonu nie było nigdy nawet cienia grubiaństwa, nieuprzejmości czy wulgarności.

Olmstead dojechał do jeziora, zameldował w zapadłym hoteliku i położył się spać. Wstał bladym świtem następnego dnia i wybrał się na ryby; ta część zadania sprawiła mu niekłamaną przyjemność. Był zapalonym wędkarzem, a ryb tu nie brakowało; dużych, czujnych i walecznych. Był w siódmym niebie.

W południe zjadł lunch, po czym zupełnie otwarcie wyrzucił „pusty” pojemnik za burtę. Przecież człowiek jego pokroju, nawet jeśli nawet nie złowi zbyt wielu ryb, nie będzie taszczył taniego, pustego pojemnika na lunch z powrotem. Z wielką przyjemnością wędkował przez resztę dnia, łowiąc niemal tyle, ile zamierzał, i gdy słońce dotknęło horyzontu, zapuścił motor łódki i wrócił na przystań.

Pojemnik nie emitował jeszcze żadnego promieniowania, o czym z pewnym niepokojem poinformował go Northrop, jednak niewątpliwie zacznie to robić i byli na to w pełni przygotowani. Cały teren był pełen Lensmanów i funkcjonariuszy Patrolu.

I George Olmstead westchnął ze znużeniem, które rekompensował błogi przedsmak jeszcze jednego dnia spędzonego na pasjonującym wędkowaniu, zebrał swój sprzęt i złowione ryby i pomaszerował w stronę hotelu.

ROZDZIAŁ 17

W odległości czterdziestu tysięcy mil od środka Ziemi statek kosmiczny *Chicago* dryfował bezwładnie po orbicie z prędkością zaledwie dziesięciu tysięcy mil na godzinę; prędkością, która nieprzypadkowo utrzymywała go niemal nieruchomo nad konkretnym punktem na powierzchni Ziemi. Obecność na pokładzie Virgila Sammsa i Rodericka Kinnisona również nie była dziełem przypadku. Kilkanaście innych statków, krążowników i podobnej klasy jednostek, których oficerowie wyrabiali limit spędzonych w kosmosie godzin, krążyło w pobliżu pozornie bez celu, nigdy jednak nie oddalając się zbyt daleko od statku flagowego. A w znacznie większej odległości kordon statków zwiadowczych przeczesywał przestrzeń promieniami swych potężnych, ustawionych na najwyższą moc detektorów. Nawigatorzy tych jednostek dokładnie znali położenie i kurs każdego okrętu, który legalnie znajdował się w kosmosie, i pojawienie się nawet jednego statku lecącego niezaplanowanym kursem wywołałoby długą serię starannie zaplanowanych działań.

Zaś daleko w dole, przecinając atmosferę i nie oddalając się zbyt daleko od umownej linii pomiędzy *Chicago* i środkiem Ziemi, płynął imponujący jacht spacerowy. Na którego pokładzie nie znajdował się jeden czy dwóch, lecz ośmiu Lensmanów, a dwóch nie odrywało oczu od swych paneli obserwacyjnych. Obserwowali pojemnik na lunch spoczywający na dnie jeziora.

– Nie emituje jeszcze promieniowania? – spytał Roderick Kinnison. – Ktoś się do niego zbliżał albo go przesunął?

– Jeszcze nie – odparł Lyman Cleveland lakonicznie. – Ani moje czujniki, ani sprzęt Northropa nie wyłapują najmniejszych śladów aktywności.

Nie rozwinął tego stwierdzenia, gdyż nie było takiej potrzeby. Mason Northrop był dyplomowanym elektronikiem, zaś Cleveland prawdopodobnie najwybitniejszym żyjącym specjalistą w tej dziedzinie. Żaden z nich nie wykrył promieniowania, więc sprawa była oczywista.

Równie oczywiste było to, że pojemnik nie przemieszczał się samoistnie, nie przemieszczał go nikt postronny, ani nikt się do niego nie zbliżał. – Bez zmian, Rod – doktor Frederick Rodebush wysłał tę myśl przez Soczewkę. – Sześciu z nas obserwuje monitory; zmieniamy się co pięć minut.

Kilka minut później sytuacja uległa jednak zmianie.

– Chciałbym podzielić się myślą, która może was zainteresować – oznajmił Wenusjanin DalNalten, obficie spryskując się wodą. – Jak wiadomo przebywanie w wodzie bądź pod wodą jest dla mieszkańców Wenus rzeczą dość naturalną. Sam z olbrzymią przyjemnością zanurzyłbym się w tym jeziorze. Wątpię jednak, by obecność Wenusjanina o imieniu Ossmen właśnie teraz nad tym jeziorem była wyłącznie zbiegiem okoliczności.

– Co takiego? – niemal jednocześnie krzyknęło w myślach dziewięciu Lensmanów.

– Dokładnie. Ossmen. – Fakt, że wenusjański Lensman zawarł swą odpowiedź w dwóch, a nie, jak zwykle, dwudziestu czy trzydziestu słowach, najlepiej świadczył o stopniu jego zaniepokojenia. – W czerwonej łodzi z żółtym żaglem.

– Widzicie jakieś detektory? – zapytał Samms.

– On nie potrzebuje żadnego sprzętu – wtrącił DalNalten. – Będzie w stanie je zauważyć. Wystarczyło zresztą wetrzeć w nie odrobinę fosfolanu, którego żaden Tellurianin nie jest w stanie wyczuć, by każdy Wenusjanin poczuł jego zapach nawet z drugiego końca jeziora.

– To prawda. Nie pomyślałem o tym. Może się okazać, że nie ma w nim żadnego nadajnika.

– To niewykluczone, jednak kontynuujcie nasłuch – polecił kontradmirał. – Ustawcie jeden talerz na Ossmena i kilka innych na pozostałe łodzie. Więc twierdzisz, Jack, że Ossmen jest czysty? Nie ma nawet blokady promieni szpiegujących?

– Nie może jej mieć. Tu, na naszym podwórku, mogłoby go to wydać. Jak nas na Eridanie, gdzie ich tajniacy mają na sobie wszystko, co mogą udźwignąć, a my musieliśmy chodzić nago. – Wzdrygnął się psychicznie, gdy przypomniał sobie spotkanie z Zabójczą Hazel; jednocześnie wzdrygnął się też Northrop.

– Zgadza się, Rod – zgodził się Olmstead w swej łódce na dole, a Conway Costigan w swym gabinecie w Northport przytaknął. Najlepsi agenci przeciwnika nie uzależniali swego bezpieczeństwa od topornego i zawodnego sprzętu, zapewniając je sobie ciągłym doskonaleniem technik operacyjnych.

– No cóż, skoro jesteście tego tacy pewni, zdam się na waszą intuicję. – I oczekiwanie trwało dalej.

Pod naporem łagodnej, buszującej po jeziorze bryzy czerwona łódka sunęła powoli po wodzie. Senny, niefrasobliwy młodzieniec, którego najwyraźniej kompletnie nie interesował kurs jego łodzi, siedział na rufie z lewą ręką luźno opartą o rumpel. Również Ossmen nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju. Wydawało się, że jego największym zmartwieniem jest unikanie kolizji z wędkarzami, a jego podwodne wypady były wyjątkowo długie nawet jak na Wenusjanina, przy czym zanurzał się on w wodzie i wychodził z niej bez najmniejszego plusku, tak jak potrafią to robić tylko foki i mieszkańcy Wenus.

– Prawdopodobnie ma kapsułkę z wykrywaczem promieni szpiegujących – zasugerował Jack po chwili. – A uwzględniając fakt, że każdy Wenusjanin może bez problemu połknąć nawet piekarnik, może mieć w żołądku całe laboratorium analityczne. Czy ktoś sprawdził go już promieniem?

– Może rozsądniej byłoby tego nie robić. Obserwujcie go przez „lornetkę” i kiedy zbliży się do pudełka, najlepiej wyłączcie skierowany na nie promień. Wchodzenie do wody i podpływanie tam, też nie jest moim zdaniem najlepszym pomysłem; jak sądzisz, DalNalten?

– Zdecydowanie nie. I właśnie dlatego siedzę tu na górze kompletnie suchy. Nikt z nas nie powinien się do niego zbliżać.

Czekali więc dalej i w końcu bezcelowe wędrówki Ossmena zaprowadziły go nad to miejsce na dnie jeziora, na którym spoczywało tyle telluriańskich oczu. Zerknął na pudełko na lunch z taką obojętnością, z jaką patrzył na inne leżące na dnie przedmioty, po czym przepłynął nad nim zdawałoby się zupełnie przypadkowo i tylko superczułe kamery zarejestrowały to, co naprawdę zrobił. Po czym spokojnie popłynął dalej.

– Pojemnik wciąż tam jest – zameldowali ludzie obsługujący promienie szpiegujące. – Jednak przesyłka zniknęła.

– Znakomicie! – wykrzyknął Kinnison. – Czy obserwatorzy mogą potwierdzić, że ma ją przy sobie?

– Stawiam dziesięć do jednego, że niczego nie widzą – wtrącił się Jack.
– Połknął ją.

– Nie widzimy jej, sir. Musiał ją połknąć.

– Upewnijcie się.

– Tak jest... Wrócił już do łodzi i prześwietliliśmy go ze wszystkich stron. Na zewnątrz jest czysty.

– Świetnie! To znaczy, że nie planuje przekazać tego komuś innemu w tłumie. Od teraz będzie to standardowa akcja polegająca na śledzeniu obiektu; nie możemy spuścić go z oka.

Statki zwiadowcze zostały odwołane. *Chicago* i pozostałe statki wojenne powróciły do swoich baz. Jacht spacerowy odpłynął. A w odległości jakiejś mili od brzegów jeziora przez las przetoczyła się fala wzmożonej aktywności. Zwijano obozowiska. Uczestnicy pieszych rajdów stwierdzali, że dość się już nachodzili, i ruszali w drogę powrotną. Młodzi, wysportowani mężczyźni, zajęci tym i owym, rzucali swoje zajęcia i kierowali się w stronę najbliższych szlaków.

Jednak Kinnison starszy nie do końca miał rację mówiąc, że pozostała część przedsięwzięcia będzie standardowym śledzeniem obiektu. Nie była to standardowa robota. Choć powodzenie całej operacji było na wyciągnięcie ręki, musieli być absolutnie pewni, że nie wzbudzili najmniejszych nawet podejrzeń, a Samms potrzebował faktów. Jednoznacznych i niezbitych faktów, w których wiarygodność mógłby powątpiewać jedynie człowiek niespełna rozumu.

Dlatego też od tego momentu Wenusjanin Ossmen był pod ciągłą obserwacją. Po drodze znad jeziora do hotelu, z hotelu do samochodu, podczas jazdy, wsiadając i wysiadając z pociągu czy samolotu, aż do niepozornego budynku w zwyczajnej biznesowej dzielnicy Nowego Jorku ani przez chwilę nie był sam. Tam, gdzie tłum podróżnych nie był zbyt gęsty, agentów Patrolu również było niewiele i nie podchodzili do Wenusjanina zbyt blisko; tam, gdzie ludzi było dużo, otaczali go potrójnym szpalerem.

Do miejsca przeznaczenia, zaopatrzonego oczywiście w ochronę przed promieniami szpiegującymi, dotarł w niedzielę późnym wieczorem. Wszedł do środka i po krótkim pobycie wyszedł z budynku.

– Mamy go przeświecić promieniem szpiegującym, Virge? Śledzimy go? Co sugerujesz?

– Na razie żadnych promieni. Idźcie za nim. Nie spuszczajcie go z oka. O stałej godzinie przeprowadźcie standardowy monitoring promieniem szpiegującym, jednak nie wcześniej. Jednak wtedy zróbcie to bardzo skrupulatnie. Upewnijcie się, że nie ma niczego przy sobie, w sobie, w domu, ani jego okolicach.

– Więc tej nocy nie mamy tu już nic do roboty?

– Nie, zbytnio rzucalibyśmy się w oczy. Niech Fred z Lymanem obejmą pierwszą wachtę, a reszta trochę się prześpi.

W poniedziałek rano, gdy otwierano budynek, pojawiło się tam też wielu innych Lensmanów łącznie z Knobosem z Marsa. W okolicy kręciły się dosłownie setki najzręczniejszych i najbardziej kompetentnych ziemskich oficerów dochodzeniowo-śledczych.

– A więc to jest ich kwatera główna, a w każdym razie jedna z nich – pomyślał Marsjanin, obserwując potoki ludzi wchodzących i wychodzących z budynku. – Jest dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy, Dal, i właśnie dlatego nie mogliśmy jej znaleźć, ani namierzyć żadnego hurtownika. Żaden z nas nie widział wcześniej nikogo z nich na oczy. Całkowita wymiana składu osobowego w trakcie operacji; prawdopodobnie międzyplanetarnej. I długi okres spokoju. Zgadza się?

– Zgadza, jednak teraz ich mamy.

– Tak po prostu, co? – zadrwił Jack Kinnison i z jego punktu widzenia takie podejście było w pełni uzasadnione, jako że hurtownicy byli niezwykle przebiegłymi graczami.

Jednakże z bardziej profesjonalnej perspektywy Knobosa i DalNaltena, którzy od dawna toczyli tę beznadziejną walkę, zadanie nie było aż tak trudne. Działania podległych im służb były świetnie zorganizowane i zsynchronizowane, agenci byli obecni w tak przeważającej ilości, że „ogony” mogły być zmieniane co piętnaście sekund, zanim najbardziej nawet podejrzliwa osoba mogłaby powziąć podejrzenie, że jest śledzona. Zmieniający się agenci nie musieli też dawać sobie żadnych dyskretnych znaków ani wskazywać na osobę, której siedzieli na ogonie.

Wysyłane dzięki Soczewkom myśli pozwalały kontrolować każdy krok bez ryzyka popełnienia błędu.

Wykorzystywano także miniaturowe kamery z niezwykle mocnymi, wypukłymi obiektywami, umożliwiające idealnie ostre zbliżenia z odległości pięciuset stóp, oraz urządzenia i aparaty, których było zbyt wiele, by je teraz wymienić.

Dzięki temu hurtownicy byli namierzani, a transakcje, które zawierali z dilerami, szczegółowo rejestrowane. I nawet Jack Kinnison musiał przyznać, że od tego momentu sprawa była banalnie prosta. Ci drobni biznesmeni nie byli szczególnie bystrzy, nie wspominając o ich klientach. Żaden z nich nie był wyposażony w urządzenia ekranujące ani detektory i każda transakcja była rejestrowana z odległości wielu mil przez superczułe urządzenia Patrolu. Przy czym nagrywano nie tylko transakcję. Nabywca był śledzony od chwili zakupu aż do samego momentu zażycia i nigdy nie trwało to długo. Thionit w ilościach detalicznych był i jest kupowany wyłącznie w celu szybkiej konsumpcji i cały ten okropny proceder rejestrowany był na taśmie i kliszy. Histeryczne, rozdygotane błaganie; wymiana gotówki za narkotyki; szukanie w gorączkowym pośpiechu jakiegoś ustronnego miejsca; paraliżująca blokada mięśni i przerażający paroksyzm ekstazy; wstrząsające, palące duszę oprzytomnienie lub upojna śmierć. Wszystko to było nagrywane. Rejestrowanie podobnych rzeczy przyprawiało o mdłości. Niejeden z obserwatorów rzeczywiście się pochorował i musiał zostać zwolniony z tego obowiązku. Virgil Samms musiał jednak uzyskać twarde i niezbite dowody. I teraz nimi dysponował. Nie było możliwości, by jakiś sędzia po zapoznaniu się z nimi wątpił w ich autentyczność, bądź by jego werdykt brzmiał inaczej, niż „winny”.

O dziwo jedyną ofiarą tego długiego i nerwowego dnia był Jack Kinnison. Pewien mężczyzna, zidentyfikowany później jako drugorzędny magnat świata przestępczego, który nie był wtedy nawet podejrzany, z jakichś powodów uznał, że Jack go śledzi. Być może Lensman dopuścił do tego, że ktoś zauważył jakąś część jego „długiego oka”, a ten szybki i skuteczny teleobiektyw dalekiego zasięgu jest diabelnie nieporęczny i trudny do ukrycia. W każdym razie gangster wezwał posiłki na wypadek, gdyby jego ochroniarze okazali się nieskuteczni, a w tym czasie ci ochoczo ruszyli mu z pomocą.

Mieli do wykonania dwa zadania; po pierwsze szybko i dyskretnie przejechać nożem po gardle młodego Kinnisona, podcinając je od ucha

do ucha; po drugie roztrzaskać „długie oko” w drobny mak i wystawić kilka cali kwadratowych superczułej emulsji na działanie światła dziennego. I gdyby tylko ważniak wiedział, że fotograf nie jest sam i że wielki, niezdarny osiłek kilka stóp dalej też jest gliniarzem, ta akcja mogła się udać.

Dwóch z czterech oprychów zrównało się z Jackiem ciut wcześniej niż pozostali; jeden, by wyrwać aparat, drugi, by machnąć nożem. Jednak Jack Kinnison był szybki, miał szybki umysł, układ nerwowy i mięśnie. Zauważył zbliżających się napastników. Wykonując trzy błyskawiczne ruchy, owiął teleobiektyw wokół skroni pierwszego z napastników, zrobił gwałtowny unik przed wściekłym wymachem noża i czubkiem buta wyprowadził cios w kark, dokładnie w miejsce, w które lubią bić zawodowi bokserzy. Obaj napastnicy momentalnie stracili zainteresowanie przebiegiem wydarzeń. Przy czym jeden z nich stracił je na dobre, gdyż tuba teleobiektywu jest przedmiotem ciężkim, masywnym i wyjątkowo twardym.

Pochłonięty walką Jack nie zdążył odzyskać równowagi, gdy dołączyło dwóch kolejnych bandytów; jednocześnie pojawił się jednak Mason Northrop. Nie był tak szybki jak Jack, jednak, jak już wspomniano, był znacznie większy i silniejszy. Każdy jego cios powalał przeciwnika na ziemię. Był niczym uderzenie dwudziestofuntowego młota spadającego z wysokości stu stóp.

Oczywiście Lensmani także wezwali posiłki, zaś siłom Patrolu przemieszczanie pomiędzy dowolnie wybranymi punktami w obrębie konkretnego okręgu zajmowało ułamki sekund. Jeszcze mniej czasu zajęło agentom zapełnienie okolicznych przecznic formacją, przez którą nie miał szans przedostać się żaden pocisk ani promień. Dlatego też walka zakończyła się równie szybko, jak się rozpoczęła; zanim więcej oprychów z automatami i pistoletami zdążyło dotrzeć na miejsce.

Kinnison klął na czym świat stoi, pomstował na rozporządzenie zabraniające noszenia tego dnia broni i zaklinał się, że nie wstanie już nigdy z łóżka, nie mając przy sobie co najmniej dwóch miotaczy; musiał jednak w końcu przyznać, że nie miał do tego zrządzenia najmniejszych podstaw. Kinnison starszy dość cierpliwie wyjaśnił mu, że okupił tę drobną awanturę wyłącznie rozciętą wargą, że młodemu Northropowi nie spadł nawet włos z głowy i że gdyby każdy miał przy sobie broń, jakiś narwany młody dureń,

jak on, zacząłby strzelać na oślep, rujnując całą operację Sammsa, być może nawet nieodwracalnie. I czy mogłoby z łaski swojej przestać biadolić i iść do wszystkich diabłów?

Co Kinnison uczynił.

– Kwestię thionitu możemy chyba uznać za zamkniętą? – zapytał Rod Kinnison. – A prawnicy będą mieli masę czasu, by sformułować zarzuty i nadać sprawom bieg sądowy.

– I tak i nie. – Samms w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Mamy kompletny materiał dowodowy, od wytwórcy do samego konsumenta, jednak posadzenie za kratkami grubych ryb potrwa całe lata.

– Dlaczego? Sądziłem, że dajesz im aż za dużo czasu, planując zadanie decydującego ciosu trzy tygodnie przed wyborami.

– Dlatego, że narkotykowy biznes jest tylko małą częścią tego problemu, a my zamierzamy wyeliminować go w całości. Operacja Mateese obejmuje znacznie więcej zjawisk, morderstwa, porwania, korupcję i praktycznie każdy inny rodzaj przestępczości.

– Wiem o tym. I w czym leży problem?

– Między innymi w prawodawstwie. Kiedy na ławie oskarżonych zasiądzie prezydent, ponad połowa kongresu, większość sędziów, praktycznie wszyscy wiodący politycy i szefowie policji całego kontynentu, pojawią się niezwykle złożone problemy natury prawnej. Wydział Prawny Patrolu pracuje nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę i jedyne, czego są pewni, to pojawienie się całego szeregu skrajnie spornych problemów natury prawnej. Jeszcze nigdy nie było podobnych precedensów.

– Do diabła z precedensami! Są winni i wszyscy o tym wiedzą. Zmienimy prawo, tak aby...

– Niczego nie zmienimy – przerwał mu Samms ostrym tonem. – Chcemy stworzyć rząd działający w imieniu prawa, a nie interesów tworzących go ludzi. Zbyt długo mieliśmy z czymś takim do czynienia. Naszym zdecydowanym priorytetem jest sprawiedliwość i pośpiech nie może tu odgrywać kluczowej roli.

– Krzyżowiec Samms, teraz i zawsze! Jednak muszę przyznać, że mnie przekonałeś. Wróćmy jednak na naszą grzeszną ziemię. Operacja Zwilnik jest w pełnej gotowości bojowej. Operacja Mateese rozwija się w dobrym kierunku. Zabriska stała się częścią operacji Zwilnik. Pozostaje Operacja Boskone, która, jak sądzę, wkrótce utknie w martwym punkcie.

Pierwszy Lensman nie odpowiedział. Była to prawda i obaj mężczyźni zdawali sobie z tego sprawę. Najbystrzejsi, najzdolniejsi i najbardziej doświadczeni oficerowie Patrołu z całym swoim arsenałem środków natknęli się na nieprzenikniony mur i po prostu od niego odbili. Agenci niższego szczebla nie mieli żadnych kontaktów ani punktów zaczepienia. Podobnie jak agenci średniego szczebla. Działający na najwyższym z możliwych szczebli George Olmstead był wewnątrznie przekonany, że znalazł punkt zaczepienia, nie był tego jednak w stanie w żaden sposób wykorzystać.

– A może zwołamy konferencję Rady Galaktycznej? – zapytał w końcu Kinnison. – Albo przynajmniej zwrócimy się do Bergenholma? Może będzie miał jeden ze swych przeblysków intuicji?

– Już to z nimi, podobnie jak z tobą, przedyskutowałem. Nikt nie miał żadnej konstruktywnej propozycji. Sugerowali jedynie, byś nie przestawał czuwać nad operacją Bennett. Zgodziliśmy się w jednej kwestii: Boskończycy niewiele wiedzą o naszych, a my o ich militarnych przedsięwzięciach.

– Byłoby naiwnością przypuszczać, że są na tyle tępi, by uważać nas za durniów polegających wyłącznie na naszej znajdującej się na widoku Wielkiej Flocie; szczególnie po lekcji, jaką dali nam pod Wzgórzem – zauważył Kinnison.

– To prawda. Najbardziej martwi mnie fakt, że mieli przewagę na starcie.

– Nie tak dużą, by się tym przejmować – odparł kontradmirał. – Jesteśmy w stanie produkować więcej i pokonać ich w walce.

– Nie bądź zbyt optymistą. Nie możesz zaprzeczyć, że są inteligentni i operatywni, a ich zasoby ludzkie i materiałowe co najmniej dorównują naszym.

– To bez znaczenia – kontynuował z niezachwianym entuzjazmem Kinnison. – Liczy się, mój drogi, morale. Ludzie, ilość uzbrojenia i siła ognia też są oczywiście istotne, jednak w przypadku każdej wojny

o zwycięstwie decyduje morale. A nasze jest dzisiaj wysokie jak nigdy, najwyższe od czasów Johna Paula Jonesa, i z każdym dniem rośnie.

– Tak? – To monosylabowe pytanie zostało zadane z dużym naciskiem.

– Tak. I właśnie to mam na myśli. Z tego, co wiemy o ich systemie, nie mogą mieć tak wysokiego morale. Cokolwiek by robili, my możemy zrobić więcej i zrobić to lepiej. Twoim problemem, Virge, jest wciąż nasilające się nerwowe napięcie. Mimo moich ciągłych prośb, nigdy nie byłeś na Bennecie. Proponuję, byś poleciał tam ze mną teraz; będzie to najlepsze lekarstwo na twoje strapienia. Będzie to też bardzo pożyteczne dla operacji Bennett i dla Patrolu. Poczujesz się tam jak w domu.

– Może i masz rację... tak właśnie zrobię.

Kontradmirał i Pierwszy Lensman polecili na Bennett, jednak nie na pokładzie *Chicago* czy innego pancernika, lecz dwuosobowym śmigaczem. Było to w przypadku tej planety konieczne, gdyż każdy lot na nią był podróżą w jedną stronę i zasada ta nie obowiązywała jedynie Lensmanów. Tylko oni mogli w dowolnych okolicznościach i niezależnie od powodu opuszczać planetę. Nigdy i pod żadnym pozorem nie wychodziły stamtąd żadne wiadomości, przesyłki ani transporty. Nawet statki wojenne Floty wylatujące na manewry poza niezwykle szczelną, otaczającą ten system osłonę, były tak zaekranowane, by nie mogło dojść do żadnej nieautoryzowanej transmisji.

– Innymi słowy – zakończył wyjaśnienia Kinnison – zatrzasnęliśmy wszystko, o czym ktokolwiek, łącznie z Bergenholmem i Rularionem, mógł tylko pomyśleć; a była tego, bracie, cała masa.

– Czy jednak sam fakt stosowania tak ostrych restrykcji nie wpłynie ujemnie na morale? Ograniczenie swobody jest, jak wszystko inne, pojęciem względnym, to psychologiczny truizm.

– Zgadza się. To samo powiedziałem Rularionowi, co prawda prostszym i bardziej dosadnym językiem. Wiesz, jaki potrafi być sarkastyczny i wyniosły, nawet kiedy się myli.

– Aż za dobrze!

– A kiedy ma rację, jego dobór słów przekracza wszelkie cholerne granice. Można odnieść wrażenie, że zwraca się do kogoś, kto zajął ostatnie miejsce w konkursie dla półgłówków. Dopóki nikt na tej planecie nie wiedział o możliwości odbywania podróży kosmicznych, ani nie podejrzewał, że nie są jedyną inteligentną formą życia we wszechświecie,

wszystko było w porządku. Nie istniał problem bycia ograniczonym do własnej planety. Mieli tam dla siebie wystarczająco dużo miejsca. Kiedy jednak nas poznali i przetrwali płynące z tego konsekwencje, dostali przewlekłego rozstroju żołądka. Jest to oczywiście olbrzymie uproszczenie sposobu, w jaki stary piernik mi to zakomunikował, zaproponował jednak rozwiązanie, więc przyjąłem je bez szemrania.

– Cóż to za rozwiązanie?

– Szkoda, że nie miałeś czasu i byłeś zbyt zajęty, by także się tym zająć. Zobacysz, kiedy wylądujemy.

Jednak Virgil Samms był człowiekiem niezwykle spostrzegawczym i zorientował się w sytuacji, zanim jeszcze wylądowali. Kiedy śmigacz zwalniał przed wejściem w atmosferę, zwrócił uwagę na niezliczone ilości umieszczonego na chmurach, powtarzającego się symbolu, gdy zaś podchodzili do lądowania, zauważył, że ten sam zestaw znaków znajduje się nie tylko na każdym możliwym obłoku, lecz także na powietrznych statkach, balonach, proporcach, dachach i ścianach budynków, a nawet ułożony z różnokolorowych kamieni i kwiatów na samej ziemi.

– Dwudziesty Haress – przetłumaczył Samms i w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Jeden z dni w bennecjańskim kalendarzu. Czy według naszego kalendarza nie wypada on przypadkiem czternastego listopada tego roku?

– Bystry chłopak! – przytaknął Kinnison. – Nie sądziłem, że tak szybko załapiesz. Tak, to dzień wyborów.

– Rozumiem. A więc wiedzą, o co w tym chodzi?

– W ogólnych zarysach. Zdają sobie sprawę, że to nasze być albo nie być. Nazwali to Dniem Wyzwolenia i cała planeta przygotowuje się do niego z lawinowo narastającym entuzjazmem. Początkowo trochę się tego obawiałem, jeśli jednak ekrany są dostatecznie szczelne, nie ma większego znaczenia, ile ludzi o nich wie. A jeśli nie są kompletnymi głębami, robienie z tego tajemnicy i tak nie ma żadnego sensu. I to faktycznie zdaje egzamin. Podczas każdej wizyty tutaj jestem coraz bardziej podekscytowany.

– To może wypalić.

Pod względem masy, atmosfery i klimatu Bennett w pełni przypominał Ziemię, a jego rdzenni mieszkańcy pod względem psychicznym i fizycznym w niczym nie różnili się od ludzi. Pierwszy Lensman,

zwiedzając go ze swym przyjacielem, ujrzał świat przepelniony żarem gorliwości i zapału, jakiego Ziemia nie znała od czasów krzyżowców. Najlepsi psychologowie Patrolu, opierając się wyłącznie na prawdzie, odwalili tu kawał świetnej roboty.

Mieszkańcy Bennetta wiedzieli, że ich planeta jest arsenałem i bazą wojennej floty Cywilizacji, i byli z tego dumni. Praca w tutejszych fabrykach wrzała, jak nigdy dotąd, każdy zakład pracy, każde przedsiębiorstwo czy farma wyrabiało sto procent normy. Bennett już był upstrzony siecią portów kosmicznych i wciąż w niezwykłym pośpiechu budowano setki kolejnych. Do imponującej liczby wojennych okrętów kosmicznych, które korzystały z tych portów, co godzinę dołączały jeszcze większe ilości supernowoczesnych, superszybkich i superpotężnych jednostek.

Wielkim zaszczytem była pomoc przy budowie tych statków, jeszcze większym, znalezienie się wśród ich załóg. Wybierano je podczas trwających nieprzerwanie konkursów egzaminacyjnych, jednak większość kandydatów nie rekrutowała się spośród mieszkańców planety.

Samms nie musiał pytać, skąd pochodzili ci młodzi ludzie. Wiedział, że przylecieli z wszystkich planet Cywilizacji, zwabieni atrakcyjnymi ogłoszeniami o wysokopłatnej pracy przy nowych, ściśle tajnych projektach na nowo odkrytych planetach. Były setki podobnych ogłoszeń. Większość rozpowszechniał Patrol i te prowadziły tutaj, wiele należało jednak do Podróży Kosmicznych, Uranium Inc. i innych korporacji. Istniało ryzyko, że mogą one prowadzić do miejsc noszących obecnie wspólną nazwę Boskonii, jednak skrupulatnie przeprowadzone działania sprawdzające dały jednoznacznie negatywne rezultaty. Lensmani masowo odpowiadali na te ogłoszenia, potwierdzając ich autentyczność. Wniosek był tylko jeden. Boskończycy przeprowadzali rekrutacje na planetach nieznanym nosicielom Aryzyjskiej Soczewki. Z drugiej zaś strony więcej niż garstka Boskończyków odpowiedział na ogłoszenia Patrolu, Samms był jednak niemal pewien, że ani jeden z nich nie został przyjęty. Ostatecznego przesiewu dokonywali sami Lensmani, którzy w podobnych sprawach nie popełniali poważniejszych błędów.

Mieszkańcy Bennetta wiedzieli o wizycie Pierwszego Lensmana i mówienie Sammsowi, że nie będzie tu postrzegany jako nieznajomy, było ze strony Kinnisona sporym niedomówieniem. Wszędzie, gdzie tylko

pojawił się Samms, witały go rozentuzjasmowane tłumy. Musiał wygłaszać przemówienia i za każdym razem punktem kulminacyjnym był dziki ryk tłumu skandującego hasło: „DZIEŃ WYZWOLENIA!”.

– Więc uważasz, że nie znajdziemy tu kandydatów na Lensmanów? – zapytał Samms po zakończeniu się manifestacji, która przetoczyła się przez miasto. W tej chwili było to dla niego najbardziej palącym problemem. – Przy całym tym entuzjazmie? Jesteś tego pewien?

– Jak dotąd nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby wzbudzić twoje zainteresowanie. Oczywiście za kilka lat, gdy podrośnie młodsze pokolenie, ktoś taki na pewno się znajdzie.

– Zobaczymy. – Wizyta kontrolno-zapoznawcza dobiegła końca i obaj Lensmani ruszyli w drogę powrotną na Ziemię.

– Czy wciąż uważasz, mój sceptycznie i pesymistycznie nastawiony przyjacielu, że nie miałem racji? – zapytał Kinnison, gdy tylko zatrzasnęły się kłapy śmigacza. – Są w stanie się z nami równać?

– Miałeś rację, nie sądzę, by byli w stanie to zrobić. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Manifestacje, wiwaty i parady istnieją też oczywiście w każdej autokracji, są jednak zawsze sztucznie wymuszone. Tu były one spontaniczne.

– Chodzi o coś więcej, jednak entuzjazm także nie osłabnie. Będziemy zwarci i gotowi do działania. Zaś co do agitacji, o której wspominałeś, mam ją rozpocząć zaraz po powrocie?

– Powiedzmy za kilka dni.

– Nie mam nic przeciwko, więc wykorzystajmy ten czas na przygotowanie planu kampanii. Moim zdaniem powinniśmy zacząć od...

ROZDZIAŁ 18

Po pomyślnym zakończeniu operacji Zwilnik Conway Costigan przy pierwszej nadarzającej się okazji zerwał wszelkie kontakty z Uranium Inc, zostawiając za sobą masę fałszywych tropów. Mowa oczywiście o formalnej stronie operacji, gdyż batalie prawne, podczas których niezwykle często się do niej odwoływano, były toczone przez tak wiele lat, że słowo „zwilnik” zarówno w formie rzeczownikowej jak i przymiotnikowej na stałe weszło do potocznego języka.

Przybył na Tellus tak dyskretnie, jak to miał w zwyczaju, i rozpoczął nie rzucającą się w oczy, choć niezwykle aktywną działalność związaną z operacją Mateese, która weszła właśnie w decydującą fazę.

– A więc nadszedł czas, by wszyscy ludzie dobrej woli pospieszyli na pomoc partii[4]? – zachichotała Clio Costigan.

– Możesz zagrać ten motyw na całej klawiaturze swojej elektronicznej zabawki, nie ograniczając się przy tym do dwóch palców. Słyszałaś dzisiejsze wystąpienie szefa?

– Tak. – Beztroska dziewczyny ulotniła się w mgnieniu oka. – To niewiarygodnie źli ludzie, Spud, i naprawdę się boję.

– Ja również. Jednak my, kiedy trzeba, też potrafimy ubrudzić sobie ręce, a Kinnison z Sammsem trzymają ich w garści.

– To dobrze.

– I w związku z tym dziś znów będę musiał wyjść na pół nocy. Dasz sobie radę?

– Oczywiście, mój ukochany. Już sam fakt, że wróciłeś do domu i nie jesteś ode mnie oddalony o milion lat świetlnych, wprawia mnie w skrajną euforię.

Czasami trudno było stwierdzić, co naprawdę przewrotna pani Costigan miała na myśli. Costigan zerknął na żonę, doszedł do wniosku, że najzwyczajniej w świecie stroi sobie z niego żarty i klepnął ją kilka razy w miejsce, które najlepiej się do tego nadawało. Po czym pocałował ją z uczuciem i wyszedł. Ostatnio miał bardzo niewiele czasu dla samego siebie i ukochanej, uwielbianej żony.

Kampania Rodericka Kinnisona, która od samego początku była dość agresywna i nie do końca czysta, stawała się coraz bardziej brutalna i wyrachowana. Ekipa Morgana wychodziła ze skóry, wykorzystując wszystko, co tylko udało im się wygrzebać czy wymyślić, bez względu na stopień prawdziwości czy wiarygodności tych faktów, a Granitowy Rod z zasady nigdy nie nadstawiał drugiego policzka. Kierował się raczej zasadami Starego Testamentu i twarde metody walki nie były dla niego niczym nowym. Jako młody agent, wyszkolony w niezwykle brutalnych i zabójczych technikach prowadzonej bez żadnych reguł walki wręcz, stoczył niezliczone zwycięskie bójki w niezliczonych spelunkach większości planet i księżyców naszego Układu Słonecznego. Z takim doświadczeniem, po krótkim szkoleniu i wszechstronnym treningu odbytym pod okiem Virgila Sammsa, Nelsa Bergenholma i Rulariona z Bieguna Północnego Jupitera, w krótkim czasie nauczył się przeróżnych zagrywek i ripost stosowanych w tych bezkontaktowych politycznych zapasach, w których także wszystkie chwytły były dozwolone.

A „chłopcy i dziewczęta” z Patrolu harowali jak woły, zdobywając wciąż nowe dowody, fakty i informację i starając się maksymalnie przyczynić do mającego nastąpić wyrównania rachunków. Korzystali z ultrafalaowych skanerów, promieni szpiegujących, „długich oczu”, informatorów i wszystkiego, co tylko przyszło im do głowy, i wrogowi nie zawsze udawało się ich zablokować bądź uniknąć.

– Mamy to, szefie... zrobmy z tego użytek.

– Nie. Wstrzymajcie się. Poprzyjcie to solidnymi dowodami. Zbierajcie fakty, nazwiska, daty, miejsca i ilości. Sprawdźcie to i odłóżcie na później.

Udowodnijcie! Zostawcie na później! Ten połączony zakaz brzmiał tak często, że został przyjęty za slogan. Choć w przeciwieństwie do większości sloganów był on szczegółowo i starannie wypełniany. Agenci sprawdzali i odkładali na później trop za tropem i tylko oni wiedzieli, jakiego wymagało to wysiłku i poświęcenia.

Kinnison zjeździł cały kontynent. Odwiedził każdą metropolię, większość miast i wiele wsi i osad. Za każdym razem częścią jego wystąpienia była demonstracja przed obecnymi możliwościami Soczewki.

– Spójrzcie na mnie. Wiecie o tym, że nie ma dwóch identycznych istot ludzkich. Robert Jonhson nie jest Fredem Smithem. Joe Jones jest kompletnie inny, niż John Brown. Spójrzcie na mnie raz jeszcze.

Skoncentrujcie się na tym, co w waszej świadomości składa się na obraz Rodericka Kinnisona jako jednostki. Umożliwi to każdemu z was nawiązanie ze mną bardzo ścisłego kontaktu, jakby nasze umysły stały się jednym. Nie mówię tego na głos, czytacie moje myśli. A czytając w nich, dokładnie wiecie, co mam na myśli, czy wam się to podoba, czy nie. Mój umysł nie może was okłamać, gdyż, nawet gdybym chciał, nie jestem w stanie zmienić podstawowej struktury swej osobowości ani swojego sposobu myślenia. Będąc wewnątrz mojego umysłu, wiecie to już zresztą sami. Wiecie, co jest moją główną zaletą. Moi przyjaciele nazywają to siłą i odwagą, zaś herszt piratów Morgan i jego krwawa szajka mają na to wiele innych określeń. Tak czy inaczej wiecie już, czy chcecie, bym został waszym prezydentem. Nie mogę w żaden sposób wpłynąć na waszą decyzję, gdyż wiecie, że wszystko to, co przyswajają wasze umysły, jest prawdą. W taki właśnie sposób działa Soczewka. Obnaża przed wami głębiny mego umysłu, pozwalając mi przy tym poznać wasze myśli.

Nie ma to jednak nic wspólnego z hipnozą, jak próbuje wam wmówić Morgan. Podobnie jak reszta z nas, wie on doskonale, że nawet najzdolniejszy, dysponujący najlepszym nawet sprzętem hipnotyzer **NIE JEST W STANIE WPŁYNAĆ NA SILNĄ I STAWIAJĄCĄ ZDECYDOWANY OPÓR OSOBOWOŚĆ**. Tym samym twierdzi więc on, że każdy, kto odbiera teraz moje myśli, jest pozbawionym charakteru mięczakiem; wnioski wyciągnijcie z tego sami.

To, co powiem na zakończenie, zapamiętajcie do końca życia: silny i zdrowy umysł **NIE MOŻE KŁAMAĆ**. Usta mogą, podobnie jak maszyna do pisania, jednak umysł **NIGDY!** Mogę ukryć przed wami swoje myśli, nawet w trakcie takiego połączenia, **NIE MOGĘ WAS JEDNAK OKŁAMAĆ**. I właśnie dlatego nasze najwyższe władze powinny składać się z Lensmanów, a nie z polityków, dyplomatów, oszustów i łapowników. Dziękuję wam.

Kiedy ta długa, zacięta i niezwykle brutalna kampania miała się ku końcowi, napięcie sięgało zenitu, a troje Lensmanów wraz z rudowłosą dziewczyną, wszyscy w stanie wyraźnego wzburzenia, spotkało się w jednym z pokojów w domu Sammsa. Wyglądali mizernie i mieli zasepione twarze. Mówił Jack Kinnison:

– ...nie tyle partia, co ojciec. Zaczynał z gołymi pięściami, a teraz młóci ich kolczastym kastetem.

- Bardzo trafne porównanie – zgodził się Costigan.
- Daje im niezłego łupnia – dodał Northrop z podziwem.
- Słuchaliście, chłopcy, jego ostatniego przemówienia?
Żaden z nich nie słuchał; byli zbyt zajęci.

– Mogę przekazać je wam przez Soczewki, nie jestem jednak w stanie oddać jego intonacji; tego, w jak wybornym stylu niepostrzeżenie podsuwa sól pod otwarte rany. Wiecie też, że kiedy jest podekscytowany, nie potrafi się powstrzymać przed mówieniem na głos, więc część nagrałam na taśmę. Zaczyna jak zwykle spokojnym głosem, przechodzi na Soczewkę, po czym zaczyna krzyczeć, nie przerywając przekazu myślowego. Posłuchajcie:

– Waszym prezydentem powinien być Lensman. Choć możecie w to nie wierzyć, Lensmani są z zasady odporni na korupcję. Wyczuwacie, że ja jestem tego pewien, mimo że nie jestem w stanie wam tego udowodnić. Na to potrzeba czasu. Niezaprzeczalnym jest jednak fakt, który możecie poczuć już teraz: prezydent Lensman nie może kłamać, jeśli nie wypowiada lub nie zapisuje słów. Dzięki Soczewce możecie w dowolnej chwili zażądać, by zajął w jakiejś sprawie stanowisko. Niektóre tematy związane z racją stanu pominięciem milczeniem, odpowie jednak na każde pytanie, także dotyczące kwestii wątpliwych moralnie. Kiedy odpowie, będzie to prawdą. Jeśli uchyli się od odpowiedzi, będziecie znać przyczynę tej odmowy i będziecie mogli poddać go impeachmentowi.

Zdarzali się w przeszłości prezydenci, którzy wykorzystywali ten zaszczytny urząd do niskich celów, pozostawiając po sobie wyłącznie smrodek nadużyć i korupcji. Tylko niektórych poddano procedurze odwołania. Witherspoon nigdy nie powinien zostać wybrany. Impeachmentowi trzeba było poddać go już dzień po zaprzysiężeniu. I zostanie poddany mu teraz. Za trzy tygodnie, podczas Wielkiego Wiecu w Nowojorskim Porcie Kosmicznym UDOWODNIMY, że Witherspoon jest zwykłym trybikiem w organizacji Morgana, Towne'a i Isaacsona, który na rozkaz flirtuje z każdym, kto zaoferuje najwyższą cenę, bez względu na dobro i rację stanu Ameryki Północnej. Witherspoon jest gangsterem, szulerem i parszywym kłamcą, odgrywa jednak mało istotną rolę, będąc po prostu skorumpowanym durniem. Prawdziwym bossem i realnym zagrożeniem jest Morgan, głównymacher w tej najbardziej nikczemnej, odrażającej i skorumpowanej szajce zabójców, szantażystów, łapówkarzy,

stręczycieli i innych parchów na ciele naszego państwa, jaka kiedykolwiek przynosiła hańbę tak zwanemu rządowi. Dobranoc.

– Oho! – wykrzyknął Jack Kinnison. – Ostro, nawet jak na niego!

– Poczekaj, Jack – przerwała mu Jill. – Jest jeszcze druga strona. Posłuchajcie kilku fragmentów z senatora Morgana.

– Nie jest to do końca hipnoza, to coś znacznie gorszego. Coś, co kradnie wam umysły i zmusza, byście uwierzyli, że biel jest żółta, a czerwień purpurowa albo jasnozielona. Zanim nasi naukowcy nie przyjrzą się temu zagrożeniu, a wszyscy posiadacze tej przeklętej Soczewki znajdują się za kratkami, radzę, byście ich nie słuchali. W przeciwnym wypadku niechybnie i podstępnie pomieszają wam w głowach i dożyjecie swoich dni, bełkocząc coś w pokoju bez klamek.

A zabójstwa? Oczywiście! Te marne niedobitki gangów, które nasz rząd niemal doszczętnie rozbił, mogą popełnić jedno czy dwa zabójstwa rocznie. Zabójstwa, których sprawcy są łapani, sądzeni i karani. A ile waszych synów i córek zamordował Roderick Kinnison własnoręcznie bądź rękami swych umundurowanych niewolników? Zastanówcie się! Poczytajcie dokumenty! Niech wtedy się tłumaczy, jeśli będzie w stanie, a wy nie słuchajcie jego kłamliwych, niszczących umysł Soczewek.

Demokracja? Ba! Cóż może wiedzieć o demokracji „Granitowy Rod” Kinnison, najokrutniejszy tyran, najbardziej zaciekły i bezlitosny służbista, jakiego znały jakiegokolwiek siły zbrojne w długiej historii naszego świata? Nic! Rozumie wyłącznie przemoc. Każdy, kto mu się w najmniejszym nawet stopniu sprzeciwiał, lub usiłował z nim spierać, ginął bez śladu. I jeśli nie zostanie on aresztowany, osądzony i stracony, nic się nie zmieni.

Choć w gruncie rzeczy, nawet jeśli nie jest on na tyle inteligentny, by to sobie uświadomić, jest tylko kolejnym narzędziem w rękach bezwzględnych, drapieżnych BOGACZY. A oni, moi przyjaciele, nigdy nie śpią i mają tylko jednego boga, jeden dogmat, jedno credo, wszechmogący KREDYT. To jest ich prawdziwym celem i zauważcie, jak podstępnie i niepostrzeżenie do niego dążą. Gdzie są wasi przedstawiciele w tak zwanym Galaktycznym Patroli? Jak powstało to kryminalne, nikczemne, skandalicznie niekonstytucyjne, nieodpowiedzialne, nieposkromione i dyktatorskie monstrum? Jak i kiedy uprawniliście tego nadętego kolosa do wprowadzenia własnej waluty, lub do tego, by wykazując się skrajną arogancją wycofał najmocniejszą we wszechświecie walutę, walutę

Ameryki Północnej, z międzyplanetarnego i międzygwiazdowego handlu? Ich cel jest jasny, chcą zrobić z was niewolników podatku do końca waszych dni. Ani na chwilę nie zapominajcie, przyjaciele, że możliwość nakładania podatków to możliwość niszczenia. **MOŻLIWOŚĆ NAKŁADANIA PODATKÓW TO MOŻLIWOŚĆ NISZCZENIA.** Nasi pradziadowie walczyli, przelewali krew i umierali o prawo do ustanawiania podatków bez...

– I tak dalej przez bitą godzinę! – prychnęła Jill, ze złością pstrykając przełącznikiem. – I jak ci się to podoba?

– Szczyt diabelstwa – rzekł po chwili milczenia Jack.

– Ciężka sprawa... cholernie ciężka – dodał Northrop. – Nic dziwnego, że tak marnie wyglądasz, Spud. Praca głównego ochroniarza musi być ostatnio prawdziwą katorgą.

– Samo kłapanie dziobem nie wystarczy, stary – odparł Costigan posepnie żartobliwym tonem. – Oficjalnie zwróciłem się o pomoc.

– Ja również. I zaraz zrobię to ponownie – oznajmił Jack. – Nie wiem, czy ojciec zamierza zabić Morgana i kompletnie mnie to nie obchodzi, jeśli jednak Morgan nie staje na głowie, żeby zabić ojca, to tylko dlatego, że zapomnieli, jak się robi bomby.

Połączył się przez Soczewkę z Bergenholmem.

– O co chodzi, Jack?... porozmawiaj z Rularionem, który zastanawiał się nad tym problemem.

– Tak, Johnie Kinnison, zastanawiałem się nad tym i podjąłem pewne kroki. – Spokojna myśl Jowiszana dotarła do umysłu każdego z obecnych, włączając pozbawioną Soczewki Jill. – Problem został zdefiniowany właściwie, młodzieńcze. Uznałeś jednak, że kilka, bodajże pięć tysięcy agentów, włączając operatorów promieni szpiegowskich, wystarczy, by Wielkiego Wiecu nie zakłóciły żadne akty przemocy.

– Tak – odparł Jack z naciskiem. – I wciąż tak uważam.

– Twój błąd polegał na nieuwzględnieniu wszystkich możliwych ewentualności i zawężeniu pola niezbędnych działań. Liczba agentów wyniesie niemal dziewiętnaście tysięcy. Admirał Clayton został już poinstruowany i jego sztab opracowuje obecnie plan działań zgodnie z moimi wskazówkami. Twoje sugestie, Conwayu Costigan, dotyczące otoczenia osoby Rodericka Kinnisona natychmiastową ochroną, są już wprowadzane w życie, co automatycznie zwalnia cię z tej

odpowiedzialności. Zakładam, że wasza czwórka jest gotowa do dalszej pracy?

Było to trafne przypuszczenie.

– Sugeruję więc, byście skontaktowali się z admirałem Claytonem i włączyli w jego działania związane z zapewnieniem bezpieczeństwa. Zamierzam przekazać swoje sugestie wszystkim pozostałym Lensmanom i innym specjalistom, którzy nie mają w tej chwili ważniejszych zadań.

Gdy Rularion przerwał połączenie, twarz Jacka wykrzywił gniewny grymas. – Wielki Wiec ma się odbyć trzy tygodnie przed dniem wyborów. A ja wciąż jestem temu przeciwny. Przełożyłbym go na wieczór przed wyborami, by w ostatniej chwili wybić im zęby.

– Mylisz się, Jack, a szef ma rację – zaoponował Costigan. – Z dwóch powodów. Po pierwsze to nie nasz styl. Po drugie dostaną wystarczająco długi kawałek liny, by się na nim powiesić.

– Może i tak... – Kinnison, podobnie jak Jack, bynajmniej nie był o tym przekonany. – Jednak tak właśnie ma być, więc połączmy się z Claytonem.

– Przede wszystkim – wtrącił się Costigan – czy mogłabyś mi wyjaśnić, Jill, dlaczego poświęcają tak wspaniałego człowieka jak Kinnison na żalostną funkcję prezydenta? Jak wiesz, przez jakiś czas byłem na kosmicznej prowincji. To nie ma najmniejszego sensu.

– Dlatego, że jest on jedynym żyjącym człowiekiem, który może pokonać ekipę Morgana w wyborach – stwierdziła Jill oczywisty fakt. – Patrol przez jakiś czas sobie bez niego poradzi, a potem nie będzie to miało żadnego znaczenia.

– Jednak Morgan działa z za kulis. Dlaczego on tego nie robi?

– Mają zupełnie inne pobudki. Morgan jest bossem. A wujek Kinnison jest przywódcą. Rozumiesz?

– Och... tak przypuszczam... Tak. Bierzmy się do roboty.

Na pierwszy rzut oka w Nowojorskim Porcie Kosmicznym nie było widać większych zmian. O każdej porze dnia i nocy kłębiły się tam setki spacerujących bez celu bądź spieszących w określonym kierunku ludzi i dodatkowa setka nie robiła widocznej różnicy. Wydarzenie w Porcie

Kosmicznym było też ostatnim etapem działań Patrolu, które rozpoczęły się setki, tysiące, miliony a nawet miliardy mil od ziemskiej metropolii.

Stworzona została sieć, przez którą nawet meteoryt wielkości ziarnka piasku nie mógł przelecieć niezauważony. Na burcie każdego lecącego na Ziemię statku znajdował się przynajmniej jeden pasażer, którego w normalnej sytuacji by tam nie było; pasażer, który nawet jeśli nie używał Soczewki, dysponował odpowiednim to takich działań wyposażeniem służb specjalnych. Liczniki Geigera i inne znacznie bardziej złożone urządzenia leciały na Ziemię z każdego zakątka kosmosu, mknąc w stronę Nowego Jorku każdym możliwym środkiem ziemskiego transportu. Każdy pociąg, samolot i autobus, każda łódź, każdy samochód, każdy środek lokomocji i każdy przybywający do Nowego Jorku pieszy był równie szczegółowo co dyskretnie przeszukiwany. Prześwietlany był dosłownie każdy milimetr sześcienny każdego przedmiotu i każdej istoty, która pojawiała się w Nowojorskim Porcie Kosmicznym.

Nikt nie został aresztowany. Nie skonfiskowano ani nawet nie otwarto żadnego pakunku, zarówno w punktach kontroli bagażu i kontroli osobistej, jak i we wszelkiego rodzaju skrytkach. W rezultacie przeciwnik był do ostatniej chwili przekonany, że Patrol absolutnie niczego nie podejrzewa. A wówczas wysoki, chudy weteran o wysmaganej kosmicznymi wiatrami twarzy powiedział głośno, jakby do samego siebie:

– Uruchomić blokady promieni szpiegujących, zakłócenia i osłonę. Meldujcie.

Ten niski, cichy głos został odebrany przez każdy odbiornik służb specjalnych w promieniu tysiąca mil i przez każdego oczekującego go Lensmana, niezależnie od miejsca, w którym przebywał. Po kilku sekundach wszyscy usłyszeli też odpowiedzi.

– Blokady promieni szpiegujących uruchomione, sir.

– Zakłócenia uruchomione, sir.

– Osłona uruchomiona, sir.

Żaden promień szpiegujący nie był teraz w stanie przeniknąć w żadną część gigantycznego portu. Żaden promień komunikacyjny ani detonujący nie mógł działać w jego pobliżu. Nieprzyjaciel wiedział już, że coś poszło nie tak, nie był jednak w stanie nic na to poradzić.

– Przyjąłem raporty – rzekł, nie podnosząc głosu, mężczyzna o ogorzałej twarzy. – Operacja Zunk przebiega zgodnie z planem.

Następnie czterystu siedemdziesięciu jeden najlepiej wyszkolonych agentów, zaopatrzonych w duplikaty kluczy oraz inne niezbędne urządzenia i sprzęty, dyskretnie weszło w posiadanie czterystu siedemdziesięciu jeden przedmiotów mających równie wiele kształtów i rozmiarów. W gęstniejącym tłumie nie obyło się bez kilku incydentów, tu i tam pojawiały się pędzące karetki. Z raportów wynikało, że kilka kobiet bez wątpienia zemdlało. Zawsze to robiły.

Zaś Conway Costigan obserwował – choć nie było nawet widać, że patrzy w tę stronę – bagażowego, który ładował na wózek pękata torbę wyjętą ze schowka na bagaż. Podążył za nim do holu i podchodząc do niego, zapytał:

– Dokąd zabierasz ten bagaż, Charley?

– Na górę, pod pierwszy trap, szefie – padła niespieszna odpowiedź. – Rejs dziewięćdziesiąty będzie opóźniony z powodu tego zamieszania i pasażerowie chcą mieć bagaż pod ręką.

– Zawieź to na dół do...

Od lat wielu ludzi próbowało wziąć Conwaya Costigana z zaskoczenia lub uprzedzić jego ruch, jednak z zadziwiającą konsekwencją zawsze kończyło się to porażką. Pięść Lensmana przebyła dystans zaledwie siedmiu cali, a rzekomy bagażowy wydał zduszony okrzyk i odleciał czy raczej zatoczył do tyłu na jakieś siedem stóp, nim upadł i rozciągnął się nieprzytomny na ziemi.

– Odkazanie – powiedział Costigan jakby do samego siebie, podnosząc bezwładne ciało i układając je na stercie bagaży. – Czyściciel. Przednia część centralnej części. Klasa F–X; obiekt jest gorętszy niż piekielny rynsztok.

– Wzywał pan Czyściciela? – Podbiegł do niego mężczyzna. – Czy to F–X sześćset dziewiętnaście?

– Zgadza się. To dla pana, bagażowy i cała reszta. Proszę to stąd zabrać.

Costigan ruszył dalej i po chwili natknął się na Jacka Kinnisona, pod lewym okiem którego gwałtownie rozlewał się siniak.

– Jak to się stało, Jack? – zapytał ostrym tonem. – Coś przepuściliśmy?

– Niezupełnie. – Kinnison uśmiechnął się ponuro. – Miałem cholerne szczęście! Pewna kobieta, a właściwie starsza pani uznała, że zamierzam ją ograbić i walnęła mnie torebką, z lewej ręki, od tyłu. I jeśli będziesz się

śmiać, ty rozstrojona harfo, to sam przywalę ci w sam środek podbródka, więc lepiej mi pomóż!

– Daleko mi do tego – zapewnił go Costigan, któremu bynajmniej nie było do śmiechu. – Ciekawe, jak wszystko wypadnie? Mieli złożyć meldunki, zanim... pssst! Zaczyna się!

Odkazanie dobiegło końca, Operacja Zunk zakończyła się stuprocentowym sukcesem i obyło się bez ofiar.

– Nie licząc jednego podbitego oka – nie mógł się powstrzymać Costigan, jednak jego komunikator służb specjalnych i Soczewka były wyłączone. Jack trzasnęła go w łeb, gdyby było inaczej.

Obejmując się ramionami, dwaj młodzi Lensmani ruszyli w stronę czwartego trapu, przy którym mieli zająć posterunek.

W porcie kosmicznym zebrał się największy w historii ludzkości tłum. Wszyscy, w szczególności narodowcy, zastanawiali się, dlaczego to kulminacyjne polityczne wydarzenie ma się odbyć trzy tygodnie przed wyborami, niczyja ciekawość nie została jednak zaspokojona. Mało tego, jeszcze nigdy żadne zgromadzenie nie zostało tak rozreklamowane, nie poskapiono na to sił ani środków. Od tygodni trąbiły o nim wszystkie środki masowego przekazu, a podwładni Sammsa aktywnie uczestniczyli w rozpowszechnianiu plotek, które, jak to plotki, zmieniały się do tego stopnia, że nie rozpoznawali ich nawet własni rodzice. Zaś skonsternowani narodowcy, usiłując całą sprawę zbagatelizować, dolewali tylko oliwy do ognia. Zainteresowanie tym wydarzeniem rozprzestrzeniło się z Ameryki Północnej na pozostałe kontynenty oraz inne planety i układy słoneczne.

Dlatego w stwierdzeniu, że wszyscy byli zainteresowani Wielkim Wiecem Kosmokratów i śledzili jego przebieg, nie było szczególnej przesady.

Roderick Kinnison podszedł do baterii mikrofonów, niektóre ekrany zostały wyłączone.

– Zwracam się do wszystkich istot reprezentujących Cywilizację oraz pozostałych gości. Transmitowanie politycznego wiecu na inne kontynenty i planety może się wam wydać nieco dziwne, jednak w obecnej sytuacji jest to niezbędne. Fakty, które ujawnimy, nie dotyczą jedynie politycznej sytuacji Ameryki Północnej, jednego z kontynentów planety Tellus, lecz są bezpośrednio związane z czymś znacznie ważniejszym, ze sprawą

nadrzędnej wagi dla każdej inteligentnej istoty na każdej z zamieszkałych planet. Wiecie, jak dostroić wasze umysły do mojego. Zróbcie to teraz.

Szok wywołany niemal jednoczesnym połączeniem z tak wielką liczbą bytów wstrząsnął umysłem Kinnisona, szybko wziął się on jednak w garść i już przez Soczewkę kontynuował:

– Mojej pierwszej wiadomości nie kieruję do moich kolegów, kosmokratów, do mieszkańców Ziemi, czy nawet do przedstawicieli Cywilizacji, lecz do NASZYCH WROGÓW. I nie chodzi mi wcale o moich politycznych oponentów, narodowców, będących w absolutnej większości lojalnymi obywatelami Ameryki Północnej. Mam na myśli istoty, które wykorzystują przywódców tej narodowej partii niczym pionki w znacznie poważniejszej rozgrywce.

Wiem, że wy, NASI WROGOWIE, mnie teraz słuchacie. Wiem, że mieliście w tym tłumie zbirów, których zadaniem było zabicie mnie i mojego przełożonego. Wiem, że zostali oni unieszkodliwieni. Wiem, że za pomocą bomb atomowych zamierzaliście zetrzeć to zgromadzenie i całą okolicę z powierzchni Ziemi. Zostały one przechwycone i rozbrojone. Wiem, że mieliście ogromne zapasy radioaktywnego pyłu. Znajduje się on teraz w podziemnych magazynach Patrolu, pod Weehauken. Wszystkie środki, z których chcieliście skorzystać, zostały wyeliminowane bądź przechwycone. Oprócz jednego.

Tym wyjątkiem jest wasza wojenna flota; siła, która w waszym przekonaniu jest w stanie unicestwić Siły Zbrojne Galaktycznego Patrolu. Zamierzaliście jej użyć, gdyby kosmokraci wygrali nadchodzące wybory, możecie też zechcieć wykorzystać ją teraz. Jednak nawet wówczas nie uda wam się przerwać tego zgromadzenia ani na nie wpłynąć. To wszystko, co miałem wam do powiedzenia, wrogowie Cywilizacji.

Teraz zwracam się do was, moi prawowici słuchacze. I nie zamierzam wygłaszać żadnej przemowy, a jedynie przedstawić wam faktycznego mówcę, Pierwszego Lensmana, Virgila Sammsa...

Mentalne westchnienie wydane przez miliony umysłów zabrzmiało wyjątkowo wymownie.

... Tak, Pierwszego Lensmana Sammsa, którego wszyscy doskonale znacie. Nie występował on na politycznych wiecach, gdyż jako jego doradcy nie wyraziliśmy na to zgody. Dlaczego? Oto fakty. Za pośrednictwem Archibalda Isaacsona z firmy Podróże Międzygwiazdne

zaoferowano mu łapówkę, która po kilku latach osiągnęłaby wartość jakichś pięćdziesięciu miliardów kredytów, stając się największym kapitałem, jakim kiedykolwiek dysponował pojedynczy człowiek. Następnie zorganizowano zamach na jego życie, który z trudem udało nam się udaremnić. Wiedząc, że w żadnym innym miejscu na Ziemi nie będzie on bezpieczny, przewieźliśmy go do Wzgórza. Wiecie, co się później wydarzyło i w jakim ono jest obecnie stanie. Ten atak został przypisany piratom.

Cała ta diabelska operacja została jednak przeprowadzona w jednym celu; była daremną próbą wyeliminowania konkretnego człowieka, Virgila Sammsa. Nasz przeciwnik, podobnie jak my, zdawał sobie sprawę, że Virgil Samms jest największym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na Ziemi. Jego imię będzie pamiętane tak długo, jak długo istnieć będzie Cywilizacja, gdyż jest on jedynym człowiekiem, dzięki któremu jest ona w stanie przetrwać.

Dlaczego nie zabili mnie? Dlaczego pozwolili mi wygłaszać przemówienia na wyborczych wiecach? Dlatego, że ja jestem nieistotny. Nie znaczę dla sprawy Cywilizacji więcej, niż mój przeciwnik, Whitterspoon, dla sprawy naszego wroga.

Jestem człowiekiem czynu, frontmanem. Wszyscy mnie znacie, Granitowego Roda Kinnisona, twardziela. Mam odwagę walczyć o słuszną sprawę. Mam w sobie dość odwagi i determinacji, by zmierzyć się z każdym, czy będzie to człowiek, bestia czy sam diabeł. Mogę być i BĘDĘ dobrym prezydentem. Mam dość odwagi i determinacji, by prowadzić tę walkę także po wyborach i przysięgam Bogu, że zniszczę każdego politycznego bandziora, który spróbuje najmniejszą nawet część naszego rządu wciąż taplać w cuchnącym łajnie, w jakim się teraz znajduje.

Jestem frontmanem i wojownikiem, jednak nie ma we mnie nawet odrobiny tego płomienia twórczego geniuszu, który czyni Virgila Sammsa tak wyjątkowym. Ludzie o moim charakterze są istotni, jednak ja jako jednostka już nie. Jest nas tak wielu! Gdyby mnie zabito, zastąpiłby mnie inny wojownik i efekt byłby zerowy.

Jednak Virgila Sammsa nie da się zamienić i nasz wróg o tym wie. Jest on wyjątkową postacią w całych dziejach. Nikt inny nie był w stanie temu podołać. Jeśli zginie, zanim na trwale ustalą się zasady, nad którymi pracuje, Cywilizacja cofnie się do wieków barbarzyństwa. I nie odrodzi się,

dopóki nie pojawi się kolejny taki umysł, jednak sami potraficie wyliczyć prawdopodobieństwo takiego wydarzenia.

Dlatego też Virgil Samms nie przebywa tu osobiście. Nie ma go także we Wzgórzu, gdyż sądzimy, że wróg może posiadać już broń zdolną do zniszczenia nie tylko tej niezdobytej dotąd fortecy, lecz także całej Ziemi. A zniszczyłby ją bez skrupułów, gdyby pomogło mu to w zabiciu Pierwszego Lensmana.

I dlatego Samms znajduje się teraz w głębokim kosmosie. Nasza flota czeka na atak. Jeśli wygramy, Galaktyczny Patrol będzie kontynuował swoją misję. Jeśli przegramy, mamy nadzieję, że poznacie prawdę wystarczająco szybko, by nasza śmierć nie poszła na marne.

– Śmierć? Dlaczego mielibyście umierać? Na Ziemi jesteście bezpieczni!

– A tę myśl wysłał jeden ze zbirów. Jeśli nasza flota zostanie pokonana, żaden Lensman we wszechświecie nie żyje dłużej niż tydzień. Wróg się o to postara. To wszystko z mojej strony. Pozostańcie dostrojeni. Proszę, Pierwszy Lensmanie, Virgilu Sammsie... przekazuję panu inicjatywę.

Było psychologiczną niemożliwością, by Virgil Samms użył języka, jakim posłużył się właśnie Kinnison. Nie było to zresztą niezbędne, ani nawet pożądane, gdyż grunt został przygotowany. Dlatego też w chłodny, bezosobowy, logiczny i obrazowy sposób opowiedział on całą tę przerażającą historię. Wymieniał najistotniejsze fakty, ujawnione przez najbardziej niezmordowanych śledczych Patrolu, wymieniał nazwiska, miejsca, daty, transakcje i ich wielkość. I dopiero przez ostatnie kilka minut jego myśli stały się nieco cieplejsze.

– Nie traktujcie jednak tego w żadnym wypadku jako kampanijnych oszczerstw czy nieuzasadnionych oskarżeń, mających zaciemnić obraz sytuacji bądź bez powodu oszkalować mojego politycznego oponenta u progu wyborów.

To wszystko są fakty. Formułowanie formalnych aktów oskarżenia jest teraz priorytetem. Każda z wymienionych osób, podobnie jak wiele innych, zostanie aresztowana tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli którakolwiek z nich będzie niewinna, zarzuty można legalnie obalić w czasie krótszym niż trzy tygodnie i oczyścić się z zarzutów przed dniem wyborów. Dlatego to spotkanie zostało zorganizowane właśnie teraz.

Żaden z nich nie jest niewinny. Są winni i zdając sobie sprawę, że to udowodnimy, będą stosować taktykę opóźnień i zwrotnych oskarżeń. Jako że większość naszych sądów jest sprawiedliwa, oskarżony będzie mógł przesunąć termin rozprawy i prezentacji dowodów tak, by odbyły się one po wyborach. Jednak dzięki naszym ostrzeżeniom będziecie wiedzieć, dlaczego sądy przesuwają terminy rozpraw i bez względu na potoki dezinformacji będziecie wiedzieć, gdzie leży prawda. Będziecie wiedzieć, jak wykorzystać swój głos. Zagłosujecie na Rodericka Kinnisona i tych, którzy go wspierają.

Nie ma potrzeby wyolbrzymiania zasług wiceadmirała Kinnisona. Znaćcie go równie dobrze, jak ja. Jest uczciwy, nieprzekupny i nieustraszony i wiecie doskonale, że będzie najlepszym prezydentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Jeśli wciąż nie jesteście tego pewni, zapytajcie kogokolwiek z setek tysięcy silnych, zdolnych i bystrych młodych kobiet i mężczyzn, którzy kiedykolwiek służyli pod jego dowództwem w siłach zbrojnych.

Dziękuję wszystkim tym, którzy mnie słuchali, za uwagę.

[4] Aluzja do zdania: „Nadszedł czas, by wszyscy ludzie dobrej woli pospieszili na pomoc ojczyźnie”. W 1888 r. Frank McGurrian, stenograf sądowy z Salt Lake City, zapisując właśnie to zdanie wygrał w Cincinnati konkurs w pisaniu na maszynie na czas, przechodząc do historii jako twórca i propagator metody pisania bezwzrokowego.

ROZDZIAŁ 19

Dopóki Clayton z Ameryki Północnej i Schweikert z Europy byli komandorami, trzymali się raczej blisko swej macierzystej planety, nie licząc sporadycznych urlopów. Jednak w trakcie formowania Galaktycznego Patrołu, kiedy awansowali na admirała i wiceadmirała Pierwszego Galaktycznego Regionu i zaczęli korzystać z Soczewek, zasięg ich działalności znacznie się powiększył. Jednego z nich zawsze można było spotkać w kwaterze głównej Wielkiej Floty w Nowojorskim Porcie Kosmicznym, jednak bardzo rzadko bywali tam w tym samym czasie. I jeśli któryś z nich nie znajdował się akurat na Ziemi, nie stanowiło to większego problemu. Do Pierwszego Galaktycznego Regionu należały wszystkie systemy słoneczne i planety zamieszkane przez zwolenników Cywilizacji, więc nieobecny mógł wypełniać swoje zadania i obowiązki praktycznie wszędzie.

Zwykle jednak nie znajdował się on na żadnej z ogólnie znanych planet, lecz na Bennecie, gdzie poznawał oficerów, nadzorował ćwiczenia Wielkiej Floty, doskonalącej nowe manewry, prowadził zajęcia z zaawansowanej strategii i ogólnie służył wszelką radą. Była to ciężka i niezbyt twórcza praca, przyniosła jednak nieocenione wyniki. Poznali swoich ludzi, a oni poznali ich. Mogli działać razem z niemożliwą w innym przypadku energią, płynnością i precyzją. Wysocy rangą oficerowie z zewnątrz, którzy nie znają swoich podwładnych i nie są przez nich rozpoznawani, nie mogą liczyć na głęboki respekt i nieudawany szacunek, absolutnie niezbędne dla wysokiego morale.

Clayton i Schweikert cieszyli się zarówno jednym jak i drugim. Zaczęli odpowiednio wcześniej, dostatecznie ciężko pracowali i mieli wystarczające zadatki, by na nie zarobić. I właśnie dlatego, kiedy w wyznaczonym dniu obaj admirałowie przybyli na Bennett, przyjęto ich z takim entuzjazmem, jakby byli rdzennymi mieszkańcami planety. Zaś kiedy Clayton przekazał rozkazy, na które tak długo i z taką niecierpliwością czekano, powitanie zamieniło się w ogólnoplanetarne święto. Opuszczenie planety stało się w końcu możliwe!

Oddział za oddziałem, segment za segmentem, wszystkie pododdziały Wielkiej Floty Galaktycznego Patrolu startowały z planety. Zebrały się w kosmosie, wykonały szereg manewrów, tworząc coś w rodzaju spójnej jedności, przeciwiczyły kilka nowych manewrów i w szyku pomknęły w kierunku Sol. I kiedy ta gigantyczna armada zbliżała się do Systemu Słonecznego, spotkały ją, czy raczej dołączyły do niej te statki Patrolu, o których istnieniu Morgan i jego podwładni już wiedzieli. Każdy z nich zajął przypisaną mu pozycję. Każda z planet Cywilizacji wysłała każdą swoją jednostkę zaopatrzoną w ekran ochronny i emiter promieni, jednak Wielka Flota dysponowała tak olbrzymią liczbą okrętów wojennych, że nawet to względnie duże liczebne wsparcie nie zrobiło widocznej różnicy.

W trakcie wiecu Wielka Flota stacjonowała w gotowości bojowej w pobliżu Ziemi. Zaraz po przedstawieniu Sammsa niezwykle zaabsorbowanym uczestnikom wiecu, Roderick Kinnison zniknął. W rzeczywistości przejechał on „pluskwą” na odległy kraniec lądowiska i opuścił Ziemię na pokładzie lekkiego krążownika, wszyscy byli jednak tak skoncentrowani na tym, co mówił Samms, że zgodnie z planem wydawało się, że Kinnison po prostu wyparował. Samms znajdował się już na pokładzie *Boise*, zaś kontradmirał udał się na swój dawny okręt flagowy, *Chicago*. Na wypadek, gdyby któryś z obserwatorów wroga próbował go śledzić, jego trasa była niemożliwa do namierzenia. Zadbali o to Cleveland, Northrop i Rularion, mający do swej dyspozycji całe nieprzebrane zasoby Patrolu.

Nie było najmniejszego powodu, aby Samms i Kinnison osobiście towarzyszyli Wielkiej Flocie, i obaj zdawali sobie z tego sprawę. Wszyscy wiedzieli jednak, dlaczego tu są i doceniali fakt, że dwaj główni Lensmani postanowili przeżyć albo zginąć wraz ze swą Flotą. Jeśli Wielka Flota zwycięży, zapewne przeżyją; jeśli przegra, bez wątpienia stracą życie. I nawet jeśli nie zginą podczas eksplozji swych statków, na Ziemi nie przeżyją nawet kilku dni. Ich obecność mogła znacząco wpłynąć na morale Floty i podjęcie takiego ryzyka było bez wątpienia uzasadnione.

Clayton i Schweikert nie przebywali w jednym miejscu, nie znajdowali się nawet blisko siebie. Samms, Kinnison i obaj admirałowie byli tak daleko jeden od drugiego, jak to tylko możliwe, wciąż pozostając przy tym częścią cylindra bojowego Wielkiej Floty.

Cylindra? Tak. Strategiczna Komisja Patrołu, zakładając, że przeciwnik zastosuje podczas ataku tradycyjny szyk w formie stożka i że jeden stożek może pokonać drugi tylko po długiej i wyczerpującej walce, przez wiele miesięcy przeprowadzała na swych symulatorach gry wojenne, aby wypracować lepszą formację. I dopięła swego. W teorii odpowiednio sformowany cylinder był w stanie w bardzo krótkim czasie pokonać najlepiej nawet sformowany stożek przeciwnika, ponosząc przy tym minimalne straty. Jedynym mankamentem był fakt, że statki wchodzące w skład teoretycznie skutecznego cylindra musiały być wysoce wyspecjalizowane i znacznie przewyższać liczbą każdą stworzoną dotychczas kosmiczną armadę. Jednak wykorzystując do jej budowy wszystkie zasoby Bennetta, udało się z tym problemem uporać.

Pojawiło się oczywiście pytanie, co stanie się, jeśli stratedzy Czarnej Floty wpadli na podobne rozwiązanie i cylinder napotka cylinder, jednak ta kwestia pozostawała otwartą. Czy raczej było zbyt wiele sprzecznych ze sobą odpowiedzi. Jak w przypadku klasycznego pytania: co stanie się, jeśli z olbrzymią siłą uderzyć w nieruchomy obiekt? Może pojawić się cała masa niezwykle ciekawych efektów ubocznych!

Nawet Rularion z Jowisza nie znalazł satysfakcjonującego rozwiązania. Podobnie jak Bergenholm, którego, choć był on stosunkowo mało znanym naukowcem Lensmanem i nie należał do Galaktycznego Patrołu, regularnie zapraszano na konsultacje z racji jego unikalnej umiejętności wyciągania właściwych wniosków za pomocą trudnych do wyjaśnienia i opartych na przebłyskach procesów myślowych.

– No cóż – stwierdził na koniec kontradmirał Kinnison. – Jeśli oni także użyją cylindra, będziemy musieli skrócić nasz własny, rozszerzyć go i modlić się o zwycięstwo.

– Clayton do wiceadmirała Kinnisona – rozległo się z głośnika. – Masz jakieś dodatkowe rozkazy albo wskazówki?

– Kinnison do admirała Clayтона. Nie mam żadnych nowych rozkazów – udzielił kontradmirał formalnej odpowiedzi, po czym kontynuował przez Soczewkę: – Nie mam żadnych uwag ani zastrzeżeń, Alex. Twoi ludzie odwalili kawał dobrej roboty, tak trzymać. Jak dużą przestrzeń kontrolują wasze detektory?

– Dwanaście detetów, mamy trzy szyki sferyczne. Jeśli będziemy tu siedzieć beczynnie, chłopcy zrobią się nerwowi i stracą formę, więc

jeśli ty i Virge wyrazicie zgodę, zapewnimy im trochę treningu. Bardzo tego potrzebują, gdyż dzięki temu zachowają czujność. Jednak Czarni mogą opóźnić podjęcie jakichkolwiek działań, dopóki nie pękniemy z nudów. Co o tym sądzisz?

– Także mnie to niepokoi. Ćwiczenia mogą nam pomóc, nie wiem jednak, czy w wystarczającym stopniu. Co o tym sądzisz, Virge? Będą celowo grać na zwłokę, czy uderzą szybko?

– Uderzą szybko – bezzwłocznie i bez wahania odparł Pierwszy Lensman. – Tak szybko, jak to tylko możliwe, a to z kilku powodów. Choć my nie wiemy niczego o ich potencjale, oni także nie znają naszej realnej siły. Są jednak bez wątpienia przekonani, podobnie zresztą jak my, że posiadają liczniejszą i bardziej skuteczną flotę. Sprawdzając ją w boju, poznają nasze siły. W odróżnieniu od nas, nie przywiązują oni większej wagi do morale; nie pozwala im na to sam charakter ich reżimu. Otwarte wyzwanie, jakie im rzuciliśmy, również bez wątpienia sprowokowało ich do działania, gdyż bardziej nawet niż nam zależy im na zachowaniu twarzy. Uderzą tak szybko, jak to tylko możliwe, z całą możliwą mocą.

Wielka Flota rozpoczęła manewry, jednak zaledwie dzień później zawyły sygnały alarmowe. Nieprzyjaciel został namierzony i nadciągał, podobnie jak poprzednia Czarna Flota, od strony Warkocza Bereniki. Komputery pracowały na pełnych obrotach; przesłano rozkazy i krótką sekwencję liczb; setki, tysiące statków mknęły na wyznaczone pozycje.

Czy też, wyrażając się ściślej, w ich pobliże. W związku z radykalnymi zmianami w kierunku osiowym większość nawigatorów i pilotów nie miała dostatecznego doświadczenia, by zrobić to za pierwszym podejściem, poradzili sobie jednak całkiem nieźle. Wystarczyło kilka minut ekwilibrystyki i manewrowania. Clayton i Schweikert pozwolili sobie na kilka kąśliwych uwag przez Soczewki, oczywiście tylko pod adresem swych kolegów Lensmanów, jednak Samms i Kinnison byli usatysfakcjonowani. Szyk został uformowany w wystarczająco krótkim czasie, a stożek był regularny, symetryczny, z idealnie równomiernym rozkładem jednostek.

Wstępny szyk miał kształt stożka, a nie cylindra. Przy czym nie był to klasyczny stożek bojowy i nie miał standardowej struktury; był zbyt duży i składał się, jak na tej wielkości formację, ze zbyt wielkiej liczby statków. Miał jednak tradycyjny kształt i liczone na to, że w momencie, kiedy

nieprzyjaciel zauważy jakieś istotne różnice, nie będzie miał już czasu na reakcję. Chwilę później miał być zresztą sformowany cylinder i wszyscy byli niemal pewni, a przynajmniej bardzo liczyli na to, że także wówczas przeciwnik nie będzie miał już czasu, umiejętności ani środków na skuteczne przeciwdziałanie.

Połączony umysłowo z Claytonem Kinnison uśmiechnął się pod wąsem, gdy na ekranie admirała ujrzał powiększony obraz bojowego stożka przeciwnika. Miał on olbrzymie rozmiary, dysponował olbrzymią mocą bojową i znane opinii publicznej siły zbrojne Galaktycznego Patrolu zostałyby przez niego rozniesione w pył. Zdaniem kontradmirała nie był jednak wystarczająco duży, by sformować skuteczny szyk cylindryczny czy w jakikolwiek inny sposób stawić czoło realnym siłom Patrolu i jeśli w ciągu dwóch najbliższych sekund nieprzyjaciel nie przegrupuje swych sił, znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki niemal dziewięćdziesiąt pięć procent gigantycznego stożka Patrolu przekształciło się w zwarty, podwójny cylinder. Ten manewr był znacznie łatwiejszy od poprzedniego i został dopracowany do perfekcji. Paszcza stożka przymknęła się i wydłużyła, jego przeciwna strona rozszerzyła i skróciła. Promienie transportowe i odpychające przeskakiwały ze statku na statek, wiążąc te miriady niewidocznych dotąd jednostek w jednolitą strukturę równie wytrzymałą, gdyby zachować proporcje, jak most wspornikowy. I zamiast pozostać bez ruchu w oczekiwaniu na atak, cylinder z maksymalną prędkością, ruchem bezinercyjnym ruszył do boju.

Z biegiem lat szybkość, efektywność i czysta brutalna siła broni ofensywnej sukcesywnie rosły. Uzbrojenie defensywne nie pozostawało w tyle. Istniała jednak pewna fundamentalna prawda, która nie zmieniona przez wieki, wciąż pozostawała aktualna. Trzy bądź więcej jednostek danego rodzaju uzbrojenia zawsze jest w stanie pokonać jednostkę o tej samej sile, jeśli nie otrzyma ona pomocy z zewnątrz; w rzeczywistości są tego w stanie dokonać także dwie jednostki. Dlatego podstawowym zadaniem strategów jest po dziś dzień opracowywanie nowych forteli i technik, dzięki którym dwie lub więcej jednostek mogłyby pokonać równą sobie jednostkę tego samego rodzaju, ograniczając przy tym do minimum możliwość kontrataku.

Wielka Flota Patrolu wykonała błyskawiczny skok niemal dokładnie wzdłuż osi stożka Czarnych, dokładnie tam, gdzie oczekiwał tego przeciwnik. Prosto w rozwartą paszczę, wznecając erupcję płomieni, przy których blakły najdziksze nawet wyobrażenia o ogniach piekielnych. Dokładnie wzdłuż tej wstrząsanej eksplozjami osi stożka, w stronę jego wierzchołka, z wściekłą prędkością dwóch przeciwstawnych sobie sił. Jednak ku bezbrzeżnemu zdumieniu naczelnego dowództwa Czarnych, nie wydarzyło się nic szczególnego. Gdyż, jak już wspomniano, struktura tego cylindra daleko odbiegała od normy. W rzeczywistości w jego skład nie wchodził ani jeden klasyczny statek wojenny. Otoczka i oba boki cylindra miały czysto defensywny charakter. Wszystkie te jednostki, znajdujące się tak blisko siebie, że ich pola odpychające wręcz się stykały, tworzyły jeden wielki ekran ochronny, żadna z nich nie dysponowała jednak dostateczną siłą ognia, by podpalić choćby zapalkę. Zaś warstwa wewnętrzna, czy raczej „rdzeń”, składała się niemal wyłącznie z jednostek ofensywnych. Te musiały być bardzo dokładnie chronione, mogli je jednak znakomicie wykorzystać!

Prowadząca i zamykająca część formacji, czyli obie końcówki tej, mówiąc obrazowo, gigantycznej rury, miały przyjąć na siebie główne uderzenie Czarnych i ta oczywista okoliczność dostarczała strategom Patrolu największych zgryzot. Dlatego też dziesięć pierwszych i sześć ostatnich podwójnych pierścieni formacji składało się z wyjątkowych jednostek. Stanowiły one wyłącznie ekran ochronny. Były zdalnie sterowanymi dronami, na pokładzie których nie było ani jednej żywej istoty. Gdyby straty Patrolu udało się ograniczyć do ośmiu podwójnych pierścieni przy pierwszym podejściu i czterech przy drugim, choć obliczenia teoretyczne zakładały stratę sześciu i dwóch pierścieni, Samms i jego towarzysze byliby w pełni zadowoleni.

Każdy ze statków Patrolu posiadał oczywiście standardowe wyposażenie, składające się z tak zwanych „fioletowych”, „zielonych” i „czerwonych” pól siłowych oraz chemicznych i atomowych bomb, zdalnie sterowanych torped, transporterów, ostrzy tnących, wiertel policyklicznych i temu podobnych, jednak podczas tego starcia największą nadzieję pokładano w czystej, brutalnej i niszczącej mocy czegoś, co określono mianem „makro promienia”, a obecnie nazywano po prostu „promieniem”. Ponadto w niewiarygodnie rozżarzonej części pola walki, gdzie cylinder

miał zaatakować stożek w jego najmocniejszym punkcie, żaden możliwy do wyobrażenia materialny pocisk nie byłby w stanie przetrwać nawet jednej milisekundy po opuszczeniu pola siłowego swego macierzystego statku. Mógł poruszać się z dostateczną prędkością, a ultrapromienie naprowadzające mogły sterować nim wystarczająco szybko i precyzyjnie, jednak zanim zdążyłby przebyć nawet kilka centymetrów, nawet z szybkością nadświatlną, po prostu przestałby istnieć. Zostałby rozbity na subatomowe cząstki składowe i fale. Żaden obiekt materialny nie mógł istnieć dłużej, niż przez ułamek chwili w polu siłowym stanowiącym oś stożka bojowego Czarnych. Polu, przy którym nawet samo centrum rozbłysku o mocy wielu miliardów woltów stanowiłoby martwą strefę.

To pole nie natrafiło jednak na żaden obiekt materialny. Jednostki ekranujące Patrolu, znajdujące się tak blisko siebie, że ich pola siłowe tworzyły czterystuprocentową zakładkę, zostały zaprojektowane w taki sposób, by przetrwać w takim właśnie niewyobrażalnym środowisku. I niemal wszystkim się to udało. Zaś ułamek sekundy później przedni, wydrążony kraniec cylindra wchłonął, niczym rura, cały wierzchołek stożka bojowego przeciwnika, a beczynne dotychczas statki bojowe, tworzące rdzeń cylindra, przystąpiły do akcji.

Każdy z tych statków dysponował potężnym promieniem odpychającym. Każdy z tych promieni miał jednakową moc i był skierowany do wewnątrz, w stronę osi cylindra, i w tył, pod kątem piętnastu stopni do linii łączącej statek z tą osią. Dlatego każdy statek Czarnych, który znalazł się wewnątrz cylindra, zostawał przemieszczony w stronę osi i przepchnięty wzdłuż niej do tyłu. Jednak żaden z nich nie dotarł zbyt daleko. Siłą rzeczy poruszały się one w jednym rzędzie, a każdy z nich miał przeciwko sobie co najmniej jeden gęsty pierścień olbrzymich statków bojowych, które nie musząc martwić się obroną, mogły w pełni wykorzystać swe potężne zasoby energii do zasilenia promieni ofensywnych. Dlatego też dysproporcje w sile rażenia nie wynosiły zaledwie dwa czy trzy do jednego, lecz co najmniej osiemdziesiąt, a bardzo często ponad sto do jednego.

Pod działaniem tych niewyobrażalnych strumieni energii ekrany wchłoniętych do cylindra statków rozbłyskiwały niemal natychmiast wszystkimi barwami spektrum, po czym gasły. Przy czym fakt, czy miały one dwie, trzy czy cztery warstwy, czego nie były w stanie określić nawet

superszybkie analizatory obserwatorów, nie miał najmniejszego znaczenia. Po upływie kilku mikrosekund padały również tarcze ochronne wykonane z najwytrzymalszych znanych ludzkości materiałów. Następnie potoki bezlitosnej energii uderzały w nagi, pozbawiony ochrony metal i każda nieorganiczna i organiczna molekula statku i jego zawartości zniknęła w oślepiającym rozbłysku energii tak dzięki i niszczycielskiej, że wprawiała w osłupienie nawet tych, którzy powołali ją do życia. Nie była to oczywiście zwykła wolatyliczacja; okazało się później, że niestabilne izotopy z posiadanych przez piratów bomb pod działaniem przeraźliwie wysokich temperatur panujących wewnątrz quasi-stałych promieni Patrolu zainicjowały reakcję łańcuchową, której wynikiem było rozszczepienie jąder atomowych w zazwyczaj absolutnie stabilnych pierwiastkach!

Cylinder się zatrzymał i Lensmani dokonali oceny sytuacji. W przedniej części formacji zniszczeniu uległo niemal dokładnie sześć podwójnych pierścieni dronów. W niektórych miejscach szósty pierścień pozostawał nietknięty, w innych, narażonych na wyjątkowo intensywne salwy promieni, zniszczony był także siódmy. Straty w załogowych statkach bojowych wyniosły zaledwie ułamek procenta. Choć sama walka trwała niezwykle krótko, przeciwnikowi udało się skoncentrować wystarczającą ilość promieni, by wypalić w ścianach atakującego cylindra kilka dziur.

Nikt nie liczył na to, że za pierwszym podejściem uda się wyeliminować więcej, niż kilkaset okrętów Czarnej Floty. W sztabie generalnym panowała jednak pewność, że będą wśród nich najcięższe i najlepiej uzbrojone jednostki, łącznie z tymi, na pokładzie których znajdowało się naczelne dowództwo nieprzyjaciela. Środkowa sekcja wierzchołka klasycznego bojowego stożka zawsze była najbezpieczniejszym punktem tej formacji. Dlatego tam właśnie znajdowali się admirałowie Czarnych i z tego samego powodu w tej chwili byli już martwi.

Po kilku sekundach stało się jasne, że jeśli istnieje jeszcze jakieś naczelne dowództwo Czarnych, nie jest ono już w stanie sprawnie funkcjonować. Kilka statków wroga wciąż mknęło bez żadnej koordynacji w stronę części stożka, którą cylinder zostawił już za sobą. Niektóre próbowały sformować coś na kształt szyku, zamierzając zapewne przypuścić atak na cylinder. Panował widoczny rozgardiasz i brak zdecydowania.

Obrócenie cylindra zagłady o sto osiemdziesiąt stopni zajęłoby kilka godzin, nie było to jednak konieczne. Zamiast tego każda jednostka wyłączyła swe promienie transportowe i odpychające, zamieniła je miejscami, na powrót podłączyła i ustawiła niemal dokładnie na poprzednich koordynatach, odcinając i roznosząc w pył kolejny „klin” Czarnych. Kolejna zamiana i kolejna czystka. Także tym razem nieprzyjaciół był w takim popłochu, a jego ostrzał tak słaby, że Patrol nie stracił nawet jednej jednostki. Czarna Flota, jeszcze kilka minut wcześniej tak dumna i pewna zwycięstwa, została całkowicie rozgromiona.

– Chyba wystarczy, Rod, jak sądzisz? – zapytał w myślach Samms. – Wydadź Claytonowi rozkaz, by przerwał akcję, byśmy mogli rozpocząć negocjacje z ich starszymi oficerami.

– Do diabła z negocjacjami. – Przesłana przez Roda odpowiedź przypominała warknięcie. – Są w odwrocie; zmiećmy ich, zanim zdążą się przegrupować. Cholerne negocjacje!

– Od pewnego momentu działania zbrojne przekształcają się w rzeź dokonywaną na bezbronnym przeciwniku, czego nigdy nie dopuści się nasz Galaktyczny Patrol. Ten moment właśnie nastąpił. Jeśli się ze mną nie zgadzasz, z chęcią zwołam zebranie Rady, aby zdecydowano, który z nas ma rację.

– To nie będzie konieczne. Masz rację i właśnie dlatego nie jestem Pierwszym Lensmanem. – Kontradmiral, z furią wycofując się z jego umysłu, wydał odpowiednie rozkazy i armada Patrolu zawisła nieruchomo w kosmosie. – Jako przewodniczący Rady Galaktycznej, Virge, przejmujesz dowodzenie.

Promienie szpiegujące przeczesaly przestrzeń i namierzyły cel, wysłany został promień komunikacyjny. Virgil Samms, używając uniwersalnego języka głębokiego kosmosu, powiedział na głos:

– Proszę mnie połączyć z najwyższym rangą oficerem waszej floty.

Na ekranie Sammsa pojawiła się silna i bynajmniej nie szpetna twarz; naznaczone pełną goryczy rozpaczą oblicze silnego mężczyzny stojącego oko w oko z nieuchronną śmiercią.

– Zwyciężyliście. Możecie nas tylko dobić.

– Spodziewaliśmy się, że zostaliście poddani podobnej indoktrynacji. Sądzę jednak, że bez większego trudu uda nam się was przekonać, że wszystko, co powiedziano wam o naszych celach, zasadach etycznych,

morale i standardach postępowania było szeroko zakrojoną akcją dezinformacyjną. Przypuszczam, że przeżyło więcej oficerów mających taką samą jak pan rangę, lecz niższe stanowisko?

– Jest jeszcze dziesięciu innych wiceadmirałów, jednak to ja dowodzę. Podporządkują się moim rozkazom albo zginą.

– Tak czy inaczej powinni zostać wysłuchani. Przejdźcie, proszę, na lot inercyjny, zrównajcie nasze prędkości rzeczywiste i przejdźcie na nasz pokład; cała wasza jedenastka. Chcemy omówić z wami warunki zawarcia trwałego pokoju pomiędzy naszymi światami.

– Pokoju? Ha! I po co te kłamstwa? – Wyraz twarzy dowódcy Czarnych nie uległ zmianie. – Wiemy, kim jesteście i jaki jest los podbitych przez was ras. Wolimy szybką i bezbolesną śmierć od waszych promieni, od tej, która czeka nas w waszych salach tortur i eksperymentalnych laboratoriach. Zaczynajcie; zamierzam ruszyć do ataku, kiedy tylko uda mi się sformować sztyk.

– Powtarzam, zostaliście ofiarami przeprowadzonej na olbrzymią skalę kampanii dezinformacyjnej. – Samms mówił cichym i opanowanym głosem, patrząc wprost w oczy swego rozmówcy. – Nie jesteśmy żadnymi dzikusami ani barbarzyńcami, lecz cywilizowanymi ludźmi. Czy nie zastanawia was fakt, że tak szybko przerwaliśmy działania zaczepne?

Po raz pierwszy w wyrazie twarzy nieznajomego zaszła nieznaczna zmiana i Samms zyskał drobną przewagę.

– Widzę, że tak. Teraz, za pańskim pozwoleniem, nawiążę z panem kontakt umysłowy... – Pierwszy Lensman nastawił się na osobowość mężczyzny i zaczął do niej dostrajać, tego było już jednak za wiele.

– Nic z tego! – Pirat zablokował dostęp do swego umysłu. – Nie chcę mieć do czynienia z waszymi przeklętymi Soczewkami. Wiem, czym one są i na nic się wam one nie przydadzą!

– I co chcesz tym osiągnąć, Virge! – warknął Kinnison. – Kończmy to, co zaczęliśmy!

– Bardzo dużo, Rod – odparł Samms spokojnie. – To punkt zwrotny. Jestem tego pewien. Nie mogę się aż tak mylić. – Ponownie zwrócił się do dowódcy przeciwników.

– W porządku, sir, będziemy kontynuować naszą rozmowę na głos. Powtórzę swą prośbę, aby wraz z dziesięcioma pozostałymi wiceadmirałami przeszedł pan na nasz pokład. Nie będziemy prosić, byście

się poddali. Będziecie mogli zatrzymać swą broń osobistą pod warunkiem, że nie będziecie próbowali jej użyć. Niezależnie od wyniku rozmów, będziecie mogli bezpiecznie wrócić na swoje statki przed wznowieniem bitwy.

– Co takiego? Broń osobistą? Wrócić? Daje pan słowo?

– Jako przewodniczący Rady Galaktycznej, w obecności najwyższych rangą oficerów Galaktycznego Patrolu, daję na to moje słowo honoru.

– Przejdziemy więc na wasz statek.

– Znakomicie. Będzie ze mną dziesięciu innych Lensmanów i oficerów.

Najpierw na lot inercyjny przeszedł oczywiście *Boise*, w jego ślady poszedł *Chicago* oraz dziewięć mających kształt łyżki kolosów z Bennetta. Kontradmirał Kinnison wraz z dziewięcioma innymi Lensmanami spotkali się z Samsem w sterowni *Boise*. Zwarta formacja statków Patrolu mknęła zgodnie z kosmiczną etykietą na spotkanie równie zwartej formacji bojowych statków Czarnych, by w połowie drogi zrównać prędkości rzeczywiste.

Po chwili dwie minifloty znieruchomiały wobec siebie nawzajem. Wystartowało jedenaście pirackich szalup. Jedenastu pirackich wiceadmiratów, którzy weszli na pokład, zostało podjętych z wojskowymi honorami, jakie tradycyjnie oddawano admirałom sojusznicznych sił zbrojnych. Ich przyboczna broń do złudzenia przypominała używane w Patrolu miotacze typu Lewiston i Mark Siedemnaście. Jako pierwszy wszedł wysoki i dobrze zbudowany siwy mężczyzna; ten, z którym rozmawiał Samms. Wciąż nieufny i posepny, starał się za wszelką cenę ukryć swą kompletną rozpacz. Wciąż też całkowicie blokował dostęp do swego umysłu.

Mężczyzna idący jako drugi był znacznie młodszy od dowódcy, znacznie mniej podenerwowany i znacznie bardziej skupiony. Samms wysondował jego osobowość, dostroił się do niej i przeżył jeden z najbardziej szokujących momentów w swoim życiu. Umysł wiceadmirala Czarnych był kompletnie inny, niż się tego spodziewał; pod każdym względem nadawał się on na Lensmana!

– Och... w jaki sposób? Pan nic do mnie nie mówi, a ja... rozumiem... to soczewki... SOCZEWKI!

Przez kilka sekund w umyśle nieznanego panował kompletny zamęt, w którym ulga walczyła o pierwszeństwo z wdzięcznością i nadzieją.

W ciągu kolejnych kilku sekund, jeszcze zanim goście dotarli do swych miejsc za stołem konferencyjnym, Virgil Samms i Corander z Petrine wymienili ze sobą myśli, których wyrażenie wymagałoby użycia tysięcy słów, choć w tym przypadku wystarczyłoby ich zaledwie kilka.

– SOCZEWKA... Marzyłem o czymś takim, nie mając przy tym nadziei, że uda mi się to marzenie zrealizować. Jak bardzo zostaliśmy wprowadzeni w błąd! Więc naprawdę są one na twojej planecie dostępne, Sammsie z Tellusa?

– Niezupełnie i w żadnym wypadku nie są one powszechne. – I Samms wyjaśnił wszystko, jak czynił to już tyle razy wcześniej. – Pan też będzie taką miał i to szybciej, niż pan przypuszcza. Musimy jednak omówić zakończenie działań wojennych. Z tych, którzy przeżyli, prawie wszyscy pochodzą z Petrine?

Nie „prawie”, wszyscy jesteśmy Petrinianami. Wszyscy „nauczyciele” byli w centralnej części stożka. Wielu pozostało na Petrine i sąsiednich planetach, tu jednak nie przeżył żaden.

– Więc Ohlanser, ten, który przejął dowodzenie, także pochodzi z Petrine? Biorąc pod uwagę jego upór, przypuszczałem, że jest inaczej. Będzie sprawiał kłopoty. Czy rzeczywiście jest naczelnym dowódcą?

– Wyłącznie za naszym przyzwoleniem i w tych nadzwyczajnych okolicznościach. Jest reakcjonistą, przedstawicielem starej, konserwatywnej, militarnej szkoły. Normalnie byłby naczelnym dowódcą i miałby wsparcie nauczycieli, gdyby tylko tu byli. Zakwestionuję jednak jego i ich władzę i powołam się na swe prawo do dowodzenia swą flotą według własnego uznania. Sądzę, że podobnie postąpi też kilku innych. Zaczynamy więc to wasze spotkanie.

– Proszę siadać, panowie. – Wszyscy zaszalutowali ceremonialnie i usiedli. – A więc, wiceadmirał Ohlanser...

– Nie znamy się. Skąd pan wie, jak się nazywam?

– Wiem wiele rzeczy. Chcemy złożyć wam propozycję, która, jeśli przyjmiecie nasze warunki, zakończy tę wojnę. Po pierwsze musicie uwierzyć, że nie mamy żadnych niecznych planów odnośnie waszej planety ani jej mieszkańców, którzy zostali zainfekowani, choć nie jest to nieodwracalne, ideami i mentalnością istot, które za tym wszystkim stoją. Zapewne chodzi o istoty, które nazywacie „nauczycielami”. Nie macie

pojęcia dla kogo i po co walczycie. – Nie było to bynajmniej pytanie, lecz proste stwierdzenie faktu.

– Wygląda na to, że nie znaleźliśmy całej prawdy – przyznał Ohlanser suchym tonem. – Dostarczono nam informacje, wraz z wiarygodnymi dowodami, że jesteście potworami z odległych rejonów kosmosu, zaborczymi, nienasyconymi, pozbawionymi litości i bezwzględnie niszczącymi wszelkie inne inteligentne formy życia.

– Spodziewaliśmy się czegoś w tym rodzaju. Czy reszta to potwierdza? Wiceadmirał Corander?

– Tak. Pokazano nam szczegółowe i udokumentowane dowody; nagrania bitew, podczas których nie okazywano cienia litości. Widzieliśmy, jak podbijane są kolejne układy słoneczne i pustoszone kolejne planety. Wmówiono nam, że jedynym sposobem na przetrwanie jest zmierzenie się z wami i zniszczenie was w otwartym kosmosie, gdyż jeśli dotrzecie do Petrine, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko zginie natychmiast albo będzie umierać w męczarniach. Teraz rozumiem, że wszystkie te dowody zostały spreparowane i że to kompletne szaleństwo.

– To prawda. Ci, którzy rozpowszechniają tę kłamliwą propagandę oraz wszyscy, którzy wspierają ich organizację, muszą zostać wyeliminowani. Petrine musi zająć należne jej miejsce we wspólnocie wolnych, suwerennych i współpracujących ze sobą światów. Podobnie jak każda planeta, której mieszkańcy pragną stanąć po stronie Cywilizacji, a nie tyranii i despotyzmu. Aby przyspieszyć osiągnięcie tego celu, my, Lensmani, sugerujemy wam, byście przeformowali swoją flotę i polecili na Aryzję...

– Na Aryzję! – Ohlanser nie był zachwycony tym pomysłem.

– Na Aryzję – nalegał Samms. – Po jej opuszczeniu, wiedząc znacznie więcej, niż wiecie teraz, wróćcie na swą rodzinną planetę i podejmiecie kroki, które wówczas uznacie za słuszne.

– Powiedziano nam, że wasze Soczewki są urządzeniami wywołującymi hipnozę – twarz Ohlansera wykrzywił szyderczy uśmiech – które zaprojektowano, by kradły i niszczyły umysły wszystkich, którzy was słuchają. W pełni w to wierzę. Ani ja, ani żadna część Wielkiej Floty Petrine nie poleci na Aryzję. Nie zaatakuję swej rodzinnej planety. Nie będę walczył z własnymi ludźmi. Skończyłem.

– Wcale nie mówię ani nie sugeruję, by pan to robił. A pan wciąż zamyka umysł na głos rozsądku. A jakie jest pańskie zdanie, wiceadmirał Corander? I co sądzą pozostali?

Podczas krótkiej chwili milczenia Samms nawiązał kontakt mentalny z resztą oficerów i to, czego się dowiedział, niezmiernie go ucieszyło.

– Nie zgadzam się z wiceadmirałem Ohlanserem – rzekł Corander zdecydowanym tonem. – Nie dowodzi całą Wielką Flotą, a zaledwie jej częścią, podobnie jak pozostali z nas. Poprowadzę swoją formację na Aryzję.

– Zdrajca! – krzyknął Ohlanser. Skoczył na równe nogi i wyciągnął miotacz, jednak promień transportowy wytrącił mu go z dłoni, nim zdążył pociągnąć za spust.

– Miałeś prawo zatrzymać broń osobistą, a nie jej używać – rzekł Samms spokojnie. – Ilu z was zgadza się z Coranderem, a ilu z Ohlanserem?

Cała dziewiątka postawiła na młodszego z mężczyzn.

– Znakomicie. Albo zaakceptuje pan przywództwo Corandera, panie Ohlanser, albo natychmiast opuści to spotkanie i wróci ze swą częścią floty prosto na Petrine. Proszę decydować.

– Czyli nawet teraz nie zamierza mnie pan zabić? Czy choćby poniżyć albo wtrącić do aresztu?

– Nie zamierzam. Jaka jest pańska decyzja?

– W takim wypadku... musiałem się mylić. Polecę z Coranderem.

– Mądra decyzja. Corander, wie pan już, czego się spodziewać; poza tym czterech albo pięciu Petrinian z tego pomieszczenia pomoże panu nie tylko zdecydować, co zrobić na Petrine, ale też wcielić to w życie. Zamykam to spotkanie.

– Ale... więc nie będzie odwetu? – Pomimo wszystkich usłyszanych informacji, Corander wciąż był skrajnie zdumiony, wręcz osłupiały. – Nie będzie inwazji ani okupacji? Żadnych rekompensat ani odszkodowań dla waszego Patrolu? Nie ukarzą nas, naszych ludzi ani rodzin?

– Nic z tych rzeczy.

– To wychodzi poza ramy nawet konwencjonalnych umów militarnych.

– Wiem o tym. Jest jednak zgodne z polityką Galaktycznego Patrolu, którą rozpowszechniamy w naszej części kosmosu.

– Nie wyślecie nawet z nami swojej floty ani ciężkich jednostek, żeby sprawdzić, czy wykonamy wasze polecenia?

– Nie jest to konieczne. Gdybyście potrzebowali jakiegokolwiek pomocy, zawiadomicie nas poprzez Soczewki, tak, jak zwracam się do pana teraz, i dostarczymy wam wszystkiego, czego będziecie potrzebować. Choć nie spodziewam się wielu takich wezwań. Wy i wasi chłopcy potraficie sobie radzić. Poznacie wkrótce prawdę i będziecie wiedzieć, że ją poznaliście, a kiedy skończycie robić u siebie porządki, rozważymy wasze podanie o wstąpienie do Galaktycznej Rady. Do widzenia.

I w taki oto sposób Lensman, a konkretnie Pierwszy Lensman Virgil Samms, przyjął kolejny sektor galaktyki pod egidę Cywilizacji.

ROZDZIAŁ 20

Od zakończenia wiecu minęło kilka dni, podczas których Samms i Kinnison znajdowali się poza Ziemią. Informacja, że kandydat kosmokratów na prezydenta oraz Pierwszy Lensman towarzyszyli flocie, nie była żadną tajemnicą, przeciwnie, wszędzie ją rozpowszechniano. Wszystkim mówiono, dlaczego tam są, i większość ludzi to aprobowała.

Ich nieobecność nie była też szczególnie odczuwalna. Wydarzenia na Ziemi rozwijały się w zastraszającym tempie. W każdym stanie Ameryki Północnej oratorzy kosmokratów udzielali swego wsparcia sprawie, nawiązując w swych przemówieniach do najlepszych politycznych tradycji Ameryki Północnej. Przede wszystkim jednak we wszystkich kioskach z gazetami i księgarniach kontynentu w momencie otwarcia w dzień po Wielkim Wiecu pojawiła się osiemsetstronicowa, wydrukowana drobną czcionką książka, której publikacja przysparzała Sammsowi wiele zmartwień.

– Ale ja się tego obawiam! – protestował. – My wiemy, że to wszystko jest prawdą, jednak na prawie każdej jej stronie znajdują się podstawy do wytoczenia nam najgłośniejszych w historii sądownictwa procesów o oszczerstwa i zniesławienia.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł łysy, korpulentny Lensman prawnik. – W pełni. Mam nadzieję, że podejmą przeciwko nam jakieś działania, jestem jednak absolutnie pewny, że tego nie zrobią.

– Ma pan na to nadzieję?

– Tak. Jeśli przejmą inicjatywę, nie będą w stanie powstrzymać nas przed przedstawieniem całego naszego materiału dowodowego, a wówczas nie znajdzie się żaden sąd, choćby najbardziej nawet skorumpowany, przed którym nie bylibyśmy w stanie wygrać. Będą grać na zwłokę i unikać wszelkich problemów do momentu zakończenia wyborów.

– Rozumiem. – Sammsa udało się przekonać.

Żaden mieszkaniec Układu Słonecznego, co dotyczyło zarówno przyjaciół jak i wrogów, nie znał lokalizacji Wielkiej Floty Patrolu. Kulminacyjnej bitwy, podczas której uwolniona została energia zdolna

zniekształcić samą osnowę i podstawy tworzącej wszechświat materii, nie można było jednak ukryć, zdementować ani nawet zbagatelizować. Starano się jednak nie nadawać jej rozgłosu. Podobnie jak dzisiaj, reporterzy chcieli natychmiast, poprzez komunikatory dalekiego zasięgu, dowiedzieć się znacznie więcej, niż ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo chcieli im powiedzieć. I podobnie jak dzisiaj, ci drudzy mówili tak mało, jak to tylko możliwe.

Każdy wiedział, że Patrol odniósł wielkie zwycięstwo, nikt nie miał jednak pojęcia, kim lub czym był nieprzyjaciel. Ponieważ wiedzieli o tym szeregowi żołnierze, stało się też powszechnie wiadomym, że zniszczona została tylko część floty Czarnych, nikt nie wiedział jednak, dokąd poleciały ocalałe okręty i jakie miały zadanie. Wszyscy wiedzieli, że jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent tej niewyobrażalnie olbrzymiej Wielkiej Floty Patrolu przybyło z planety Bennett i właśnie na nią wraca. A jako że Benecjanie przez kilka tygodni rozbiegli się radośnie po całym kosmosie, wszyscy mieli jakieś takie pojęcie, czym jest Bennett, nikt nie znał jednak powodów jego istnienia.

Dlatego też, kiedy północnoamerykański kontyngent Wielkiej Floty wylądował w Nowojorskim Porcie Kosmicznym, reporterzy dosłownie oblepili każdego, do kogo byli w stanie dotrzeć. Co prawda, zgodnie z przypisywanym starej, mądrej sowie powiedzeniem, najwięcej mówili ci, którzy wiedzieli najmniej. Reporter Telewiadomości, ten sam, który zrobił niegdyś wywiad z Sammsem i Kinnisonem, nie tracił jednak czasu na płotki. Tak długo nalegał na spotkanie z obydwoma głównymi Lensmanami, aż w końcu dopiął swego.

– Nie mam nic do powiedzenia – rzekł Kinnison oschłym, nie pozostawiającym miejsca na wątpliwości tonem. – Mówił będzie, jeśli zechce, Pierwszy Lensman Samms.

– A teraz, dla milionów słuchaczy Telewiadomości, przeprowadzę wywiad z samym Pierwszym Lensmanem Sammsem. Bardzo proszę zbliżyć się nieco do mikrofonu, panie Pierwszy Lensmanie. No cóż, sir, najbardziej nurtuje nas wszystkich pytanie, kim są Czarni?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Nawet mając Soczewkę?

– Nawet mając Soczewkę. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

– Rozumiem. Ma pan jednak jakieś podejrzenia albo domysły? Może podzieli się pan swymi przypuszczeniami?

– Oczywiście, będą to jednak wyłącznie przypuszczenia.

– Ja zaś przypuszczam, szanowni słuchacze, że te domysły są wysoce uzasadnione. Czy mógłby pan, panie Pierwszy Lensmanie Samms, podzielić się swymi domysłami z szerszą publicznością?

– Jak najbardziej. – Jeśli reportera ta odpowiedź zdziwiła, Kinnisona i tych, którzy znali Sammsa najlepiej, wprawiła ona wręcz w osłupienie. Było to jednak skalkulowane na zimno polityczne posunięcie. – Chociaż przedstawienie szczegółowych i niezbitych dowodów zajmie nam prawdopodobnie kilka tygodni, jestem absolutnie przekonany, że Czarna Flota została stworzona przez przestępczą organizację Morgana, Towne’a i Isaacsona i jest przez nią kontrolowana. Że ta organizacja, której składu żaden z nas nie zna, skusiła, przekupiła i podstępnie wciągnęła jedną bądź kilka planet w swój program dominacji i zniewolenia. Że zamierzała ona, wykorzystując swoje siły zbrojne, przejąć kontrolę nad Ameryką Północną, a co za tym idzie nad całą Ziemią i wszystkimi planetami należącymi do zwolenników Cywilizacji. Że zamierzali oni wytropić i zabić każdego Lensmana i dla osiągnięcia swych celów obalić Radę Galaktyczną. Czy o to panu chodziło?

– Znakomicie, sir, właśnie o to mi chodziło. Mam jednak jeszcze jedno pytanie. – Reporter dostał znacznie więcej, niż oczekiwał, jednak, jak każdy dobry dziennikarz, chciał jeszcze więcej. – Czy zechciałby pan, panie Samms, choćby w kilku słowach odnieść się do tematu procesów i Białej Księgi?

– Obawiam się, że mam bardzo niewiele do dodania, zarówno do tego, co właśnie powiedziałem, jak i tego, co znajduje się w tej książce, i można to określić jednym zdaniem: „A nie mówiłem?”. Czynimy i wciąż będziemy czynić starania, by postawić tych przestępców przed sądem. By przerwać i uniemożliwić im dzielenie włosa na czworo i przekładanie procesów w nieskończoność. Zamierzamy podjąć kroki prawne i zmusić każdą z oskarżonych przez nas osób, by broniła się w sądzie, pod przysięgą. Morgan i jego ekipa rozpaczliwe unikają jednak podejmowania jakichkolwiek działań, gdyż wiedzą, że jesteśmy w stanie przedstawić dowody potwierdzające każde nasze oskarżenie.

Gwiazdor Telewiadomości zakończył; Samms i Kinnison przeszli do swych gabinetów, a oratorzy kosmokratów w całym kraju ruszyli w teren. Bił od nich blask zwycięstwa. I choć każdy z nich był doświadczonym mówcą, zdarli sobie gardła, wykazując nieskalaną czystość i nieskazitelną doskonałość ich partii oraz każdego jej kandydata na urząd i z dreszczem obrzydzenia piętnując zasługującą na najwyższe potępienie nikczemność strony przeciwnej.

Zaś Narodowcy, mimo iż otrzymali potężny i kompletnie niespodziewany cios, dokonywali, biorąc pod uwagę ich obecną sytuację, niemal cudów politycznej ekwilibrystyki. Morgan i jego pachołki ciskali gromy. Padli ofiarą spisku. Zostali ukrzyżowani przez Rekinów Finansjery. Wszystkie te insynuacje i oskarżenia były czystymi wymysłami, podłymi kłamstwami, nie mającymi nic wspólnego z prawdą. To oni, a nie Patrol, próbowali wymusić grę w otwarte karty, oczyścić się z zarzutów i jeszcze przed wyborami obalić argumenty tych pozbawionych najmniejszych nawet skrupułów Lensmanów. I to z powodzeniem! Dlaczego bowiem żaden z tysięcy oskarżonych nie został aresztowany? Zapytajcie o to tego kłamcę, Pierwszego Lensmana Sammsa! Zapytajcie tego bezdusznego, twarogłowego i pozbawionego sumienia mordercę, Rodericka Kinnisona! Jednak w trosce o swe zdrowie psychiczne nie poddawajcie swoich umysłów działaniu ich Soczewek!

A dlaczego, zapyta czytelnik, nie aresztowano przed wyborami przynajmniej kilku z wymienionych w książce osób? Jednak wasz kronikarz musi szczerze odpowiedzieć, że nie wie. Gdyż nie jest prawnikiem. Kilku z nas na pewno zainteresowałby szczegółowy opis przynajmniej jednej z prawnych batalii toczonych wówczas w sądach i dosłowne zacytowanie przynajmniej kilku z wielu tysięcy stron sądowego protokołu, jednak dla większości z nas te formalności byłyby śmiertelnie nudne.

Czy wyborcy nie powinni jednak z łatwością odróżnić, która strona przypuszcza atak, a która się broni? Która wymusza działanie, a która forsuje opóźnienia i odroczenia? Mogliby to zrobić bez większego trudu, gdyby tylko związane z tym fundamentalne kwestie obchodziły ich na tyle, by chcieli zdobyć się na niezbędny umysłowy wysiłek. Jednak niemal każdy był zajęty czymś innym. Znacznie łatwiej było też uwierzyć komuś

na słowo. Poza tym myślenie nie jest ćwiczeniem, do którego przywykło zbyt wiele mózgów.

Zaś Morgan nie ciskał gromów ani się nie odgrażał, kiedy naradzał się ze swym jasnoniebieskim przełożonym, który przyleciał do niego natychmiast, gdy tylko dowiedział się o druzgocącej klęsce Czarnej Floty. Kalonianin był do tego stopnia zaniepokojony, że jego niezwykła karnacja zaczęła przybierać delikatny odcień zieleni.

– Jak to się stało? Jak to w ogóle możliwe? Dlaczego nie zostałem poinformowany o prawdziwej sile Patrolu? Jak mógł pan sobie pozwolić na tak głupi błąd? Będę teraz musiał złożyć meldunek Scrwanowi z Eich. Jest jak czysta, nierozcieńczona trucizna, a jeśli choćby jedno słowo o tej katastrofie kiedykolwiek dotrze do Ploora...!!!

– Niech pan zejdzie ze stratosfery, Fernald – zaproponował Morgan uszczypliwym tonem. – Niech pan nie próbuje robić ze mnie kozła ofiarnego, gdyż nie zamierzam na to pozwolić. Stało się tak dlatego, że byli w stanie zbudować większą flotę, niż my. Był pan we wszystko całkowicie wtajemniczony. Wiedział pan, co robimy, i w pełni to popierał. Został pan wystrychnięty na dudka tak samo, jak ja. Nie został pan poinformowany, bo nie byłem w stanie dowiedzieć się niczego o ich Bennecie, podobnie jak oni o naszej Petrine. Zaś co do raportów, robi pan oczywiście to, co uważa za słuszne, radziłbym jednak nie krzyczeć zbyt głośno, zanim nie został pan naprawdę ranny. Ta bitwa nie jest jeszcze zakończona, przyjacielu.

Kalonianin był do głębi wstrząśnięty. O stanie jego umysłu mógł świadczyć fakt, że nie zlikwidował bezczelnego Tellurianina na miejscu. Ponieważ jednak Morgan był równie spokojny jak zawsze i całkowicie pewny siebie, gość zaczął odzyskiwać typowy dla niego spokój umysłu. Jego cera na powrót stała się jasnoniebieska.

– Z uwagi na brak świadków, tym razem wybaczę panu niesubordynację, proszę jednak nigdy nie zwracać się do mnie w taki sposób – rzekł chłodno. – Nie rozumiem, jakie ma pan podstawy do takiego optymizmu. Jedyne, co panu pozostało, to wygranie wyborów. Jak zamierza pan to zrobić? Wciąż gwałtownie traci pan poparcie.

– Nie tak bardzo, jak się panu wydaje. – Morgan rozwinął wielki, szczegółowo wypełniony diagram. – Ta linia przedstawia zagorzałych narodowców, którzy niezależnie od tego, co zrobimy, będą wierni swojej partii. Zaś ta linia, równie zagorzałych kosmokratów. Równowaga sił

zależy jak zwykle od wyborców niezależnych, tych tutaj. A wielu z nich nie jest tak niezależnych, jak się to może wydawać. Połowę z nich możemy przekupić, bądź wyrzucić na nich odpowiednią presję, co zmniejszy ich liczbę do tego poziomu, widać to tutaj. Dlatego niezależnie od tego, co zrobi Patrol, będzie on w stanie wpłynąć wyłącznie na ten względnie mały segment, o tutaj. To właśnie o niego toczy się walka. Faktycznie wciąż odnotowujemy nieznaczny spadek poparcia, gdyż przed ludźmi, którzy używają choćby części swego mózgu, nie jesteśmy w stanie ukryć faktu, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by nie dopuścić do procesów sądowych. Tu jednak mamy opartą na psychologicznych czynnikach krzywą ukazującą panujące do wczoraj nastroje, a tu jej przewidywany przebieg do samego dnia wyborów. Zakłada ona, że zdobędziemy nieco poniżej czterdziestu dziewięciu procent z ogólnej liczby głosów.

– I jest w tym jakikolwiek powód do radości? – Zapytał Fernald lodowato.

– Zapewniam, że tak! – Na twarzy Morgana pojawił się zjadliwy uśmiech; takiego wyrazu jego twarzy nigdy nie widział żaden wyborca. – Ten schemat uwzględnia wyłącznie żyjących, legalnych, autentycznych wyborców. A jeśli jesteśmy tak blisko zwycięstwa w absolutnie uczciwych wyborach, jak mielibyśmy pańskim zdaniem przegrać w tych, które zostaną przeprowadzone? Jesteśmy u władzy. Mamy zaplecze i wiemy, jak z niego korzystać.

– Ach tak, coś sobie przypominam. Opowiadał mi pan kilka lat temu o północnoamerykańskiej polityce. Martwe dusze, powielanie głosów, głosowanie w kilku miejscach naraz, zapełnianie urn fałszywymi głosami i tak dalej. Tak to mniej więcej wyglądało?

– I tak dalej, o to właśnie chodzi, szefie! – zapewnił go Morgan z zapałem. – Tym razem wszystko idzie zgodnie z planem. Będzie to jedno z najbardziej przytłaczających zwycięstw w historii Ameryki Północnej.

– Wstrzymam więc wszelkie działania do momentu zakończenia wyborów.

– Mądry wybór, szefie. Nie będzie więc pan musiał przyjmować ani składać żadnych raportów. – I z tym nader optymistycznym akcentem narada została zakończona.

Wygląd Morgana w pełni odzwierciedlał jego pewność siebie.

Jego wykresy były wiarygodne i oparte na faktach. Znał siłę pieniądza i skuteczność nacisków, podobnie jak możliwości poszczególnych członów swej organizacji. Nie wiedział jednak o dwóch rzeczach: o założonej przez Jill Samms, głęboko zakonspirowanej i z pozoru niewinnej Lidze Ochrony Wyborów oraz przenikającej Galaktyczny Patrol płomiennej lojalności. Dlatego, jeśli nie wykrzykiwał akurat jednego ze swych starannie przygotowanych, siejących zamęt przemówień, ze spokojem i satysfakcją przyglądał się oddanym pracownikom swej prężnej i skutecznej organizacji.

Działo się tak przynajmniej do dnia poprzedzającego wybory. Całe tabuny młodych mężczyzn i kobiet w jednej chwili przystąpiły wówczas do pracy, przynajmniej czworo na każdy z okręgów. Wydawało się, że odwiedzili każdą posiadłość i mieszkanie w całym kraju. Pozadawali pytania, zrobili notatki i zniknęli, a agenci przestępczej organizacji, kiedy podniesiono już alarm, nie byli w stanie znaleźć ani jednego chłopaka, dziewczyny czy notatnika. Zaś Galaktyczny Patrol, który dotychczas nie zwracał na wybory najmniejszej uwagi, poświęcił sporo czasu każdemu obywatelowi Ameryki Północnej. Statki północnoamerykańskiego kontyngentu znajdowały się na Ziemi i nie było w nich niemal żadnego personelu, koszary i bazy były niemal całkiem wyludnione, a z każdej z odległych planet przybyli wszyscy zameldowani w północnoamerykańskich okręgach członkowie Patrolu, by być tego dnia w domu.

Wtedy Morgan zaczął się niepokoić, jednak nie miał już na tę sytuację najmniejszego wpływu. A może jednak? Kiedy chłopcy i dziewczęta w cywilu sprawdzali spisy uprawnionych, byli oni legalnie wyznaczonymi kontrolerami. Kiedy chłopcy i dziewczęta w mundurach chodzili po domach, prowadząc agitację wyborczą, również było to ich niezbywalnym prawem. Jednakże chłopcy i dziewczęta byli wyjątkowo narażeni na wypadki i deprawację... Morgana czekała jednak niespodzianka i tym razem został on kompletnie zaskoczony. Sieć, która tak skutecznie ochraniała Wielki Wiec, znacznie tym razem powiększona, znów została uruchomiona, a Morgan i jego śludzy przeżyli bezsenną i wyjątkowo nieprzyjemną noc.

Dzień wyborów był bezchmurny, słoneczny i chłodny, co wróżyło rekordową frekwencję. Głosowanie rozpoczęło się wcześniej i zgromadziło olbrzymią liczbę ludzi; w lokalach kłębiły się tłumy. Zdarzyło się bardzo

niewiele incydentów. Zdziwiająco niewiele, gdyż wśród obserwatorów kosmokratów nie było dobrze znanych, sprzedajnych indywiduów, lecz nieprzystępni mężczyźni i kobiety o zimnych spojrzeniach, którzy, jak się wydawało, znali z widzenia każdego mieszkańca okręgu. Udawało im się wypatrzeć i nie dopuścić do głosowania każdego, kto oddał już głos gdzie indziej bądź próbował zagłosować powtórnie oraz każdą martwą duszę czy innego oszusta próbującego skorzystać z prawa do głosowania. Każda taka próba była, po dokładnym sprawdzeniu listy wyborców, udaremniana.

Nie wszyscy pełniący wówczas służbę policjanci, szczególnie w dużych miastach, byli oczywiście poza podejrzeniem. Gdy tylko jednak któryś z funkcjonariuszy przejawiał chęć współpracy z bandytami, cicho podchodził do niego pracownik Patrołu o przenikliwym spojrzeniu i jakby mimochodem napomykał:

– Pilnuj lepiej, chłopie, żeby te wybory przebiegały uczciwie, w pełnej zgodności z listami i podpisami, chyba że chcesz zobaczyć swoje nazwisko w wielkiej księdze obok nazwisk pozostałych kanalii.

Nie, żeby złoczyńcy byli zachwyceni takim obrotem spraw, a do akcji nie wysłano band zbirów. Jednak zawsze funkcjonariuszy Patrołu było więcej. I wszyscy oni, nawet jeśli niektórzy wyglądali dość młodo, byli wysmaganymi przez kosmiczne wiatry i wyszkolonymi w walce, zahartowanymi kosmicznymi wygami i byli uzbrojeni w najnowsze modele miotaczy, Lewistony i M17.

Dla przyjaciół czy sąsiadów takiego chłopaka jego Lewiston był oczywiście niemal niewidoczny. Był, podobnie jak spodnie, wyłącznie częścią ubioru. Nie kojarzył się z większym zagrożeniem czy niebezpieczeństwem, niż pistolet i pałka swojskiego irlandzkiego policjanta na patrolu. Bandzior nie postrzegał jednak funkcjonariusza Patrołu jako przyjaciela. Widział czujne, spokojne i niezwykle przenikliwe oczy, długie, silne palce i płynne prężenie się mięśni pod skórą, wymownie świadczące o ich szybkości i sile. Widział też Lewistona, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z najgroźniejszą i najskuteczniejszą bronią ręczną jaką znała ludzkość. A przede wszystkim widział różnicę w liczbie; sześciu, siedmiu czy ośmiu funkcjonariuszy Patrołu na czterech, pięciu czy sześciu takich jak on. Jeśli pojawiało się więcej bandziorów, przybywało też astronautów; jeśli część z nich się wycofywała, to samo robiła odpowiednia liczba mężczyzn w czarno-srebrnych, kosmicznych barwach.

– Ej, pilot, nie znudziło ci się tak tu sterczeć? – spytał dyskretnie jeden z gangsterów jednego z patrolowców. – Bo mi tak. Może kilku twoich kumpli przyłączy się do nas; poderwiemy kilka dziewczyn i trochę się zabawimy, co ty na to?

- Mm – odmówił lotnik. Mówił wesołym, niefrasobliwym tonem, jednak wzrok miał zimny jak lód. – Pasierb kuzyna mojego wujka stara się o posadę drugiego pomocnika hycła i nie mogę się stąd ruszyć, zanim się nie dowiem, czy ją dostał.

Dlatego obeszło się bez incydentów, a potworne, choć niewidoczne napięcie nie znalazło ujścia w otwartej walce. Z tego samego powodu były to pierwsze w długiej historii Ameryki Północnej wybory prezydenckie w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych procenta uczciwe!

Zapadł wieczór. Lokale zostały zamknięte. Kwatera główna kosmokratów, którą stała się w tym dniu sala balowa w Hotelu van der Voorta, stała się celem każdego członka Patrolu, który sądził, że ma najmniejszą choćby szansę, by się tam dostać. Kinnison przebywał tam oczywiście przez cały dzień. Podobnie jak Joy, jego żona, pominięta niestety w tej opowieści. Wcześniej pojawiła się ich córka, Betty, w towarzystwie krzepkiego i sympatycznego młodego porucznika, który także nie odgrywał w tej opowieści żadnej roli. Jack Kinnison przyszedł z Dimples Maynard, olśniewającą blondynką, której ubiór stanowiła krzykliwie czerwona struga jedwabiu. Ona także została w tej opowieści haniebnie zignorowana, choć nigdzie indziej jej się to nie zdarzało.

– Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem – lubił opowiadać Jack – wpadłem w korkociąg, kręciłem się w kółko, gryząc własny tyłek i przez cztery godziny nie mogłem zatrzymać!

Panna Maynard była bez wątpienia niezwykłą osobą i nie było w tym nic zaskakującego, uwzględniając fakt, że miała zostać żoną jednego i matką drugiego z Kinnisonów.

Pierwszy Lensman, który raz wchodził, raz wychodził, pojawił się w końcu na dobre. Podobnie jak Jill z nieodłącznym Masonem Northropem. Dotarli też wszyscy pozostali, pojedynczo, we dwoje czy troje. Lensmani wraz ze swymi żonami. Conway i Clio Costiganowie, doktor i pani Rodebush, Cleveland, admirał i pani Clayton, a także Schweikert i dr Nels Bergholm. I cała reszta. Nie wszyscy byli mieszkańcami Ameryki

Północnej, a nawet ludźmi. Był tam Rularion, podobnie jak masywny i przysadzisty Dronvir z Rigel Cztery. Nikt z zewnątrz nie był w stanie poznać myśli żadnego z Lensmanów, nie wspominając o tak dziwacznych istotach Lensmanach jak Dronvir, a mimo to hotel był chroniony jak żaden polityczny sztab nigdy dotąd.

Zaczęły spływać wyniki, które, szarpiąc nerwy, oscylowały raz w jedną, raz w drugą stronę. Coraz szybciej. W prowincjach nadmorskich podział był równy. Maine, New Hampshire i Vermont, kosmokraci, północna część Nowego Jorku, kosmokraci. Miasto Nowy Jork, sądząc wedle niekompletnych, choć wysoce wymownych wstępnych danych, zgromadziło przeważającą większość narodowców. Pensylwania – robotnicy – narodowcy. Ohio – farmerzy – kosmokraci. W dwunastu południowych stanach – remis. Chicago, jak zwykle, murem za istniejącym układem, podobnie jak Quebec, Ottawa, Montreal, Toronto, Detroit, Kansas City, St. Louis, New Orleans i Denver.

Potem dołączyły stany z północy, zachodu i dalekiego południa i wyrównały rachunek. Saskatchewan, Alberta, Britcol i Alaska przypadły kosmokratom. Tak jak Washington, Idaho, Montana, Oregon, Nevada, Utah, Arizona, Newmex i większość stanów Meksyku.

O trzeciej nad ranem kosmokraci uzyskali drobną choć niewątpliwą przewagę i w końcu ją utrzymali. O czwartej przewaga wzrosła, Kalifornia wciąż była jednak wielkością nieznaną i mogła wszystko zrujnować. Jak zachowa się Kalifornia? A w szczególności jak postąpią dwie kalifornijskie metropolie, najbardziej niezależne, wolnomyślicielskie i nieprzewidywalne duże miasta kraju?

O piątej sytuacja w Kalifornii wyglądała na bezpieczną. Za wyjątkiem Los Angeles i San Francisco kosmokraci zwyciężyli w całym stanie, a w tych dwóch wielkich miastach uzyskali znaczną przewagę. Wciąż istniało jednak matematyczne prawdopodobieństwo, że narodowcy zwyciężą.

– Mamy to w kieszeni! Zaczniemy świętować! – krzyknął ktoś i inni to podchwycili.

– Przestańcie! Nie! – Nawykły do wydawania rozkazów głos Kinnisona przedarł się przez zgiełk. – Nie będzie żadnego świętowania, dopóki nie upewnimy się co do wyników, albo Witherspoon nie ustąpi ze stanowiska!

Oba te wydarzenia nastąpiły niemal jednocześnie. Witherspoon ustąpił na kilka minut przed momentem, w którym jego wygrana stała się

matematycznie niemożliwa. I wówczas rozpoczęto świętowanie, które ciągnęło się w nieskończoność. Jednak przy pierwszej okazji Kinnison chwycił Sammsa pod ramię, bez słowa zaprowadził do małego gabinetu i zamknął drzwi. Samms, również bez słowa, usiadł w krześle obrotowym, położył obie nogi na biurku, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

– I jak, Virge, jesteś zadowolony? – przerwał w końcu milczenie Kinnison. Jego Soczewka była wyłączona. – Jesteśmy na dobrej drodze.

– Tak, Rod. Bez wątpienia. W końcu. – Podobnie, jak przyjaciel, nie śmiał on korzystać z Soczewki, by nie wnikać w przemyślenia, z których istnienia doskonale zdawał sobie sprawę. – Teraz sprawy potoczą się własnym biegiem; mamy już wszystkich, których potrzebujemy, i nic nie jest nas już w stanie powstrzymać!

EPILOG

Zabójstwo senatora Morgana w jego własnym biurze nigdy nie zostało wyjaśnione. Gdyby popełniono je przed wyborami, podejrzenie padłoby niechybnie na Rodericka Kinnisona, ponieważ tak się jednak nie stało, nie było takiej możliwości. Nikomu nie przeszłoby nawet przez myśl oskarżenie „Granitowego Roda” o kopanie leżącego. Wszyscy wiedzieli też, że Morgan miał w przestępczym świecie potężnych i mściwych wrogów, przy czym było ich tak wielu, że żadnemu nie udało się przypisać tej zbrodni.

Oficjalnie Kinnison został na pięć lat zwolniony ze służby w Galaktycznym Patrolu, biuro kontradmirała zostało całkowicie oddzielone od floty i przeznaczone na biuro Prezydenta Ameryki Północnej. W rzeczywistości jednak, przy całym należnym szacunku, Roderick Kinnison wciąż był kontradmirałem i miał nim pozostać aż do śmierci bądź momentu, w którym Rada wymusi na nim emeryturę.

Oficjalnie Kinnison wziął krótki, uczciwie zasłużony urlop od pracy, w której osiągał tak niewiarygodne wyniki. W rzeczywistości udał się na moment na Petrinę, by osobiście poznać nowych Lensmanów i zobaczyć, czym się zajmują. Poza tym był już tam Virgil Samms.

Przyleciał. Zapoznał się. Zobaczył. Pochwalił.

– Może wrócisz ze mną na Tellus, Virge? – zapytał, gdy wizyta dobiegła końca. – Muszę przygotować przemówienie i byłoby miło mieć cię pod ręką.

– Bardzo chętnie. – I *Chicago* wystartował.

Kiedy zbliżali się do Tellusa, połowa Ameryki Północnej była pogrążona w ciemności, a cały kontynent był najwyraźniej zakryty chmurami. Jedynie nawigatorzy na statku wiedzieli, gdzie się znajdują, jednak żaden z Lensmanów zupełnie o to nie dbał. Zbyt bawiła ich kłótnia, którą toczyli o zalety i zdolności swych wnuków.

Chicago wylądował. „Pluskwa” już czekała. Obaj Lensmani, nie wydając nawet jednego rozkazu, zostali do niej szybko zabrani. Samms nie pytał, gdzie ma zostać wygłoszone przemówienie, a Kinnison po prostu nie

pamiętał, że niczego mu o tym nie powiedział. Samms nie miał więc pojęcia, że opuszcza właśnie port lotniczy w Spokane w Waszyngtonie.

Po kilku milach szybkiej jazdy po otwartym terenie „pluskwa” dotarła do miasta. Zwolniła, skręciła w jasno oświetloną Mapple Street i minęła znak z nazwą Cannon Hill, jednak żadna z tych nazw nic Lensmanom nie mówiła.

Kinnison spojrzał na bujną, rudą czuprynę przyjaciela i zerknął na zegarek.

– Twój wygląd przypomni mi, że muszę się ostrzec – oznajmił. – Powinienem się tym zająć na statku, jednak nie wpadło mi to do głowy. Joy powiedziała, że jeśli wrócę do domu zarośnięty, zaplecie mi warkoczyki i wepnie różowe kokardki, a ty jesteś jeszcze bardziej kudłaty. Doprowadź się do porządku, albo kup sobie skrzypce. Co powiesz na to, żeby zająć się tym teraz?

– Mamy dość czasu?

– Mamy go mnóstwo. – Po czym do kierowcy: – Proszę się zatrzymać obok najbliższego fryzjera.

– Dobrze, sir. Kilka przecznic przed nami jest dobry zakład.

Pluskwa przemknęła przez Mapple Street i gwałtownie skręciła w widocznie oznakowaną Twelfth Avenue. Żaden z Lensmanów nie zwrócił uwagi na szyld.

– Jesteśmy, sir.

– Dzięki.

Było tam dwóch fryzjerów i dwa wolne fotele. Lensmani, zwracając uwagę na wzorowy porządek i nieskazitelną czystość tego miejsca, usiedli i wrócili do rozmowy o swych wyjątkowo nietypowych latoroślach. Fryzjerzy z zapalem wzięli się do pracy.

– Równie dobrze mogło tak być, jest jednak naprawdę znacznie lepiej, że dzieciaki za siebie nie wyszły – podsumował Kinnison. – W ten sposób każdy z nas ma wnuka, a dzielenie jednego z tobą byłoby mocno uciążliwe.

Samms nie odpowiedział na ten przytyk, gdyż coś się właśnie wydarzyło. Fakt, że ten niebieskooki fryzjer o złocistych włosach i jasnej karnacji był mańkudem, nie zapalił w jego głowie czerwonej lampki; leworęcznych fryzjerów było bardzo wielu. Nie zauważył też ani nie usłyszał kota, całkiem jeszcze młodego, pręgowanego kociaka, który stojąc na tylnych łapach obwąchiwał z ekstazą jego obleczone w nylon kostki,

po czym wydał z siebie kilka ledwie słyszalnych miauknięć i zaczął radośnie mrużyć. Przygotowując się do skoku napiął swe małe, silne nogi i śmignął niemal pionowo do góry. Jego ogon potracił łokieć fryzjera. I kiedy pośpiesznie przeganiając kota i uniżenie przepraszając zarówno za swą niezgrabność, jak i za obecność kota, który nigdy czegoś takiego nie robił i powinien zostać niezwłocznie utopiony, fryzjer przyłożył pałeczkę na krwawienie, wspomnienie walnęło Sammsa niczym obuchem.

– A niech mnie...! – Podniesionym głosem wyrzucił z siebie trzy zupełnie do niego niepodobne przekleństwa, które, jak to już dawno przewidział Mentor, były równie samokrytyczne co wulgarne. Po czym, kiedy wspomnienie wróciło w pełnej krasie, zamilkł w pół słowa. – Przepraszam, panie Carbonero, za to skandaliczne przedstawienie. Nie chodzi o pana, ani o to zdraśnięcie. Niezależnie od tego, co by pan...

– Wie pan, jak się nazywam? – przerwał mu zdumiony fryzjer.

– Tak. Został mi pan... mmm... zarekomendowany przez... hmm... przyjaciela... – dalszymi wyjaśnieniami Samms tylko pogorszyłby sytuację. Prawda była na tyle wstrząsająca, że trzeba ją było dozować. – Choć nie wygląda pan na Włocha, jest pan może jednak na tyle przesiąknięty ich tradycją, by wierzyć w przepowiednie?

– Oczywiście, proszę pana. Prorocy istnieli zawsze. Prawdziwi prorocy.

– Znakomicie. To wydarzenie zostało szczegółowo przepowiedziane; z takimi detalami, że byłem kompletnie zszokowany. Nawet ten kociak. Nazywa się Thomas.

– Tak. Thomas Aquinas.

– Tak naprawdę to kotka. Chodź tu, Thomasina! – kociak wspiął się z entuzjazmem po jego nodze i gdy dotarł do rozchylonej zapraszająco kieszeni wślizgnął się do niej, znieruchomiał i zaczął błogo mrużyć. I kiedy fryzjerzy i Kinnison gapili się na to z wytrzeszczonymi oczami, Samms kontynuował: – Jest zdecydowana mnie przygarnąć, żal byłoby odrzucić takie uczucie. Czy zgodziłby się pan z nią rozstać za, powiedzmy, dziesięć kredytów?

– Dziesięć kredytów! Z chęcią oddam ja panu za darmo!

– A więc dziesięć. Jeszcze jedno, Rod, zawsze masz przy sobie kieszonkową miarkę. Mógłbyś zmierzyć to zadrapanie? Okaze się, że ma ono niemal dokładnie trzy milimetry.

– Żadne „niemal”, Virge, ma dokładnie trzy milimetry, uwzględniając dokładność tej podziałki.

– Tuż nad kością policzkową i równolegle do niej.

– Zgadza się. Znajduje się tuż nad nią i jest tak równoległa, jakby została wymierzona przez kreślarza.

– No cóż, tak to wygląda. Skończmy strzyżenie, bo spóźnisz się na własne przemówienie.

I fryzjerzy wrócili do przerwanej pracy, zaś to, co sobie wówczas myśleli, pozostanie w sferze domysłów.

– Mów o wszystkim, Virge! – wysłał Kinnison ledwie powstrzymywaną myśl. Jeśli Carbonero, który w ogóle nie znał Sammsa, był tym wydarzeniem zdziwiony, Kinnison, który znał go świetnie i od dawna, był po prostu w kompletnym szoku.

– O co w tym wszystkim, do diabła, chodzi? W czym rzecz? GADAJ!

Samms opowiedział i zapadła mentalna cisza; zbyt głęboka, by kryć jakiegokolwiek sensowne myśli. Każdy z nich zaczynał zdawać sobie sprawę, że nigdy nie dowiedzą się, czym tak naprawdę jest aryzyjski Mentor.

KONIEC